

Stowarzyszenie na rzecz Zrównoważonego Rozwoju „Przysłop”
w Zawoi



PRZYSŁÓP

z widokiem na historię



Dla Was

*Nie piszę dla zysku
Nie piszę dla sławy
Piszę dla potrzebujących
Sumienia poprawy*

Kazimierz Chaberski

PRZYSŁÓP 2018
Grzechynia – Stryszawa – Zawoja

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Jan Żurek
Krystyna Wajdzik
Elżbieta Żurek
Anna Świtek
Zofia Drabek
O. Romuald Wilk OCD

PROJEKT OKŁADKI: Przemysław Żurek

FOTOGRAFIE NA OKŁADCE: Dennis de Landsheere, archiwum

ZDJĘCIA WSPÓŁCZESNE: Krystyna Wajdzik, Emmanuela Banach, Elżbieta Żurek, Jan Żurek

ZDJĘCIA ARCHIWALNE ZE ZBIORÓW: Szkoły Podstawowej nr 4 w Zawoi, Klasztoru oo. Karmelitów Bosych w Zawoi Zakamień, Ochotniczej Straży Pożarnej w Zawoi Przysłop, Kółka Rolniczego i KGW w Zawoi Przysłop, Stowarzyszenia na rzecz Zrównoważonego Rozwoju „Przysłop”, Urszuli Wcisło, Krystyny Wajdzik, Władysławy Pierog, Renaty Pochopień, Stanisławy Zachura, Krystyny i Stanisława Kudzia, Janiny i Zygmunta Spyрка, Grażyny Kobiela, Czesława Spyрки, Elżbiety i Jana Żurek, Anny i Andrzeja Żywczak, Joanny Spyрка, Anny i Marka Świtek, Marii i Kazimierza Chaberskich, Wincentego Żurek, Małgorzaty i Józefa Basiura, Alicji i Lucjana Chowaniak, Wiesławy Krzeszowiak, Zofii i Janusza Drabek, Joanny Polak, Teresy i Grzegorza Żurek, Elżbiety i Krzysztofa Toczek, Barbary Chrzęszcz, Anny Spyрка, Stanisławy Basiura, Heleny Szczurek, Urszuli Toczek

DIGITALIZACJA ZDJĘĆ ARCHIWALNYCH: Maciej Leśniak, Krystyna Wajdzik, Jan Żurek, Alicja Żurek, Magdalena Madej, Dominika Kubasiak, Przemysław Żurek

REDAKCJA TEKSTU: Jan Żurek, Krystyna Wajdzik

KOREKTA:

REDAKCJA TECHNICZNA I SKŁAD:

DRUK:

ISBN 978-83-915879-2-8
Przysłop 2018

ZAMIAST WSTĘPU

Pomysł stworzenia publikacji zawierającej ważne fragmenty historii Przysłopia zrodził się w chwili, kiedy pozbawieni zostaliśmy głównego zwornika jedności Przysłopian – szkoły. Stwierdziliśmy, że jest to cezura najprawdopodobniej nieodwracalnych zmian. Po likwidacji szkoły dzieci przysłopskie rozproszyły się do różnych szkół, do Stryszawy i Zawoi. Będą mieć już innych kolegów, nauczycieli, inne miejsce przyjmowania Pierwszej Komunii Świętej, inne ważne sprawy. Coraz słabsza będzie nić wiążąca dzieci z sąsiedztwa.

Drugi powód to przemijanie. Przemijanie miejsc i ludzi. Nie chciałbym, żeby zabrzmiało to zbyt górnolotnie ale przecież wszyscy zauważamy ten proces. Nie zdążyliśmy zrobić fotografii ciekawej starej



STARE USTĘPUJE NOWEMU. DOM RODZINY ŻYWCZAK, OS. LACHY

chaty, bo wczoraj ekipa budowlana ją wyburzyła. Sąsiadka, do której wybieramy się już od roku na kawę, właśnie z nowotworem wylądowała w szpitalu. Dziadek, którego opowieści strasznie mnie nudziły, już nic nie opowie o armii Franciszka Józefa. Nawet tak stabilna rzecz, jak bunkier betonowy, który przecież jeszcze przed rokiem tu był, po ostatniej powodzi spadł w potok.

No i oczywiście nie możemy zapomnieć o dacie 1918 rok – dacie odzyskania niepodległości przez Polskę. Właśnie mija sto lat od tego czasu. Wydawało nam się, że dobrym sposobem upamiętnienia tej daty będzie zebranie okruchów, które złożą się na pełen obraz naszej historii. Okruchów schowanych gdzieś w zakamarkach pamięci wiekowych osób, zapisanych w kronikach organizacji i instytucji tu działających, lub na starych fotografiach.

Czy ten obraz będzie pełny? Raczej nie. Wpadło w nasze ręce zdjęcie z podpisem „Felek w łagrze”. Poruszyłem wiele strun, żeby zdobyć bliższe informacje o postaci z fotografii. Dowiedziałem się, że jest to Feliks Kudzia od Warciaków, że został zesłany do łagru rosyjskiego, że pracował jako dorożkarz w Krakowie. Kiedy



FELIKS KUDZIA W ŁAGRZE

trafił do łagru, za co został zesłany, ile lat to trwało, czy fiakrowanie miało miejsce przed, czy po łagrze, tego nie wiemy. Ciekawa jest też historia Józefa Toczka przedstawiona w relacji pani Emilii, jego córki. Niestety, w jakich okolicznościach, kiedy i gdzie dostał się do niewoli tureckiej, już się nie dowiemy. Wiele prawdopodobnym jest, że stało się to nie w czasie I wojny światowej, kiedy Austro – Węgry były tureckim sojusznikiem, ale w czasie wojen bałkańskich 1912-1913. Słyszeliśmy też o grobach partyzanckich na Mrażnicy pod Spyrkówką, nad Siwcówką, w Gołyni. Słyszeliśmy też o zabitym partyzancie w osiedlu Janiki, który został przyrzucony kamieniami z muru na miedzy. W tych sprawach pozostały nam już tylko domysły i dywagacje, szczegółów nie udało się zdobyć. Wiele osób, które prosiliśmy o przedstawienie wspomnień swojego życia pyta nas: „Dlaczego tak późno? Tyle osób mogących snuć ciekawe opowieści już zmarło.” Wiemy, że późno, wiemy, że czas robi swoje. Ale lepiej teraz, niż nigdy.

Jedno jest pewne. Nie wystarczy Ci, Czytelniku, zapoznać się z jedną tylko relacją. Jeśli tak zrobisz, będziesz znał tylko mały wycinek historii Przysłopia. Te wycinki skła-



RODZINA TOCZEK, PRZODKOWIE CHOWANIAKÓW
Z OS. GRANICA

dają się jak puzzle w jedną całość, wzajemnie się uzupełniają i przenikają. Przyjmujemy, że zdarzenie, które znajdzie potwierdzenie w źródłach historycznych albo w relacji drugiego świadka jest prawdziwe albo przynajmniej wysoce prawdopodobne. Dopiero przeczytanie całości da Ci pełny obraz i satysfakcję.

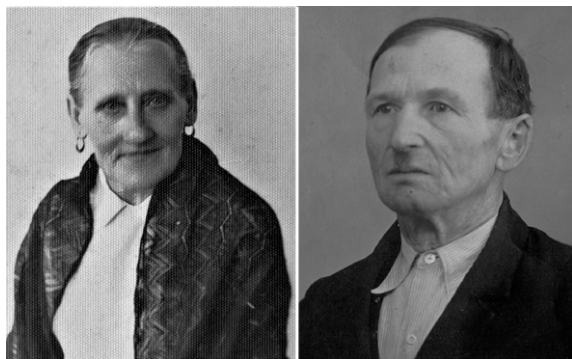
Mimo szczerych chęci nie udało nam się dopasować obrazów do tekstu. A to z prostej przyczyny: niektóre teksty choć

krótkie, miały bogatą dokumentację zdjęciową. Inne musielibyśmy zostawić bez fotografii. Więc trochę namieszaliśmy. Ale ma to też dobrą stronę, zmusi Cię, Czytelniku do przewertowania całej książki. Zostawiliśmy Ci jeszcze jedno zadanie, rozpoznanie ludzi widocznych na zdjęciach. Na ostatnich pustych stronach możesz opisać fotografie i porównując opisy swoje z opisami sąsiada, dotrzesz do kompletu nazwisk.

Książkę podzieliliśmy na dwie części. Część pierwsza to wspomnienia, które pozostały w pamięci jeszcze żyjących świadków ciężkich wojennych czasów. W części drugiej przedstawiamy instytucje i organizacje, które działały i działają na terenie Przysłopia: kościół z klasztorem i parafią, szkoła podstawowa, straż pożarna, stowarzyszenie „Przysłop” oraz już nie istniejące, ale wpisujące się znacząco w historię, kółko rolnicze i KGW.

Staraliśmy się, by świadectwo przeszłości było jak najwierniejsze. Jak najmniej ingerencji w zapisy kronik i zeszytów protokołów, tylko wybór najistotniejszych naszym zdaniem zdarzeń i faktów. Również w relacjach świadków historii staraliśmy się jak najmniej zmieniać. Zostawiliśmy nawet oryginalne, czasem nieporadne, styl i składnię, lepiej oddające dynamikę opowiadania, niż okrągłe zdania. Gdzie uznaliśmy, że wyrażenie gwarowe odda wierniej i lepiej emocje opowiadającego, tam je zostawiliśmy.

Spotkałem się podczas zbierania materiałów ze zdaniem: „O czymże można pisać. Przecież tu nie było żadnej bitwy, front nie zatrzymał się, ani nawet nie przechodził przez nasz teren”. Kolejne spotkania z mieszkańcami pamiętającymi z autopsji albo z rodzinnych opowiadań zawilgości historii upewniały mnie, że nie będzie to jałowa praca. Początek każdej relacji wyglądał podobnie: „Ja tam niewiele pamiętam, dajcie mi spokój, nie chcę rozmawiać o tych strasznych czasach”. Dopiero chwila rozmowy na tematy neutralne, czasem współczucie, rozmowa o wnukach i prawnukach powodowały otwarcie naszych rozmówców. Że czasy naprawdę były straszne, widać to w relacjach świadków. Terror, strach o życie własne i najbliższych, walka o żywność, o biologiczne przetrwanie, głód, strach przed Niemcami, sąsiadami, partyzantami czy zwykłymi złodziejami. Mamy w relacjach przykłady zachowań przyzwoitych, ludzkich czy wręcz bohaterskich, bo jakże inaczej nazwać bezinteresowną pomoc dziewczynce żydowskiej, dzieciom z suskiego zamku czy grupce Cyganów zbiegłych z transportu. Mamy też donosy, złodziejstwo, zawiść, wysługiwanie się okupantowi. Przewijają się w opowieściach postacie zdecydowanie negatywne, jedna paradująca w niemieckim mundurze, współpracująca z okupantem, inne donoszące nawet na członków rodziny, przewija się też bohater pozytywny, Stanisław Dyrz ps. „Softys” vel „Sokół” z Zalaszu, którego postawę wszyscy świadkowie przedstawiają w jasnych barwach. Ale jakie prawo mamy, siedząc w wygodnym fotelu, czytając wojenne wspomnienia do oceny zachowań tych ludzi? Je-



JOANNA I JÓZEF KUDZIA, OS. STECZKI

den ze świadków mówił, że na sam widok niemieckiego żołnierza dostawał biegunki. Kto z nas może z ręką na sercu zapewnić, że zachowałby się przyzwoicie w chwili, gdy do skroni przyłożony miałby pistolet, w czasie tortur, w momencie wyboru: życie moje, mojego dziecka albo sąsiada? Kto uciekający przed wywózką na roboty czy do Auschwitz, żyjący jak ścigana zwierzyna w lesie oparłby się pokusie kradzieży żywności lub ubrania? Ja nie odważę się ferować ocen, wyroków, chcę być tylko pośrednikiem w przekazaniu na pewno subiektywnych wspomnień szerszej publice.

Zawieśmy te pytania i pozostawmy bez odpowiedzi. Jedno jest pewne. Życie uczyniło tych ludzi zahartowanymi, twardymi i odpornymi na trudy i przeciwności. Pan Józef Smyrak stwierdził: „teraz to żyć i nie umierać a ludzie jeszcze narzekają”. Podobną opinię wyraził pan Eugeniusz Zajda: „Dziś ludzie nawet nie wiedzą, za co powinni Bogu na kolanach dziękować”.

Odporność i hart pomogły też w powojennym życiu. Położenie Przysłopia z dala od centrów i szlaków komunikacyjnych, przekonanie decydentów, które i dzisiaj nie jest rzadkie, że najważniejsze są inwestycje w miejscach, gdzie mieszka najwięcej wyborców, inwestycje „pomnikowe”, którymi można chwalić się w CV, a reszta niech sobie radzi sama. Więc Przysłopianie radzili sobie.

Podczas przeglądania dostępnych dokumentów z instytucji i organizacji przysłopskich narzuca się jeden obraz i wniosek. Gdyby nie jedność i solidarność mieszkańców, pewnie byśmy byli na poziomie mocno niższym, niż jesteśmy obecnie. Chciał Przysłop kościoła, bo do parafii w Zawoi, Makowie czy Stryszawie daleko i zła droga, mieszkańcy go, pod kierunkiem i przy wielkim udziale ojca Bernarda Smyraka OCD zbudowa-

li. Chciał drogi, musiał ją zacząć budować sam, bo zwykłe monity nie odnosiły skutków. Chciał szkoły, musiał samodzielnie kupić działkę i rozpocząć budowę we własnym zakresie, bo nikt „z góry” mieszkający na dole nie widział potrzeby budowania szkoły tak wysoko. Chciał remizy, musieli strażacy rozpocząć budowę nielegalnie, bo po co kolejna remiza w Zawoi. Chciał szkołę wy-



PRZYSŁÓP SŁYNIE Z ZABAW NA FESTYNIE

posażyć, mieszkańcy składali dobrowolne datki, żeby kupić telewizor, projektor filmowy czy stół do ping-ponga. Chcieliśmy szkołę rozbudować i zmodernizować, Stowarzyszenie „Przysłop” musiało wypracować grubo ponad pół miliona złotych, żeby szkoła była nowoczesna. Podobnie było z działającymi tu od lat 60-tych do 80-tych Kółkiem Rolniczym i Kołem Gospodyń Wiejskich. To pierwsze potrafiło w latach 1984-1985 wypracować dochód w wysokości 42 milionów złotych. Drugie musiało walczyć o wszystko: nawozy, sadzonki, materiał siewny, kurczęta, inspeky, prowadziło kursy i szkolenia gospodarskie. Wszystkie wspólne przedsięwzięcia wzmocniły integrację społeczeństwa przysłopskiego. Z przyjętym hasłem „W zgodzie z Dekalogiem i naturą” budowaliśmy modelowy przysiółek przyjazny dla środowiska. Drugie hasło „Przysłop słynie z zabaw na festynie” realizowane było nie tylko dla samej zabawy, lecz także dla zdobycia środków finansowych potrzebnych do utrzymania szkoły. Nie patrzyliśmy, kto jest z Zawoi, kto ze Stryszawy albo Grzechyni. Był wspólny Przysłop.

Charakterystyczne jest, że przeplata się tu życie nie tylko mieszkańców trzech gmin, ale też działalność wszystkich instytucji i organizacji. W miejscowej OSP większość stanowią mieszkańcy Stryszawy, wiele osób działa równolegle w kilku organizacjach, ministranci po zbiórce w kościele pędzą na ćwiczenia strażackie, ojciec karmelita obecny jest na zebraniu wiejskim, czy szkolnym, prezes straży jednocześnie jest sołtysem i działa w stowarzyszeniu. Można tak długo wymieniać. Jedno jest pewne. Przysłop jako trzy części trzech gmin będzie miał niewielką siłę przebicia. Tylko jedność daje możliwość spokojnego spojrzenia w przyszłość.

Śpieszmy się poznawać ludzi, tak szybko odchodzą. Parafraza słów księdza Twardowskiego odzwierciedla sytuację, w jakiej się w tej chwili znaleźliśmy. Jeszcze przed miesiącem rozmawialiśmy z panem Edwardem Basiurą, jeszcze cieszyliśmy się, że tak wiele cennych informacji udało się od niego uzyskać, zdążyliśmy zrobić zdjęcie, na którym widzimy go obejmującego żonę, dziś nie ma go już z nami. Cieszył się, że powstaje książka opisująca historię Przysłopia. Podobnie jak kilku innych świadków historii wyrażał obawy, czy uda mu się wziąć do ręki pachnący farbą egzemplarz. Pan Edward niestety nie doczekał jej wydania. Pozostawił po sobie wspomnienia, którymi dzieli się z naszymi czytelnikami. Niech Bóg da mu życie wieczne w swojej chwale.

Jan Żurek

FRANCISZEK KUDZIA

OS. MAGURKA (ur. 1927 r.)

Pierwszą rzeczą, którą pamiętam z rodzinnych gawęd, była opowieść taty o jego pobycie na Syberii. Tata walczył w pierwszej wojnie światowej, dostał się do rosyjskiej niewoli i został zesłany na Sybir. Tam od zimna padło strasznie dużo Polaków, mrozy były po 60 stopni. Jak tylko który nie miał siły ruszać się w robocie, zaraz zamarzał.

Tata z drugim kolegą wzajemnie się wspierali, jeden drugiego popychał, żeby się ruszali w robocie i nie zamarзли. Jeńcy pracowali tam przy wyrębie lasu, przy odśnieżaniu. Tata w końcu stracił wzrok (*ślepotą śnieżną*) i pewnie byłby został na Sybirze, ale uratowała go pewna Rosjanka. Zabrała go z obozu do domu, podawała mu rybi tran, opiekowała go i wyleczyła. Po wojnie Rosjanie obwieścili, że jeśli któryś z Polaków chce wrócić do domu, może to zrobić przygotowanym specjalnie transportem, więc tata wrócił, zdążył się ożenić, spłodzić siódmkę dzieci. Był z Tatą na Sybirze jeszcze jeden chłop ze Stryszawy, od Gawrona (*osiedle przy niebieskim szlaku PTTK z Leskowca na Przysłop, nad kościołem św. Stanisława*). On też wrócił do Polski.

Tuż przed wojną panowała u nas grypa, taka jadowita. Nazywali ją hiszpanką, bo podobno pierwsze zachorowania zdarzyły się właśnie w Hiszpanii. Bardzo dużo ludzi chorych na hiszpankę zmarło, a jak kto przeżył, traktowano to jak cud. Choroba ta zebrała wielkie żniwo wśród dzieci, kobiet i mężczyzn, bo nie było na nią lekarstwa. Zachorowała też moja mama. Ja miałem wtedy rok. Mama była w takim stanie, że była już sina, nieprzytomna. W tej chorobie na chwilę odzyskała przytomność i opowiedziała, że przyszła do niej święta Teresa od Dzieciątka Jezus mówiąc, że do soboty wszystko się skończy. Więc mama kazała przygotować wszystko do pogrzebu, bo była pewna, że umrze. W sobotę choroba zaczęła schodzić do dużego palca w nodze, palec cały czerniał, choroba minęła. Od tej pory w naszej rodzinie święta Teresa cieszy się wielkim szacunkiem. Jak zburzyli na dole u Wicka stary dom, to wizerunek św. Teresy odnowili i wisi tam dalej.



FRANCISZEK KUDZIA Z ŻONĄ STANISŁAWĄ



JÓZEF KUDZIA
Z OS. STECZKI W WOJSKU
AUSTRIACKIM

Myśmy mieszkali też przy granicy z Rzeszą. Na Magurce, w Grzechyni było Generalne Gubernatorstwo a suskie ziemie, które zaczynały się zaraz za dębami, mówimy na to Ciurówizna, należały do Rzeszy. Tam na Ciurówiznie gospodarzyli Niemcy z zamku w Suchej. Jak przychodzili do roboty na Magurkę, to często brali z sobą Piotra Leniwkę (*Polak*), który znał język niemiecki i służył im za tłumacza. Poszedł z nimi do zbierania siana też syn Piotra, Józek. Jak szli przez pola, z lasu wyszedł Piotr Lenart, który miał trochę na pieńku z Niemcami, chodził w takiej bandzie nawet na Orawę i kradł, potem poszedł do partyzantki. Jak Lenart pokazał się na skraju lasu, Józek Polak zawołał do niego po imieniu. Niemiecki zarządca zrozumiał, że obydwaj Leniwki razem z Lenartem też są w partyzancie i doniósł o tym fakcie Niemcom. Ci zrobili obławę i zabrali z sobą Piotra i Józka Leniwków i Józka Kurka (*też Polak*). Po jakimś czasie Niemcy wypuścili Piotra



FRANCISZEK KUDZIA
(Z LEWEJ) W MŁODOŚCI

Leniwkę i Józka Kurka, Józka Leniwkę zabrali do obozu, najpierw do Jaworzna-Mysłowic, następnie do Gross Rosen. Przeżył obóz, opowiadał potem, że jego marzeniem nieraz było, żeby Niemcy go zabili, ale dali mu się wcześniej do syta najeść. Opowiadał też zdarzenie, jak kiedyś z kolegami więźniami złapali kurę i zjedli ją na surowo, razem z wnętrznościami. Taki był głód. Na Ciurówiznie, poniżej domów, które obecnie tam stoją, były w czasie wojny dwa domy. Niemcy zburzyli je, żeby nie korzystali z nich partyzanci.

W naszym rodzinnym domu przez dwa lata przechowywaliśmy dzieci z zamku suskiego. (Po wybuchu II wojny światowej, gdy ostatni prywatny właściciel /zamku/ Juliusz Tarnowski wraz z rodziną udał się na emigrację, rezydencję zajęli Niemcy, a później wojska radzieckie. **Barbara Woźniak. Sucha Beskidzka. Historia i współczesność. Sucha Beskidzka 2010**). Były to dzieci lokaja z zamku o nazwisku Pajda, spokrewnione z właścicielami zamku: Protek, Jerzyk i Krysia, a czwarta, Tere-



KWITY PODATKOWE Z OKRESU ZABORÓW

ska ukrywała się gdzieś indziej. Dzieci te, a właściwie młodzież, ukrywały się tu z obawy przed wywózką na roboty do Niemiec. Obawiały się też byłego kucharza z zamku, który w czasie okupacji zmienił nazwisko z Cukier na Zucker i współpracował z Niemcami. Ciasno nam było, bo nas było wielu. Matka Antonina, ojciec Wincenty, siedmioro dzieci i 90-letni dziadek Józek, ale trzeba było jakoś pomóc. Krysia miała narzeczonego od Fortunów z Suchej, którzy mieli wytwórnię pasty do butów „Robot”, później wyjechała z tym chłopakiem za granicę i tam podobno też założyli fabrykę. Pozostałe dzieci przedostały się do Warszawy, gdzie brały udział w Powstaniu Warszawskim, tam zginęły.

Pod Grapą mieszkał Cioper (*Dyrz*), którego córka, Hanka miała znajomości na Orawie i stamtąd przemycali różne materiały na bluzki, spodnie itp., którymi później handlowali na Przysłopiu i w okolicy. Niemcy, którzy patrolowali granicę na Spyrkówce, podeszli kiedyś do domu Ciopra. Akurat było u niego dwóch sąsiadów: Janik Józek od Walka z Magurki, który



KAPELA WESELNA Z PRZYSŁOPIA

chodził do córki Ciopra Anielki, i Emil Polak od Poldkuli. Janik, jak uwiódł Niemców, uciekł przed nimi. Niemcy chyba zauważyli jego ucieczkę. Na miejscu, w domu Ciopra, zastali Emila Polaka. Zaczęli go bić, chcąc zmusić do wyznania, kto to uciekł, potem zabrali go do Stryżawy i tam strasznie zbili, powybijali mu oczy, aż w końcu zabili.

Józek Janik to parę razy uciekł Niemcom. U walka trwało wesele Edka



KAPELA DOŻYNKOWA

Janika z Antošką ze Skawicy, od Palucha. Niemcy, widząc bawiących się ludzi, weszli do izby weselnej. Zaczęli bić gości oddzielając mężczyzn od kobiet. Młody pan, Edek wyskoczył przez okno. Pod oknem stał akurat żołnierz niemiecki, na którego Edek spadł skacząc przez okno i go przewrócił. Potem uciekł na dół, w stronę Kurka. Niemcy strzelali za nim, ale go nie trafili. Później zaczęli się wyżywać na weselnikach. Pobili chłopów, ja też dostałem od nich mocno kijem przez pierś, a brata Edkowego, właśnie tego Józka, co uciekł od Ciopra, i sześciu mężczyzn z Carchli, zabrali do więzienia do Nowego Targu, gdzie przesiedzieli miesiąc. Po miesiącu zostali załadowani do transportu do Auschwitz. Chłopaki w okolicach Makowa wyskoczyli z pociągu i wrócili do domów. Pozostałych rannych weselników załadowano na wóz i odwieziono do doktora do Wadowic.

Partyzantów u nas za dużo nie było. Więcej takich, co chodzili i kradli. Tu byli też Ruski w partyzantce. Oni mieli bazę na Suchej Górze, ale tu też czasem przechodzili. Kiedyś, jak była obława, uciekliśmy z bratem do lasu z krowami i koniem, a tu z krzaków wyszło trzech ruskich partyzantów, którzy powiedzieli, że poradzili by sobie z Niemcami, ale ci za to mogą spalić wieś. Później wyszło ich chyba z piętnastu z lasu, tych Rosjan. Jeszcze jedno zdarzenie z partyzantami pamiętam. Grupa partyzantów przewoziła broń i amunicję do siebie, do krzeszowskich lasów. Wtedy był w Zawoi odpust i Niemcy mieli wzmocnione patrole po granicy. Partyzanci jechali koniami i furmankami od Grzechyni, dojechali ku Spyrkówce i tam spotkali niemiecki patrol. Jeden Niemiec zaczął strzelać. Jak partyzanci przystąpili do tych wozów i otworzyli ogień, trzech Niemców zaraz zabili, czwarty, komendant, uciekł. I całe szczęście, że uciekł, bo jak Niemcy zebrali później ludzi ze Spyrkówki, to ci tłumaczyli, że przecież komendant widział, że do Niemców nie strzelali miejscowi ludzie, tylko partyzanci, którzy przyjechali od Grzechyni. Niemcy szukali jeszcze przez dwa dni tych partyzantów, ale oni wrócili do Grzechyńskiego Lasu i tam przeczekiwali obławę. Za dwa dni, jak minęła obława Niemcy jeszcze zabili Bogu ducha winnego chłopca z Działu, który jechał do lasu i natknął się na nich. Niemcy kazali mu zejść z wozu, uciekać w stronę lasu i strzelili mu w plecy. (*Vide – relacja Stanisławy i Edwarda Basiurów*). Jeszcze znam jedno zdarzenie związane z partyzantami, jak ci na Lipiu rozbili placówkę niemiecką. Opowiadał mi taki Balcer Władek z Lipia, który chodził tam do dziewczyny na krzeszowska stronę. Władek przechodząc często przez Lipie, zapoznał się z tymi Niemcami, nieraz siedział z nimi na placówce i grał w karty. Z Władkiem skontaktowali się partyzanci z krzeszowskich lasów i poprosili go o pomoc w oparowaniu niemieckiej placówki. Władek zgodził się, poszedł do komendanta placówki i zapytał, czy może przyprowadzić czterech kolegów na karty. Zabrał z sobą partyzantów. Komendant placówki zorientował się, że coś jest nie tak w momencie, kiedy zobaczył na nogach jednego z karcianych towarzyszy buty oficerki. Ale było już za późno. Partyzanci przystawili Niemcom pistolety do głów, powiązali ich i zabrali broń, zabrali radiostację i poszli do potoka. Mieszkańcy Lipia, żeby uniknąć konsekwencji napadu na placówkę, poszli po chwili do Niemców poskarżyć się, że byli u partyzanci i okradli ich.

Było wesele Mietka Spyрки Z Zakamienia. Na tym weselu były też chłopcy, które chodziły po wsiach, udawały partyzantów i kradły. Ale był też chłop z Jaworskiego, który doniósł Niemcom o partyzantach na weselu. Na drugi dzień Niemcy przyszli, zabrali Julka i Albina. Julek był niesprawny, jego wzięli z domu, Albin był żonaty Pod Gruseczką, jego stamtąd wzięli. Nie wiem dokładnie, kto doniósł na Spyrków. Jedni mówią, że był to ten chłop z Jaworskiego, który zresztą potem siedział za to w Rosji, ale go puścili za dobre sprawowanie, inni, że ten „Podziubany”. Podziubany pochodził z Suchej od Kubasa, o nim nie słyszałem nigdy, żeby był zdrajca z niego. Żenił się już po wojnie u Bartoszeki, to pamiętam, jak Józek Dańczak, krawiec, śpiewał na jego weselu: „Mój Boże, mój Boże, mój Boże kochany, już się nam pożenił Staszek Podziubany”.

Niemcy odbierali ludziom krowy, cielęta, świny, musieliśmy w ramach kontyngentu oddawać masło, nie mleko, bo do zlewni było daleko. Czasem za zabraną krowę Niemcy „płacili” butelką wódki, czasem dali talerz lub garnuszek, czasem korale a najczęściej po pysku. Niemcy chodzili po domach i spisywali, ile kto miał bydła i trzody w stajni.



NIEMIECKI TALERZ I KUBEK, ZAPŁATA
ZA KROWĘ DLA RODZINY CHOWANIAK
Z OS. GRANICA

A jak u kogoś znaleźli nie zapisaną sztukę, od razu zabierali. Mięso oddawane było na front, na karmienie niemieckich żołnierzy. Gołębi nie wolno było trzymać, bo mieszkaliśmy blisko granicy i Niemcy obawiali się, że gołębie mogą być używane do przenoszenia listów przez granicę. Żeby przeżyć wraz z całymi licznymi rodzinami, gospodarze ukrywali swoje bydło. Myśmy mieli w lesie wybudowaną budę, w której trzymaliśmy niezapisane bydło. Mieliliśmy umówiony znak. Jak obława niemiecka i przeszukiwa-

nie domów trwało, kobiety wieszały jakąś czerwoną szmatę. Jak niebezpieczeństwo mijało, wywieszane było białe prześcieradło. W lesie było bezpiecznie, bo Niemcy bali się tam wchodzić. Z zapisanymi krowami musieliśmy iść na spęd na Białkę, tam krowy nasze były oglądane przez komisję i klasyfikowane. Na sierści krowy był wycinany nożycami odpowiedni znak i z krową albo się zegnaliśmy, albo wracaliśmy do domu. (*Okresowo, na wiosnę i jesienią, odbywano spęd bydła, połączony z kolczykowaniem celem rejestracji i, jak to określano, „poprawienia rasy” górskich czerwonych krów.* – Jerzy Mydlarz. **Zawoja pod okupacją hitlerowską. Monografia Zawoi. Kraków-Zawoja 1996**). Nie tylko z krowami trzeba było uciekać. Chowali się też przed Niemcami ludzie zagrożeni wywiezieniem na



MŁODZIEŻ ZE SPYRKÓWKI

roboty do Niemiec albo zabraniam do brygad budowlanych. (*Obszar babiogórszczyzny był dla okupanta źródłem niewolniczej siły roboczej. Już w 1939 r. prowadzono akcję zachęcania – szczególnie ludzi młodych – do wyjazdów do pracy na terenie Niemiec. Ponieważ nie było zbyt dużo dobrowolnych robotników, na sołtysów nałożono przymus wyznaczenia określonej liczby osób do wywiezienia... Na ukrywających się organizowano obławy, a uchylenie się od pracy groziło zesłaniem do obozu karnego... od grudnia 1940 r. niepracujący mężczyźni z terenu GG w wieku 16-60 lat byli przymusowo wcielani do służby budowlanej /Baudienst/. – Piotr Sadowski. **Tło historyczne. Pod okupacją niemiecką. Druga wojna światowa pod Babią Górą. Księga strat. Kraków-Zawoja 2011**). Antek i Sta-*



PANNY PRZYSŁOPSKIE

szek Toczki to chowali się przed wywózką do Niemiec w gnoju. Mieli w nim wykopaną jamę, obłożoną deskami, z boku zrobiony podkop i w razie zagrożenia chowali się w tym gnoju. Kiedyś Niemcy w nocy przyszli na obławę i zabrali moje siostry, Anielkę i Gienię, zabrali też Edka Lenarta od Warciaka. U Edka wybadali, że ma chore serce i wypuścili go do domu, siostry trafiły do Niemiec. Anielka pracowała do końca wojny u bauera, Gienka trafiła do sadystycznego gospodarza. Budził do roboty już o północy, bił, nie dawał jeść, więc uciekła od niego. Złapana najpierw została osadzona w więzieniu w Wiedniu, stamtąd odwieziono ją do tego samego gospodarza, który przywitał ją słowami: „Ty suko polska, ja cię wykończę”. Żeby się uratować, Gienka postanowiła włożyć rękę do sieczkarni i obciąć sobie palce. W ten sposób, kaleka ale żywa, wróciła do domu. Mój brat był na robotach w Boguminie, na Śląsku Cieszyńskim. Jak zaczęły się bombardowania, uciekł stamtąd, bo stwierdził, że jak ma zginąć, to lepiej wśród swoich.

Granica przechodziła dalej tak, że na Nowym Świecie była Rzesza, a już na Carchli Protektorat. Po stronie Rzeszy było trochę bogaciej, więc przez granicę kwitł przemyt. Przenoszono towar kupiony w Rzeszy. U sołtysa w Guberni to można było się zapisać na ubrania z papieru i je kupić. Mieszkała na Polanie Grzechyńskiej taka Jakubinka, (*vide – relacja Herminy Spyрка*) która przemyciała towary i handlowała nimi w okolicy. Ona przeżyła wojnę dzięki sprytowi. Jak ją Niemcy złapali przy przechodzeniu przez granicę, zabrali na colant (*Zollamt*), to ukłękła przed portretem Hitlera, przeżegnała się

i zaczęła się modlić jak przed świętym obrazem. Niemcy ze śmiechem ją wypuścili. Jakubinka miała cztery córki, ładne dziewczyny. One chodziły na muzykę do leśniczówki na Magurce, gdzie teraz mają bazę harcerze. Ojciec gonił je kijem i nie pozwalał iść na muzykę, a matka poza kępy wynosiła im bluzki, żeby mogły iść na potańcówkę. W 1945 roku Rusczy przechodzili przez Koszarawę i Stryżawę po drodze zabijając Niemców. Jak przechodzili przez wieś to zabierali ludziom świnie, krowy. Konie też zabierali, czasem zostawiali swoje, gorsze. Jedni byli bardziej agresywni, inni mniej. Jeden Rusek upatrzył sobie kobietę na Magurce, Maryskę. Powiedział jej, że jak mu się nie odda, to spali jej gospodarstwo. Jak nie chciała się zgodzić, to wziął ją siłą i zgwałcił. Gospodarki na szczęście nie spalił.

OPRACOWAŁA: Urszula Toczek, Jan Żurek, przypisy: Jan Żurek

JOANNA SPYRKA

OS. TOPORY (ur. 1928 r.)

Nasza rodzina pochodzi z Zawoi, od Barana. Mieszkając w Zawoi, tata Foja Stanisław, będący gajowym w Nadleśnictwie Zawoja, opiekował się lasem położonym po przeciwnej, stryszawskiej stronie przełęczy Kolędówki. Ja mieszkałam w tamtych stronach aż do okresu powojennego, już byłam panną jak przeprowadziliśmy się na Karczówkę, na teren lasów, które podlegały tacie. *(Karczówka położona jest przy zielonym szlaku turystycznym z Zawoi Centrum przez przełęcz Kolędówki do Siwców-ki w Stryszawie i dalej. Nieco poniżej składnicy drewna i pętli, na której zawracają samochody wywożące drewno mijamy po lewej stronie polankę, której wygląd świadczy o tym, że przed laty była rolniczo uprawiana. Jeśli odwrócimy się plecami do polanki i przejdziemy po warstwicy około 200 metrów, natrafi- my w lesie na ślady fundamentów dawnej gajówki na Karczów- ce).* Tata wycierpiał wiele w czasie wojny. Jako gajowy miał



pozwolenie na broń. Kiedyś wybrał się z leśniczym na dzika. Broń nabita, siedzą całą noc czatując na dziki. Rano wrócił do domu i szybko zabrał się do roboty, bo miał dużo ściętego drewna do numerowania. Nabitą broń powiesił na haku. Akurat przyszli na kontrolę tacy młodzi Niemcy pełniący funkcję strażników leśnych, jeszcze w dodatku byli podpi-ci. Jak zobaczyli strzelbę, zaraz nas zaatakowali kto, jak, czyja to strzelba. Brat pobiegł po tatę. Jak tata przyszedł, Niemcy w ogóle nie patrzyli na papiery, na pozwolenie, tylko go związali i zabrali na placówkę na Wilczną. Tam też na prośbę mamy poszedł nadleśniczy z Mosornego, który wstał się za tatą, więc go wypuścili. Ale po chwili zjawił się volks-deutsch, nie pamiętam jego nazwiska, który coś na tatę nagadał. Ojciec w międzyczasie wrócił do domu i poszedł do gminy, żeby spróbować załatwić zwolnienie albo odrocze-nie z przymusowych robót, na które wyznaczona była moja starsza siostra Franka. Wie-czorem, jak tata wracał z mamą i Franką z gminy, dowiedział się od sąsiadów mieszkają-cych niżej na Welczy, że szli do góry Niemcy i pytali o Foję. Bardzo ładnie świecił wtedy księżyc, tata odprawił mamę z siostrą do domu i chciał sprawdzić, czy leśniczy nie wie



GAJOWY STANISŁAW FOJA



CHŁOPAKI Z PRZYSŁOPIA

czegoś o tych Niemcach. Poszedł do leśniczówki, tam natknął się na strażnika stojącego przed budynkiem. Ten zaraz „Halt!”, więc tata spanikował i zaczął uciekać do góry w stronę domu ciotki. Niestety, noga mu się powinęła i został złapany. Niemcy na miejscu go pobili, później zabrali na Wilczną, następnie do Makowa, tam była jakaś „Marysianka”, gdzie go męczyli. *(Ponieważ Maków leżał w terenie przygranicznym i był zarazem najdalej wysuniętą na zachód częścią powiatu nowotarskiego zlokalizowano w nim placówkę podobną do zakopiańskiego „Palace”. W tym celu w 1940 r. gestapowcy, wyrzuciwszy dotychczasowych właścicieli, zajęli wybudowaną na stoku Makowskiej Góry, nieco na uboczu, willę „Marysin”, którą zaadaptowali do funkcji placówki Gestapo – filii zakopiańskiej „Palace”. Zadaniem tej placówki było zwalczanie wszelkiego oporu społecznego. Tam prowadzono przesłuchania podejrzanych połączone z torturami. Jerzy Mydlarz. Wojna i okupacja w realiach obszaru podbabiogórskiego. Rocznik Babiogórski, tom 11. Kraków – Zawoja 2009).* Potem zabrali go do Zakopanego, gdzie wiszącego za ręce na haku bili. Z Makowa do Zakopanego więźniowie byli prowadzeni pod strażą, na piechotę, boso, po drodze byli bici i maltretowani, jak któryś nie mógł dalej iść, to albo drugi więzień mu pomagał, albo był zabijany przez Niemców. Czasem ginęli obydwa, i ten pomagający i ten potrzebujący pomocy. Po Zakopanem były jeszcze więzienie na Montelupich w Krakowie, Mysłowice, Auschwitz i Dachau. Razem trzy i pół roku. Wrócił, myśmy się tak modlili i wrócił. Nieraz opowiadał nam o warunkach, jakie mieli w obozach. Bicie, ciężka praca i ciągły głód. Nigdy nie jadł w domu placówk ziemniaczanych, bo kojarzyły mu się z obierkami, które jadł w obozie. Nie wrócił od razu po wojnie, najpierw musiał podleczyć się w szpitalu

lach. Spotkał tam jakiegoś chłopca ze Stryszawy, który przyniósł nam list z wieścią, że tata żyje i wróci. Tata jak wrócił, przeniesiono nas na Karczówkę.

W Buczynie, w Zawoi miałam koleżankę Martę, która prosiła mnie, żebym przeszła z nią do Stryszawy do Krzysia, gdzie miała rodzinę. Chciała zanieść im trochę kitu pszczelego. Ja miałam być jej towarzyszką i przewodniczką z racji znajomości terenu. W Opaczem leżeli Niemcy schowani w rowkach tak, żeśmy ich nie widziały. Na górze mówię do Marty, że już tutaj Niemców nie będzie i możemy iść spokojnie. Nagle słyszę za sobą trzask łamanej gałęzi, oglądam się, a tu takie dwa smoki, Niemcy, stoją z karabinami wycelowanymi w nas. Koleżanka kit pszczeli przesunęła pod bluzką z brzucha na plecy w taki sposób, że Niemcy go nie zauważyli. Na szczęście byli to żołnierze, którzy znali mojego tatę z racji pełnionej przez niego funkcji. Powiedziałam im, że idę szukać taty, bo nie ma go w domu od wczoraj i mama kazała mi go znaleźć.

Nam Niemcy zabrali trzy krowy. Za każdą z nich mama dostała po butelce spirytusu. Ostatnia krowę musiała zaprowadzić do Jordanowa i wróciła z flaszką. Niemcy liczyli na to, że po gorzałce to Polaki pokapieją. Nie wolno było mieć młynka do mielenia zboża, nie wolno było trzymać świń. Nic, tylko ginąć z głodu. Sąsiadka miała króliki, kiedyś chciała schować je przed Niemcami, włożyła do koszyka i zaczęła uciekać do lasu. Koło lasu się przewróciła, króliki jej wypadły. Później pomagaliśmy je połapać ale nie wszystkie odzyskała.

Strasznie było też z powodu partyzantów. Wiele się przez nich ludzie wycierpieli. W Opaczem Niemcy zabrali pięciu ludzi. Dwóch ludzi od Sulki, syna

i córkę, ci już się nie wrócili, w drugim domu ojca i syna, w trzecim ojca tego Janika, co się wybudował na Siwówce. Podejrzani byli o pomaganie partyzantom.

Ja miałam jeszcze jedną przygodę z pogranicznikami, tym razem polskimi. Było to po wojnie, w Korbielowie. Poszłyśmy z koleżankami na przemyt do Czechów. Jermaniosła bimber, Różia spyrkę a ja nie niosłam towaru, tylko polskie pieniądze. Z Czechów miały-



GDY SIĘ MA TRZYDZIEŚCI LAT



STARA CHATA RODZINY MALCZEWSKICH

śmy przynieść buty, których w Polsce nie szło dostać. W Korbielowie stała budka graniczna, w pobliżu niej zatrzymali mnie i Rózię żołnierze. Jerma szła poza potokiem i umknęła uwadze wopistów. Żołnierze zarzucili nam próbę nielegalnego przejścia za granicę. Ja tłumaczyłam, że nie idziemy za granicę, tylko do ciotki. Koleżanka była trochę głucha, nie wszystko rozumiała i jak zapytali ją, czy byłyśmy za granicą, ona odpowiedziała, że dopiero tam szłyśmy. Ja cały czas się upierałam przy wersji, że nie szłam za granicę, tylko do ciotki. Żołnierze z Korbielowa przewieźli nas do Żywca Sporysza a później do Krakowa. Tam trzymali i prowadzili śledztwo. Koleżanka nie potrafiła wytłumaczyć się dobrze, ciągle płakała, była zastraszona. Ja się nie bałam, bo myślałam sobie, że przecież to nie Niemcy i nas nie zastrzelą. W ogóle to Rózia nie chciała mnie słuchać, jak jej tłumaczyłam, co ma mówić. Mnie po tygodniu wypuścili a Rózia poszła na rok siedzieć, bo źle pogadała.



JOANNA SPYRKA Z SIOSTRĄ

Jak przyszli Rosjanie, szukali tylko gorzałki i kobiet. Kradli, co się dało. Sąsiad, jak nie urodziły się mu ziemniaki, ukopał tylko korzec, stwierdził, że lepiej będzie mu ugotować z tych ziemniaków bimber. Jak go sprzeda to zarobi i będzie mógł kupić sobie zboża, łatwiej będzie mu przetrwać. Kiedy gotował bimber, przyszli żołnierze rosyjscy i zażądali oddania urobku. Sąsiad im tłumaczy, że to dla ich oficerów

robi a oni odpowiedzieli, że nie oficerzy walczą, tylko oni. Sąsiadowi nic nie zostało. Ani ziemniaków, ani bimbru, ani zboża.

Na Węlczeniu stoi kapliczka. Przy tej kapliczce kiedyś pijani żołnierze rosyjscy urządzili sobie strzelaninę. Jeden z nich, znudzony strzelaniem w powietrze, obrał sobie za cel figurkę. Po kilku dniach żołnierz ten czyścił broń. Nagle broń wystrzeliła mu w rękach, trafiony zginął na miejscu. Kara za strzelanie do kapliczki szybko go spotkała.

Ja już mam dziewięćdziesiąt lat, więc dużo spraw mi uciekło, dużo się zapominam. Co zostało, to opowiedziałam.

OPRACOWANIE I PRZYPISY: Jan Żurek

JULIA PIETRUSA

OS. CHRZĄSZCZE (ur. 1930 r.)

Ja mieszkałam przy samej granicy, bo tu przez Toczki biegła granica Rzeszy i Guberni. Te Niemcy jak patrolowali granicę, to stale do nas przychodzili. Niby krzywdy nie robili ale kiedyś złapali mnie przy przekraczaniu granicy. Było tak: Mamy rodzinę w Zawoi Mosorne, tam, gdzie mieszkają Mazury. Mama posłała mnie do ciotki, miałam wtedy może trzynaście lat, żebym jej zaniósła chleb, mąkę i kilo cukru, bo po stronie Rzeszy



było można kupić taki towar a w Guberni nie. Idę sobie przez Toczki a tu takie ancykrysy mnie zahaltowały. Na szczęście skojarzyli mnie, zaprowadzili do domu i kazali mamie iść ze mną placówkę do Magiery. Tam była w takiej ładnej willi niemiecka placówka. Druga była na Siwcówce, gdzie gotowała Niemcom Ludka z Wsiórza, siostra Weronki od Spyrki, trzecia u Mikusa a czwarta na Salowym Brzegu. Na szczęście za łapówką udało się problem załatwić.

Tu na Przysłopiu też była placówka graniczna, u Błażeja Biłki. Kiedyś przy tej placówce Niemcy zatrzymali Emila Dańczaka z Kiecki. (*Vide – relacja Genowefy Chowaniai*). Zaprowadzili go do lasu pod Kiczorą i tam zastrzelili. Później chłop z Jaworskiego, który wysługiwał się Niemcom, przyszedł do Leona Toczka, kazał mu zaprząć konia i odwieźć ciało Emila do kostnicy przy kościele w Stryszawie. Leon odwiózł ciało, zakrwawioną słomę spalił później w lesie. (*Vide – relacja Stanisławy i Edwarda Basiurów*).

Byli po zawojskiej stronie wysiedleńcy. Trzopy u Gienki Chowaniai, Elźbieciaki nie wiem gdzie, Leśniaki u Alojzycka u Bubiaków. Byli też u Sałaciaka. Z kolei w najładniejszych domach od Kwaka, Klimasary, Mikusa w domach rodzinnych Elźbieciaków i u Emila



BUDYNEK PLACÓWKI NA SALOWYM BRZEGU W STRYSZAWIE.
WIDOK OBECNY

Leśniaki mieszkali bauery. Oni tam bardzo gospodarzyli. Krowy, konie, zboża. Ja miałam może trzynaście lat jak musiałam chodzić do tych bauerów robić w polu, kopanie, siana, żniwa. Im było dobrze gospodarzyć, bo dostawali zwierzęta gospodarskie za darmo a Polacy musieli pracować na ich polu.

Sąsiedzi od Chrząższcza podpisali volkslistę, ojciec i syn. Oni ciągle donosili na sąsiadów, kto chodzi do lasu po trawę, kto utnie drzewo. Sąsiadce Justynie Spyrce chcie-



HERMINA SPYRKA W IZBIE REGIONALNEJ

li zabrać jej własne pole, bo tak im się podobało. Justyna wychodzi kiedyś przed dom, patrzy, a oni orzą w parę koni jej pole. Stwierdzili, że to pole do nich należy, więc będą dalej orać. Zdesperowana położyła się na ziemi przed końmi a oni nic nie patrząc, poganiają dalej konie. Wreszcie któryś z sąsiadów podniósł Justynę z ziemi i odsunął, żeby jej nie stratowali. Za to partyzanci zabrali tym volksdeutschom kiedyś wielką piękną krowę. Jak to nic nie pomogło, przyszli

drugi raz, kazali im się położyć na podłodze, głowy włożyć pod łóżko i solidnie powrozami złali ich po tyłkach.

Gdyby żył mój Franuś, to dużo więcej mógłby opowiedzieć. On się dużo uponiewierał w życiu. Miał jedenaście lat, jak go matka oddała do Krzysia na służbę. Tam w stajni spał, wszy go jadły, a jak był głodny, to kazali mu kwaki strugać i jeść. Jak przyszła wojna, w 1939 roku, miał już 16 lat, więc Niemcy zabrali go na roboty. Całe sześć lat tam przesiedział. Była też tam jego siostra, Staszek od Chrząższcza. Pracowali u bauera, próbowali uciec, złapani byli okropnie bici. Jedli, ze strachem, że zostaną złapani, surowe ziemniaki, które ukradli gospodarzom. Straszne były czasy. Nie chce mi się ich wspominać, bo później nie można spać spokojnie w nocy.

OPRACOWANIE: Jan Żurek

WINCENTY ŻUREK

OS. ZAWOJA CHOWANIACY, (ur. 1930 r.)

Z Przysłopiem częściowo związany jest Wincenty Żurek. Związany jest przez fakt, iż dwoje jego dzieci mieszka na Przysłopiu, że przez lata pracował tutaj jako listonosz, ale głównym powodem umieszczenia jego wspomnień w tym tomiku jest fakt jego uczestnictwa w budowie systemów umocnień w rejonie klasztoru Za Kamieniem.

Wojna rozpoczęła się w Zawoi od strachu i niepewności. Z powodu słabej komunikacji, specyficznego położenia geograficznego w dolinie otoczonej pasmami: Babogórskim, Jałowieckim i Policy, Zawoja nie stała się we wrześniu 1939 roku miejscem bitwy polsko-niemieckiej. My w Zawoi Dolnej nic nie wiedzieliśmy o wojnie, ktoś tam mówił o samolotach puszczających gaz nad Babią Górą (*chodzi prawdopodobnie o niemiecki samolot zwiadowczy, który w okolicy schroniska turystycznego Beskidenverein pod szczytem Babiej Góry zrzucał granaty dymne w celu uniemożliwienia obserwacji żołnierzom polskiego KOP*), słyszeliśmy latające samoloty, ale nie wiedzieliśmy, czy były nasze, czy niemieckie. Moja żona, która mieszkała w osiedlu U Topora (*w pobliżu szlaku czerwonego Sucha – Zawoja, obok byłej szkoły w Zawoi Smyraki*), która właśnie w dniu 1. września 1939 roku miała rozpocząć swoją edukację szkolną, opowiadała mi, że wychodzili z domu i obserwowali, jak pali się Jordanów, bombardowany przez niemieckie samoloty (*zapewne obserwowali pożar nie pierwszego, a drugiego września*).

Nasza styczność z wojną rozpoczęła się od wycofywania polskich jednostek wojskowych z Zawoi. Mój tata i Ujek Pietrek (*brat mamy*) zostali wyznaczeni przy wojsku polskim do forszpanu (*cywilne podwozy konne zarekwirowane przez wojsko wraz z woźnicą*). Mieliśmy taki nowy, porządny wóz, niedawno zrobiony w Makowie. Tata miał miejsce zbiórki w Centrum, w potoku obok Ufirka, na jego wóz została załadowana amunicja.



WINCENTY ŻUREK Z PRAWNUKAMI JULKĄ I KUBĄ

Zaniosłem mu tam jedzenie. Tata nie bardzo chciał w tak niepewnym czasie zostawiać rodziny, więc kazał mi szybko przynieść z domu kleszcze, młotek i klijce (gwoździe do podkuwania konia). Na postoju wyrwał jeden z gwoździ i na jego miejsce wbił nowy w taki sposób, żeby zranić kopyto konia. Gdy przyszło hasło do odmarszu, okazało się, że koń taty nie może iść, że kuleje. Żołnierze złościli się i kazali wyprząć konia i jechać do domu. Wozu nie udało się odzyskać. Inaczej potoczyła się przygoda Ujka Pietrzka. Pojechał on wraz z wycofującymi się żołnierzami. Gdy przejeżdżali obok sadu z pięknymi jabłkami, żołnierze powiedzieli Ujkowi: „Ty, młody, skocz do sadu i przynieś nam trochę jabłek”. Poszedł do sadu a tu w tym czasie rozpoczął się nalot niemiecki i żołnierze odjechali. Ujek jeszcze dwa czy trzy dni siedł za wojskiem i szukał swojego oddziału, ale nie udało mu się go odnaleźć i w ten sposób stracił i konia i wóz.

(Warto zauważyć, że w zamiarach okupantów Generalna Gubernia była tworem przejściowym... niemieckie władze od pierwszych chwil przystąpiły do realizacji polityki eksploatacji mieszkańców i całego obszaru GG. Już w listopadzie 1939 r. pojawiło się zarządzenie gubernatora H. Franka, że dysponentem wszystkich produktów żywnościowych jest Główny Wydział Wyżywienia i Rolnictwa Rządu GG oraz jego odpowiedniki w dystryktach i powiatach. Natomiast 20 i 21 stycznia 1940 r. ukazały się pierwsze zarządzenia w sprawie obowiązkowych dostaw (tzw kontyngentów) produktów rolnych... W zależności od rozwoju

sytuacji na froncie kontyngenty były stopniowo zwiększane... Niemcy próbowali również wykorzystać praktycznie wszystkie możliwości obciążeń fiskalnych. A. Urbaniec, T. Urbaniec „Straty Gminy Zawoja w okresie II wojny światowej” – „Druga wojna Światowa pod Babią Górą. Księga strat” – Kraków-Zawoja 2011).

Lata wojny to dla naszej rodziny lata walki o biologiczne przetrwanie. Niemcy żądali coraz większych dostaw kontyngentów, a jak brakowało im żywności, wysyłali patrole po

wsi i zabierali krowy, świny i co im wpadło w ręce. W obejściu Śmietany mieliśmy kilka takich nalotów. (W roku 1942 w dalszym ciągu panuje terror i rabunek ze strony władz okupacyjnych. Wyniszczone gospodarstwa zaczynają się uchylać od świadczeń na rzecz Niemców. Posiadany inwentarz przechowywany jest w lasach. Zaczynają się rekwizycje przez od-



KWITY KONTYNGENTOWE Z LAT OKUPACJI

działy wojskowe i policję niemiecką. – Jerzy Mydlarz. **Zawoja pod okupacją hitlerowską. Monografia Zawoi. Kraków-Zawoja 1996.)**

Mieszkający w sąsiedztwie, u Szczurka volksdeutsch o nazwisku Widuch (*Widuch Mieczysław, ur. 1.12.1904, zam. Zawoja 31, Volksdeutsch, zastrzelony 2.9.1944 przez partyzantów OW PPS „Żar”.* – **Straty osobowe. Ofiary działań partyzanckich. Druga Wojna Światowa pod Babią Górą. Księga strat. Kraków-Zawoja 2011**) doniósł Niemcom, że u Śmietany są niezapisane krowy i świnię, więc przyszedł to sprawdzić. My mieszkamy pra-

wie na końcu roli, więc zanim Niemcy do nas doszli, już wiedzieliśmy o nalocie i tata postanowił wygonić świnię i krowę na kamieńce nad rzekę. Jak na złość świnią zaczęła kwiczeć głośno i nie chciała wyjść ze stajni, krowa wystraszona też nie chciała wyjść. W końcu tata stwierdził, że niech się dzieje co chce i czekał na Niemców. Akurat kilka dni wcześniej na-



DOM RODZINNY WINCENTEGO ŻURKA

wieźliśmy z lasu państwowego wielką kupę choiny, którą zrzuciliśmy przed domem tak, że zasłaniała dom. Niemcy przeszli obok choiny i nasz dom minęli. A ten Widuch to nazywał mojego tatę szwagrem, bo jego żona była kuzynką taty. I on kiedyś siedział z nim na ganku i mówił: „Wiesz, szwagier, weźże ty i zapisz się na volkslistę. Będziesz miał jedzenia i wszystkiego pod dostatkiem”. Ale tata nie zgodził się na tą ofertę. Widucha później zastrzelili partyzanci. Zastali go przy pracy w polu, kazali podnieść ręce do góry i śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła”. Widuch nie chciał śpiewać, zaczął uciekać, więc zginął.

Innym sposobem na ukrycie żywności było schowanie jej w kupie gnoju. Wykopaliśmy w nim dużą dziurę, boki i górę oszalowaliśmy deskami, górne deski przyrzuciliśmy gnojem i przez zamaskowany otwór wprowadzaliśmy krowy w tą dziurę.

W miejscu, gdzie teraz stoi dom mojego brata Grześka, stała w czasie wojny duża piwnica. Do tej piwnicy wprowadziliśmy kiedyś, przy kolejnym nalocie Niemców, osiem jałówek z całego obejścia. Matka Julka Makosia weszła za tymi jałówkami do piwnicy i plecami oparła się o drzwi wejściowe. Niemcy podeszli do drzwi i próbowali je otworzyć. Po kilku próbach otwarcia trzymany przez Makońską drzwi odeszli i w ten sposób udało się uratować jałówki. A powiem ci, że zwierzęta także czuły niebezpieczeństwo. W czasie, kiedy Niemiec dobijał się do drzwi piwnicy, jałówki ani się nie poruszyły, ani nie odychały.

Z piwnicą tą kojarzę sobie jeszcze jedno zdarzenie. Kolejny nalot na obejście i znów do piwnicy zostały wprowadzone krowy. Tym razem drzwi nikt nie trzymał. Przyszło



LISTONOSZ WINCENTY

czterech Niemców, dwóch weszło do naszego domu, a dwóch skierowało się w stronę piwnicy. Akurat mama piekła placki ziemniaczane na blasze pieca i miała już dość dużą kupkę tych placków gotową. Niemcy od razu zawołali kolegów zmierzających w stronę piwnicy i już w czwórkę usiedli do stołu. Pod łóżkiem mama miała schowane dwa garnki. Jeden z gęsim sadłem a drugi z łojem capa. I ci Niemcy wyczuli to sadło i łój, wykorzystali je do omaszczenia upieczonych przez mamę placków a resztę załadowali do manierek i odeszli. Ale krowy znów udało się ocalić.

Kiedyś z Gminy przysłano kartkę, że mamy oddać krowę. Mama zabrała z sobą do gminy wszystkie papiery, że oddaliśmy już obowiązkowy kontyngent i powiedziała do taty, że spróbuje załatwić sprawę. W gminie wójt Trzebuniak i siedzący z nim Bolek Makos, nawet nie chcieli popatrzeć na papiery, które mama zaniósła, tylko kazali prowadzić krowę do Makowa. Akurat razem z nimi siedzieli Niemcy i kazali podać sobie te papiery. Po ich sprawdzeniu stwierdzili, że mama nie musi oddawać krowy.

Z wójtem Trzebuniakiem to pamiętam jeszcze jedno zdarzenie. Kiedyś przyszli po Ujka Pietrzka partyzanci. On miał taką guzikówkę, heligonkę i grał na niej. I ci partyzanci zmusili go do pójścia z sobą. Poszli do wójta Trzebuniaka i tam kazali Ujkowi grać na heligonce a sami tańczyli z wójtem. Co się który zmordował, zastępował go kolejny i tak chcieli tego wójta zatańcować.

Kolejne wezwanie. Niemcy chodzili po domach i nakazywali, żebyśmy odprowadzili krowę na obowiązkowy spęd do centrum Zawoi, tam, gdzie jest teraz stadion. Zima, mróz a ja musiałem się szybko zebrać i iść z krową. Poszedłem z nią w krótkich portkach. Stoję w kolejce do komisji, tulę krowinę i mi się płacze. Co miałem podejść do komisji, to ktoś przepuszczam i odsuwam się dalej. Po oględzinach dokonanych przez komisję, krowy były oznaczane przez wycięcie na łopatce nożycami znaków. Trzy kreski – krowa wraca do domu. Jedna kreska – ponowne obejrzenie przez komisję. Krzyżyk – krowa do Makowa na wagon i już na straty. Na szczęście nasza krowa dostała trzy kreski. Ta wyprawa w krótkich portkach zaowocowała na wiosnę wielkim owrzodzeniem obydwu nóg.

Drugi raz, kiedy Niemcy wyganiali z chałup wszystkich gospodarzy z krowami na spęd, to poszedł tata. Również była zima, nie pamiętam dokładnej daty. Tata idzie z kro-

wą do Centrum, przed nim i za nim inni gospodarze, co kawałek trasy przejścia pilnuje Niemiec. Tata zwrócił uwagę, że zza zakrętu u Zemlika nie wyłonił się jeszcze Niemiecki strażnik a poprzedzający go Niemiec zniknął już za zakrętem u Koziny. Wziął krowę króciutko na powrozie i „ci, ci, ci” – sprowadził ją za sobą po nasypie do przepustu wodnego. Do wieczora przesiedział w przepuscie. Tak tam zmarł, że jak wyszedł, poszedł prawie sztywny do domu do Staszaków i prosił o coś ciepłego do picia i o możliwość zagrzaną się. Później ponad rzekę wrócił z krową do domu.

Ratowanie krowy to była sprawa życia lub śmierci. Bez mleka, przy gromadce dzieci rodzina była skazana na vegetację, albo wręcz na śmierć. Normą były zupy z pokrzyw, kulasa „czarna” z nadgniłych i ususzonych za strzechą ziemniaków. Grzybów takich, jak wtedy zbieraliśmy, dziś by chyba nikt nie ruszył. Były „biyle”, były też „goryle”, które można było zjeść dopiero po kilkukrotnym odgotowaniu. Wcześniej były tak gorzkie, że absolutnie nie dało się ich zjeść.

Innym razem, w lecie, (3. lipca 1943 r.) tata poszedł z obowiązkową dostawą mleka do zlewni, która mieściła się u Gawły, w budynku, gdzie mieszkają teraz Wartowie. Na pagórku, zaraz za rzeczką płynącą z Podpolic, spotkał kilku Niemców przy zwłokach dwóch kobiet narodowości żydowskiej. Niemcy zatrzymali go i polecieli załadować ciała na wóz. Tata, obawiając się, że po załadowaniu ciał sam zostanie zabity, próbował się wymówić, że oczywiście, zrobi wszystko, co mu każą, tylko prosi o pozwolenie udania się do zlewni mleka, bo transport do Makowa może odjechać i on nie wypełni obowiązku kontyngentowego. Jak będzie wracał, wykona ich polecenie. Niemcy go puścili, ale on nie wracał już do domu główną drogą, tylko od razu przeszedł nad rzekę i po kamieńcach wrócił. (W sprawie mordu na roli Gawły spotkałem w różnych źródłach różne informacje. W *Pracach Babiogórskich* nr VI, rok 1983, 1984, wyd 1985 r. w rozdziale autorstwa Pani Urszuli Janickiej Krzywdy pt. „Dzieje ludności żydowskiej w Zawoi” oraz w *Mono grafii Zawoi – rok 1996 w opracowaniu Pana Jerzego Mydlarza* pt. „Zawoja pod okupacją hitlerowską”, spotkałem informację, że w roli Gawły w dniu 3. lipca 1943 roku Niemcy zabiły dwie samotne kobiety, co zgadzałoby się z relacją dziadka, natomiast w opracowaniu SGB „Druga wojna światowa pod Babia górą – Księga strat”, w rozdziale „Aktion Reinhard – straty ludności żydowskiej” mamy informację, że w Zawoi na roli Gawły zastrzelone zostało małżeństwo Anna i Markus Ebel). Druga zlewnia i przetwórnia mleka była w Zawoi Centrum, w Piekiełku w Domu Parafialnym.

W naszej okolicy pojawili się też w czasie wojny wysiedleńcy z wiosek włączonych do Rzeszy. W sąsiednim domu u Pamorki (nazwisko *Florczak*), zamieszkał pochodzący



JUBILEUSZ ŚLUBU ANNY I WINCENTEGO

ze Stryszawy, z osiedla Tomczyki, Jan Bywalec, a w roli Chowaniacy, u Tereski Makoś, zamieszkał mężczyzna o nazwisku Gracjasz, prawdopodobnie z Lachowic. Ten Gracjasz to



JAN BYWALEC Z ŻONĄ

nawet dużo pomógł rodzinie Makosiów, bo oni w tym czasie budowali dom z drewna, więc pomagał im zarówno w lesie przy pozyskaniu drewna na dom jak i przy samej budowie.

Późnym latem 1944 roku Niemcy kazali tacie iść pracować przy kopaniu okopów w Zawoi Przysłop, koło klasztoru Za Kamieniem. Tata wysłał w zastępstwie mnie, 14-letniego chłopaka. Codziennie dochodziliśmy z Dolnej Zawoi na Przysłop piechotą przez Połcane. Pamiętam, że razem ze mną pracował przy kopaniu tych okopów sąsiad od Chowaniaków, Gigoń mieszkający domu, który należał później do rodziny Hake. Był to silny chłop, który jak zaczął kopać, to ja, chcąc nadążyć za nim wybierać ziemię łopatą, szybko dorobiłem się od-cisków na dłoniach. Pracował też z nami sąsiad nazwiskiem Toka, który miał dom w miejscu obecnego domu Tadka Włocha. Toka znał język niemiecki i był tłumaczem. Naszymi nadzorcami przy tych okopach byli żoł-

nierze Czesi, których nazywaliśmy żółtymi z racji koloru mundurów i Włosi. (Przy budowie umocnień pracowała nie tylko miejscowa ludność, ale i pozamiejscowa tzw. Górale, Ślązacy, Rusini i jeńcy włoscy – w liczbie około 2500. **Monografia Grzechyni. Grzechynia 2012.**) Kopaliśmy okopy ponad drewnianymi zabudowaniami karmelitów i w bok, na wschód, w stronę Gołyni. Podczas deszczu chroniliśmy się w zabudowaniach klasztornych. Do pracy przy kopaniu okopów chodziłem ponad dwa miesiące, może nawet do trzech miesięcy.

Pamiętam, już po wojnie, jak byliśmy na jakiejś uroczystości religijnej Za Kamieniem, w dużej sali pod kościołem ojciec Bernard opowiadał nam historię, jak podczas pobytu w Hiszpanii płynął statkiem. Komunistyczni bojówkarze rozpoznali w nim księdza i chcieli zabić. Nagle rozpętała się wielka burza. Fale rzucały statkiem jak skorupą, wydawało się, że za chwilę się rozleci. Wtedy ci żołnierze powiedzieli, drwiąc, do ojca Bernarda. „Ty masz znajomości tam wysoko, w niebie. Załatw tak, żeby burza ustała, to cię puścimy wolno”. Ojciec zaczął gorąco się modlić i prosił Świętego Józefa o wstawiennictwo, obiecując, że jak ocaleje, to ufunduje kościół po jego wezwaniu. Burza ustała, ojciec Bernard został uwolniony i, zgodnie z obietnicą ufundował Za Kamieniem kościół pod wezwaniem Świętego Józefa. (podobne opowiadanie usłyszałem także z ust Herminy Spyryki oraz Alicji Chowaniak, córki Józefa Smyraka a także Józefy Burdyl).

Czasu bezpośrednio po wkroczeniu Rosjan do Zawoi nie pamiętam zbyt dobrze. Wiem tylko, że umocnienia, które pomagałem budować, nie spełniły swojej roli. Niem-

cy w obawie przed okrażeniem, opuścili wcześniej fortyfikacje. Gdy na rozkaz wyższych szarż wracali do okopów, Rosjanie już tam byli. Był to dla Zawoi bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, bo gdyby Niemcy czekali na Rosjan w okopach, to byłaby tu masakra. (*Mieszkańcy z trwogą patrzyli i pracowali przy fortyfikacjach, wiedząc, że gdy przyjdzie front, nie będzie żadnego ratunku. Wypadki potoczyły się jednak inaczej... Jedna kompania batalionu „Surowiec” pod dowództwem ppor. Józefa Mrówki „Mata” oraz radziecka dywizyjna kompania zwiadowcza kpt. Starostenki otrzymały zadanie rozpoznania sił i ugrupowań nieprzyjaciela w rejonie Makowa Podhalańskiego. W rezultacie rozpoznania natarcie skierowano w inną stronę, przez co bunkry okazały się nieprzydatne. Jerzy Mydlarz „Wojna i okupacja (1939-1945) w realiach obszaru podbabiogórskiego”. Rocznik Babiogórski, Tom 11, rok 2009, Kraków-Zawoja 2009).*



POZOSTAŁOŚCI OKOPÓW W OKOLICY KLASZTORU KARMELITÓW

Pamiętam tylko opowiadanie sąsiadki z roli Chowaniacy, Teofili Spyrka, która relacjonowała swoje pierwsze spotkanie z Rosjanami. Gotowała akurat na piecu jedzenie dla świni, gdy wpadli do domu skośnoocy, ubrani na szaro, z czerwoną gwiazdą żołnierze radzieccy. Pierwsze pytanie – Giermaniec jest? Po usłyszeniu zaprzeczenia, zawołali – Babuszka, kuszat! – A skądże ja wam wezmę jedzenie. Sama nic nie mam. – A eto szto? – wskazali na garnek z ziemniakami dla świni. – Dawaj bystro! Wyjęli zza cholewki butów łyżki, w kilka minut uporali się ze świńskim jedzeniem i z wołaniem – Na Berlin! – poszli dalej.

Słyszałem też z opowiadania żony, jak Niemcy uciekając przyszli do teściów mieszkających u Topora pod Smyrakami, żeby dostać jakiś środek transportu. Zabrali sanie, załadowali na nie swój dobytek i zażądali konia. Teść zgodnie z prawdą odpowiedział, że konia nie ma i że furmani na co dzień bykiem. „To dawaj byka” zawołali. Teść otworzył stajnię i kazał brać. Niemcy weszli do stajni, byk zaniepokojony zaczął się bocyć, ryknął i grzebnał kilka razy kopytem. Popatrzyli tylko po sobie, zaprzęgli się sami do sań i odeszli.

PASIERBEK MARIAN

OS. GRANICA (ur. 1931 r.)

Jak wojna wybuchła, pamiętam, żeśmy się spakowali wszyscy i mieliśmy iść pod Kiczorę, na Zagórze, tam była taka ładna polanka, równinka po stronie stryszawskiej. Myśmy płakali, ja trzymałem się mamy. siedzieliśmy przed domem na żerdziach i czekaliśmy na Kowaliczka, bo on jeszcze nie był spakowany. Słyszeliśmy dalekie strzały i tata mówił, że z Zagórza jest dobra widoczność na obydwie strony, więc będziemy widzieć, co Niemcy zrobią z naszymi chałupami. Ciężko było odchodzić z domu. Bydło zostawiliśmy w stajni i nie mogliśmy słuchać, jak krowy ryczą za nami. Bydło czuło, że go zostawiamy. Mieliśmy iść bez bydła, bośmy myśleli, że jak się front przewali, to wrócimy. Ale stwierdzili nasi ojcowie, chyba się im użaliło nad tym bydłem, że jednak nie zostawimy domów.



DROGA NA PRZYSŁÓP NA GRANICY, KONIEC LAT 50-TYCH

Jak wojna wybuchła, miałem osiem років. Chodziłem do szkoły na Przysłopiu. Ta szkoła była u Władka Spyрки i u jego brata Wojtka, tam gdzie mieszkała Nastka. Uczyła nas nauczycielka, nazywała się Nałudka. Opowiadała nam, że jej męża Niemcy zabrali do Oświęcimia i tam zabili. Księżdz na lekcje religii wozili nam koniem z Zawoi. Tyle mieliśmy wolności, a poza tym nic.

Nasz dom stoi przy samej granicy. U nas był Protektorat a za drogą już Rzesza. Myśmy nawet mieli za granicą wychodek. Niemcy to specjalnie zrobili granicę, żeby ludzi odłączyć od siebie, żeby się nie dało przejść ani tam, ani tu. Granica była cały czas pilnowana. U Błazka Biłki ulokowana była placówka graniczna, początkowo byli na niej Niemcy a potem Ukraińcy, co po polsku gadali, to myśmy wiedzieli wszystko, o co chodzi. Oni to tylko gorzałki chcieli. Nie raz mówili, żebyśmy im dali gorzałki, to nam przyniosą coś zza granicy. Główne placówki Niemcy mieli u Siwca i na dole w Stryszawie pod kościołem, a tu była placówka terenowa. Biłka to miał takiego psa, że myśmy od razu wiedzieli, czy są tam Niemcy, czy ich nie ma. Bo ten pies inaczej szczekał na Niemców a inaczej na miejscowych ludzi.

W czasie wojny Niemcy robili naloty na domy i szukali krów. Ale oni tacy byli, że jak były dwie krowy, to brali tylko jedną, a drugą zostawiali. Więc jak ktoś miał więcej krów, to zostawiał w stajni tylko jedną, a z pozostałymi uciekał do lasu. Niemcy nie byli tacy źli. Jak kiedyś poszliśmy paść krowy pod Kiczorę, niemiecki pies przyleciał do nas i obwą-



DROGA NA PRZYSŁOP NA GRANICY DZIŚ

chiwał, wystraszyliśmy się, to Niemiec brał go od razu za smycz i nie pozwolił zrobić nam krzywdy. Mówił, że on też ma takie dzieci ale musiał je zostawić i iść na wojnę. Wojna to strasza rzecz. Jak widzę, co się dzieje w Syrii... myśmy przeżyli i wiemy, co to znaczy.

Nasza rodzina się ostała przy tej granicy tylko przez to, że byliśmy dziećmi. Nas było trzech braci. Nieraz Niemiec przyszedł, odrzucił koc z łóżka, uwidział, że dzieci leżą, i koc z powrotem zakrył. Myśmy mieli jeszcze piec dymny. Niemcy widzieli, że na dachu jest drewniany komin, a z pieca komina nie ma. Tak się przyglądali, dziwowali, przyprowadzali innych Niemców, nawet niemieckie kobiety i pokazywali im nasz piec, bo jeszcze takiego nie widzieli.

U Bubiaka mieszkał też, wysiedlony ze Stryszawy, Jasiu Bywalec. Kiedyś próbowali go złapać Niemcy, ale im uciekł. Szczuli na niego psa, a pies nie pobiegł za Jasiem, tylko biegał wkoło nóg Niemca. *(Jan Bywalec był jedną z osób, które jadły mięso z psów. W latach 90-tych pan Bywalec kilkakrotnie mnie odwiedził. Mój pies, przez cały czas trwania wizyty Bywalcą siedział wciśnięty w najdalszy kąt, zjeżony na grzbiecie, ze strachem na niego warczał. Kto wie, czy nie ocalał w czasie wojny właśnie dzięki swoim upodobaniom kulinarnym).* Później Jasiu przeniósł się na dół, do Zawoi, a po wojnie ożenił się i sprowadził Za Bór. Tam już mieszkał do śmierci. *(Vide - relacja Wincentego Żurka).*

Pamiętam, jak zostali zabici Makosie, Albin i Julek. Było wtedy ich brata Mietka wesela. My, jako dzieci poszliśmy tam popatrzeć, jak ludzie tańcowali. Na to wesele przyszedł



IZBA REGIONALNA IM. FRANCISZKA GAZDY

taki jeden „Podziubany” – donosiciel Niemcom. Nie wiem skąd on był, podobno gdzieś ze Stryszawy. I on doniósł Niemcom na nich i na drugi dzień przyszli po Makosiów. Zabrali ich do Sucheju, musieli pchać Niemcom auto, bo nie chciało im zapalić, w bosu, w zimie, i wywieźli ich do Sucheju i tam ich zastrzelili. Pamiętam dobrze, jak ten „Podziubany” stał pod ścianą i patrzył, co się dzieje na weselu. Ci, co poszli do kościoła, to ocaleli, ten brat Spod Grapy dowiedział się wcześniej, uciekł i się ostał. *(Vide - relacja Herminy Spyrka).* Pamiętam też, jak zabili Emila z Kiecki. On był zapisany u Niemców, że partyzanci przechodzący przez Kiczorę, chodzą do niego na Kieckę. Emil szedł, niósł dwa malcioki, kajfosa na zaprawę. I Niemcy spotkali się z nim Na Toczkuwie, wyjęli kartkę, sprawdzili. Malcioki kazali zostawić a jego zabrali do Siwca na placówkę, ale tam nie doszli, tylko na Nowej Drodze go zastrzelili. *(Vide - relacja Genowefy Chowaniak z Granicy).*

O partyzantach u nas to nic nie wiem. U nas ich nie było. Oni siedzieli tam, w Policach a Niemiec tam nie siedział, bo się bał, że pójdzie, a partyzant go zastrzeli. Nieraz widziałem, jak palili ogień w Policach. Ci partyzanci to kradli jedzenie, było i inne rzeczy Orawcom, bo to już była Słowacja. Jak po wojnie poszliśmy na Orawę, to nam zarzucali: „wasi partyzanci nas okradali”. Ale my mówiliśmy, że nawet nie wiemy, co to za jedni byli. Do lasu to szli przeważnie tacy, co się bali, że ich zabiorą na roboty, albo do Oświęcimia. Tu od nas na robotach to był Marek Władek, sąsiad z Granicy (*Marek Władysław, od września 1940 do grudnia 1943 w Erding, potem do kwietnia 1945 w Eitting-Niemcy* – **Straty osobowe. Osoby wywiezione na roboty przymusowe. Druga wojna światowa pod Babią Górą. Księga strat. Kraków-Zawoja 2011**).

Po tamtej stronie Gronia, na Bartyzelowej Górze kopane były okopy. Brali młodych ludzi do roboty. Ja nie byłem, bo byłem jeszcze dzieckiem. Po stryszawskiej stronie, pod Bieskidem były też dwa bunkry, zrobione z drzewa i obsypane ziemią. Jak się wojna skończyła, poleciliśmy się patrzeć na te bunkry. A tam furmany z Przysłopia wzięły konia, powyciągały drzewa a reszta się zawaliła. Te okopy i bunkry nie przydały się Niemcom, bo oni spodziewali się, że przyjdzie front od Zawoi, a przyszedł od Suchej, po plecach Niemcom. Rosjanie tak ciśli na Niemców, że ci nie mieli czasu ani się okopać. Nieraz to sobie myślałem na łóżku, że Rosjanie tak gnietli Niemców, bo im partyjni nagadali, że jak który zginie, to za trzy dni wstanie i pójdzie dalej na Berlin. Jak ja robiłem po wojnie przy budowie dróg, to przy którejś

robocie ludzie nam pokazywali, że koło ich domów był tunel. W ataku Rosjanie nie chowali się w tunelu, tylko szli górą pod niemiecki karabin maszynowy, bo nie przejmowali się śmiercią. Niemcy, to mieli taką kulturę, że nie tykali się czegoś, co wykraczało poza rozkaz. A Ruscy, to by wszystko schorkali. Pamiętam, co oni robili z kobietami, jak się która nie zdążyła schować. Kobiety uciekały, bo oni zaraz gwałcili. A konia nieraz wzięli i sprzedali parę chałup dalej za pół litra gorzałki. Później właściciel dowiadywał się, gdzie Ruski zostawili konia i go odzyskiwał. Za pół litra gorzałki można było dostać u nich wszystko.



ŚLADY OKOPÓW NA BARTYZELOWEJ GÓRZE

Po wojnie, to ja mówiłem mojemu tacie, że bardzo bym chciał zobaczyć, jak wygląda miasto, żeby mnie zabrał do Suchej. Poszliśmy do Suchej i widziałem, jak Rosjanie wszystko zrabowali Niemcom. Maszyny, było, konie, wszystko pchali na wschód. Oni myśle-

li, że to wszystko biorą Niemcom, bo to już Rzesza, a tam też byli Polacy. Za Ruska, to ani konia, ani krowy nie dało się mieć, bo oni wszystko zabrali. Jak oni przyszli do nas, moja babka dziękowała im, że nas wyzwolili. A to byli Ukraińcy. I oni powiedzieli, do dziś to pamiętam, żebyśmy się nie cieszyli, że nas wyzwolili, bo oni nas z wszystkiego wyzwolą. Pokazywał na rząd obrazów pod powałą i mówił, że oni też takie coś mieli.

Ukraińcy służyli i Niemcom, i Rosjanom. Ci, co u nas byli za wojny, co służyli Niemcom, mówili, że jak Hitler wygra, to da im niepodległą Ukrainę. Ja nieraz patrzyłem, co to on ma przy pasie zapięte, takie żelazne, pokarbowane. A później, jak byłem przy wojsku, to dopiero zobaczyłem, że to były granaty.

OPRACOWANIE I PRZYPISY: Jan Żurek

JÓZEFA BARTUNEK

OS. BIELASY (ur. 1934 r.)

Z wojny najmocniej utrwalił się w mojej pamięci obrazek Niemców jadących motorami przez Magurkę. Dzisiaj, jak widzę motory, te takie quady, to od razu przypominają mi się jadący przez Magurkę Niemcy w mundurach, na motorach o trzech kółkach. Wieźli swoich rannych, jechali w stronę Suchej.

W roku 1939, jak Niemcy się zbliżali do nas, sąsiedzi mówili, że będą nam wszystko odbierać. Tata, żeby ocalić dobytek, wykopał pod domem, koło kępy dziurę, z desek zrobił skrzynkę i w tej dziurze schował pierzyny, jakieś zimowe ubrania, chustkę baraniatą mojej mamy.

Pamiętam też, jak chowaliśmy się w lesie z krowami. Musieliśmy też oddawać masło, nie mleko, bo do zlewni było za daleko. Masło nosiliśmy do Grzechyni, do Bałosa. Z każdego domu trzeba było oddać określoną ilość masła, jak się nie wypełniło normy, to Niemcy zabierali krowę. Nam zabrali cztery krowy. Tata z mamą rano do dnia musieli wstawać i prowadzić krowę do Jordanowa. Jedną krowę mieliśmy nie zapisaną. Gdy tylko dostaliśmy informację, że idą Niemcy, trzeba było z nią uciekać do lasu. Także ze świniami trzeba było uciekać. Myśmy mieli zbitą z desek w kępie taki sąsiek, w którym trzymaliśmy świnie. Ucieczka w las była ratunkiem dla żywności, bo Niemcy, z obawy przed partyzantami nie wchodzili do niego.

Niemcy robili oblawy nie tylko za krowami. Był na Magurce, jak my to nazywamy „Za granicą” albo „Na Ciurowiźnie,” Lenart Pietrek. On był partyzantem, takim prawdziwym partyzantem. Bo byli też tacy partyzanci - złodziejaszki. Razem z nim działał w partyzantce też Pietrek z Kraisk i z Magurki Antek Ciapów (*Toczek*). Często chodzili Niemcy na oblawę na Magurkę, żeby złapać któregoś z nich. Kiedyś, jak próbowali złapać Pietrka, zabrali dwóch Leniwków (*Polaków*), Piotra i jego syna Józka, zabrali wtedy też moją tatę, też Józka Polaka. Do nas się mówiło „Do Kurka” z tej racji, że mój dziadek miał taką strzelbę z kurkiem, który trzeba było odciągnąć do tyłu, żeby strzelić. Przez to nazywaliśmy nas Kurkami. Skuli moją tatę razem z Józkiem Polakiem. Piotra Polaka i moją tatę zwolnili, ale Józka Polaka zabrali do obozu. On tam strasznie cierpiał. Jak mi opowiadał, na mrozach był lany zimną wodą, bili go, nie dawali jeść. Napatrzył się takich rzeczy, że stracił całkiem wiarę. Kiedyś, jak wiozł mnie autem do kościoła, to pytał, po co ja tam idę.



Mówił, że widział takie rzeczy, do jakich Bóg nie powinien dopuścić, jeśli by istniał. Wrócił do nas dopiero po wojnie. Pietrek Lenart uchował się, że go Niemcy nie złapali, ale jego rodziców i sąsiadów z drugiego domu, Gienkę ze Solniska z Zawoi, co miała chłopca muzykanta, która była siostrą przyrodnią Pietrzka Lenarta wysiedlili, ich domy spalili i zburzyli. A Pietrek Lenart, to po wojnie, jak czyścił broń, przypadkiem się postrzelił. Mówili wszyscy, jak to wojnę przeżył bez rany, uciekając stale przed Niemcami, a po wojnie się postrzelił. Później ożenił się już na łożu śmierci wziął ślub z taką kobietą od Marszałków, z którą miał wcześniej dziecko.

U Błazka Biłki to byli też Niemcy. Oni się tam stołowali, przebywali tam, mieli placówkę. Później ludzie mieli o to do rodziny Biłków pretensje.

Mojego tatę to zabrali nie tylko wtedy, co Józka Polaka. Jeszcze raz go Niemcy zamknęli. Pod Babią Górą, na Składowach mieliśmy wujka nazwiskiem Hujda. Jego chłopaki działali w partyzantce pod Babią Górą. Jego syn, Czesiek, przychodził do nas czasami, jako do ciotki, pomagał nam przy gospodarce, przy sianach, przy żniwach. Nieraz też u nas nocował, spał na strychu. No i znalazł się jakiś kapuś, który doniósł, że u nas jest partyzant. Nasz pies, to szczekał inaczej na swoich ludzi, inaczej na Niemców. Wtedy też zaszczekał, ale już było za późno, Niemcy obstawili całą Magurkę. Mama z tatą byli w stajni, robili coś z krowami. Mama zawołała na Cześka, żeby uciekał. Niemiec już na drabinie a Czesiek skoczył ze strychu. Mama otworzyła drzwi ze stajni, przez które udało się Cześkowi wymknąć i uciec w las. Siostra taty, która przebywała przed wojną w Niemczech i знаła trochę język niemiecki, klęła na Niemców, ale zyskała tylko tyle, że ją zbili bykowcem. Mamę i tatę zabrali na placówkę na Wilczną. Ale ten wujek, Hujda miał na Składowach dom dla letników (*Wiktoria*), miał też sklep, w którym zaopatrywali się Niemcy z placówki, więc ich dobrze znał. Poszedł do nich i tak pozalałwiał, że rodzice wrócili po dwóch dniach do domu. Mama tak przeżyła aresztowanie, że już od tego czasu ciągle chorowała na serce.



FESTYN NA PRZYSŁOPIU OD KUCHNI



Po stronie Rzeszy było lepsze zaopatrzenie niż w Guberni. Mama miała małe dwuletnie dziecko, moją siostrę. Żeby kupić grysik dla niej, musiała załatwić zakup z przemysłnicami, albo załatwić przepustkę na celancie (*Zollamcie*) pod Drwałową Górą. Ten celant to Niemcy wybudowali od podstaw. To był ładny domek, trochę inny od naszych domów. Po wojnie te dwie wysiedlone z Ciurówizny rodziny mieszkaly tam. Ja nieraz bywałam w tym budynku, żeby odwiedzić Gienkę ze Solniska, która była moją koleżanką. Ten dom był bardzo elegancki. Tam była łazienka, ustęp nie taki jak w naszych chałupach. Oni tam mieszkali parę lat, zanim wybudowali sobie domek na powrót na Ciurówiznie, taki z żerde.

Mam jeszcze historię nie z wojny, tylko wcześniejszą. Prababka mojego chłopca pochodziła ze Skawicy. Do nas tutaj u Bielasa, mówili ludzie „Do Kulety”. Podobno dlatego, że pradziadek męża z prababką zajmowali się zamawianiem wody używanej potem do leczenia zwierząt gospodarskich. Wodę zamawiali jakoś tak, że paciorek odmawiali w lewą stronę, ja to nawet nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nawet ksiądz nie chodził do nich po kolędzie, bo mówił, że tu uprawia się pogaństwo. Ale kiedyś księdzu w Zawoi zachorował koń. Posłał on kogoś po zamawianą wodę. Koń wyzdrowiał i potem ksiądz już chodził tu po kolędzie.

Ja dużo rzeczy nie pamiętam. Minęło już wiele lat. Niektóre rzeczy pamiętam dobrze, niektóre gorzej. Czasami to lepiej pamiętam rzeczy sprzed lat, niż te sprzed tygodnia.

OPRACOWANIE: Jan Żurek



ODPOCZYNEK PRZY WYKOPKACH KLASZTORNICH

WOJENNA HISTORIA RODZINY KLIMASARA OS. ZA MIEDZĄ

1 września 1939 roku woj-
ska niemieckie przekroczyły na
całej niemal długości granice Pol-
ski, rozpoczynając tym samym II
wojnę światową . Odtąd oba-
wa o własne życie i swoich naj-
bliższych stanowiła codzienność
każdego Polaka. Okres okupa-
cji hitlerowskiej nie ominął spo-
łeczności Przysłopia. Zaczyna-
jąc, spokojna dotąd okolica musia-
ła zmierzyć się z wojenną rze-
czywistością. Życie mieszkańców
pod ciągłym strachem nie było



MAŁŻEŃSTWO HELENA I JÓZEF KLIMASARA

łatwe. Troszczyli się nie tylko o swoje życie, ale jak pokazała historia także o życie innych.

Małżeństwo Józefa (ur.1907r.-†1977r.) i Heleny (ur.1913r. –† 1992r.) Klimasara, z domu Korzeń mieszkało na osiedlu „Za Miedzą” wraz z całą wielopokoleniową rodziną. W niewielkim domu, stojącym samotnie na zboczu góry, otoczonym lasem żyli razem z rodzicami Heleny, jej bratem Stanisławem, siostrą Genowefą i siódmką swoich dzieci: Józefą, Marianem, Stanisławą, Honoratą, Tadeuszem, Władysławą i Janiną. Na co dzień Klimasarowie zajmowali się pracą na gospodarstwie, w której pomagały im dzie-



PRZED SZKOŁĄ
NA PRZYSŁOPIU

ci. Co jakiś czas pracę przerywały patrole żołnierzy niemieckich, którzy często urządzali łapanki, przeszukiwali domostwa w poszukiwaniu partyzantów i Żydów. Za udzielenie jakiegokolwiek, czy to udzielenie schronienia, czy choćby podanie jedzenia Żydom groziła kara śmierci. Ratując Żydów narażało się nie tylko swoje życie, ale także całej rodziny. Do strachu przed Niemcami dochodziła obawa przed każdym świadkiem, który mógł okazać się donosicielem. Któregoś dnia brat Heleny – Stanisław Korzeń wracając z pracy w fabryce w Kędzierzynie – Koźlu przyprowadził do domu młodą dziewczynę o imieniu Jadzia. Jak się okazało była Żydówką. Rodzina Klimasarów nie miała żadnych wątpliwości, że trzeba jej pomóc, niezależnie od zagrożenia jakie ze sobą niosła ta decyzja. Wiedzieli, że trzeba ją ukryć do momentu, aż będzie mogła być przeprowadzona przez granicę. Od tej pory w ciągu dnia Jadzia ukrywała się w pobliskim lesie zwanym „Gronikiem”, na wypadek gdyby w okolicy pojawili się Niemcy. Najstarsze dzieci Klimasarów przynosiły jej jedzenie do lasu, ponieważ dziewczyna musiała przebywać tam aż do zmroku. Na noc wracała do domu, gdzie czekało na nią posłanie, przygotowane wśród snopów słomy, w szopie nad piwnicą. Gdy wiadomo było, że w okolicy jest spokojnie, nie było zagrożenia, że w wiosce



KOPERTA LISTU Z PAMIĄTKOWYMI ZDJĘCIAMI PRZYSŁANEGO ZE STANÓW

pojawi się niemiecki patrol, Jadzia pozostawała w domu i bawiła się z młodszymi dziećmi. Każdy dzień pobytu młodej Żydówki w domu Klimasarów mijał podobnie, aż do momentu, kiedy nadszedł czas rozstania. Te kilka wspólnych miesięcy bardzo zbliżyły wszystkich domowników z młodą Żydówką. Pożegnanie było dla nich wielkim przeżyciem, łzy lały się strumieniami. Znany rodzinie Klimasarów mężczyzna, który zajmował się handlem towarami i przemycaniem ludzi przez granicę, bezpiecznie przeprowadził Jadzię do Czech. Dalej chciała udać się na południe Europy, a stamtąd do Ameryki. Tak umówiła się wcześniej ze swoim narzeczoną. Obiecali sobie, że jeśli przeżyją wojnę to spotkają się właśnie tam. Człowiek, który pomógł jej przekroczyć granicę w niedługim czasie został rozstrzelany przez Niemców.

Dalszy los Jadzi nie był znany, aż do momentu kiedy kilka lat po wojnie do domu Klimasarów dotarła paczka zaadresowana następująco: „Korzec, Koziół, albo Korzeń Stanisław, Stryżawa.” W krótkim liście Jadzia napisała, że jej plany się powiodły. Dzięki pomocy dobrych ludzi dotarła do Ameryki, spotkała się ze swoim ukochanym i w Nowym Jorku pobrali się i osiedlili na stałe. W latach 90-tych Jadwiga wraz z mężem przyjechała do Polski i próbowała odnaleźć miejsca i ludzi, którzy im pomogli. Tamtego domu już nie było,

żyli tylko nieliczni świadkowie tamtych wydarzeń. Małżonkowie spotkali się z siostrą nieżyjącego już wówczas Stanisława Korzenia, która mieszkała w Suchej. W 1992 roku Jadzia przesłała Helenie Klimasara na pamiątkę swoją fotografię i swojego męża Johna.

Rodzina Józefa i Heleny Klimasara szczęśliwie przeżyła wojnę i wychowali dwanaścioro dzieci. Kiedy byli już starsi, schorowani przeprowadzili się do Suchej i tam zamieszkali. Stanisław Korzeń po zakończeniu wojny założył rodzinę i zamieszkał w Trzebini. Postawa całej rodziny Klimasarów jaką okazali w stosunku do drugiego człowieka jest godna naśladowania. Świadczy ona o tym, że byli oni dobrymi ludźmi, kierującymi się miłością.

Pomoc naszych przodków niesiona Żydom w czasach II wojny światowej była jednym z najpiękniejszych aktów poświęcenia i człowieczeństwa na jakie może zdobyć się człowiek. W akcie heroicznej odwagi, niebywałego męstwa, współczucia, wierności najwyższym wartościom ratowali swoich żydowskich bliznich od zagłady zaplanowanej i realizowanej przez niemieckich okupantów, mimo groźby utraty własnego życia.

OPRACOWANIE: Stanisława Basiura



DOŻYNKI Z OJCEM BERNARDEM

GENOWEFA CHOWANIAK

OS. GRANICA (ur. 1933 r.)

Wojna to był straszny czas. Nawet nie mam chęci opowiadać o tych czasach. Ja jestem z rocznika 1933, dużo rzeczy uciekło z pamięci, ale pamiętam jak przed wojną, w 1937 roku przyszedł do nas ksiądz z Zawoi po kołędzie.

Na początku wojny to bardzośmy się bali. Planowana była wraz z sąsiadami ucieczka z domów. Byliśmy spakowani, ojcowie nas spakowali. Ja już byłam obuta, w płaszczu i czekaliśmy, że nas przyjdą wysiedlać. Placki jęczmienne mama popieкла i na drogę żeśmy się schodzili z sąsiadami. Gdzie iść, co z sobą zrobić? Ano, do Kiczory do lasu pójdziemy. Ale w końcu zdecydowali rodzice, że co ma być to będzie i zostaliśmy w domu.

Kiedy u nas tu nastąpiła granica, to nie pamiętam (*dekret Hitlera o powstaniu GG datuje się na 12.10.1939 roku, z mocą obowiązującą od 26. października tego roku*). Nasz dom



GENOWEFA CHOWANIAK Z WNUKAMI JUSTYNĄ I DOMINIEM



PAMIĄTKI RODZINNE

stoi przy samej granicy. Mama mi opowiadała, jak jechali żołnierze na koniach, ludzie im dawali mleko pić, i oni mówili, że tu będzie teraz granica i inne państwo. Mieliśmy ziemniaki, piwnicę tam po drugiej stronie. Pasierbki zaś mieli ustęp na Stryszawie. I tak się to znalazło za granicą. Ale nam dali pozwolenie chodzić do chodnika, co jest w lesie, bo tam była studnia, z której nosiliśmy wodę do domu. Pasierbki miały po stronie stryszawskiej pasienie dla krów, to im go zabrali, a kazali im paść na Magurce, u Warciaków. Ja pa-

miałam, mieliśmy w domu małe dziecko, bo moja siostra urodziła się w 1940 roku, że nosiłam ku tej studni jajka, a ze Stryszawy umówieni wcześniej ludzie nosili nam grysik, bo go w Polsce nie było. Stryszawa to wtedy była inna, bogatsza od Zawoi. Oni tam mieli marmoladę, a u nas chleba brakowało. Pamiętam też, jak nosiłam do Maryški Leonowej od Toczka (*po stronie stryszawskiej osiedla Toczki, rodzina ta wyprowadziła się do Mar-*

cówki) ziemniaki i za to dostawałam chleb. Pamiętam też, jak mama sprzedawała Świerkoszce gęś. A Niemcy z Patrii przez lornetki wypatrzili, że przeszła przez granicę i ją zatrzymali. Świerkoszka już kawałek odeszła i nie przyznała się, od kogo gęś kupiła. Nic jej to nie dało, gęś wzięli a ją zamknęli do aresztu (*odsiedziała w więzieniu w Wadowicach wyrok, trzy miesiące*).

Za okupacji Niemcy robili takie oblawy na bydło. Chodzili od domu do domu, zapisywali, kto ile miał bydła i wyganiali nas z krowami Za Bór. Pamiętam, jak samoloty wtedy jeździły. Ja chodziłam do szkoły ale mama w ten dzień przyszła i zwolniła mnie z lekcji, żebym jej pomogła przy krowie, więc musiałam z nią iść. U nas wchodził do stajni Niemiec, wyganiał wszystko bydło, zapisywał, i brali te krowy na Bory. Tam patrzyli, kto ile miał krów zapisanych. Jak ktoś miał dwie krowy, to jedną zabierali a z drugą wyganiali do domu. Myśmy mieli jeszcze taką czarną jałówkę, cielną. Jak ten Niemiec wszedł do stajni, to w mroku nie uwidział leżącej jałówki i zapisał tylko dwie sztuki. Dziadek zaraz okiennice zaprawił a nas wygnał ze stajni, żeby nie kusić losu.

Jak ktoś miał więcej pola, musiał oddawać kontyngent i płacić pieniądze. Myśmy mieli pola mało, to tylko oddawaliśmy kontyngent. Kiedyś oddawaliśmy wełnę na kontyngent, ale nam za-



ŚWIĘTY MIKOŁAJ W KLASZTORZE

brakło. No to ostrzygliśmy wełnę z kozucha, żeby jej wystarczyło.

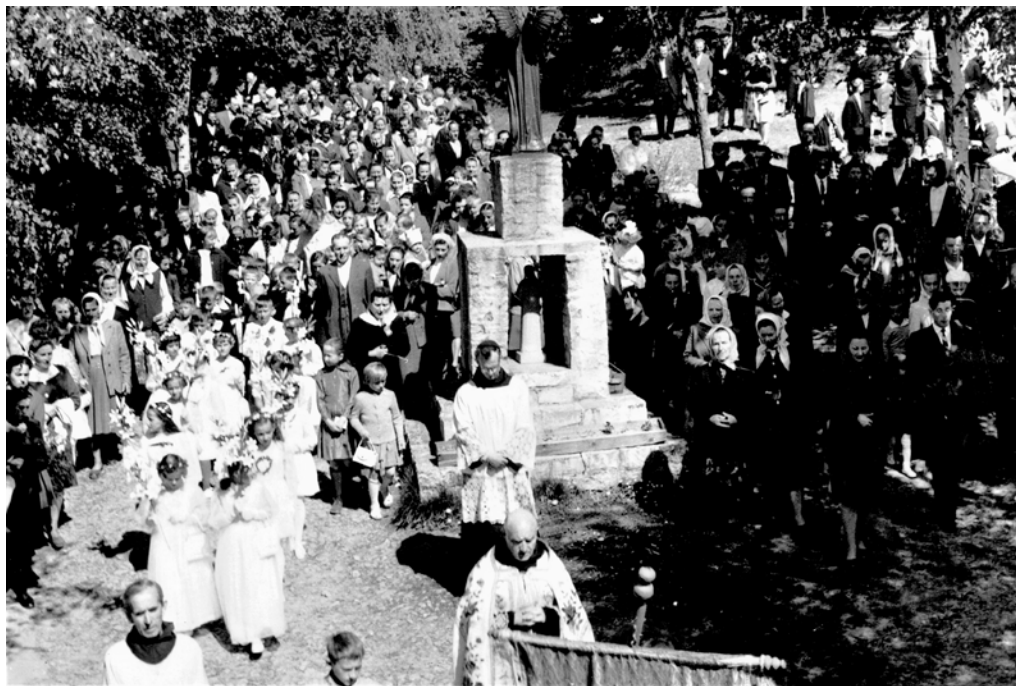
Do szkoły to ja chodziłam do Makosia i do Ludwiny. (*dom Spyrków i Polaków*). U Ludwiny to uczył pan Tutaj. On długo tu był. Tam była tylko jedna izba a u Władka Makosia to rozebrali ścianę, połączyli dwie izby i było więcej miejsca. Ja tam robiłam trzecią i czwartą klasę razem.

Jak wysiedlali Stryżawę, do nas przysłali rodzinę Trzopów od Kwaka. A u Bubiaka, tam gdzie mieszka Staszka Giertugowa, to mieszkali Elżbieciaki. U Szymka, tam gdzie mieszka Włodarczyk, mieszkał Marcin, też od Kwaka, nazwiska nie pamiętam. U Kaźmierza też byli wysiedleńcy, ale ich nie znałam. Niektóre chałupy wysiedleńców zamienili na stajnie, w innych mieszkali. (*Przybyli na miejsce osadnicy zaczęli urządzać przydzielone gospodarstwa „po swojemu”... wyburzono znaczną liczbę domów, które nie przypadły im do gustu, a inne zamieniono na budynki gospodarcze*). **Piotr Sadowski**, - „**Tło historycz-**

ne”, **Druga Wojna Światowa pod Babią Górą. Księga strat. Kraków-Zawoja 2011. Koloniści niemieccy, 16 rodzin-70 osób, sprowadzeni po południu w dniu pierwszego wypędzenia, zburzyli 30 domów, i 15 budynków gospodarczych. W 25 domach wysiedleńców urządzono obory. Aktion Saybusch – wysiedlenia. Tamże).**

Ci wysiedleńcy mieszkali u nas trzy lata bez miesiąca. Ich było pięciu i dwoje rodzi-ców, to myśmy musieli ustąpić izbę i trzy łóżka. Nas było dwie córki i mama z tatą, ich siedmiu, to nam ciasno było. Potem poszedł jeden z nich do Hermana, tam szewcował. Drugi poszedł do Emila Bubiaka, pomagał mu gospodarzyć, żeby się wyżywić. A trzeciego, Franka, jak wywozili na roboty, to go wzięli od nas. Oni byli wszyscy muzykantami. A starzy, ja się nie chcę skarżyć, ale jak mama gotowała na piecu coś dla cieląt, albo świń, to oni odsuwali nasze garnki i układali swoje. I już wadźba była. A potem tata zauważył, że nas okradają, zaczęli nam kraść zboże, ziemniaki, więc ich z chałupy wygnał. Przenieśli się do Marka Władka. A za to, żeśmy ich wygnali, jak się z nimi spotykaliśmy po wojnie na odpuscie na Stryzawie, to nas nawet nie poznawali. Ale wam powiem, jak ich pakowali do nas, to myśmy się też bali, że nas wysiedlą.

A potem to nastały partyzanty. Kiedyś u nas tacy nocowali. Podniósł jeden z nich zagłówek, a tam mama trzymała pieniądze i pinek chleba. Pinek zjedli, pieniądze zabrali a później mówią, żeby mama przygotowała coś dobrego do jedzenia, bo jak będą wracać, to przyjdą. Mama im mówi: „no jasne, wyście znani, ja was znam, to utrę na placki i już



PROCESJA PIERWSZOKOMUNIJNA

będziecie jeść. A to był jeden od Miśkowca, drugi Benków od Mazura a trzeci Rak od kapliczki u Bartyzela. Ale myśmy się dowiedzieli, że to nie były partyzanty, tylko „kurokrady”. Oni później poszli na Kiczorę do Kundy, tam kazali jej leżeć, pobrali jej smatki a potem chodzili i je sprzedawali. Mama od nich nie chciała kupić, bała się, że w kościele ktoś pozna na niej chustkę i zedrze jej z głowy. Pamiętam też partyzantów po wojnie. U nas też byli, dwóch starszych i jeden młody. Dwóch zginęło w obławie u Albina Smyraka, Jeden był chyba z Białki, bo pamiętam, jak pojechaliśmy kiedyś na Białkę kupować nogi do maszyn, to tamci ludzie mieli do nas pretensje, że chłopak od nich zginął na Przysłopiu.

W sąsiedztwie, u Błazka Biłki byli Niemcy, oni tam mieli placówkę. Druga placówka była na Bieskidzie u Staszka Basiury. Ale tam nie byli Niemcy, tylko „kabociorzy”. Swok mój nieraz mówił, że bite Niemcy to byli lepsi od tych kabociorzy. Te placówki były połączone telefonami. Pamiętam, że już po wojnie zabraliśmy do domu kawałek drutu z tych telefonów, przydał się do robienia kwiatków z papieru. Niemcy na placówce mieli kocioł, w nim gotowali zupę. Ja nieraz musiałam chodzić z jednym Niemcem po lesie i zbierać grzyby i takie jakieś trawy, co mi pokazali, do tej zupy. Myśmy mieli w domu chłopca z koniem z Białki, który rozwoził ludziom kopiącym okopy ugotowaną zupę. Powiedzieli Niemcy, że jak ten koń zginie, albo coś mu się stanie, to będzie nasza chałupa spalona a my będziemy wystrzelani. Ten chłop u nas siedział, a jak trzeba było, to jeździł na placówkę. U Pasierbka też był młody chłop z koniem, takim siwym, ale ten chłop szybko stąd uciekł z koniem i nie furmanił Niemcom. Jak już szedł do nas Rus, to Niemcy uciekali. Ale akurat przed samą ucieczką, jak na placówce gotowali zupę, to kocioł się wywalił i poparzył się jeden Niemiec tak cliwo, że go wyzawijali, zabrali tego naszego furmana i uciekli do



PIERWSZA KOMINIA ŚWIĘTA, ROCZNIKI 1933, 1934

Suchej. U tego Biłki jak tam kiedyś pili, przywieśli Emila Dańczaka, chłopca Stefki z Kiecki. I go wtedy zabrali w las w stronę Kiczory i zastrzelili (*Dańczak Emil, ur. 8.7.1914, podejrzany o działalność w partyzantce, zastrzelony 15.12.1944 r. przez policję. Straty osobowe. Ofiary zbiorowych i indywidualnych egzekucji. Druga Wojna Światowa pod Babią Górą. Księga strat. Kraków-Zawoja 2011*).

Za Gronikiem, na Bartyzelowej Górze, do Zarębków to Niemcy kazali kopać okopy. Tata nie chodził kopać okopów. On był chory, głowę miał całą poowijaną więc mama



POZOSTAŁOŚCI OKOPÓW ZA GRONIKIEM

za niego szła. Jak przyszło ciężko kopać, to mama pięty poobdzierała, całe miała we krwi. Poszła do doktora a ten jej kazał nogi owinać i iść dalej do roboty, bo wolnego nie dostanie. Tam Niemcy zapisywali dniówki, kopały chłopcy i baby, i młodzi i starzy i nie dało się wykręcić.

Jak już Ruse nastali, to chodzili i zabierali jajka i zboże. Kazali je nosić na Świniarkę, tam ładowali i brali. Przyszli kiedyś do nas, to mama byłaby spadła z izby na boisko, bo Rus nie pa-

trzył zboża, tylko mamy. Zeszła szybko na dół, a on do niej, że nie będzie znosił zboża, tylko kazał jej wyjść na strych. No to mama mówi, że zrzuci to zboże na dół, wysypie, i nie będą mieli nic. Rus jak przyszedł brać jajka, to zabrał tyle, ile mu się zmieściło, a resztę rozgniótł, żeby nic nie zostawić.

Przypominam sobie jeszcze jedno wydarzenie, już po wojnie. Byliśmy akurat w kościele, było to jakieś święto zniesione. Wracamy z kościoła, patrzymy, a u Babiarczyków na Świniarce (*wyprowadzili się gdzieś w okolice Szczecina*)

dym. Staszek Pasierbek i Babiarczyk Antek znaleźli w lesie granat, zabrali go, zaczęli przy nim dłużyć. Wybuchło i Babiarczyka poharało dość mocno.



STARE MONETY. ZŁOTÓWKI, MARKI, RUBLE

Wicie, mnie już dużo rzeczy wyleciało z pamięci. Już wiele lat minęło. Ale to, co jeszcze zostało, to wam opowiedziałam.



NIEDZIELA PALMOWA

OPRACOWANIE I PRZYPISY: Jan Żurek

EMILIA TOCZEK

OS. TOCZKI (ur. 1935 r.)

Z samego początku wojny pamiętam niewiele. Pamiętam już późniejsze czasy, jak w sąsiedztwie, u Błazka była placówka. Niemcy nie raz do nas przychodzili, żeby mój tata woził im koniem z Lachowic towar na zupy, co tu gotowali. Tata nie chciał z nimi jeździć z obawy, że w lesie spotkają partyzantów i go zabiją. Był raz, drugi i potem wpadł na pomysł. Wbił do podkowy klijca (*gwóźdź do przybijania podkowy do końskiego kopyta*) tak, żeby zranić konia. Niemcy przyszli, kazali wyprowadzić konia a ten kuśtyka na trzech nogach. Złościli się bardzo, chcieli nawet zastrzelić konia, musiałyśmy z siostrami Albiną i Malką prosić, kochałyśmy tych Niemców, żeby nie zabijali konia. Na szczęście uspokoili się, poszli szukać furmana gdzie indziej. Wybieg ten udał się jeszcze raz, później już tata się bał powtarzać sztuczki z kula-



PIERWSZA KOMUNIA W NOWEJ SZKOLE

wym koniem, więc chował się pod słomą na strychu. Wiele razy szukali go, wchodzili na strych, dziubali słomę i siano ale zawsze udało się tacie ukryć. Kiedyś schował się w słomie u sąsiada, Maćka (*Emila*) Bubiaka. Był u niego w jakiejś sprawie, Maciek zauważył nadchodzących Niemców i powiedział: „Józek, wyłaż na izbę i chowaj się pod słomę”. Też mu się udało schować tak, że go nie znaleźli. Nieraz jak przechodziłam koło placówki, to wartownicy wołali do mnie po polsku, żebym się nie bała. Oni podobno ze Śląska byli. Ale ja wołałam nie podchodzić, bo się jednak bałam. Tu przy placówce złapany został chłop, Emil z Kiecki. Niemcy zabrali go na Stryżawę do lasu i zabili. On by może przeżył, tylko sąsiad powiedział, że go nie zna. Jakby potwierdził, że go zna, uratowałby mu życie. Szkoła chłopca. (*Vide – relacja Genowefy Chowaniak*).

Jak Za Groniem i przez Zarębki budowane były umocnienia, do roboty musiał chodzić tata. Nadzorcy zapisywali im dniówki. Czasem siostra Malka chodziła do kopania za tatę. Słyszałam, że w Połcanym zabili jednego chłopca, jego ciało zostało odnalezione dopiero po wojnie.

Pamiętam już osobiście, jak nam tu brali Niemcy krowy, to wyprowadzaliśmy je, żeby uratować przed zabraniem do lasu. Jak poszło hasło, że Niemcy się zbliżają, zaraz otwieraliśmy stajnię, krowy już tak się nauczyły, że zamiast na pastwisko, leciały do lasu czy to noc, czy dzień. Tam mieliśmy przygotowane ogrodzenie. Musieliśmy też oddawać masło, zboże. Zamiast pojeść, to Niemcom trzeba było dawać. Zabrali nam też taką wielką świnię, może na metr pięćdziesiąt. Tata zrobił przepierzenie, odgrodził deskami kawałek stajni. Liczył na to, że nie znajdą świni, ale oni się do niej dobyli. Jeszcze tata musiał osobiście odwieźć ją do Makowa.

Jak przyszli Ruski, to nie było nic lepiej. Wpadli do domu. Mama miała skrzynię, w niej różne smatki, trochę pieniędzy. Zabrali wszystko. Nawet świeczki gromnice zabra-



MALI GÓRALE

li, mówili, że będą smarować narty. Jak mama coś się odezwała to zaraz wołali: „Mołczy, bo damy w mordę”. Myśmy mieli w domu piec dymny, całe auto Rusków przyszło oglądać ten piec. Patrzyli, jak się pali i gotuje. Gotowały się ziemniaki dla świni, to wszystkie zjedli. Spodobała się im siostra Malka, to się za nią zaczęli brać. Mama mówi, żeby dali spokój, bo ona jeszcze młoda, to jej odpowiedzili, że im się właśnie takie podobają. Szczęśliwie udało się jej uciec. Mój tata znał język rosyjski i niemiecki. Nauczył się ich w niewoli. Jak przyszli Rosjanie do sąsiada Pietroska zabierać im konia, zawołali tatę, żeby im tłumaczył. Obiecali, że za tego konia zostawił im kobyłę u Spyrki. (*Vide – relacja Józefy Burdyl*).

Mój tata był w niewoli dziecięć lat. Zabrali go najpierw do Austrii a później do Turcji. W tej Turcji sprzedawali baby. One miały zasłonięte smatkami twarze, żeby nie było widać, która jest brzydka. Jak ktoś sprzedał podłą babę, to zaraz mu mówili, żeby ją zabrał i przywiózł inną, ładną. Tych jeńców czasem dziesiątkowali, co dziesiątego brali na śmierć. Tata stojąc w zbiorce zawsze modlił się do Św. Józefa o pomoc i ratunek. I jakoś mu się udawało, zawsze był ósmy, dziewiąty. Ale w końcu podpadł, popełnił jakieś wykroczenie i utopili go w ustępie. Siedział zatopiony w fekaljach i modlił się. W nocy przyszedł znajomy więzień ze Strykawki i z drugim kolegą wyciągnęli tatę z szamba. Tata zawsze wspominał, że żyje dzięki koledze ze Strykawki.



WIENIEC DOŻYNKOWY

Chodzili też partyzanci. Walili w drzwi, zażądali jedzenia. Nie mieliśmy nic, tylko kapinosy uzbierane na herbatę. Zjedli wszystkie i poszli, nakazując nam milczenie. Byli też inni partyzanci, tacy co kradli. Zaszli na Kiczorę, to okradli tam bogu ducha winną babę (*Vide – relacja Genowefy Chowaniak*).

Było bardzo niedobrze. Nie wolno było uskarżyć, zjeść, szukali po sąsiedkach, zabierali wszystko. I Niemcy i Ruski. Pasowałoby nam skapiec z głodu, bo tamtym panom trzeba było oddać.

OPRACOWANIE: Jan Żurek

LEOKADIA CHRZĄSZCZ

OS. KOBIELE (ur. 1933 r.)

Miałam sześć lat, kiedy wybuchła wojna. Pamiętam, że najpierw pojawiły się samoloty. Było ich bardzo dużo, wyglądały jak klucze ptaków na niebie. A potem pojawili się ludzie, którzy uciekali chyba aż zza Babiej Góry. Prowadzili krowy i byli obładowani dobytkiem spakowanym często w prześcieradła zwinięte w tobołki. Ci uciekinierzy spali często w lasach i potokach. My też mieliśmy uciekać. Pamiętam, że nalałam mleka do butelki i wzięłam kota pod pachę. Ale jedna sąsiadka, która była gdzieś w Zawoi na dole przysłała i powiedziała nam, że i tak nie ma gdzie uciekać, bo wszędzie jest tak samo. Zostaliśmy więc w domach.

Byłam małą, więc nie pamiętam, kiedy Niemcy przyszli na Przysłop. Stacjonowali w wybranych domach, stawiali słupy telefoniczne a potem ludzie z Zawoi kopali przymusowo okopy i stawiali bunkry. Przymusowo trzeba też było oddawać mleko i inną żywność. Mleko dla Niemców nosiło się do Zawoi Gawły, tam było odbierane (*Vide – relacja Wincentego Żurka*). Na Przysłopię pojawili się później przesiedleńcy ze Stryszawy i myśmy im musieli oddawać mleko. Zabierali też Niemcy krowy i zboże.



KOLĘDNICY NA MAGURCE



Na Spyrkówkę nie można było przejść, bo tam już było inne państwo, Rzesza. Jedna sąsiadka, Florka, pochodziła ze Spyrkówki, chciała iść do swojej mamy, ale jej nie pozwolili.

Najgorzej się zrobiło, jak wojna miała się kończyć. Wtedy ciężko było przejść nawet do kościoła w Zawoi Centrum. Jak ktoś nie miał przepustki, pokazać musiał przynajmniej książeczkę do modlitwy. (*Vide – relacja Eugeniusza Zajdy*).

Chodziłam do klasy szóstej, kiedy na Przysłopię zamknięta została szkoła. W budynku, w którym wcześniej była, zakwaterowani zostali Niemcy.



PROCESJA Z DZIECIĄTKIEM I ŚWIĘTĄ TERESĄ

Kiedyś mój brat Edek poszedł na czereśnie w Bory. Był małym chłopcem i tata bał się o niego, zwłaszcza, że Niemcy szukali partyzantów ukrywających się wtedy w lesie. Jak tata poszedł po Edka, złapali go Niemcy. Bardzo go pobili ale na szczęście wypuścili, kiedy powiedział im, że idzie po małego synka. Tata dogadał się z nimi, bo znał trochę język niemiecki, którego nauczył się służąc w wojsku austriackim w czasie pierwszej wojny.

Jak już nadchodzili Rosjanie i Niemcy uciekali, zmuszali mieszkańców, żeby oddawać im konie albo ich przewozić na zachód. Mój brat, Władek i Antek Paciorek musieli odwozić Niemców furmankami pod groźbą utraty życia. Dojechali do Żywca, stamtąd uciekli zostawiając konie. Wrócili do domu przez Koszarawę ukrywając się w lasach.



PROCESJA Z WIDOKIEM NA PRZYSŁÓP

Potem przyszli Rosjanie. Też im trzeba było wszystko oddawać. Brat miał fajne ciepłe rękawiczki, to jeden Rosjanin zabrał mu je. Powiedział, że jemu się bardziej przydadzą, bo jest zimno a on idzie walczyć.

Po wojnie na Przysłopiu pojawili się karmelici i ojciec Bernard Smyrak. Wybudowali kościół Za Kamieniem. Najpierw planowana była kaplica koło domu Juliana Oleksy, ale potem lokalizacja została zmieniona. Koło karmelitów zaczęło kręcić się życie młodzieży. Były tu też siostry zakonne, które organizowały różne kursy dla gospodyń.

OPRACOWANIE: Barbara Chrzęszcz

JÓZEFA BASIURA

OS. KOBIELE (ur. 1934 r.)

Jak wojna się zaczęła, mieszkałam Za Miedzą, na Stryśzawie. Pamiętam, jak doszły do nas wieści, że wybuchła wojna, wyszliśmy przed dom z tatą. Tata mówił: „Dzieci, wojna będzie”. Niebo było takie czerwone, wszyscy się baliśmy. Pamiętam też pierwszych żołnierzy niemieckich, którzy szli w górę w stronę Polonek, tam, gdzie dziś stoi hotel Beskidzki Raj.

W naszym domu rodzice ukrywali żydowską dziewczynę, Jadzię, którą przyprowadził wujek. Mieliliśmy stary dom, mieszkały w nim trzy rodziny: dziadkowie, wujek z ciotką no i my w komórcie. Jadzię ukrywaliśmy w szopie wybudowanej na piwnicy, między okockami miała zrobioną kryjówkę. Nosiliśmy jej tam jedzenie. Przez czas pobytu u nas organizowaliśmy dla niej możliwość ucieczki do Ameryki. Na Stryśzawie był człowiek, który zajmował się przemytem towarów i ludzi przez granicę. Nazywaliśmy go „Chłopek”, nie znam nazwiska. On zajął się przeprowadzeniem Jadzi. Docelowym punktem była Ameryka, bo Jadzia miała chłopaka, z którym się umówiła, że jak oboje



HOTEL BESKIDZKI RAJ



DOŻYNKI. WIDOK NA MAGURKĘ

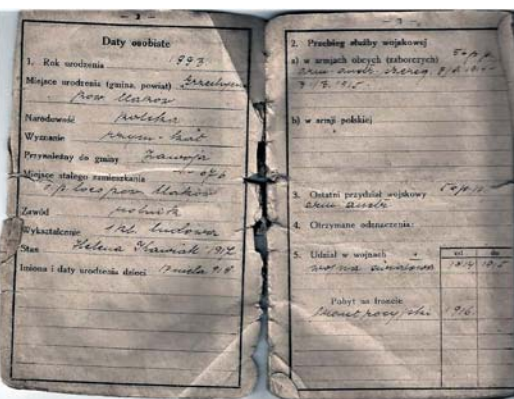
przeżyją, to spotkają się w Ameryce. Pamiętam, jak Chłopek po nią przyszedł, to myśmy bardzo płakali, tak się z nią zżyliśmy. Jadzia spotkała się z narzeczonym i pobrali się. Pisała potem do nas list, paczkę. Oni tu przyjechali, domu starego już nie było, nikt z rodziny już tam nie mieszkał. Jednak Jadzia z mężem znaleźli ciotkę Gienkę w Suchej, mieli z nią kontakt, nawet lekarstwa przysyłali.

W roku 1952 wyszłam za mąż i przeprowadziłam się Zza Miedzy do Kobieli. W domu często snute były opowieści o czasach wojennych, niestety, nie wszystko z nich pamiętam. Opowiadał mąż, jak dwukrotnie udało mu się uniknąć kłopotów z Niemcami. Pierwszy raz to było wtedy, jak Niemcy złapali Emila od Poldkuli (*Emil Polak* . *Vide – relacja Herminy Szyrka*). Bijąc go pytali, gdzie są jego koledzy. Emil powiedział, że ma tylko kolegów u Staszka Basiury, liczył, że teść się wybroni przed Niemcami, bo znał język niemiecki jeszcze z pierwszej wojny, więc przywlekli go do nas. Henryk, mój mąż i jego przybrany brat Antek szybko schowali się w grubce pod sienią. (*Mała piwnica wykopana pod podłogą, z klapą wejściową w podłodze*). Na klapę teściowa nasunęła skrzynię. Niemcy przyszli z psem, więc nic by chłopakom nie pomogło ukrycie się, gdyby nie kot. Niemiecki pies od razu podbiegł do skrzyni, ale spoza niej wyskoczył kot i po drabinie uciekł na strych. Pies za nim, za psem Niemcy. Całą słomę i siano pokłuli widłami i bagnetami, czy ktoś się pod nimi nie skrył. Chłopaki leżeli w grubce, przez szpary widzieli nogi Niemców, była to zima, lód wytajał pod nimi, tak długo leżeli. Niemcy zbili do krwi teściową i szwagra Bronka. A Emil to był tak zbity, że nawet z butów wylewała mu się krew spływająca z ca-



ZDJEĆIE KOMUNIJNE HENRYKA BASIURY

łego ciała. Później Emila zabrali do Suchej i tam zabili. Drugi raz mężowi też udało się uciec Niemcom. Nie miał już możliwości uciec w stronę lasu, bo droga w las była obstawiona, więc uciekł między domy, wpadł do Benka Malczewskiego. Benek przykrył Henryka chustką, wziął nożyce i zaczął go strzyc. Jak Niemcy wpadli, mówił im, że to jest jego syn. Żona Benka szybko przygotowała coś do jedzenia, Henryka posłali do Maliny po wódkę, bo wiedzieli, że parę dni wcześniej Niemcy zabrali tam krowę i dali za nią wódkę. Jedzenie i wódka trafiły do Niemców, ci powiedzieli mężowi, żeby odszedł stamtąd, bo ich koledzy mogą go złapać. Później chłopaki wykopali w lesie jamę, w której się kryli, spalili tam nawet, tylko w dzień, kiedy łatwo było zauważyć Niemców, wychodzili. Tam się też ukrywali przed wywózką na roboty moja swatowa Różia Malczewska (*Rozalia Spyрка*) i jej



LEGITYMACJA INWALIDZKA BENEDYKTA MALCZEWSKIEGO Z I WOJNY ŚWIATOWEJ

brat Franek. Przed Niemcami trzeba było chować też krowy. Jak tylko pojawili się blisko, wszyscy uciekali z krowami w las. Niemcy do lasu nie wchodziłi, bo się bali. Krowy już się tak nauczyły, że jak tylko otwarły się drzwi stajni, to leciały nie na pastwisko, tylko do lasu. Niech Pan Bóg broni przed takimi przeżyciami.



DOM BASIURÓW ZAJĘTY CZĘŚCIOWO PRZEZ NIEMCÓW.

Jak budowane były okopy Za Kamieniem, na Groniku i na Bartyzelowej Górze, Niemcy ulokowali u teściów placówkę. Zajęli cały stary dom, rodzinę wyrzucili do niewykończonego nowego domu. Jedną izbę z tego niewykończonego domu też zajęli Niemcy. A w domu Kobieliów mieszkał niemiecki lekarz. Stary dom stał nad drogą do Leoški Chrząższ, przed domem Florki Zemlik, nowy stoi do dziś. Na miejscu tego domu, w którym jesteśmy, był zrobiony bunkier. Był on zbudowany z drzewa, obsypany ziemią a w stronę lasu prowadził okop. Bunkier był duży, około osiem metrów. Trzymali w nim Niemcy narzędzia i materiały potrzebne do budowy.

Po wojnie, jako już panienka, poszłam z babką do Suchej. Widziałam poprzewracane wozy, pozabijane konie.



HENRYK BASIURA Z KAPEŁĄ

Jako młodzi ludzie, dużo chodziliśmy Za Kamień, do ojca Bernarda. Ja grałam w misterium od pierwszego roku. To był rok 1947. Pierwsze misteria były odgrywane przy drodze krzyżowej. Jak wyszłam za mąż, jeszcze dwa razy grałam w misterium, później zasłam w ciążę i już to jakoś minęło.

Chciałoby się więcej opowiedzieć, ale pamięć zawodzi.

OPRACOWAŁ: Jan Żurek

GENOWEFA CHOWANIAK

OS. ŚWINIARKA-NOWE OSIEDLE

(ur. 1934 r.)

Pamiętam, miałam wtedy pięć lat, gdy dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna. Ludzie byli wystraszeni, nie wiedzieli co się dzieje, ale potem jak już usłyszeli strzelaninę, to wiedzieli już, że wojna. Chcieliśmy uciekać, mówiło się, że do lasu uciekać będziemy. Popakowaliśmy się, mama popakowała nasze rzeczy w takie płócienne prześcierała, naubierała tyle kabotów, że nie mogłam zgiąć ręki. I ja nie myślałam o ucieczce ani o niczym, tylko kiedy mi to zdejmie, bo mi duszno było. Nie wiem ile ubrań dokładnie było, ale tyle, że się ręce nie zginały. Mieliśmy iść, z całej okolicy krzesnomatki rozmaite poprzychodziły, wszyscy płakaliśmy. Nareszcie wtedy moja mama powiedziała, że ka będziemy uciekać, jak Niemcy jeszcze nie strzelają, no i nie wygania nas nikt. No i modliliśmy się i nie poszliśmy nigdzie, nie musieliśmy uciekać już nigdy.

Pamiętam też, że wszyscy z okolicy musieli młynki do mielenia zboża oddać, bo nie wolno ich było posiadać ludziom. Ale my w domu mieliśmy dwa, bo jeden miał wujek, a drugi mieliśmy my, to je-



NASE KRZESNOMATKI

den oddaliśmy Niemcom, a drugi schowaliśmy w piwnicy. Gdy wypędzali krowy, przychodzili i wyganiaли je ze stajni. Żeby uratować krowę przed zabiciem, ukrywaliśmy ją w piwnicy. My mieliśmy jedną krowę, Kwiatuła się nazywała. Nawet była nauczona gdzie do piwnicy włączyć. Pewnego razu, gdy Niemcy siedzieli w izbie, krowa zaczęła mleć na młynku. Mieliśmy wysiedleń-



ców w domu, i taka babcia co z nich była zaczęła pestki ze śliwek tłuc i szurać stołkiem. Niemiec wtedy do niej godo: „co ty robisz?”, a ona: „Bo mi się strasznie jeść zachciało”. No i nawet nie dał się bardzo ten Niemiec na nią, a krowa potem przestała mleć. Ta krowa później była cielna i mama myślała, że jak taka wysoko cielna, to nie wezmą. A oni wzięli,



OFIARA PAŃSKA W WARUNKACH SPARTAŃSKICH

musiała mama zaprowadzić ją na Białkę. Nie miała z sobą żadnego jedzenia, więc sąsiedzi z Granicy zanieśli jej jajka, seri masło, żeby nie była głodna. Mama zamiast zjeść, poszła ku temu strażnikowi co tam był, a on się jej pyta: „Mosz co?”, a ona godo: „Mom jojka, mom ser, mom masło”. No i wziął to, wypisał jej przepustkę i kazał jej iść z tą krową. Mama i przywiedła tą krowę do chałupy. My to się już bali, że ją zastrzelą, no bo by zastrzelili, jakby nie udało się tak. Takie było szczęście w nieszczęściu.

Kolejne wspomnienie. Nie wiem który to był rok, 42 czy 41 co uciekał jakiś pan, nie wiem czy z Brzezinki czy skąd. Za nim leciały psy, a moja mama wynosiła wtedy łopaty do wyjmowania chleba z pieca, bo myśmy placki akurat piekli, na strych i taki ciosek co się grzebało piecu. Ten człowiek leciał, psy czekały, biegły za nim. Wyleciał skądś taki pies, rudy, mały i niemieckie psy poleciały za tym psem, uciekinier wyszedł na strych i mama go schowała między snopki. Tam był do wieczora, a potem pod wieczór zszedł i daliśmy mu jeść i pić, i w nocy potem poszedł, nie wiem gdzie. Dostałam od tego Pana mały samolocik, taki co świecił, z takim światełkiem fioletowym. Pamiętam jak dziś, przypiął mi go do swetra i długo go nosiłam, ale potem zgubiłam i nie wiem gdzie. Nigdy już się Pan ten do nas nie odezwał.

Kiedyś, jak żeśmy szli ze szkoły, wiedli Niemcy, takiego znanego tu Poloka Emila. Zbity był, krew leciała mu po twarzy, z nosa, cały był zakrwawiony. Skręcali do Stryszawy i on sikoł tam i była plama krwi, myśmy stały w tym miejscu i płakały za nim. Potem go zastrzelili na Stryszawie.

Nosiliśmy też mleko, bo trzeba było taki kontyngent, po 2 litry codziennie nosić. Do Fajaków żeśmy nosili. Czasem ja chodziłam z ciotką ale wtedy nie poszłam. Ciotka poszła, jak wróciła, opowiadała nam, że pozastrelali wszystkich Żydów i wywieźli ich na koński cmentarz na Podpolicach i tam ich pochowali. Ciotka płakała bo jak zwierzęta ich traktowali, a nie jak ludzi. Wszyscy płakali nad tym, że tylu niewinnych ludzi poszło.

Tu u Biłki była taka placówka, gdzie byli Niemcy. U Kaliniorki, Toczek się nazywała Wiktoria, też byli w pokoju i mieli telefony po drzewach rozłożone i tak się komunikowali. Spotykali się razem Niemcy, ale ludziom takiej krzywdy nie robili.

Był taki Julek Spyрка i Albin. Trzeciego imienia nie pamiętam, i ktoś podwiódł, że się spotykali z partyzantami. Zabrali ich Niemcy, zaprowadzili na Stryzawo i wystrzelali trzech braci, razem.

Tu u nas był taki Ss-man, przyjechał z żoną i nocowali u Kawioka Hermana. I widział Niemiec, że ziemniaki kwitną, powiedział, że chce tych ziemniaków, żeby mu dać. Mama mu mówi, że one za małe, bo dopiero zakwitają, to on wtedy polecał, wyrwał te ziemniaki, takie były małe, ale mówił, że to jest „gut, gut” no i musieliśmy mu nakościć tych ziemniaków.

Pamiętam, jak wojna już była koło Jordanowa tu, w Wysokiej, tam strzelali, domy się paliły. Słychać było takie huki, no i w nocy to takie błyski były, nie wiem czy jakieś rakietcy co to było. Ino mama nam poobkładała za głowy poduszki, że jak będą strzelać, że jak wpadnie ta kula, to nie zabije, nie przeleci bez poduszko.

No i też tak było, że była tutaj Rzesza po lewej stronie a po prawej Gubernia. Spyryki to już była Rzesza, Topory, Chrząszcze też. A na Granicy ludzie mieli domy w Guberni, a w Rzeszy ustępy i wodę, no i to było ciekawe. Wszystkiego się trzeba było bać.

Jak się już Niemcy zabrali, to pozostawiali na placówce różne takie rzeczy co im nie były potrzebne, pościelenie, narzędzia, łopaty. Więc ludzie poszli, podzielili się, rozbierali wszystko. Niemcy uciekli w nocy, tak, żeśmy ,ie widzieli. Potem przyjechali Ruski, nie pytali się o pozwolenie, tylko wychodzili na strych i brali zboże do worków, i siano pospuszczali i kury podusili i zabrali. I gadali, że mamy jeszcze mnoho, to wystarczy. Koło tych okopów rozciągnięte były kolczate druty, i jak się do kościoła do Zawoi szło, to w Kalinie trzeba było przez specjalną furtę przechodzić, bo tylko tam było odgrodzone takie przejście bez tych drutów kolczastych właśnie.

ieliliśmy też wysiedleńców ze Stryzawy, bo które były domy lepsze w Rzeszy (bo Stryzawa to już była Rzesza) to wypędzali mieszkańców, wywozili niektórych gdzieś ku Warszawie, innych dawali do nas, a te domy zabierali. Z niektórych zrobili stajnie, a w tych lepszych mieszkali. No i takich znajomych przyprowadził wujek z tej właśnie Stryzawy. Byli u nas 4 miesiące, mieliśmy wszystko razem



DZIEŃ BABCI W SZKOLE



OJCIEC BERNARD NA TLE STAREGO KLASZTORU

z nimi, jedzenie też. Wtedy nieurodzaje były straszne, słabo rosło wszystko, był głód, ale jakoś się przeżyło. Tak się jadło, że na kulasę się męło zboże, orkisz taki, młóciło się cepami i na tom schowanym młynku się mieliło no i gotowało się kulasę. Placki się też z ziemniakami piekło. Trochę się ziemniaków utarło, ale nie było za bardzo z czego trzeć, bo były bardzo malutkie te ziemniaki. No i był chleb na kartki, jakiś tam przydział był tego chleba, już nie pamiętam, takiego czarnego, razowego. Jak się świnie uchowało, to się pokątnie i zabijało, taką małą, Nie dało się długo chować bo nie wolno było. Króliki się miało, je można było hodować.

Na co dzień w naszym domu pracowało się w polu. Rządkki na ziemniaki się kopało, ugory obrabiało. Wszystko rękami, motyką się robiło, nie było żadnych maszyn ani niczego, zboże się kosiło, nosiło się je na plecach z Krzonki do domu, bo nie było pojazdów żadnych. Ktoś tam miał konia, ale to niewielu. Jeszcze krowy mieliśmy, ale je potem pozabierali i potem kozy żeśmy chowali. Niemcy czasem zabierali wszystko co było w stodole, no i bieda była straszna.

Jeszcze pamiętam jak gadali, że Niemcy zabierają dzieci polskie z niebieskimi oczkami i jasnymi włosami, że to niemieckie dzieci. I tata mi przykazał, żeby w smatce chodziła bo miałam takie jasne włosy i niebieskie oczy. I podobno na wschodzie dużo takich dzieci zabierali, ale u nas dzięki Bogu, nie. Dochodziły w nasze strony różne takie bajki, ale nie było ani gazety ani radia, i skąd my mieli wiedzieć czy to prawda czy nie.

Wujek Bogdanik był radnym i kazali mu wysłać 10 osób na roboty do Niemiec jak się zgodzą i pamiętam, że od Babiarczyków, Gabrielka i Maniek wyjechali, oni dwoje się zgodzili. No i uzbierało jakoś tych dziesięciu. Ludzie się złościли na niego, a przecież jemu



WSPÓLNE WYKOPKI PRZY KLASZTORZE

kazali Niemcy wynaleźć i wysłać. Stefan mój też był wysłany, miał 16 lat jak pojechał do Niemiec. Niektórzy mieli szczęście i odrabiali te roboty tutaj w Suchej, a resztę wywozili w głąb Niemiec. Jedni byli dobrzy Niemcy, a drudzy źli. Stefan nasz chwalił swoich Niemców, bo byli katolikami i nie robili mu krzywdy, kazali mu spać, odpocząć, dokładnie mu-



DOŻYNKI Z KOZAMI

siał wszystko robić ale go nie krzywdzili. Niektórzy byli tacy, co się znęcali. Stefan jechał długo z Niemiec, najpierw byli w takim obozie. Miał papiery Stefan, że był na robotach ale mu je ukradli razem z torbą, i ubraniami. Nie miał dokumentów i nie mógł się potem starać się o odszkodowanie.

OPRACOWAŁA: Anna Świątek

STANISŁAWA (ur. 1937 r.) I **EDWARD** (1933–2018 r.) **BASIURA**, OS. ZA BOREM

St. – Stanisława Basiura

E. – Edward Basiura

E. Mnie z wojny najmocniej utrwalił się fakt, że niewiele brakło a pozbyłbym się życia. Poszedłem do Kusia, miałem tam kolegę, Staszka, mojego rówieśnika. Przyszli tam też Niemcy, pogranicznicy, którzy często chodzili między domami i trochę handlowali z mieszkańcami. Tu kupili kurę, tam jajko, czasem przynieśli coś z Rzeszy. Ci Niemcy siedzieli w chałupie u Kusiów, karabiny postawili oparte o ławkę. A my, jak to chłopcy,



mieliśmy taką pukawkę, z której strzelało się korkami z lnu, postanowiliśmy postraszyć Niemców. Kolega strzelił z tej pukawki, korek odbił się od podłogi i pechowo trafił Niemca w oko. Niemiec wyjął chusteczkę, przyłożył do oka. Drugi wstał, wziął karabin i podszedł w naszą stronę. Pamiętam, trzymał karabin za lufę, kolbę oparł na progu i pyta: „Kto to zrobił”? Staszek w międzyczasie wlaź pod łóżko, zostałem sam. Mówię Niemcowi, że to nie ja, tylko ten, co uciekł pod łóżko. Babka wyciągnęła go spod łóżka i solidnie przy tych Niemcach złała po tyłku. Na szczęście ta kara ich usatysfakcjonowała. Niemiec powiedział mi tylko, że mam szczęście, że to nie ja strzelałem z pukawki, bo wtedy on też by strzelił. Kazał mi uciekać. Biegłem do domu przez pola ze strachem, że zaraz będę miał kulę w plecach. Od tego czasu bałem się Niemców jak ognia.

Z krowami to musieliśmy uciekać, żeby nam ich Niemcy nie zabrali. My Zza Boru najwięcej uciekaliśmy do Czerwonej Grapy, pod Spalenicą. Tam czekaliśmy, aż Niemcy przejdą. Kiedyś ojciec Staszka Toczka, po przejściu Niemców poszedł na Spalenicę i wołał: „Halo, chodźcie, już poszli!” Wszyscy mu mówili, żeby nie wołał tak głośno, bo Niemcy mogą być jeszcze blisko. Raz uciekliśmy z krowami do Grzechyńskiego Lasu. Tam, jeden mieszkaniec Kraisk miał w krzakach zrobioną budę, stajenkę, i w niej hodował świnię.

St. W czasie wojny była straszna bieda. Świni to w domu nie wolno było zabić. Mama kiedyś zabiła świnię, to mięso po kryjomu zaniósła do Bronka Na Bieskid, żeby nam przechował. Jego żona jak szliśmy po trawę z koszykiem, to rzucała nam potem mięso do ko-



ASYSTA PROCESYJNA W STROJACH

szyska po porcyjce. Przykrywaliśmy mięso trawą i nieśliśmy do domu. Z Bronkiem nasi rodzice się lubili. Nieraz, jak im gęś zniosła jajko, to nam, dzieciom, go dawali. Takie przechowanie mięsa możliwe było tylko u zaufanych ludzi. Ja miałam trochę lepiej, bo miałam dwie kuzynki, jedną na Stryśzawie a drugą w Suchej. Siostra mamy, Milka pracowała w Suchej służąc u różnych ludzi, więc czasem przynosiła jakieś ubrania dla nas.

E. Nie kupił do ubrania nic. Jeszcze jak ktoś miał swój len uprawiany koło domu, zaniósł go do Knopów (*tkacze pracujący na rę szatach tkackich – krosnach*) i mógł zamówić u niego płótno na ubrania. Mie-li u Makosia u Nastki taki warsztat. Głównym tkaczem na całą okolicę był taki Waler ze Swaliska. Pod grapą mieszkał też Cioper, który z Czechów nosił różne materiały na ubrania. Na moją pierwszą komunię w roku 1942 miałem uszyte ubranie z przemycone-go z Czechów koca. Ubranie uszył mi Albin Spyrka, którego później Niemcy zabili. Koca wystarczyło na marynarkę, spodnie miałem



ŻYWCAK ANNA W STROJU KOMUNIJNYM



PIERWSZA KOMUNIA ŚW. U ŻYWCZAKÓW

tylko pod kolana, bo materiału na dłuższe nogawki zabrakło. Cioper handlował nie tylko materiałami, ale wszystkim, na czym dało się zarobić.

St. Handlował też Pierog ze Spyrkówki. On musiał się ukrywać przed Niemcami, bo doniósł na niego późniejszy szwagier jego swatowej, Józef Janik, „Wdowiak”. Nawet był postrzelony przez Niemców. Tyle razy uciekał z domu, i w dzień, i w nocy. Podejrza-
ny był, że z partyzantami trzymał. Jak Niemcy przychodzili, to Franek uciekał z domu w potok, na Snozinę. A co Niemcy wyprawiali z Pierogulką. Na mróz, w koszuli wyciąga-
li ją na pole. Bili, chcąc wydostać informację, gdzie mąż ma kryjówkę. Pierog był odważ-
ny, ale nie patrzył na to, że Niemcy znęcają się nad żoną. Pierog Franek miał też broń. Kie-



KUNEGUNDA DAŃCZAK Z DZIEĆMI NA SANKACH

dyś, jako dziecko, pasłam krowy i zauważyłam w krzakach schowaną broń. Powiedziałam o tym tacie, który wiedział, czyja ta broń i poszedł do Pieroga: „Franek, rób co chcesz, ale musisz ten karabin lepiej schować, bo moje dziecko go znalazło”. Pierog zmienił schowek, nie mam pojęcia, gdzie zakopał broń, może do dziś tam leży. **(Opowieść uzupełniła pani Władysława Pierog, synowa Franciszka Pieroga. Teść został oskarżony przez Wdowiaka przed Niemcami o przemyt tytoniu i koni przez granicę. Niemcy co jakiś czas przychodzili po niego ale zawsze udawało mu się uciec. Uciekał przed obławą do lasu, miał zrobioną w domu podwójna podłogę ze skrytką, do której mógł wcisnąć się tylko na leżąco. Pomieszkiwał też u jednej albo drugiej siostry w Kalinie. Kiedyś, jak przechodził między domem jednej i drugiej siostry został zauważony przez przechodzący akurat z Wdowiakiem patrol niemiecki. Wdowiak zawołał: „Pierog, my cię dawno szukamy a ty tu!” Teść zaczął uciekać ale dostał postrzał w nogę. Rannego zabrali do Wadowic do lekarza, stamtąd udało mu się uciec i wrócić. Nacierpiała się też teściowa. Bita, wyzywana, maltretowana. Za któryś razem związali jej ręce i przywiązali do furmanki. Całą drogę do placówki na Salowym Brzegu w Stryśzawie musiała ze związanymi rękami biec za furmanką a tam dalej była maltretowana. Za te ciężkie przeżycia teść znienawidził Wdowiaka. Jak ten po wojnie przyszedł na Przysłop, od razu rzucił się bić go. Wdowiak mimo iż miał tu rodzinę, nie mógł przyjść w odwiedziny nie narażając się na pobicie).**

W czasie wojny działali też partyzanci. Wielu chłopaków uciekało przed wywózką na roboty do Niemiec, i ukrywało się w lasach. Jednym z nich był Piotr Lenart z Magurki. Wesele Mietka Z Zakamienia odbywało się u Maryniaka (nazwisko Gancarczyk) Pod Grapą. On miał dom pomiędzy obecnym domem Paciorków a domem Czeński Spod Grapy. Chałupę Za Kamieniem Mietek wybudował dopiero za Ruska. Na to wesele przyszli partyzanci z Pietrzkiem Lenartem. (Lenart chyba lubił wesela. „W zimie jest sporo czasu na urządzenie wesela... Wszystko przebiegało dobrze do czasu, gdy na potańcówce pojawił się ten „od Ciury” /Lenart/ z lasu i jeszcze ktoś inny. Tańczyli „z Niemcami”, to czemu nie mogą z dziewczynami na weselu? Doszło między chłopakami do marnej sprzeczki. „Ciurów” wbił do targa nóż myśliwski i zapowiedział, że ma być spokój, wesoło i porządek, a nie, to on się o to postara”. **Wspomnienia Ludwika Drwala. Józef Bogacz. Gdy Grzechynię dzieliła granica. Maków Podhalański 2015).** Ktoś, podobno chłop z Jaworskiego, doniósł Niemcom, że na weselu Mietka byli partyzanci i już na drugi dzień Niemcy byli u nich, zabrali Albina i Julka, zaprowadzili ich do Suchej i tam zastrzelili.



POD GRAPĄ

E. Prawdziwych partyzantów to u nas nie było. Były chłopcy z Przysłopia, które kryły się przed Niemcami, ale z partyzantką nie mieli wiele wspólnego. Prawdziwym partyzantem to był Staszek Sołtys Zza Lasu (*W samej Grzechyni ukrywało się kilku mężczyzn ściganych przez Gestapo i gotowych na wszystko. Z nich powstał załóżek oddziału bojowego... trzeci – „Sołtysik pochodzący z Grzechyni lub z Zawoi – fragment zapisków Wenancjusza Zycha-ps. „Szary” i „Dziadek”. Józef Bogacz. Gdy Grzechynię dzieliła granica. Maków Podhalański 2015*), (*Podchodzili czujnie, jak lisy ku domom... Marian Janiczak, Stefan Bańdura, Michoń, Staszek z Zalasus... Stach był przystojny, chłop na schwał. Mówiliśmy, że nie*



KRYSTYNA CIUŁA Z MŁODZIEŻĄ

sie pierwszej. Nieraz widziałem, jak nocami, przez okno izby, w której mieszkał pan Tutaj, wchodzili partyzanci. Co tam było, nie wiem. Ojciec musiał wiedzieć, ale nie wolno było powiedzieć ani matce, a mnie tym bardziej, bo ja dzieckiem byłem. Jak ten nauczyciel gdzieś pojechał, nie wiem dokąd, przyszli Niemcy. Nie specjalnie do nas, tylko całe obejście sprawdzali. Izba nauczyciela była zamknięta. Niemcy pytają, co tam jest. Ojciec im wytłumaczył, kto tam mieszka. Chcieli rozwalić kolbami drzwi, ale tata ich uprosił, żeby tego nie robili. Przyniósł jakieś dłutko, odkręcił zawiasy i Niemcy weszli. Patrzą, a na łóżku zostawiona jest jakaś mapa. Tata mówi, że on o niczym nie ma pojęcia. Ale ta mapa chyba nie miała żadnego znaczenia, bo nic mu nie zrobili. O nocnych odwiedzinach nikt Niemcom nic nie mówił. Ten nauczyciel poszedł później do Grzechyni, a nas uczyła pani Pawłowska.

potrzebuje strzelać, na sam jego widok będą Niemcy uciekać. Było na kogo popatrzeć, gdy szli na akcję. Pewnego razu późnym wieczorem weszli do naszego domu. W jednej chwili dość obszerna izba i sień zapełniła się „chłoptwem”. Nie jakimś tam chłopstwem, tylko żołnierzami w polskich mundurach z naszytymi srebrnymi jodełkami i orzełkami na czapkach. Polskie wojsko! Stach z Zalasus prawie że sięgał głową tragarza, na którym była wyciosana rozeta i inicjały IHS oraz rok 1845. – Tu była granica. Wspomnienia z lat okupacji 1939-1945. Ludwik Drwał. – Józef Bogacz. Gdy Grzechynię dzieliła granica. Maków Podhalański 2015). Prawdziwym partyzantem był też Józek Bałos, kowal Spod Grapy w Grzechyni, swat Antka Paciorka. Działał też chyba w konspiracji nauczyciel, co u nas w czasie wojny mieszkał, nazywał się Tutaj, imienia nie pamiętam. On nastał na Przysłopiu jak zaczęła się wojna. Mnie uczył w szkole w kla-



POGRZEB NAUCZYCIELKI KRYSZTYNY BASIURA (CIUŁA)

O placówce u Błażka Biłki wiem doskonale, bo wszyscy wiedzą, że tam była. Druga placówka była tylko na czas kopania okopów, ale ona nie była na Bieskidzie, tylko u Basiurów u Kobieli. Stary dom Basiurów stał nad domem Florki, nie tam, gdzie teraz mają dom. Tam, gdzie jest nowy dom Basiurów, były dwa bunkry. W jednym mieli magazyn a w drugim mieszkali. Od tamtej placówki były porożnięte kable, do Stryzawy, a czy do placówki u Biłki były, to nie wiem. A ci kabociarze to byli nadzorcy, co pilnowali ludzi pracujących przy okopach. Staszek Basiura miał pasierbicę, Nastkę, do której chodził taki chłopak z Suchej od Listwana, Stefan. On też chodził w lasy, ale o jakichś wielkich jego wyczynach wojennych to myśmy nic nie słyszeli.

St. Mój tata chodził na wartę. Wyznaczani byli mieszkańcy Spyrkówki, Janików i innych osiedli położonych w Rzeszy, których zadaniem było pilnowanie zabudowań u Kwa-ka, gdzie mieszkali bauery (*osadnicy niemieccy*), żeby ich nikt nie spalił albo nie okradł. Pilnowali też leśniczówki na Strzelcówce i leśniczego Bendasa. Pewnej nocy, gdy tata miał wartę z Tadkiem Pindelskim, przyszedli po nich Niemcy i kazali pójść za sobą, żeby pomogli przenieść bandytę. Zaprowadzili ich pod kostnicę na Stryzawie. Okazało się, że tym „bandytą” był Emil Dańczak z Kiecki, który niósł jakieś cebrzyki na sprzedaż i natknął się na niemiecki patrol. On był na liście niemieckiej, bo doniósł na niego chłop z Jaworskiego, więc go zastrzelili. Tata opowiadał, że miał przestrelony bok, jak poruszył jego ręką, było słychać chłupot krwi i chrzęst kości. Przenieśli go razem z Tadkiem z wozu do kostnicy. Tam leży na cmentarzu. Zabili też Emila od Poldkuli (*Vide – relacja Franciszka Kudzi*).



KUNEGUNDA DAŃCZAK Z KLASĄ PRZED DOMEM BASIURÓW

E. W Zawoi, która leżała w Guberni, też chodziły takie warty. One miały za zadanie ostrzegać przed pożarem, ale też wyłapywać ludzi, którzy się ukrywali przed wywózką do Niemiec. Jedni z tych zagrożonych uciekali do lasu i tam zostawali, inni zostawa-



KOMUNIA

li w domu, wcześniej przygotowywali sobie kryjówki, w których się chowali w razie nalotu Niemców. Ci wartownicy też różnie postępowali. Byli tacy, co szli na wartę i chcieli jak najmniej widzieć, byli też gorliwcy, którzy swoje zadania wykonywali chętnie. Marian Babiarczyk, który służył u gajowego na Polanie, też ukrywał się przed wywózką. Kiedyś zimą, (luty 1942 r.) uciekł na bosaka, w koszuli do lasu. Jeden z naszych wartowników, sąsiad Zza Boru, pobiegł za nim, złapał go i na plecach zaniósł Niemcom. Na wiosnę sąsiedzi, mój tata, Bronek z Bieskida i inni, spotkawszy go w kuźni u Osysioka (*Kudzia od Warciaków*), wypominali mu, że skoro jest taki gorliwy,

to mógł swoje dziecko zanieść Niemcom. Ten opisał całe zdarzenie i przekazał list do przeniesienia Władkowi od Weronki (*Basiura ze Spyrkówki*), wyznaczonemu na kolejną wartę, żeby zaniósł Niemcom. Szczęściem Władek, nieświadomy listonosz, przed wartą wstąpił do nas po tatę, z którym miał pełnić wartę. Wyciągał z kieszeni chusteczkę i przy tym na podłogę spadł

list przeznaczony dla Niemców. Mama kartkę zręcznie kopnęła pod łóżko i po wyjściu Władka przekonaliśmy się, że kartka, to był donos na sąsiadów.

St. Kiedyś paśliśmy krowy z Tadkiem, kuzynem, który mieszkał u nas, bo ciotka miała dziewięcioro dzieci i straszną biedę, więc oddała Tadka do swojej siostry. Bawiliśmy się przy tych krowach w wesele. W pewnej chwili z lasu wyszli Niemcy i idą prosto na nas. Tadiusz schował się za kępę ale Niemiec podszedł po niego, złapał za kark i potrząsał jak kociaka. Przystawił mu broń i chce strzelać, że niby Tadek uciekał przed nimi. Tadek prosił: „Panie, nie!” i na szczęście skończyło się na policzku tak mocnym, że zalał się krwią.

Stryk Wojtek Polak to też się strasznie ucierpiał od Niemców. On, jak się już ożenił z Wiktą, okazało się, że nie w smak było to jego szwagrowi Poldkowi Knapczykowi z Kamiennego, który obawiał się, że gospodarka u Kowaliczka na Stryszawie nie przypadnie w całości dla niego. Poldek napisał do Niemców donos na Wojtkę i na Pietrzka Świerkosza od Kowaliczka, brata Wikty. W tym donosie nie napisał żadnej prawdy. Wojtek prosił go, żeby zmienił zeznania, bo tam jest nieprawda, ale nic to nie pomogło. Zabrali Niemcy Wojtkę i Pietrzka na placówkę na Stryszawie, przy granicy z Suchą, i tam ich strasznie bili, za paznokcie wbijali igły, głowę wkładali do fekaliiów. Jak Wojtek wrócił, był cały spuchnięty, skóra z uszu zeszała mu chyba z siedem razy. Nie dziwota, że potem tak młodo umarł. Pietrek Świerkosz już z placówki nie wrócił. Coś tam Niemcy na niego mieli, więc go zastrzelili. (*Świerkosz Piotr, ur. 14.3.1922, poszukiwany za ucieczkę z obozu pracy,*



SCENA Z MISTERIUM AUTORSTWA BERNARDA SMYRAKA



POLAK WOJCIECH



WIKTORIA I WOJCIECH POLAK. SIĘŁA ROBOCZA
DLA NIEMCÓW

zastrzelony w grudniu 1944 przez policję w Suchej. – **Straty osobowe. Druga wojna światowa pod Babią Górą.** Kraków-Zawoja 2011). Wojtek z Wiktyą byli też w Niemczech na robotach. Oni wyjechali na roboty dobrowolnie, mogli z nich wrócić. Skorzystali z tej możliwości, wrócili, wzięli ślub i tu mieszkali do śmierci. Pamiętam ich wesele. Było bardzo biedne. Parę kołaczy, muzyka i to wszystko. Najstarszy ich syn, Franek, który urodził się jeszcze przed ślubem, przed wojną i przed wyjazdem Wikty i Wojtka do Niemiec, mieszkał cały czas u Kowaliczka, skąd pochodziła Wikta. On tak się przyzwyczaił do Kowaliczków, że nie chciał mieszkać na Spyrkówce. Ile się oni z nim namęczyli. Szkoła po wojnie była u Błażka Biłki, pierwsza klasa. Co Franka do niej zaprowadzili, on po szkole uciekał do Kowaliczka. Niewiele brakowało, żeby śmierć dopadła Wojtka jeszcze w czasie wojny. Na dobrowolnych robotach

był też Mikołajczyk od Maliny. Kiedyś wrócił z robót i już nie chciał tam wracać. Tak załatwił, że podał za siebie sąsiada, Pietrzka, który miał pięć córek. Pietrek pojechał, a Mikołajczyk został. (*Vide – relacja Józefa Smyraka*).

Na Spyrkówce było też niebezpieczne zdarzenie. Partyzanci przewozili broń, natknęli się na niemiecki patrol przy granicy Rzeszy. Ja byłam na polu, mama doła krowy. Usłyszała strzały i mówi: „Te bestyje, wiedzą, że Niemcy pilnują dziś mocniej, a oni idą przez granicę”. Myślała, że to mieszkańcy Spyrkówki przechodzą przez granicę na odpust do Zawoi, a to już trwała potyczka z partyzantami. Widziałam, jak postrzelony Niemiec leżał i kopał nogami a partyzanci zdejmowali jego buty. Potem tata i stryk Wojtek pomagali załadować zabitych Niemców na wóz. My później uciekliśmy do Balcera na Stryszawę, stryk Wojtek Polak z Wiktyą i dziećmi uciekli do Kowaliczka. Została tylko ciotka Milka i ona opowiedziała nam, jak to dalej było. Ciotka Milka pracowała w Niemczech i znała trochę język niemiecki. W strzelaninie partyzanci zabili dwóch Niemców, trzeci uciekł przez potoki do Stryszawy, czwarty, dowódca patrolu wpadł do naszego domu. Milka schowała go pod łóżko i to uratowało Spyrkówkę. Mieszkańcy ustawieni zostali do rozstrzelania i wtedy ten Niemiec, którego schowała ciotka, wziął nas w obronę. Powiedział, że Spyrkowianie nie mieli nic wspólnego ze strzelaniną, że są niewinni.

E. Później partyzanci z tymi wozami pojechali do Bartoszki, tam się droga skończyła, więc zawrócili i pojechali galopem w stronę Bielasów. Za Bielasami, nad Snozą, jest taki

lasek i w nim partyzanci się schowali. Niemcy jak szukali partyzantów, szli tyralierą i przeczesywali okolicę. Oni na pewno widzieli partyzantów, a partyzanci ich, ale nikt nie strzelił, bo wszyscy chcieli żyć. W trakcie obławy Niemcy zabili niewinnego chłopca z Działu grzechyńskiego, Kudzię, który przyjechał akurat z lasu i był Niemcom podejrzany. (Niedaleko własnego domu zastrzelony został w wyniku fatalnego zbiegu okoliczności Antoni Kudzia z Działu. Partyzanckie ugrupowanie „Chełm” Tadeusza Mazurkiewicza odebrało w rejonie Zachęlmnej zrzut broni przeznaczony dla partyzantów w Suchej. Ponieważ punkt docelowy był w Rzeszy, przewieziono broń do Makowa, następnie na Drwałówkę w Grzechyni, by przerzucić przez granicę. W swoich wspomnieniach Ludwik Drwał opowiada, jak przywieziono do nich tę broń o świcie, przechowano w wiatraku Andrzeja Drwala do nocy i jak pomagał wynieść ją

gdzieś do lasu. Nie wie skąd przybyła i gdzie trafiła. Otóż broń tą wieziono z Makowa furmanką i od szkoły w Grzechyni, ze względu na stromy podjazd, potrzebny był do pomocy drugi koń. Pomógł więc Antoni Kudzia od Walków. Wyprowadził konia i wyciągnęli załadowany bronią wóz do Chyrbika przy osiedlu Polana. Po kilku godzinach oczekiwania zwrócono mu konia. Wiedział, że wiezie broń. Nie wiedział skąd, gdzie i dla kogo. Wracając do domu natknął się na tak zwaną wartę. Był taki obowiązek w czasie wojny, a i później, że codziennie wieczorem i w nocy pilnowali dwójkami mieszkańcy Grzechyni swoich domów. Głównie przed pożarem. Niemcy mieli informację o zrzucie i starali się go przejąć. Szli tropem partyzantów, a gdy dotarli do Grzechyni, od uczestników wartowniczego patrolu dowiedzieli się, kto nocą pomagał w transporcie broni gdzieś do lasu. Ukrył się Antoni Kudzia od Walków, gdyż wiedział już, na co się zanosí, ale jego sąsiadem był także Antoni Kudzia, tyle że od Kachnica, a ten o całym zdarzeniu nic nie wiedział. Wybrał się, z będącym jeszcze małym dzieckiem synem, do lasu po drewno i natknął się na tropiących transport broni Niemców. Schwytali, w ich mniemaniu, poszukiwanego Antoniego Kudzię, a ponieważ nie chciał zdradzić szczegółów nocnej wyprawy, o której przecież nic nie wiedział, mocno go bili. Zerwał się do ucieczki w las, ale na oczach dziecka i sąsiadki najpierw pojedynczym strzałem trafił go będący przewodnikiem Niemców leśniczy ze Stryszawy, a poprawił serią Niemiec. Kiedy odkryto pomyłkę i przyszli Niemcy po właściwego Antoniego Kudzię, rodzina tłumaczyła, że do pomocy został zmuszony przez partyzantów, poszedł więc ochoczo do Makowa zameldować o tym fak-



DROGA PRZESPYRKÓWKĘ

cie niemieckiej żandarmerii, ale gdzieś zaginął. Ukrywał się już do końca wojny. **Józef Bogacz. Gdy Grzechynię dzieliła granica. Maków Podhalański 2015).** (najprawdopodobniej był to zasobnik, który partyzanci „Boruty” odebrali w trakcie przejmowania zrządu oddziałowi „Garbnik”. J. Ż.)

St. Granica Rzeszy i Guberni przebiegała zaraz za płotem Anny i Franciszka Świerkoszów ze Spyrkówki. Strażnicy graniczni, którzy częściej patrolowali granicę w tym rejonie znali się z nimi doskonale. Świerkosz nawet zrobił pod płotem ławeczkę, na której nieraz „grenszuze” odpoczywali obserwując odkryty odcinek granicy. Nie przeszkodziło to Niemcom wsadzić Świerkoszki do więzienia. Na prośbę jednego z Niemców kupiła ona gęś, chyba u Tekli Morawy, a więc za granicą. Jak niosła gęś do domu, złapał ją inny patrol. Gęś odebrali, już bez płacenia, a Świerkoszkę wsadzili do Wadowic do więzienia. Po stronie stryszawskiej, pod Bieskidem były też w czasie wojny wybudowane dwa bunkry. Były one zbudowane z drewna i obsypane ziemią. Nie przydały się Niemcom wcale, bo Rosjanie tak szybko szli naprzód, że obrona stała się niemożliwa. Po wojnie te bunkry rozbierał mój tata i stryż Wojtek rozebrali je, bo na ich budowę Niemcy użyli bardzo ładnego drewna, które mogło się przydać na bednarkę czy inne roboty w gospodarce. Drzewa powyciągali a ziemia sama się zapadła.

E. Kiedyś w nocy, latem przyszli do nas partyzanci. Nie pamiętam ilu ich było. Zastukali do drzwi, obudzili ojca i poprosili, żeby ich wpuścić do domu i dać się napić. Opowiadali, że wracają spod Drwałowej Góry, gdzie rozbili colant, wszystkich Niemców rozebrali do kaleson, dali im po rzyci i wypuścili. Jak już od nas wychodzili, obiecali ta-



DOŻYNKI Z O. REMIGIUSZEM.



RODZINA POLAKÓW POD DOMEM U KUBOSKA

cie, że w podzięce za poczęstunek po wojnie przyprowadzą kilku Niemców, którzy będą u nas służyć. *(Celem wzmocnienia kontroli na granicy, Niemcy pod koniec wojny wybudowali małą strażnicę u stóp stoku naszego Drwalowa na tzw. Dolinie. Mieszkało tam kilku strażników. Jednej sierpniowej nocy przyszli partyzanci. Zabrali im karabiny, koce i jak to się mówi, nakopali do szmat. Tylko, bo za zabicie choćby jednego Niemca, zginęłoby kilku lub więcej niewinnych ludzi z okolicy. – Tu była granica. Wspomnienia z lat okupacji 1939-1945. Ludwik Drwal. – Józef Bogacz. Gdy Grzechyńię dzieliła granica. Maków Podhalański 2015).*

St. Nasza rodzina, która już się trochę rozrosła, nosi przezwisko „Kuboski”. Wzięło się to od imienia mojego pradziadka – Jakuba Spyрки. Miał żonę Salomeę, mieszkali na Spyrkówce mniej więcej w środku pomiędzy starym domem Pierogów a nowym Zachurów. Pradziadek ten, wysoki, postawny, miał siwe, długie aż do połowy pleców włosy. Dorabiał sobie do gospodarki w sposób bardzo ekologiczny. Wyrabiał sok z jagód jałowcowych, wlewał go do niewielkiej beczułki, którą na specjalnie uplecionym z korzeni świerka nosidełku dźwigał aż w okolice Krakowa, do Wieliczki, gdzie sprzedawał odmierzając mniejszym skopcem. Do Krakowa szedł boso, tam czekały na niego panie chętne na sok. Dziadek mój, Wicek pochodził z Polany Grzechyńskiej. Przyszedł na Spyrkówkę, ożenił się z jedynaczką, Marysią Spyrką. Tego dziadka bardzo lubiłam. On pasając ze mną krowy, uczył mnie wszystkiego – od pacierza, przez piosenki, do mądrości życiowych. Z czasów, kiedy go pamiętam, chodził już o lasce, był bardzo lubiany przez dzieci. Wspominam dziadka, bo chcę opowiedzieć, jaka była w tamtych przedwojennych czasach bieda w naszych stronach. Chciał kiedyś dobrze pojeść przed weselem, bo wybierał się na Carchlę potańczyć. Kiedyś na wesela mogli też wejść nieproszeni goście, ale oni mogli tylko potańczyć, nie mieli wstępu za stół. Więc dziadek chciał solidnie pojeść. A że mąki owsianej



NAUCZYCIELKA IRENA NAŁUDKA Z SYNAMI

było mało na porządną porcję kulasy, domieszał do niej trocin bukowych i w ten sposób napełnił żołądek. Po weselu wracał do domu, napił się po drodze wody i tak zasnął po tym posiłku, że ustał w lesie. Dobrze, że go znaleźli koledzy, bo może by już tam został na amen. Dziadek miał też w swoim życiu epizod amerykański. Pojechał za wielką wodę, chciał zarobić grosza na budowę domu, ale coś mu tam nie pasowało, więc wrócił po pół roku. Wybudował się i bez Ameryki.

My ze Spyrkówki, z ówczesnej Rzeszy chodziliśmy do szkoły na Kamienne do Stryszawy. Ja tam chodziłam tylko pół roku, później Rzesza się skończyła. Pani Pawłowska, która uczyła w tym czasie w szkole na Przysłopiu i która niejednokrotnie przechodziła nielegalnie przez granicę, żeby dojść do Krzeszowa, skąd pochodziła, mówiła nam, że wojna już niedługo się

skończy i będziemy chodzić do szkoły na Przysłopiu a ona będzie nas uczyć. I rzeczywiście, później uczyliśmy się na miejscu.

E. Ja do klasy piątej chodziłem na Przysłopiu, potem robiłem klasę szóstą i siódmą w Zawoi Centrum. Uczył nas pan Tutaj, później pani Pawłowska a po wojnie przyszła pani Nałudka. Przyszła do nas z Zawoi Fujacy a ogólnie pochodziła gdzieś z Ukrainy. Nie raz opowiadała nam o wielkiej biedzie, jaką przeżyła w czasie wojny. Miała dwóch synów, strasznych łobuzów.

St. Rosjanie jak już do nas przyszli, to się przekonaliśmy, że są jeszcze gorsi od Niemców. Wchodzili bez pytania do domów, grzebali wszędzie. Jak pytaliśmy, czego chcą, to odpowiadali albo „smotrać” albo „germanca” a chodziło im tylko o gorzałkę. Tylko w głowie im było picie i dziewczyny. Dziewczyny musiały się chować, uciekać

E. Ojciec Bernard planował przy budowie kościoła wybudować tunel biegnący poziomo od kościoła aż do okolic obecnej siódmej stacji drogi krzyżowej, tak, żeby idąc do i z kościoła nie trzeba było wychodzić pod górę i schodzić w dół. W tunelu miała zostać zbudowana grotta Matki Bożej. Pierwsze msze święte były odprawiane w kaplicy, ojciec Bernard był w środku a wierni na zewnątrz. Potem w roku 1946 zaczęła się budowa kościoła z drzewa. Pomagali wszyscy, starsi, młodszy, dzieci. Wreszcie otwierała się możliwość, że będzie bliżej do kościoła.

St. Ojciec Bernard bardzo przyciągał do siebie młodzież. Ogniska, przedstawienia, skecze, wycieczki. Tyle było rozrywk, ile zorganizował ojciec Bernard. Scenariusze do



FRANCISZEK GAZDA Z UCZNIAMI, ROK 1938

skeczów pisał Paleczny Zza Lasu, ojciec Staszka. Pisał on co mu się tylko umyślało, ojciec Bernard wszystko akceptował. Franek Polak obraził się kiedyś na mnie bardzo. Mieliśmy grać w jasełkach. Franek pastuszka a ja króla Heroda. Pokłóciliśmy się tak, że doszło do rękoczynów i Franek stwierdził, że już w żadnym przedstawieniu nie weźmie udziału. Ojciec Bernard go prosił, ja przeprosiłam chyba ze sto razy i nic.

E. Ja byłem bibliotekarzem, prowadziłem punkt biblioteczny. Jeździłem czasami załatwiać sprawy związane z biblioteką do Suchej, Wadowic itp. Ojciec Bernard prosił mnie niejednokrotnie o przywiezienie wina mszalnego. Podjeżdżałem do klasztoru w Wadowicach, na górkę, dostawałem tam karton wina dla ojca Bernarda. Jeździłem po to wino chętnie, bo nieraz za przysługę otrzymywałem butelkę dobrego wina. Wozilem też komunikanty. Jak pisałem sprawozdania z biblioteki, umieszczałem w nich przedstawienia organizowane Za Kamieniem. Zmieniał się tylko w sprawozdaniu temat, tytuł i treść przedstawienia. W powiecie cieszyli się, że na Przysłopię wysławia się socjalizm a tu wysławiano Boga. Jak w 1951 roku rozpoczęła się budowa drogi krzyżowej, rysowałem plany sześciu kaplic. Ojciec Bernard wytłumaczył, jak to ma wyglądać, a ja tworzyłem.

St. Ojciec Bernard zebrał młodzież do nauki śpiewania jutrzni. Było to w Wigilię Bożego Narodzenia Wyszedł ojciec na chwilę, wraca i mówi, że pokazała mu się zjawia ciotki Marii Bielas, tej, która ofiarowała grunt pod budowę kościoła. Ojciec Bernard idzie za zjawą i pyta: „Czego dusza potrzebuje?” Zjawia nic, idzie tylko w stronę groty i tam zniknęła. Ojciec wrócił do klasztoru i mówi: „Jak głupie, to niech ucieka”. Gdy nam opowiedział to zdarzenie, wszyscy wyskoczyliśmy na łóżka, baliśmy się, że spod łóżka wyjdzie zjawia. Misterium autorstwa ojca Bernarda przedstawialiśmy najpierw na zewnątrz

kościół, jak już były wybudowane kaplice, to poszczególne sceny były przedstawiane przy nich. Ciężko się przedstawiało w tych strojach, po trawie, po krzakach, przy świetle pochodni wykonanych z patyków i żywicy z drzew umocowanych na końcach patyków. Wojtek Polak grał rolę apostoła. Rozgrzana żywica z jego pochodni spadła Mikołajczykowi na kark. Wojtek zaraz usłyszał: „Ty... aposto-



SCENA Z MISTERIUM MĘKI PAŃSKIEJ

le. Żeby nie te święte szaty, to bym ci pokazał”. Edkowi, który grał Judasza, też ktoś kapnął żywicy na kark. Oparzony skoczył do przodu, uderzył głową w głowę mamy Gienki ze Solniska. Ta zaraz na niego wrzasnęła: „Ty Judosie, jak cię trzepnę to nie wstaniesz”. Mikołajczyk grał Piotra apostoła, miał założoną dużą brodę z pakuł. Na wierzchu góry kalwaryjskiej broda mu się zapaliła, na szczęście zdążył ją zerwać.

Po jakimś czasie Misterium przeniosło się na balkon nowego kościoła. Aktorzy poruszali się na balkonie jak na scenie a widownia siedziała przed kościołem na trawie, w lesie. Nieraz palili ogniska, nie patrzyli na Misterium tylko przeszkadzali. W końcu ojciec Józef przeniósł całą scenę i widownię do kościoła. Teraz łatwiej się gra, wszyscy są pod dachem, nie trzeba się nachodzić. Fajnie też, że dopisane zostały dodatkowe sceny, które poprzedzają Mękę Pańską.

OPRACOWANIE I PRZYPISY: Jan Żurek

EUGENIUSZ ZAJDA

OS. BIELASY (ur. 1934 r.)

Z samego początku wojny pamiętam, jak kopaliśmy z mamą ziemniaki, leciał samolot i mama kazała mi położyć się w rzędki, żeby nas nie ostrzelał. Wiem też, że tata i kilku sąsiadów otrzymało karty powołania, poszli do WKU ale tam nic nie działało. Zanim doszli do punktu zbornego, Niemcy zajęli już od Czechów i zajęli wszystko. Tata wrócił do domu po trzech dniach.

Niemcy zabrali nam krowę. Musieliśmy zaprowadzić ją ku szkole w Grzechyni, tam te krowy bili. Po torach z Suchej do Makowa jeździła niemiecka tankieta, pociąg pancerny. Zabite krowy ładowali do tej tankiety.

Później myśmy się już nauczyli i żeby nie oddawać krów, uciekaliśmy z nimi do lasu. Nawet ze świniami uciekaliśmy. Jak tylko Niemcy pojawili się w Gołyni, to u nas, chociaż nie mieliśmy telefonów, zaraz roznosiła się wiadomość, że idą i wtedy braliśmy bydło i świnię i w las. Tak było zegrane, że ludziom chciało się pomagać innym. Nie pamiętam,



NA FESTYNACH RZADKO MIEWALIŚMY DOBRĄ POGODĘ

żeby u nas był ktoś, kto donosiłby Niemcom. Czasem podchodził tu taki Widuch ale to był obcy i on był więcej głupi niż mądry (*vide – relacja Wincentego Żurka*). Niemcy bali się do lasu wchodzić. W potoku trzymaliśmy konia, krowy. One tam były i latem i zimą. Zdawało się, że jak szliśmy z sianem w zimie do potoka, to Niemcy nas wypatrzyli i strzelali. Na szczęście skończyło się na strachu. Mieliśmy też w izdebce schowaną krowę za okockami. Wszystkie młynki do mielenia zboża chcieli nam zabrać. Ludzie chowali je pod słomą, pod liśćmi do ścielania, nocą wyjmowali, zrobili trochę mąki na kulasę albo jakiego placka i znów chowali. Za tymi młynkami chodzili żandarmi z Zawoi, gdzieś z góry. A pod koniec wojny powstały tu jeszcze placówki związane z kopaniem okopów. Była Za Lasem, na Przysłopiu dwie. Oni mieli porozciągane druty telefoniczne od Zalasus, ponad Gołynię na Przysłop. Placówka Za Lasem u Koczura została rozbrojona. Pozabierali kocy, ale tam był jeden gestapowiec, który nie chciał się poddać, tylko strzelił z pistoletu i trafił Szpaka z Malikowa z Grzechyni. Potem ciało Szpaka, nie mogąc go zabrać z sobą, trzymali u Ludwika Chowaniaka, Józkowego ojca pod okockami. (*vide – relacja Aleksandra Biłki*). (*Szpak Ludwik ur. 3.1.1902, zam Grzechynia 98, zginął 25.1.1945 w czasie akcji na Niemców obsadzających pozycję obronną. -Straty osobowe. Druga wojna światowa pod Babią Górą. Księga strat. Kraków-Zawoja 2011*). Koczur pod koniec wojny poszedł na Stryżawę do bauerów, żeby ukraść im krowę w miejsce tych, które Niemcy mu zabrali. Udało mu się ukraść, był wtedy taki mrozek na ziemi. Koczur nie szedł z krową tu, przez Bielasy, tylko przez las, koło Polany Grzechyńskiej. Za jego śladami poszli gestapowcy. Doszli do Polany, wzięli chłopów z sobą, takich Polaków, w bosu ich prowadzili jako zakładników. Doszli do Koczura, krowę odebrali ale Koczura nie złapali. Miał w stajni wykopaną dziurę, położył się w niej, przykrył deską a żona, Hanka, gnojem przyrzuciła deskę. Po-



W OCZEKIWANIU NA PROCESJĘ

zbierali jeszcze chłopów Zza Lasu, ale ich wypuścili. Nie poszczęściło się zaś dwóm innym młodym mieszkańcom. Jeden Spod Grapy w Grzechyni, Staszek Bałos, kowal (?-Bałos Stanisław-ur. 1926 r., zamordowany w Auschwitz -**Monografia Grzechyni. Grzechynia 2012**). i taki Lwowiak spokrewniony z Liszkami, który uciekł z Ukrainy przed Rosjanami. Zabrali ich do Suchej na zamek i tam zastrzelili.

Do szkoły w Grzechyni od Makowa dociągnięta była kolejka. Wozili nią Niemcy żwir do budowy bunkrów na Ostrej Górze. Kolejka ta nie nadążała z wożeniem, więc gospodarze z końmi musieli pomagać. Mieszkańcy od Bielasa mieli wyznaczone dwa tygodnie do wożenia tego żwiru.

W lesie pod nami, w potoku, ukrywali się przez jakiś czas Cyganie. Przychodzili czasami wieczorem, nawet ich nocowaliśmy. Nie mieli butów,

nogi mieli poowijane onucami i szmatami. Mama dała jednej Cygance buty gumowe, ale ta nie chciała, stwierdziła, że są za ciężkie i trudno będzie w nich uciekać..

Spali też u nas partyzanci. Nie pytali czy można, tylko wchodzili. Wyszli na strych do słomy, rano dobrali się do ziemniaków gotowanych dla świń ołupili je, zjedli i poszli. Ale była to zima, ślady po nich zostały, więc mama wyganiała mnie na pole z sankami, żebym te ślady zajeździł. Byli u nas złodzieje, którzy podawali się za partyzantów. Był taki Karkoś, był Rak od Bartyzela, Jędrzek Śpikowiak, którego później zastrzelili. W drugiej bandzie był Lenart Pietrek. On chodził kraść na Orawę. Po wojnie Orawcy go dopadli i tak dobili, że już się nie wylizał.

Był tu prawdziwy i sprawiedliwy partyzant. Staszek Sołtys. (*vide – relacja Stanisławy i Edwarda Basiurów*). On miał nazwisko Dyrzc ale nazywali go Sołtys. Do dziś nazywa się tam Do Sołtysa. Jego pseudonim partyzancki to „Sołtys” albo „Sokół”. Jak mieszkańcy poszli do niego poskarżyć się na te bandy, on zaraz zaczął działać. Karkosiowi udało się ukryć przed partyzantami, Raka dopadli. Nie zastrzelił go osobiście Staszek, ale miał przecież swoich ludzi. On nieraz u nas nocował, lubili się z tatą za dużo nie mówił, bo to wtedy było niezdrowe. Po wojnie ożenił się na Skawicy, był leśnym na Suchej Górze, był też myśliwym, miał strzelbę, nawet nie jedną. Nawet ja, jako chłopak nieraz chodziłem z nim na nagonki. Po jakimś czasie zamknęli go i przesłuchiwali za Armię Krajową, jak go wypuścili, przeprowadził się na zachód i tam był leśniczym.

Sądny dzień to nastał tu, jak na Spyrkówce była strzelanina, w której zabili Niemców. Rano, w święto Matki Boskiej Anielskiej, poszedłem do Bartunka, tam przyszedł sąsiad, który umiał strzyć włosy. Rodzice posłali mnie, żebym się ostrzygł, bo miałem iść z mamą



KUMOSKI NA DRODZE



DOKUMENTY HIPOTECZNE Z LAT 1910-1921.

na odpust. Widziałem przez okno, jak jechali partyzanci na furmankach. Nie wiem, ile tych furmanek było, na pewno więcej niż jedna. Oni tylko nam pokazali, żebyśmy nic nie mówili i pojechali w stronę Zalaszu. Dowiedziałem się potem, że siedzieli w lesie nad Snozą. Myśmy później poszli na odpust do Zawoi a jak wróciliśmy, to od razu z krowami uciekliśmy do potoka. Niemcy biegali pomiędzy chałupy, dobijali się do okien. U Kozinów akurat padł koń. Chłopy w stodole ściągali z niego skórę. Niemcy wpadli do stodoły, wykładali ich i zabrali jako żywe tarcze z sobą. Poszli przez Snozę, i Spod Grapy do Dejowego Potoka. Na szczęście minęli się z partyzantami. Na Dziele chwycili niewinnego chłopca i tam go zastrzelili (*vide – relacja Stanisławy i Edwarda Basiurów*).

Jak były w 44. roku kopane okopy, to od Matki Boskiej Zielnej tata już codziennie aż do zimy chodził kopać. Ja parę razy też byłem pomagać. Tam byli nadzorcy, którzy pilnowali i zapisywali ilość dniówek. Nazywaliśmy ich Żółci od koloru mundurów (*vide – relacja Wincentego Żurka*). Były też zasieki. Jak szliśmy do kościoła, to poniżej obecnego domu Zygmunta Chowaniaka były kozły z drutem kolczastym, pilnowali ich Niemcy i sprawdzali, kto i po co idzie (*vide – relacja Genowefy Chowaniak ze Świniarki - Nowego Osiedla*).

W 1945 roku zimą patrzyliśmy z sąsiadami, jak Rosjanie zdobywają Maków. Z Makowskiej Góry szli na Maków. (*Wyzwolenie Makowa i okolic przyszło od strony Budzowa i Jachówki w styczniu 1945 roku, a nie tak jak zakładali Niemcy, od strony Jordanowa... Na przeszkodzie w dalszym marszu Armii Radzieckiej stanęła Makowska Góra. Hitlerowcy, widząc nieprzydatność okopów poprzednio wykopanych, pośpiesznie wykopali prowizoryczne okopy z takim usytuowaniem, aby mieć pod ostrzałem całą Makowską Górę, skąd nadszcigały wojska radzieckie. Walki na terenie Makowa i Makowskiej Góry były zacięte i trwa-*

ły 8 dni, aż do 29 stycznia 1945 roku, kiedy to do Makowa i okolicznych wiosek wkroczyły wojska radzieckie.-**Monografia Grzechyni. Grzechynia 2012).** Tydzień trwało zdobywanie Makowa. Jak patrzyliśmy od nas, wyglądało to tak, jak obecnie w sylwestra fajerwerki. Kolorowe błyski i nieustanny huk.

Jak dowiedzieliśmy się, że Rosjanie weszli do Makowa, zastanawialiśmy się, kiedy pierwszy z nich trafi do nas. I już na drugi dzień przyszedł taki jeden z pepeszą, chodził od domu do domu i domagał się horąłki. Emil Mędrala go wziął do siebie, postawił flaszkę i myślał, że będą pić normalnie, na kieliszki. A Rusek wyciągnął aluminiowy garnuszek półlitrowy, wylał flaszkę do niego i wypił na raz. Potem dawał strzelać z pepeszy Emilowi, Edkowi Bartunkowi i Staszce Kozinie. Kiedyś przyjechali zbierać siano i słomę dla koni. Janek Bartunek, stryk Edka, był osiem lat w rosyjskiej niewoli, znał dobrze język rosyjski, dogadywał się z nimi. Jak chodzili za tym sianem, wszędzie domagali się gorzałki. Znaleźli u Bartunka denaturat. Janek im tłumaczy, że nie chce odpowiadać za ewentualne konsekwencje picia denaturatu. Rusek wypił, zawołał: „Propał” i poszedł dalej. U Rosjan nagminne było napastowanie kobiet i dziewczyn. Musiały się ciągle chować przed nimi. Ale oni się tak zachowywali tylko na takich odbiciach jak u nas. W miastach była dyscyplina. Przecież w Zawoi rozstrzelali dwóch Rosjan za to, że zgwałcili żonę jakiegoś kierownika szkoły. W Gołyni przyszli żołnierze rosyjscy, pozganiali panny i zorganizowali zabawę. Zaraz przyszło NKWD i ich pozbierali z sobą.

Do szkoły chodziłem do Gołyni a klasę szóstą i siódmą robiłem w Grzechyni. Jak byłem w piątej klasie, jeszcze za Niemca, miałem tabliczkę i rysik, za elementarz służył taki „Ster”, z niego uczyła nas pani Gawrońska. Szkoła była w prywatnej chałupie u Floriana, tam, gdzie jest wybudowany dom Sitkowskich. (*...gdy bezpośrednio po maturze rozpocząłem pracę w zawodzie nauczycielskim. Były to debiutanckie dwa lata (1952/53 i 1953/54) w Szkole Podstawowej Nr 5 w Zawoi-Gołyni, które okazały się początkiem mojej długiej, 42-letniej nauczycielskiej służby. Kierowniczka... pokazała mi szkołę. Izba wynajęta u Gawła, w murowanym wprawdzie domu, sąsiadowała ze stajnią przez zamknięte na stałe drzwi. Dlatego w klasie stale było czuć oborą, szczególnie wtedy, gdy wyrzucano gnój. Okna były z przodu i z tyłu, a więc oświetlenie zupełnie nieprzepisowe. Druga izba była w drewnianym, krytym gontem domku Floriana i Apolonii Spyrków, jakieś 200 metrów dalej. Domek był stary, miał bardzo niskie drzwi i małe okienka. Musiałem dobrze się schylać, aby nie uderzyć głową o futrynę. Ponieważ koło domu rosły drzewa, a w pobliżu były wysokie pagórki, więc w klasie było ciemnawo, szczególnie w szare, jesienne i zimowe dni.* – **Gustaw Studnicki. W Zawoi pół wieku temu. Wspomnienia nauczyciela. Wadowice 1998).** Chleb, który udało się kupić na miejscu był czarny, gliniasty. Jak chcieliśmy kupić lepszy chleb, mama posyłała mnie do pewnej kobiety w Gołyni, która przywoziła z Krakowa chleb w workach w większej ilości. Płaciliśmy za ten chleb jajkami. Kiedyś poszedłem z mamą zanieść nauczycielce do Gołyni mleko. Akurat piekła naleśniki i poczęstowała mnie jednym. Nie wiedziałem, w jaki sposób się to je ale bardzo mi smakowało. Dziś ludzie mają wszystko,



MUZYKA... MUZYKA

to non stop się tam chodziło do pomocy. Ojciec Bernard był ranny w Powstaniu Warszawskim, miał sztywną rękę. Najpierw miał wybudowany taki pokój, że widać go było przez okno jak odprawiał mszę a my byliśmy na polu, potem już była kaplica. Ojciec Bernard organizował teatryki, ogniska, zabawy. Kiedyś na jednej zabawie Staszek Osysiok (*Kudzia*) zaczął się z kimś bić, wpadł Bernard z takim stołeczkiem, jak do dojenia krów, tak walił po plecach chłopaków, że przez okna uciekali. Byliśmy też z nim na Babiej Górze. Jak zaszliśmy na szczyt, akurat słońeczko zachodziło. Zeszliśmy do schroniska, ktoś miał harmonię, tam graliśmy i tańczyliśmy do rana. Ojciec też fajnie grał na harmonii. Najpierw bawiliśmy się na werandzie schroniska, potem kierownik wpuścił nas do środka. To było na Markowych Szczawinach, tego schroniska pod szczytem Babiej góry, co go Niemcy budowali już nie było. Były spalone ściany, rurki, którymi doprowadzona była woda, żelazne profile.

Wojna to było coś strasznego. Niemcy, partyzanci, bandyci, Ruscy. Ciągły strach, głód. Lepiej, żeby się takie coś nigdy nie zdarzyło.

OPRACOWANIE I PRZYPISY: Jan Żurek

na co przyjdzie im ochota i jeszcze narzekają. Nie daj Boże, żeby musieli przeżyć to samo, co myśmy przeżywali.

Za Kamieniem, gdzie teraz stoi klasztor, stał za Niemca taki budynek, jak stodoła. Nieraz jak chodziliśmy na wagary, to tam przebywaliśmy z chłopakami. Koło tej szopki było trochę desek, które Niemcy zabrali. Pamiętam też, jak już po wojnie Staszek Baraniec stawiał w tej szopce piec piekarski. Jak już nastał Bernard,

ALEKSANDER BIŁKA

OSIEDLE BIESKID (ur. 1934 r.)

W naszym domu w czasie wojny była ulokowana placówka graniczna. Niemcy najpierw przeszli po wsi, wypatrując budynku, który nadawałby się na ich działalność. Myśmy mieli duży dom, trzy izby, kuchnia. Położony był w dogodnym obserwacyjnie punkcie, tuż przy granicy Rzeszy i GG, więc Niemcy go zajęli, całą naszą rodzinę wyrzucili do stodoły, dali tylko dostęp do kuchni. *(Na obszarze przygranicznym działalność policji czy straży granicznej była szczególnie intensywna. Za rozmaite przewinienia, przemyt, niewykonanie zarządzeń władz niemieckich, do obozów koncentracyjnych skierowano znaczny odsetek ludności. Aparat policji i SS opierał się na posterunkach, rozlokowanych w większych miejscowościach. Wzdłuż nowej granicy państwa Hitlera rozlokowano łańcuch placówek straży granicznej /Grenzschutz/ i urzędów celnych /Zollamt/, często rekwirując na nie budynki publiczne. – Piotr Sadowski. Tło historyczne, Pod okupacją niemiecką. Druga wojna światowa pod Babią Górą. Księga strat. Kraków-Zawoja 2011).* W jednym pokoju Niemcy ulokowali swój sztab założyli radiostację i telefon, z drutami rozwijanymi z wielkiej rolki. W czasie, kiedy kopane były okopy w okolicy, Za Kamieniem, Na Groniu, czy Bartyzelowej Górze, prowadzili na placówce kuchnię, gotowali zupę z konserw i grzybów, bo do jedzenia kopiącym dawa-



UROCZYSTOŚĆ ODPUSTOWA W STARYM
KOŚCIELE



DENNIS W GOŚCINIE NA PRZYSŁOPIU.

li zupę i chleb. Codziennie przyjeżdżał jeden furman, brał tą zupę na wóz albo zimą na sanki i rozwoził kąpiącym. Okopy były kopane też w zimie, bo doskonale pamiętam, że do Kaliny Dolnej i Górnej wozili zupę na sankach. Na placówce służył też Niemiec polskiego pochodzenia, Ślązak. Tata porozumiewał się z nim po polsku. Jak front już był na Makowskiej Górze, słyszeliśmy strzały i wybuchy, Niemcy zabierali się do ucieczki. Szeregowi żołnierze chcieli wcześniej uciekać, a sztabowcy jeszcze czekali. Kiedyś ten Ślązak mówił, że weźmie granat, odbezpieczy i wrzuci do tego sztabu, ale tata prosił, żeby tego nie robił, bo nam spalą dom. Ci Niemcy załadowali na sanki granaty, amunicję i kazali tacie, żeby dawał konia a syn, czyli mój brat Staszek, powiezie ich do Suchej. Tata zawołał do Staszka: „Siadaj szybko na konia i uciekaj do Kiczory”. Staszek wskoczył na konia, pojechał do Toczka i dalej na Kiczorę, udało mu się uciec, chociaż strzelali za nim. Sanie

z granatami zostały, nie pamiętam, co się z nimi stało.

Na początku to służyli tu Niemcy elegancko umundurowani, pod koniec wojny to już ich umundurowanie nie było kompletne. Ze sztabu, to było może pięciu, sześciu Niemców, wartownicy dowożeni byli z Siwcówki. Chodzili w różnych mundurach. Placówka w naszym domu była chroniona przez wartowników w okopanych stanowiskach strzeleckich. Te stanowiska były z czterech stron domu. Kiedyś pod wieczór rozpoczęła się wielka kanonada. Niemcy strzelali z karabinów maszynowych, wielki huk, strzały z tych stanowisk w Groń. Okazało się, że z lasu wyszedł Lenart z Magurki. On ciągnął za sobą karabin, w pewnej chwili złożył się do strzału, strzelił w stronę jednego z Niemców, nie trafił, później schował się w lesie. *(długo się zastanawiałem, czy do tego zdarzenia możemy dopasować informację zapisaną w Monografii Grzechyni, że w napadzie na placówkę Grenchutz na Przysłopiu zginął partyzant Ludwik Szpak. Nie pasowało mi to, nieco później, w innej książce znalazłem akapit: „W potyczce z Niemcami zginął Ludwik Szpak „Koń” z Malikówki. Okoliczności jego śmierci wspomina uczestnik fatalnej akcji, jego pasierb Wincenty Migas. Było to w połowie stycznia 1945 roku. Przyszedł z Suchej Józef Sitarz ps. „Karol” i mówi, że idziemy na akcję. Za Lasem mieszkali na kwaterze pracujący przy ziemnych robotach inżynierskich Niemcy. To nie byli żołnierze, ale Todtowcy i mieli broń. Ich było sześciu, nas może dziesięciu. Mieliśmy kilka karabinów, a ojciec miał empi. Podeszliśmy wieczorem, od-*



ZESPÓŁ „POD BUDĄ” NA FESTYNIE

dali grzecznie sześć karabinów i co tam jeszcze mieli, ale Sitarz zdecydował, że pójdziemy jeszcze do Gołyni, gdzie w domu Koczura mieszkali także Niemcy. Podobno mieli u siebie aptekę i chciał jakieś lekarstwo. Ale to byli esesmani. Nie poddali się, tylko otworzyli ogień. My też oddaliśmy parę strzałów i uciekliśmy, bo nie było szans. Ojciec dostał postrzał w okolicę serca, szedł jeszcze pół kilometra. Zmarł na rękach Jaśka Białończyka. Przyniosłem go na plecach do domu, dwa kilometry. **Józef Bogacz. Gdy Grzechynię dzieliła granica. Maków Podhalański 2015).**

Pamiętam również zdarzenie, jak przywieźli zabitego Niemca. Na Skawicy, tuż przy Białce, przy drodze na Limów była też niemiecka placówka. Mieściła się ona w takim domu na brzegu, dość eleganckim jak na tamte czasy. Myśmy już z daleka słyszeli, że jadą Niemcy szwargocząc coś między sobą. Patrzyliśmy przez szpary stodoły, Niemcy podjechali pod szopę, w której rodzice trzymali liście na pościelenie krowom, odkryli koc, taka para dmuchała spod tego koca, i z sań znieśli trupa. Potem tata rozmawiał z tym niemieckim Ślązakiem, on mu opowiedział, że ten nieboszczyk służył na Skawicy, był wykształcony, załatwił sobie służbę na placówce na Skawicy, zamiast na froncie. Ufał, że łatwiej będzie mu tu przeżyć wojnę, ale go na tej Skawicy partyzanci zastrzelili. (W listopadzie w Skawicy rozbrojono i „rozmundurowano” 5-7-osobowy niemiecki oddział zwiadowczy. Akcję przeprowadziła grupa czterech partyzantów pod dowództwem pchor. Stanisława Marka „Podbipięty”. Niemiecki kapitan został zastrzelony, ponieważ nie chciał się poddać, natomiast inni żołnierze zostali wypuszczeni. **Jerzy Mydlarz. Skawica w czasie okupacji hitlerowskiej 1939 – 1945. Królewska wieś. Monografia Skawicy pod red. J. H. Haraśimczyka. Skawica – Kraków 2009).** Na drugi dzień odwieźli go do Stryżawy, przy gra-



ORKIESTRA ZAWOJSKA W GRODZIE PRZED KOŚCIOŁEM

nicy z Suchą, tam też była placówka, najwięcej ludzi tam było bitych i zginęło. Dziś ten dom jest wystawiony na sprzedaż, ale nikt go nie chce kupić.

Mieliśmy taki piec do wypalania cegieł. Kiedyś dziadek z Jaworskiego, które było już w Rzeszy, przyszedł do mojego taty. Niemcy wypatrzili go, jak przechodzi granicę i idzie w stronę placówki, zaraz wpadli i sprawdzali, kto to był. A tata schował się w tym piecu do wypalania cegły, jak Niemcy już odpuścili, wrócił na Jaworskie do domu.

Kiedyś do naszego domu przyszedł w towarzystwie Niemców, ubrany w niemiecki płaszcz, brat taty, Staszek z Jaworskiego. Tata, jak go zobaczył w tym płaszczu, zawołał: „Staszek, wolałbym cię zobaczyć w niedźwiedziej skórce, zamiast w takim płaszczu”. Staszek powiedział, że to tylko taki żart. Tego wujka Staszka zabrali później Rosjanie, oskarżyli o współpracę z Niemcami i wywieźli na Syberię. Myśmy byli pewni, że już go nie zobaczymy, ale po paru latach wrócił. Opowiadał nam o strasznych warunkach w obozie w Rosji.

W czasie wojny rozpocząłem naukę w szkole. Uczyła mnie pani Nałudka. Ona miała dwóch synów, bardzo krótko ich trzymała. Jak coś zbroili, biła ich kijem po tyłku. Szkoła mieściła się w domu u Władka Spyrki. Do szkoły chodziłem na bosaka, książki i zeszyty miałem zapakowane w takie dwie deszczułki spięte paskiem. Jak się wojna skończyła, dla naszej rodziny wcale nie nastały dobre czasy. Za to, że u nas była placówka niemiecka, to partyzanci działający gdzieś w okolicach Suchej Góry trzy razy nas rabowali. Zostaliśmy już tylko w tym, co mieliśmy na sobie. Nawet znajomi ludzie z tymi partyzantami przyszli. Siostra taty wyszła ze stajni z lampą naftową i widzi znajomego Stefana z Suchej, zięcia Staszka Basiury. Prosi go o wstawiennictwo, zyskała dwa uderzenia. Jedno w lampę, drugie w twarz. Wszystko nam zabrali. Za któryś razem przyszli całą bandą, ze staj-



POGRZEB FRANCISZKA JANIKA

ni wyprowadzili konia, zaprzęgli do zabranego wozu, na wóz załadowali świnie, z tyłu za wozem przywiązali jałówkę. Później ktoś poradził tacie, żeby szedł Za Las, że tam może uzyskać pomoc. Nie wiem, do kogo tata się udał, ale wrócił do domu z koniem i wozem. *(bardzo możliwe, że był to znany nam z relacji Stanisławy i Edwarda Basiurów oraz Eugeniusza Zajdy Dyrz Stanisław ps. „Sołtys” Z Zalas).* Poszedł z tym człowiekiem na Suchą Górę. Ten najpierw kazał tacie czekać pod lasem, sam wszedł w głąb. Po chwili wrócił, zabrał tatę z sobą do obozu partyzantów. Stał tam wóz, ale już bez drabin i półkoszków, koń stał przywiązany do jodełki. Ile tylko mógł sięgnąć, tyle gałęzi i kory z tej jodełki zjadł, tak był wygłodzony. W późniejszych czasach ten koń, jak tylko zobaczył mężczyznę w mundurze, zaraz skakał do niego z zębami i kopytami.

Ja to zbyt dużo z wojny nie pamiętam. Mój brat, Staszek opowiedziałby wam więcej, on był starszy i był cały czas na miejscu, ale już niestety nic się od niego nie dowiedzie. Ja wcześniej wyjechałem z Przysłopia do szkoły, zmieniłem środowisko i dużo spraw z głowy uciekło.

OPRACOWANIE I PRZYPISY: Jan Żurek

JÓZEF SMYRAK

OS. BUBIAKI (ur. 1933 r.)

Niemcy jak tu byli, to była bieda jak skurcysyn. Ludzi łapali, mordowali. Z krowami żeśmy uciekali do lasu, w potoku trzymaliśmy krowę. Myśmy mieli dwie krowy, to z jedną uciekaliśmy w razie zagrożenia ze strony Niemców. Ta krowa była tak nauczona, że jak tylko powróz jej założyć, to od razu na dół, w las leciała. I nawet nie zaryczała. Drugą mieliśmy w stajni, to przyszli Niemcy i ją zabrali. My, dzieci klęczeliśmy, za kolana tych Niemców łapaliśmy, to nas jeden popchnął, nogami kopnął i krowę zabrali. Zboże trzeba było oddawać, jeść nie było co. Od hektara pola musieliśmy oddawać mięso i mleko. Mleko trzeba było odnosić do Zawoi do Domu Parafialnego, tam była zlewnia i przetwórnia. (Vide – relacja Wincentego Żurka).



Też tu takich naszych chłopów zabrali. Niemcy mówili, że oni są partyzantami, a oni wcale nie byli. Zabrali ich na cmentarz do Suchej, kazali kopać dziury, zastrzelili ich i zakopali. To był Spyрка Albin, kulawy krawiec i Julek, jego brat. Oni byli braćmi Mietka Z Kakamienia. (Zdarzenie opisane w relacjach Genowefy Chowaniak i Mariana Pasierbka). I jeszcze był taki Mazur, od Poldka (zdarzenie opisane w relacji Herminy Spyřka. Nazwisko panięńskie żony Leopolda Mazura – Polak).



MELANIA ŻYWCZAK, z D. SMYRAK

Jak Niemcy zabierali ludzi na roboty, to tata na strychu zrobił schowek. Deski na legarach przyrzucił słomę. Ten schowek był tak niziutki, że człowiek mógł się tylko wcisnąć, leżeć i nie oddychać. Niemcy szukali młodzieży na wywózkę do roboty w Niemczech, chodzili po strychu, bagnetami dźgali słomę i nie znaleźli. Tam były schowane Weronka, Melanka, (siostry pana Smyřaka, Weronika po mężu Kudzia, Melania po mężu Żywczak), Helka Bura, Stefan Ka-

wiak. Na roboty Niemcom udało się wywieźć z Przysłopia chyba ze dwadzieścia osób, ale ja wszystkich nie pamiętam. Na pewno był Maniek Babiarczyk (*od lutego 1942 do kwietnia 1945 w Hasslihgghausen w Niemczech. Straty osobowe. Osoby wywiezione na roboty przymusowe. Druga wojna światowa pod Babią Górą. Księga strat. Kraków-Zawoja 2011*). Był też na robotach Mikołajczyk, ale ja nie wiem, jak to było, że on mógł przyjechać do domu. Kiedyś on przyjechał i szukał kogoś, kto mógłby w zastępstwie za niego pojechać. Nikt nie chciał się zgodzić, więc poszedł do mojego teścia, Pietrzka, i prosił go, żeby za niego pojechał na miesiąc. Tłumaczył, że potrzebuje zostać na miejscu żeby obrobić gospodarkę. Obiecał, że jego żonie i dzieciom nie braknie przez ten miesiąc niczego. On miał ule, dużą gospodarkę a teść szóstkę dzieci i biedę, więc pojechał za Mikołajczyka, żeby tym dzieciom choć przez chwilę było lepiej. Mikołajczyk za miesiąc nie wrócił do roboty, teść musiał stamtąd uciec, a tych miodów wcale nie było.

Mama moja jeździła do Krakowa po chleb. W Krakowie można było kupić chleb, u nas był z tym problem. My nie mieliśmy kartek na chleb, tak jak to było po stronie Rzeszy. Tak dużo ludzi jeździło, że się nie mieścili w wagonie i siedzieli na dachach. Przywoziła mama chleba worek, na dwa tygodnie. Jak mieliśmy trochę swojego zboża, to się na młynku z laską umełło. Z mąki zrobiło się kulasę, bo z chlebem było dużo roboty i mocno pachniał. Jak Niemcy kontrolowali, to się młynek śmieciami zasypało. Taką biedę przeżyliśmy w czasie wojny, że nikomu się nie życzy takiej biedy. Teraz to żyć i nie umierać, a jeszcze ludzie narzekają.



WIANKI DLA WYBRANKI



PRZEJAŻDŻKA KONNA POD OKIEM TATY

Na sąsiedztwie mieszkali wysiedleńcy, u Szymka u Bubiaków i tam, gdzie mieszka Staszka Giertugowa. U Toczka też byli wysiedleńcy, u Maćka Bubiaka (*Emil Bubiak, mówiło się do nich – do Maćka*).

Na Spyrkówce pamiętam takie zdarzenie. Szedł Niemiec, partyzanci go złapali, rozbili i wypuścili. Później całą Spyrkówkę mieli spalić, tylko nie zdążyli, bo wojna się skończyła. Ludzie tak się modlili przy kapliczce Matki Boskiej na Spyrkówce, że ta Matka Boska ich ocaliła.

U Błazka Biłki byli też Niemcy. Szedł tam chłop, niósł cebrzyk i Niemcy z psem go zatrzymali a potem zastrzelili. Psy go gryzły a oni zamordowali. (*Vide – relacja Genowefy Chowaniak*).

Do szkoły chodziłem na Przysłopiu. Szkoła była u Władka Spyрки, u Nastki Makosiowej i u Cyłki za Borem. Była też chyba u Olka na Bieskidzie. W czasie wojny uczyła nas pani Nałudka. Szkoła u Władka się spaliła, Nastce dom też się spalił. Jak się palił dom Władka, to nie było jeszcze straży, wiadrami gasiliśmy ogień. Władek miał dużo bydła, konia, miał też byka. Jak wyciągnęliśmy bydło i konia z pożaru, byk chciał wrócić do stajni i do ognia wskoczyć. Ludzie go odpędzali, to on podleciał i konia przebił rogami. Tata był myśliwym, miał broń, ale wtedy w domu go nie było, więc sąsiedzi prosili, żebym dobił rannego konia. Żał było, ale musiałem to zrobić.

Pod koniec wojny Niemcy robili tu okopy. Właściwie to ludzie kopali a Niemcy tylko stali i pilnowali. Ja byłem młody, to nie musiałem iść kopać, ale Melanka i Weronka kopały. Kopały w Kalinie, obok naszego pola, poza Groń i na Bartyzelowej Górze. Inna grupa kopała Za Kamieniem. Nad Kaliną przy Polanie to jeszcze jest taki betonowy bunkier, a po lesie widać dużo śladów po okopach.



SCENA Z MISTERIUM „OGROJEC”

Partyzantów to u nas nie było. Byli bardziej tacy, co kradli. Do mojej teściowej na Pająkówce przyszli, wyłamali drzwi, bo ich matka nie chciała wpuścić. Nie zabrali jej nic, bo tam była bieda, to później poszli na Kiczorę, gdzie obrabowali Kundę. To były takie bandziory. U nas też takie bandziory chodziły. Chodzili za Babią Górę, do Zawoi, Sidziny. Byli spoza Przysłopia, byli i nasi.

Pamiętam, że po wojnie przyszedł do nas Rusek. Tata miał zegarek na łańcuszku, który się spodobał Ruskowi, więc kazał tacie, żeby mu zegarek dał. Tata się uparł, że nie da, zawinął się na miejscu, trzasnął drzwiami i uciekł. Rusek strzelał za nim, ale nie trafił.

Tata po wojnie był przez dużo lat radnym. Jego obowiązkiem było pilnowanie odrabiania szarwarku. Ludzie wtedy odrabiali szarwark, po trzy dni w miesiącu musieli spod numeru odrobić. Z Kaliny kopali drogę, kilofami, łopatami. Jak walcowali drogę, to ucięli drzewo, założyli druty i ciągnęli. Drzewo się obracało i walcowało. Ja to widziałem, jak pasłem tam krowy.

OPRACOWANIE I PRZYPISY: Jan Żurek

KOBIELA FRANCISZEK

OS. POLANA (ur. 1938 r.)



ŚLADY PO CEGIELNI NA PAJĄKÓWCE



FRANCISZEK KOBIELA Z KOLEGĄ

Założenie osiedla Polana datuje się na 1938 rok kiedy to Władysław Kobiela wraz z Aleksandrem Dańczakiem postanowili postawić domostwa w miejscu gdzie posiadali swoje pola. Budulec pozyskiwali z pobliskiej cegielni (pod Pająkówką) oraz z własnych lasów. Utrzymywali się z ciężkiej pracy na roli oraz z wyrobu cebrzyków (beczki z klepek opasane metalową obręczą). Praca na roli była bardzo ciężka i niezbędna była pomoc rodziny i sąsiadów. **Drewno na wyrób cebrzyków pozyskiwali z własnych lasów ale nocą podkraдали drewno z lasów państwowych** co było bardzo ryzykowne, gdyż w przypadku wykrycia kary były bardzo dotkliwe z więzieniem włącznie. Gotowe wyroby odbierał Roman Józefiak z osiedla Kobiela, ale również sami na własnych plecach nosili cebrzyki na targowisko do Suchej Beskidzkiej. Na własne potrzeby uprawiali nielegalnie tytoń, ukrywając rośliny pomiędzy innymi uprawami lub w lasach i kępach. Każdy kombinował jak umiał aby przeżyć w tamtych ciężkich czasach. Podczas wojny w wąwozie pod Doliną wielu okolicznych mieszkańców ukrywało swoje bydło przed konfiskatą na rzecz III Rzeszy. Lecz niestety z powodu donosów **bydło w końcu zostało zabrane**. Potrzeba posiadania mleka dla dzieci zmusiła mieszkańców **do hodowli kóz**. Po przeciwnej od osiedla Polana stronie potoku Niemcy wybudowali bunkry, z których pozostał do dziś jeden. Do budowy bunkrów Niem-

cy sprowadzili swoich pracowników natomiast do wykopania okopów zmuszano okoliczne kobiety. Po dziś dzień można odnaleźć pozostałości wykopanych okopów. W naszej okolicy były porozstawiane zasieki co wymogło uzyskiwanie pozwoleń na poruszanie się po dalszej okolicy a nawet do własnych pól. Kłopot sprawiało udanie się do gminy kościoła, czy po materiały budowlane. W okolicy operowali też partyzanci, którzy przychodzili co jakiś czas aby się wykąpać, posilić, przespać po czym odchodzili do lasu. Pewnego razu ojciec przeprowadzał oddział partyzantów do Juszczyzna, na moście w Białce natknęli się na Niemców i rozegrała się potyczka zakończona sukcesem partyzantów po czym tata cały i zdrowy wrócił do domu. Krótco przed wyzwoleniem zdarzały się odwiedziny nieznanych oddziałów radzieckich, ci za jedzenie czasami pozostawiali smalec którego mieli za dużo a brakowało im chleba. Wymieniali często ko-



ŻONA I TEŚCIOWA FRANCISZKA KOBIELI.



BETONOWY BUNKIER POD PAJĄKÓWKĄ



BRAMA WESELNA

nie na wypoczęte do dalszej drogi. Zdarzały się również **niemiłe wizyty rabusiów lub dezertersów** którzy siłą egzekwowali od miejscowych żywność oraz co bardziej wartościowe dobra. Po wojnie dzieci uczestniczyły w ramach nauki w akcji sadzenia drzewek za co dostawały przybory szkolne.

OPRACOWAŁA Grażyna Kobiela

HELENA SMYRAK

OS. SAŁACIAKI (ur. 1939 r.)

O Historii Przysłopia wiele wam nie powiem, ponieważ przyszliśmy tam do pracy dopiero w 1958 roku, więc stosunkowo późno. Kronika szkoły spaliła się dwa lata wcześniej w pożarze u pana Władysława Spyрки, więc postarałam się odtworzyć historię szkolnictwa na Przysłopi, póki miałam jeszcze dostęp do świadków tamtych czasów, pamiętających i pana Gazdę, i nauczycieli uczących przed wojną, w czasie jej trwania i bezpośrednio po niej.



HELENA SMYRAK I ELŻBIETA ŻUREK

Jak przyszliśmy z mężem na Przysłop, to w początkowym okresie naszej pracy byliśmy jak bezdomni. Budynek szkolny był wykończony i przygotowany na parterze w stopniu wystarczającym na przyjęcie dzieci, ale mieszkania na piętrze były jeszcze nie wykończone i nie mieliśmy gdzie mieszkać. Dobrze, że przyjęła nas, do mieszkania „kątem”, Helena Oleksowa.



SZKOŁA NA PRZYSŁOPIU STAN SUROWY

Jeśli chcecie uzyskać jakieś informacje na temat początków klasztoru, na temat Ojca Bernarda, to służę tym, co jeszcze zostało w pamięci. Ojciec Bernard stosunkowo często odwiedzał nas w domu, bo śp. mój mąż był jego bratanikiem. Ich rozmowy zahaczały o różne tematy, więc coś z nich w mojej pamięci pozostało.



DAWNA KAPELA DOŻYNKOWA

Budowę budynku, który stanowiął zaczątek klasztoru, jeszcze przed wojną zajmował się starszy brat Bernarda, Kazimierz. Ojciec Bernard to pole, na którym rozpoczęła się budowa dostał od Marii Bielas, jednej z tych ciotek, które miały za wychowanka Oleksę Julka. Razem z polem, ofiarowany został las, z którego pozyskiwane były materiały na budowę. Drzewa były ścinane i na miejscu, ręcznie - jeden tracz na górze, drugi na dole – cięte na deski. Przy tych deskach pracowali Mołki, brat Bernarda Kazimierz, drugi brat August, który mieszkał u Stróża w Zawoi. Udało się postawić budynek, który miał dwa pomieszczenia. W jednym była stajnia z krową, a drugie miało przeznaczenie mieszkalne. Potem przyszła wojna, oni bali się, że partyzanci albo Niemcy spalą to, co powstało, albo po prostu zostanie rozkradzione, więc była potrzeba, żeby ktoś w tym miejscu był i pilnował. Rola ta przypadła mojemu mężowi i jego młodszemu, sześciolletniemu bratu. Te dzieci tam szły i nocowały przy tej krowie. U Mietka Spyрки, sąsiada, mielili na młynku zboże, żeby sobie coś ugotować, wydoili krowę i zjedli kulasę z mlekiem. Często po prostu głodowali, bo to przecież były dzieci i nie zawsze sobie radzili. Mąż był z rocznika 1929, więc jak tam pilnował, to miał 11-14 lat, brat był dużo młodszy. Mama męża, Weronika przychodziła czasem do tych chłopców i przynosiła im coś do jedzenia. No i te dzieci tam były, pilnowały. Antoś mi nieraz opowiadał, jaki strach odczuwali. Palić ognia nie wolno było, więc jak było zimno, spali w tej stajence. Tam była taka mała szybka i przez nią patrzyli, czy już się rozwidnia. A po drugiej stronie w mieszkalnym pomieszczeniu, nieraz spali partyzanci albo przemytnicy. Chłopcy nawet ruszyć się ze strachu nie mogli.

Ojca Bernarda w tym czasie w Zawoi nie było, on w latach przedwojennych wysłany został przez przełożonych do pracy duszpasterskiej w Hiszpanii, często tak bywa, że przełożeni wysyłają młodych, zdolnych i roztropnych księży za granicę. Tak samo było z Kazikiem Brzaną (*Ojciec Jan*). Bernard tam naoglądał się różnych okropności, (*Nie idzie tu o reformy społeczne, o poprawę doli ludu, ale o całkowity przewrót, o zwalczenie Boga i katolicyzmu. By to osiągnąć, czerwoni nie cofnęli się przed niczym... Najwymowniejszym dowodem na to, że zupełnie zniszczenie świątyń i zgładzenie całkowite kapłanów było z góry*



JUBILEUSZ KAPŁAŃSTWA OJCA BERNARDA SMYRAKA

postanowione, jest przerażająca cyfra ofiar... Możemy liczbę kościołów zniszczonych albo całkowicie spustoszonych określić na około 20 000. Liczba zamordowanych kapłanów w diecezjach spustoszonych średnio 40 na 100, w niektórych nawet 80 na stu... Polowano na nich z psami, ścigano poprzez góry, tropiono zawzięcie, gdzie mogli się ukryć. Mordowano ich bez procesu, często natychmiast, dlatego tylko, że byli kapłanami. **O. Bernard od Matki Bożej, karmelita bosy. Hiszpania walcząca. Kalendarz Głosu Karmelu na rok 1939.** Bernard pracując w Hiszpanii również był cały czas zagrożony śmiercią. (Vide – relacja Wincentego Żurka).



WIDOK NA DOM RODZINNY OJCA BERNARDA OD SZKOŁY
U SMYRAKÓW

Po powrocie z Warszawy Bernard musiał się ukrywać, bo był poszukiwany przez Niemców. (Ojca Bernarda podczas wojny nie było w Zawoi. Przebywał min. w Warszawie, w czasie Powstania Warszawskiego pełnił posługę duszpasterską. Wrócił do Zawoi po powstaniu, ranny w rękę, dlatego miał do końca życia sztywny palec w ręce. – Relacja Ojca Antonina Stańczyka OCD. Wadowice, 22.03.2018). Uciekł do ro-

dziców na Śpikówkę. Tam odprawiał wieczorem, albo wcześniej rano mszę, Kryjówkę mieli w ten sposób przygotowaną, że pod gankiem, pod podłogą wybrali ziemię i przygotowali jamę, w której mógł się schować i spać. Po pewnym czasie kamienie spod ganku się wysunęły i ganek się zapadł. Tak już zostało aż do chwili obecnej. Po wojnie rozpoczęła się budowa drewnianego klasztoru. Hela i Józka, siostry męża (*Helena, po mężu Oleksa, Józefa, po mężu Brzana*) gotowały robotnikom pracującym przy budowie i pomagały w miarę swoich możliwości.

Resztę informacji o budowie znajdziecie już bez problemu. W ramach ratowania pamięci, mój syn przygotował do druku kilka pozycji napisanych przez Bernarda. Tu macie książkę o Świętym Józefie. Prymas Polski Stefan Wyszyński w swoich pamiętnikach zamieścił krótką notatkę o tym, że jak się pakował na internowanie w Komańczy, zabrał z sobą kilka książek, min. książkę Bernarda Smyraka o Św. Józefie.

Mam jeszcze jedną ciekawostkę związaną z Przysłopiem. Mój mąż pomagał jednej z kobiet, Marysi Knotowej, nawiasem mówiąc Żydówce. Ona u nas bywała bardzo często, przylgnęła do męża i do naszej rodziny. Wywodziła się z rodziny Langerów, właścicieli Zawojanki, ochrzciła się w dzień prymicji ojca Bernarda. Jej brat przeszedł całą drogę z armią Andersa, matka i siostra zginęły w Auschwitz. Marysia bardzo przywiązała się do Karmelu, była taką ciotką dla nowicjuszy wstępujących do zakonu. Bardzo często przyjeżdżała też Za Kamień, na różne uroczystości religijne, sama, albo z ojcem Remigiuszem Czechem, żyła się z niektórymi mieszkańcami Przysłopia. Przyjeżdżając do Zawoi na wczasy, bardzo często mieszkała u Staszka Mazura „na Wawelu”. (*Często też pomieszkiwała w czasie pobytów na Przysłopiu u Marii Pochopień, była obecna na ślubie jej syna w 1988 roku*). O procesie sądowym związanym ze śmiercią Langerów wiem tyle, że chłopcy założyli się, min. był tam chłopak z Podpolic z rodziny tego słynnego saneczkarza, że jeden z nich trafi kamieniem we wskazaną butelkę stojącą na półce. Niestety się złożyło, że Langer, który porządkował coś pod szynkwą, wyprostował się akurat w momencie rzutu kamieniem i kamień trafił go prosto w skroń. Langer zginął na miejscu. (*Rodzina Langerów osiedliła się w Zawoi już w XIX wieku. W 1898 r. urodził się Salomon Langer, właściciel szynku i sklepu w centrum Zawoi, mieszczących się w budynku obecnej restauracji „Zawojanka”. Pod koniec lat dwudziestych Langer zginął zabity kamieniem w swojej gospodzie. Po nabożeństwie rezurekcyjnym grupa młodych chłopaków z Zawoi udała się do szynku Langerów. Doszło do sprzeczki. Langer ukrył przed kolegami jednego z chłopaków, którego ci chcie-*



OBRAZEK PAMIĄTKOWY Z 50-LECIA ŚLUBÓW ZAKONNYCH



REPRINTY I ORYGINAŁ KSIĄŻEK O. BERNARDA Z LAT 1937-1948

li bić. Wtedy jeden z napastników rzucił z drogi przez okno kamień tak nieszczęśliwie, że zabił Langerę na miejscu. Wkrótce po tym wypadku Langerowie opuścili Zawoję, a kolejnymi właścicielami budynku stała się rodzina Sauerschtrom. - Urszula Janicka Krzywda. Dzieje ludności żydowskiej w Zawoi. Prace Babiogórskie VI 1983-1984. Kraków 1985).

Nie pamiętam, do którego roku ojciec Bernard pracował Za Kamieniem. Jak zamieszkaliśmy na Przysłopiu, to Bernard jeszcze pracował Za Kamieniem. Zmarł w łodzi 21. maja 1980 roku i spoczął na tamtejszym cmentarzu. Napisał w swoim życiu wiele książek i artykułów, zajmował się tłumaczeniem z języka hiszpańskiego dzieł św. Jana od Krzyża i św. Teresy Wielkiej. Niedawno ukazały się reprinty trzech książeczek jego autorstwa, kilka wam podaruję, przekażcie je dalej chętnym.

OPRACOWANIE I PRZYPISY: JAN ŻUREK

JÓZEFA BURDYL

OS. TOCZKI (ur. 1939 r.)

Ze wspomnieniami wojennymi mam problem taki, że jestem zbyt młoda, żeby coś pamiętać. Wiem tylko te rzeczy, o których często się u nas w domu opowiadało.

W sąsiedztwie naszego domu, u Błażka Biłki była w czasie wojny placówka. My się za bardzo nie chcieliśmy tam zbliżać, bo obawialiśmy się spotkania z Niemcami. Po drugiej stronie drogi dzielącej Toczki była już Rzesza. Nasza rodzina miała pole po tamtej stronie ale mieliśmy możliwość uprawiać je, bo Niemcy pozwolili nam przechodzić granicę i pracować w polu.



Kiedyś zjawili się u nas Niemcy z listą, na której była wymieniona cała nasza rodzina. Była to lista osób przeznaczonych do wywiezienia do Auschwitz. Nawet ja, kilkuletnia dziewczynka byłam na tej liście. Moja mama pracowała cztery lata w Niemczech, w Frankfurt, na robotach. Zaczęła rozmawiać z Niemcami, tłumaczyć, że w Niemczech pracowała bardzo solidnie, prosić ich o sprawdzenie opinii u pracodawcy. Niemcy obiecali, że sprawdzą i za tydzień wrócą. Rzeczywiście, po tygodniu wrócili, powiedzieli, że póki będą tutaj, nasza rodzina będzie bezpieczna. Powodem umieszczenia nas na liście był donos kogoś z sąsiedztwa. Po wojnie, mama już zmarła, zjawili się u nas goście. Powiedzieli, że przyjechali z Niemiec, zapytali o Genowefę Basiurę. Jak się dowiedzieli, że nie żyje i że jestem jej córką, przyznali się, że są pracodawcami mamy z czasów wojny, wiedzą, że w Polsce jest biednie i że chcą nam pomóc. Wystraszyłam się, powiedziałam, że nic nie potrzebuję, mam wszystkiego dość, więc odjechali.

Do nas mówi się „do Dusów”. Wzięło się to stąd, że moja babka miała takie przyzwyczajenie, że jak ktoś do niej przyszedł, głaskała go po ramieniu i mówiła: „cego dusyko potrzebujesz”. I tak już zostało czwarte pokolenie.

Już po wojnie przyszedli do nas Rosjanie, zabrali konia. Powiedzieli, że za tego konia zostawili nam klacz na Spyrkówce u Józka Polaka. Poszliśmy po klacz, a tu się okazało, że jej nie ma, że znalazła się na Jaworskim w Stryszawie. Na szczęście udało się choć tą klacz odzyskać.

Jak u nas, Za Kamieniem, był ojciec Bernard, ja miałam wtedy jakieś 14-15 lat. Pomagałam ojcu w różnych pracach, wozić siano, sprzątać. Kiedyś ojciec powiedział do



PIERWSZA KOMUNIA ŚW. JESZCZE W ZAWOI CENTRUM

mnie: „Wiesz, Józia, ty masz na imię Józefa, a tu jest kaplica pod wezwaniem świętego Józefa. Jak masz czas, przychodź w środy do kościoła, módl się do niego a zobaczysz, że we wszystkim ci Bóg pobłogosławi”. Jak pytałam go skąd ma takie przekonanie, opowiedział mi zdarzenie ze swego życia. Będąc na placówce w Hiszpanii, leciał samolotem. W tym sa-



KOLĘDNICY Z TURONIEM



PRACE PORZĄDKOWE PRZY SZKOLE

molocie lecieli też komuniści z Hiszpanii. Zorientowali się, że jest księdzem i chcieli go wyrzucić z samolotu. Ojciec zaczął modlić się do św. Józefa i mówił do niego w sercu, że jak się uratuje, to wybuduje kaplicę pod jego wezwaniem. Po chwili komuniści otworzyli drzwi samolotu, dali ojcu Bernardowi spadochron i kazali skakać. Wyskoczył z samolotu ale nie potrafił otworzyć spadochronu, więc znów obiecał Św. Józefowi, wybudowanie kaplicy. Spadochron się otworzył, ojciec przeżył i kaplica której Patronuje św. Józef stoi. (*Vide – relacja Wincentego Żurka*).

Drugie zdarzenie, które mi opowiedział ojciec Bernard odbyło się po wojnie. Ojciec Bernard i Remigiusz mimo zakazu władz wykonali roboty budowlane przy kościele, zbudowali dzwonnice. Znalazł się jakiś „uczynny” sąsiad, który doniósł do UB o prowadzonych robotach. Przyjechali z Wadowic Ubowcy, zabrali Bernarda i Remigiusza. Tak ich zbili, że wydawało się, że tego nie przetrzymają. Również tam wzdychali do św. Józefa, żeby ich wyratował z rąk oprawców. Wiele tych wspomnień się nie uzbierało ale jakiś fragment naszej historii wam opowiedziałam.

OPRACOWAŁ: JAN ŻUREK

STANISŁAW ŻYWCZAK

OS. SPYRKÓWKA (ur. 1936 r.)

Nazywam się Stanisław Żywczak urodziłem się i mieszkalem w czasach kawalerskich na Przysłopiu w przysiółku Lachy. Wojnę przeżyłem jako dziecko. Osiedle Lachy znajdowało się w Guberni. Granica między Rzeszą a Gubernią przebiegała tak, jak w tej chwili droga między Zawoją a Stryszawą. Sytuacja w domu była bardzo trudna, nie dostawaliśmy żadnego przydziału kartek na żywność, jak to było w Rzeszy. Musieliśmy sobie radzić sami. Suszyliśmy zgnite ziemniaki i owoce takie jak jabłka, gruszki, śliwki. Suszone ziemniaki trzeba było stłuc na mękę w stopce (tzn. kamiennym naczyniu do rozdrabniania), z tej mąki gotowaliśmy kulasę. Z owoców suszonych gotowaliśmy zupy tzw. gielas.

U Makosia była szkoła. Nie mieliśmy plecaków. Plecaki były zbite z desek i przywiązane do nich dwa sznurki, żeby można było nosić je na plecach. Pewnego razu wracając do domu ze szkoły zauważyłem Niemców, którzy w ramach rozrywki strzelali z karabinów do buka koło obecnego cmentarza. Jak się rozeszli to ja pobierałem pozostawione przez nich łuski tzw. gilzy do plecaka, a książki schowałem do rowu. Potem zrobiłem karabin z drewna i używałem łusek jako amunicji.

Niemcy zabrali nam cały dobytek: konia, świnie, krowy. Została jedna krowa z którą spędzaliśmy cały dzień w lesie, w potokach, w szałasach zbudowanych z gałęzi. Wieczorami wracaliśmy zmarznięci i zziębnięci do domów. W domu znajdował się piec dynny do któ-



STANISŁAW ŻYWCZAK Z WNUKIEM OSKAREM



PRZY PIERWSZYM UPADKU



OJCIEC GRACJAN NA UROCZYSTOŚCI PIERWSZOKOMUNIJNEJ

rego po zauważeniu Niemców mama tak przyłożyła surowej choiny, że cały dom był zadymiony i w taki sposób wygoniła ich z domu, bo myśleli że dom się pali. Na tymże piecu gotowaliśmy potrawy i ogrzewaliśmy nim dom.

Do I Komunii Świętej szedłem w ubraniu z materiału, który przypominał papier. Buty ubieraliśmy dopiero przed kościołem w Zawoi Centrum do którego chodziliśmy na nogach, a tak to chodziliśmy na bosaka bo nie było nas stać na buty. Jako młody chłopiec wraz z braćmi, chodziliśmy do ojca Bernarda Smyraka założyciela klasztoru Za Kamieniem i pomagaliśmy mu w różnych pracach.

OPRACOWANIE:

Zofia Drabek i Joanna Polak



OJCIEC GRACJAN NA UROCZYSTOŚCI PIERWSZOKOMUNIJNEJ

ZYGMUNT SPYRKA

OS. STECZKI (ur. 1944 r.)

Mój ojciec [Franciszek Spyрка] w 1939 roku [prawdopodobnie 29.08.1939 r.] został powołany do IV Pułku Strzelców Podhalańskich w Cieszynie [dowódcą był ppłk Bronisław Warzybok]. Broniąc się przed Niemcami, tocząc ciężkie walki doszli do rzeki San na wschodzie. Tam była tworzona nowa linia obronna. Niestety, w tym czasie Rosjanie napadli na Polskę. Wywiązała się bitwa z Rosjanami. Po przegranej bitwie i rozproszeniu oddziału żołnierze rozdzielili się, jedni uciekli na południe, do Rumunii, inni, w tym tata, załatwili sobie cywilne ubrania i wrócili do domu.

Okres wojny pamiętam ze wspomnień mamy [Genowefa Spyрка, z d. Kudzia], która wtedy była ze mną w ciąży. Prawie koniec wojny już się zbliżał, ale jeszcze wysiedlali u Kwaka. Na Hucisku też zaczęli ludzi wysiedlać. Ludzie się bali, wynosili żywność i potrzebne rzeczy za granicę [granica między Rzeszą a Gubernią]. Granica była cały czas pilnowana. Jeden obserwator był na Magurce a drugi na Kiczorze, Niemcy doskonale widzieli tą dużą przestrzeń, drogę graniczną co idzie przez Przysłop. Moja mama tak samo wynosiła żywność do rodziny, do Warcioków, na granicę. Jest tam, na granicy pomiędzy Spyrkówką a Warciokami taki przechyl, że Niemcy podchodzili pod górkę, a potem jest równo. Nie widzieli jej, dopiero jak wyszli na wierzch, to zauważyli, że mama idzie i otworzyli ogień, ale mama uciekła. Pies niemiecki był prowadzony przez strażników i poleciał za nią ale nie dogonił jej, zdążyła uciec przez las do Steczków do domu. To koło „Serwetki” [Anna Świerkosz] nad kapliczką było.

Dziadek [Józef Kudzia] służbę odbył w wojsku austriackim, przed I wojną światową, w czasie zaborów. Wrócił potem do domu, ale gdy ta wojna wybuchła zo-



ZYGMUNT SPYRKA Z ŻONĄ JANINĄ



FRANCISZEK SPYRKA W MUNDURZE PRZED KAMPANIĄ WRZEŚNIOWĄ

stał wysłany na front włoski. W czasie II wojny światowej pracował w lesie jako drwal, tam czterech sąsiadów z nim robiło i do lasu chodzili. Tam zabiło też Jaśka [Jan Steczek], było złamane drzewo i cięli końcówkę tego drzewa, i nie chciało się zwalić. A on tak gonił pomiędzy tym drzewem. Dziadek akurat strugał i widział, jak to drzewo leciało. Jasiek nie zdążył uciec i uderzyło go. Na miejscu zginął.

Ojcowie mieli psa, co czekał na Niemców inaczej niż na swoich. Niemcy patrolowali teren różnymi drogami, raz szli Huciskiem na dół, a raz szli koło Janików i koło Bartoszków, inną drogą. To pies jak już u Janika byli to czekał inaczej. Wiedzieli już, że Niemcy idą.

Raz świnię u Janika pobili, bo Niemcy mieli podobno ludzi wysiedlać. Dali to takiej babci od Polaków, żeby to mięso synowi do Siwca zawieźć. No i na Hucisku ją „drapli” celnicy, co ma i skąd. Całą furę mięsa wzięli na placówkę na Stryżawę [w tamtym czasie była to placówka na „Salowym Brzegu”].

Przemytnicy wszyscy na Przysłop chodzili. Makosie warzyli bimber, niemieckim strażnikom też go sprzedawali. Był z Kamiennego też taki przemytnik, ukrywał się. Jasiek od Kubasiaków ze Zasypnicy coś miał do niego. Siekierą go zabił jak się z lasu państwowego u Kubasiaków wychodzi na polach. Akurat sąsiad od nich gnał krowy



GENOWEFA SPYRKA Z D. KUDZIA



GENOWEFA KUDZIA Z MAMĄ JOANNĄ

i widział to, ale nie przyznał się. Jasiek ściągnął nieboszczka na dół i przykrył choiną, bo nacięta była. Poszły baby od Świerkoszów ciąć trawę pod las no i podniosły choinę i znalazły tego chłopą. Przyjechała policja niemiecka, ciało wzięli a potem ogłosili, że ten kto go zabił, to żeby się zgłosił do nich, bo nagrodę dostanie. No i ten głupi się zgłosił. Niemcy dali mu broń i umundurowanie (...).

Całą wojnę handlowali przez granicę, tu szły takie towary, tu takie. Kuzyn [Piotr Świerkosz] dziadka [czyli kuzyn teścia, Antoniego Kowaliczka] od Kowaliczka nie robił w Niemczech, ukrywał się przed robotami, to chodzili za nim, bo wiedzieli, że nie robi i gdzieś się pewnie ukrywa. Przyszli do domu do Kowaliczka i pytają się o niego. No nie ma go, wyjechał do Niemiec - tak Niemcom gadali. Ale Niemcy zaraz [popatrzyli] do szafy, obejrzeni ubrania, kurtka skórzana piękna. Włożyli ręce do kieszeni, a tam marki, korony w drugiej kieszeni. Więc pilnowali od tamtej pory domu rodzinnego Piotra. Dorwali go później i zastrzelili w lesie pod domem. (*Vide – relacja Stanisławy i Edwarda Basiurów*).

Jak już wojna się kończyła to nasi zaczęli podskakiwać, poszli do Czernej do Bachora [Bauera] i wszystkie bydło mu zabrali. Wtedy stróżować mieli Tomicki [nazwisko Janik] od Janików. Zawsze na noc wybierali kilku tych go-



GENOWEFA I FRANCISZEK NA ŚLUBNYM KOBIERCU



GENOWEFA I FRANCISZEK NA ŚLUBNYM
KOBIERCU



GENOWEFA Z FRANCYSZKIEM W ZACISZU DOMOWYM

spodarzy do stróżowania (*Vide – j. w.*). No i ci Tomicki spali, a oni wzięli wszystkie krowy i na Przysłop przeprowadzili.

Pamiętam też małe „ube” [UB – Urząd Bezpieczeństwa] jak u nas w izbie siedziały, byłem wtedy małym chłopcem. To już po wojnie było, młode żołnierze polskie wtedy chodzili drogami po wsiach i patrolowali teren. Oni stacjonowali chyba w Suchej, albo też na Stryżawie na „Salowym Brzegu”, nie pamiętam.

Do kościoła chodzili rodzice i sąsiedzi przez Kwakówkę, ale Niemcy tam mieszkali i wyzywali ich strasznie, że do kościoła idą. Wtedy Mańka Krzeszowiaka ojciec od Bartoszki [Franciszek Krzeszowiak] zrobił ścieżkę co biegnie teraz ponad pola nad Kwakami i tamtędy ludzie chodzili. Niemcy i na Kwakówce mieszkali, i w Czernej.

OPRACOWANIE: Maciej Leśniak

HERMINA SPYRKA

OS. BIESKID (ur. 1941 r.)

Ja z czasów wojny dużo nie pamiętam, trochę wiem z opowiadań mamy i innych starszych ludzi. Jak na Spyrkówce była ta strzelanina, to wiele z tych wydarzeń nie pamiętam, bo byłam za mała. Ale jedna rzecz utkwiła mi doskonale w pamięci. Mama zabrała mnie na Spyrkówkę ku kapliczce, a tam leżał zabity Niemiec. On miał twarz przykrytą zielonym płaszczem i ktoś ten płaszcz odsunął, odkrył twarz Niemca. Jakby mi teraz przyszło go rozpoznać spomiędzy kilku postawionych razem mężczyzn, to chyba bym go poznała. Tak ta twarz wyryła mi się w pamięci.

Tu z Przysłopia zginęli też dwaj bracia. Albin i Julek, to byli Nastki bracia. Jeszcze moja mama, świętej pamięci, opowiadała mi, że żenił się Mietek Z Zakamienia, ich brat. I Julek z Albinem śpiewali na tym weselu: „Koledzy, koledzy, kolegujemy razem, bo nasza ojczyzna okuta żelazem”. I na drugi dzień przyszli po Julka i po Albina. Julek, to był mąż



Z MAMĄ I PANIĄ DAŃCZAK



DOŻYNKI SPYRKOWSKIE

mojej ciotki Spod Grusecki, Hanki Babiarczyk. To był jej pierwszy chłop. Bo ona później wydała się za Kawiaka, a później za mojego stryka, Babiarczyka. Albin z kolei był krawcem, był on kulawy. I zabrali ich, nie wiem, jak daleko, ale wiem, że byli zabici za tą piosenkę. Wtedy na wesela przychodzili też ludzie nieproszeni, tylko potańczyć, i musiał ktoś z nieproszonych gości donieść. (*Spyrka Albin, ur. 24.5.1913, Spyrka Julian ur. 1.4.1909 zamieszkali Zawoja 1508, obydwaj zastrzeleni 12.1.1945 w Suchej – za Straty osobowe. Ofiary zbiorowych i indywidualnych egzekucji. Druga wojna światowa pod Babią Górą. Księga strat. Kraków-Zawoja 2011*).

I zginął jeszcze od Poldkule brat, nie pamiętam, jak się nazywał (*Polak Emil, vide – relacja Franciszka Kudzi*). On uciekał przed Niemcami. Nie wiem, dlaczego uciekał, może bał się, że chcą go zabrać. I w trakcie tej ucieczki Niemcy go zabili.

Partyzantów to u nas raczej nie było. Jak już chodzili, to były takie bandy. Na Magurce też byli. Nam została po wojnie jeszcze koza, to nam tą ostatnią kozę porwali ze stajni. Wojtek, taki stary dziadek tam był i pilnował stajni. Jak usłyszał beczącą kozę, to prawie goły wybiegł za tymi złodziejami. Doleciał do tego miejsca, gdzie jest dom Jasia Bywałca ale któryś ze złodziei strzelił z karabinu więc Wojtek wrócił. Jasiu Bywalec był w czasie wojny wysiedlony z rodzinnego osiedla Tomczyki w Stryszawie. Najpierw mieszkał u Bubiaka, u mojej mamy, u Hermana Kawiaka, tam, gdzie Władek Pasierbek. Tam mieszkali też Elżbieciaki ze Stryszawy. (*Vide – relacja Mariana Pasierbka*).

A jeszcze wiem od mamy, że w roku 1939, jak wojna się zaczęła, to mojego tatę i wujka Hermana od Bubiaka powołali do wojska. Poszli piechotą do Wadowic, a tam się do-



KABARET W WYDANIU PRZYSŁOFSKIM

wiedzieli, że nie ma dla nich broni, mundurów, butów, nic nie ma. Powiedziano im, że jak kogoś zabiją i rozbiją, to będą mieć broń. Więc oni wrócili do domu. Później tata został wyznaczony do warty i miał za zadanie patrolowanie terenu, sprawdzanie czy się gdzieś nie pali, płoszenie złodziei i wyłapywanie ukrywających się przed wywózką chłopów. I nieraz wypominał mi Maniek od Świerkoszki, (*Marian Babiarczyk, vide – relacja Józefa Smyraka*), że mój tata go gonił w nocy,

jak on się ukrywał. Ale na szczęście tata go nie złapał. Ale Mańka chyba ktoś dogonił, bo wiem, że był na robotach.

Pod Grapą, tam gdzie jest dom Paciorka, mieszkał też Cioper, nazwisko miał Emil Dyrz. Jemu zmarła żona w 1942 roku. On, jak to mówili paskarzył. Chodził aż za Babią Górę i przynosił stamtąd materiały, które tu sprzedawał. Ktoś przesłał do Ciopra wiadomość, że będzie u niego rewizja, więc on przyszedł do nas z tymi materiałami i prosił o ich przechowanie. Pamiętam, że w izbie targali deski z podłogi i pod tymi deskami chowali kupony materiałów. Na szczęście Niemcy do nas nie przyszli.

W czasie wojny ciągle trzeba było pilnować się i nie dać sobie zabrać krowy. Mój tata, jak tylko doszła do niego informacja, że Niemcy chodzą za krowami, to od razu brał kro-



Z MŁODZIEŻĄ I PANIAMI



ZABAWA KARNAWAŁOWA W SZKOLE

wę na łańcuch i uciekał do Czerwonej Grapy, tam jak się pod Żurka idzie. A świń w ogóle nie wolno było hodować. Myśmy mieli starą chałupę po przeciwnej stronie drogi niż obecnie stoi dom mamy. Ten dom był „przyklejony” do grapy, w niej wykopana była dziura. W tej dziurze chowaliśmy świnię, tylko zawsze baliśmy się, że zacznie hałasować. I tak, bez dostępu do światła, przez parę miesięcy chowaliśmy świnię w dziurze.

Pamiętam też, jak Ruskie przyszły. Na nogach takie filcowe buty, szary płaszcz, na głowie czapka uszanka. Chyba wtedy zimno było. Mama upiekła placek, taki na blasze pieczony, i włożyła go pod poduszkę. Wtedy chodziła po domach handlarka z Polany, Jakubinka. Ona nosiła na sprzedaż pięknie pachnące mydła. Nie wiem, skąd je brała, bo u nas mama to ług z popiołu robiła. I ta Jakubinka, jako że się jej podobałam, bo ja byłam taka grubiućka, a wtedy jak dziecko było grube to było ładne, przyniosła mi takie pachnące mydełko. I jak przyszły do nas Ruski, to od razu poczuli, że pachnie chleb i mówią, że mamy go oddać. Szukali chleba, a zamiast niego znaleźli mydło. Dwóch z nich siedziało na studni Pod Grapą a dwóch smotrało u nas chleba. Jak znaleźli mydło, powąchali i ugryzł: jeden, drugi a potem zanieśli kolegom siedzącym na studni. I tak zjedli moje pachnące mydło. To szczerą prawdą. A jak szła po wsi wiadomość, że Ruski idą, to wszystkie dziewczyny, kobiety - i zaborzanki, i córki od Ciopra - Anielka, Hanka, Józka, Janka, wszystkie uciekały w las.

Później to już nastały czasy bardziej normalne. Komuna, ale dało się żyć.

POLAK MARIA

OS. SPYRKÓWKA (ur. 1943 r.)

Historia mojego taty jest ciekawa z powodu jego wojennych przeżyć. W czasie, kiedy ja się urodziłam, tata był zamknięty w więzieniu w Nowym Targu. Powodem aresztowania było nielegalne zabicie swojej własnej świni. Niemcy zabicie niekolektywnej świni uważali za przestępstwo. *(Zakazano domowego uboju zwierząt – sztukę bydła czy trzody można było oddać do „oficjalnego” uboju, po czym otrzymywano w zamian jedynie część mięsa. Piotr Sadowski. Tło historyczne. Druga wojna światowa pod Babią Górą. Księga strat. Kraków-Zawoja 2011).* Jak to się zawsze odbywało, tata po zabiciu świni zaniósł porcję mięsa do sąsiada Władka u Zawory. Pech chciał, że akurat do sąsiada przyszedł ktoś z rodziny, czy znajomy, który był volksdeutschem i który doniósł do żandarmerii, że tata zabił swinię. Przyszli Niemcy, kazali tacie oddać mięso, policzyli, ile jest kawałków mięsa i kazali go odnieść na placówkę pod Babią Górą. Tata, zanim odniósł mięso, poodcinał z policzonych kawałków jeszcze trochę



MARIA POLAK Z PRAWNUKIEM STASIEM



LEON MOTOWIDŁO Z ŻONĄ MICHALINĄ

miejsca, żeby tylko zgadzała się ilość kawałków i poszedł na placówkę. Stamtąd już nie wrócił. Urodził się 15. marca 1920 roku w Zawoi jako syn Józefa i Magdaleny z domu Trzop... w lutym 1934 roku ożenił się i prowadził normalne rodzinne życie, ciężko pracując na roli, w lesie i budując dom.

W obliczu nadchodzącej wojny, 24. sierpnia 1939 r., w powszechnej mobilizacji został powołany do woj-

ska i skierowany na Śląsk jako celowniczy karabinów maszynowych. Jego wojna nie trwała długo. Już 1. września jego pułk został rozbity w okolicach Skoczowa. Dalsze działania wojenne polegały na opóźnianiu marszu wroga. Niestety, w okolicach Rzeszowa, z powodu braku amunicji, musieli się poddać. Było to początkiem października.

Trzy tygodnie przebywał w obozie jenieckim, a następnie został włączony do transportu do Niemiec. Korzystając z krótkiego postoju pociągu w polach koło Krakowa zbiegł z transportu i wrócił do domu. Tutaj znów podjął pracę jako drwal i zajmował się tym do 1943 roku.

Jak już wspomniałem, Leon Motowidło mieszka na Szczurkówce. Obecna granica gmin była w okresie wojennym granicą pomiędzy Rzeszą i Generalną Gubernią. To miejsce zamieszkania zaowocowało spotkaniem z członkami oddziałów partyzanckich. Jako mieszkaniec tego terenu i pracownik lasów, znał doskonale okolicę. Przeprowadzał przez granicę partyzantów i był ich łącznikiem.

W czerwcu 1943 r. popełnił czyn, który wówczas był karany śmiercią – zabił wyhodowaną w domu świnię. Kilkomna porcjami mięsa obdarował sąsiadów. Okazało się, że jedni z sąsiadów mieli w rodzinie volksdeutscha, który doniósł Niemcom o tym fakcie. Do tego „dołożył” historię współpracy Leona z partyzantami.

W dniu 11. czerwca 1943 roku został aresztowany... Rok 1943 to początek klęsk wojsk niemieckich. W sierpniu została wyzwolona Rumunia i wśród więźniów rozeszła się wieść, że mają być straceni. Wówczas Leon Motowidło z kolegą z celi – przedwojennym porucznikiem – ustalili, że spróbują uciec.

W dniu 24. sierpnia dowiedzieli się od kucharza, że kadra więzienna poszła się kąpać i pozostał tylko jeden Niemiec, który miał im wydać obiad o drugiej.

Więźniowie ustalili, że to Leon rzuci się na klucznika. „Nie było to łatwe. Nie byłem wykształcony, bałem się, że reszta mi nie pomoże. Przyszła druga, ustawiliśmy się w kolejce. Ja byłem najmłodszy i stałem na samym przodzie. Włosy stanęły mi na głowie, lecz to był jedyny ratunek; życie albo śmierć. Zginąć nie było za co, chciało się żyć, miałem czworo dzieci, młodą żonę i 33 lata. Gdy Niemiec otworzył drzwi, udało mi się zwalić go na ziemię, kolega związał mu usta ręcznikiem, a pasami związaliśmy ręce i nogi. Otworzyliśmy jeszcze kilka cel, ale trzeba było uciekać. Ucieczka nadal nie była prosta. Bramy były pozamykane, a mur bardzo wysoki. Na mury dostałem się jako trzeci. Gdy skoczyłem w dół, zerwałem nogi i do dziś mam je



W SŁUŻBIE OJCZYZNIE

chore i obolałe. Za mury dostało się nas tylko dwunastu i rozpoczął się alarm. Rogatki na mieście były pozamykane, tylko droga na Bukowinę była wolna. Przed samą rzeką dogoniłem kolegę i wtedy Niemcy otworzyli ogień. Kolega „dostał”, na brzeg wydostałem się sam...”

Po trzech dniach pieszej wędrówki, boso i w poniszczonym podarowanym płaszczu narzuconym na ciuchy więzienne, Leon Motowidło dostał się do Zawoi. **Ludzie Babiej Góry. Leon Motowidło. Pod Diablakiem nr 2/1996).**

Mama pierwszą informację o możliwości ucieczki taty dostała od organiści z Zawoi, która jej opowiedziała, że w więzieniu w Nowym Targu były jakieś zamieszki, dużo więźniów uciekło, dużo zostało zastrzelonych. Po ucieczce tata przyszedł w nasze strony po trzech dniach. Na Przysłopiu, w osiedlu Bubiaki spotkał znajomego, który ostrzegł go, że jest już poszukiwany. Nie pokazał się mamie, tylko poszedł do swojej teściowej, Anieli Bogdan na Kiczorę. Ta przyszła opowiedzieć swojej córce, że Leon uciekł z więzienia i wrócił. Tata nie chciał się w domu pokazać, bo były małe dzieci, i bał się, że przypadkowo mogą się wygadać. Otyłka miała wtedy 8 lat, Antek 6, Julka 2 i ja, która się urodziłam jak tata był w więzieniu. Uciekł z więzienia w tą niedzielę, kiedy ja byłam chrzczona. i bał się, że dzieci przypadkowo mogą się wygadać.

Główny schowek tata miał w pobliżu tak usytuowany, żeby było widać dom. W kępie zarośniętej drzewami wykopał jamę, do której mógł się zmieścić. Jamę wymościł słomą



ORSZAK WESELYNY Z PRZYSŁOPIA PRZEZ SZCZURKÓWKĘ, ZAWOJĘ CENTRUM NA PRZYSŁOP

i poprzykrywał gałęziami. Kiedyś, jak były straszne mrozy, dziadek zabrał do kryjówki kożuch, który u nas zostawiła na przechowanie kobieta ze Stryszawy, od Pana. Nie kojarzę sobie, czy ona też była wysiedlona, czy ten kożuch przyniosła na schowanie z dołu, ze Stryszawy. Akurat w czasie, kiedy tata miał ten kożuch w kryjówce, przyszła właścicielka kożucha i musiał jej kożuch oddać. Na letni czas tata miał wybudowany szałas z gałęzi, Niemcy zaraz po ucieczce



PRZED DOŻYNKAMI

taty co chwilę chodzili do nas. Na strychu kluli słomę bagnetami, sprawdzali każdy zakątek. Mama dla zmylenia Niemców kilka razy chodziła do Zawoi i nosiła paczki z prośbą, żeby je dostarczyli do taty do więzienia. Kiedyś, leżąc w przygotowanej w kępie kryjówce, nocą, tata zmartwiał ze strachu. Usłyszał dziwne głosy. Pewien był, że Niemcy już chodzą po okolicy z psami i przeszukują teren. Myślał, że już po nim. Siedział cichutko i modlił się. Rano, gdy wyszedł z kryjówki, stwierdził, że te odgłosy wydawały dziki, które nocą przeryły całe pole z ziemniakami. Innym razem tata musiał nawet nocować na drzewie, bo uciekając nie zdążył do żadnej kryjówki.

Wysiedlona też była rodzina Marysi, listonoszki. Najpierw mieszkali u dziadka Józka na Szczurkówce, później przeprowadzili się do Buczyny, tam gdzie mieszka teraz Heniek z Kiczory i Marysia. Tam mieszkali chyba przez dwa lata. Mieszkańców Stryszawy wysiedlali z domów, bo tam już była Rzesza, władza chciała, żeby mieszkali w niej rodowici Niemcy, więc na gospodarstwa wysiedleńców sprowadzali osadników z Niemiec.

Mama nosiła do schowka tacie jedzenie, supę z grzybów. Nie zawsze wiedziała, w której kryjówce jest tata schowany, więc o umówionych porach spotykała się z tatą w ustalonym miejscu. Umyślane miała, że w razie spotkania się z kimś niepowołanym, będzie opowiadała, że idzie do swojej mamy na Kiczorę. Zdarzało się, że mama zapomniała wziąć z sobą łyżki, więc tata supę wypijał, a co bardziej gęste, wybierał z naczyń drzazgą.

Z racji, że Niemcy zabrali nam krowę, dostaliśmy z Rady Głównej Opiekuńczej przydział na mleko, bo ja byłam niemowlakiem. Siostra Otylka chodziła do Zawoi po mleko, z najdrobniejszej mąki i mleka z Zawoi mama robiła zacierkę i tym mnie karmiła. Nie było łatwo. Ja się urodziłam 14. sierpnia, w czas żniw, więc mama już trzy dni po porodzie poszła nosić snopki z pola do stodoły. Poród też nie odbywał się w szpitalu, tylko w domu, przyjmowała akuszerka. Mnie akurat pomagała przyjść na świat babka Kunda ze Szczurkówki. Babka Anielka z Kiczory też była szeroko, daleko wołana do porodów.

Jak już sprawa ucieczki trochę się zestarzała i Niemcy rzadziej przychodzili szukać taty na Szczurkówkę, mógł on już czasem pomagać mamie w pracach polowych. Rozstawiali wtedy dzieci na czatach na drogach dojścia do Szczurkówki i tata pomagał mamie w polu. Kiedyś Niemcy spotkali Otylkę przy drodze, spytali, gdzie idzie. Odpowiedzia-



OJCIEC KRZYŚ Z DZIECIAKAMI

ła im, że idzie do ciotki Franki Mętlowej do Figury. Niemcy poszli z nią do Figury, sprawdzili jej wersję i kazali jej czekać na nich do wieczora. Ciotka Franciszka powiedziała Otylce, żeby szybko szła do domu opowiedzieć o Niemcach.

Z naszego przysiółka ludzie byli wyznaczeni do kopania okopów u Miśkowca. To był rok 1944, więc miałam wtedy około roku. Mama zawijała mnie w chustkę i brała do pracy przy okopach. Wezwanie zawsze przychodziło na Leona Motowidło ale szła mama. Kilka razy udało się jej wykręcić z roboty, bo mówiła nadzorcom, że jest sama

w domu, że mąż siedzi w więzieniu, że nie może się z nim skontaktować. Że w domu zostały małe dzieci bez opieki. Nieraz litościwy strażnik zwolnił mamę.

Biedy z lat wojennych nie pamiętam, znam ją tylko z opowiadań. Po wojnie wiele się też nie zmieniło. Chodziły też po domach gospodarzy, którzy mieli choćby splachetek pola osoby bezrolne prosząc o wsparcie. U nas chodziła taka Firula, mieszkała w polach, w szopie, nad Heńkiem z Buczyny. Chodziła też Zemlik Kundusia ze Swaliska. One nie



DZIEŃ BABCI I DZIADKA

miały swojego pola, więc chodziły pomagać w pracach polowych np. za koszyk ziemniaków. Ta Kundusia to pomagała mamie także w czasie, kiedy tata się ukrywał.

Jak się sprowadziłam na Spyrkówkę, słyszałam dużo razy opowiadania o wydarzeniu związanym z potyczką Niemców z partyzantami i o zagrożeniu pacyfikacją. Mojego męża, Franka, nie było wtedy na Spyrkówce. On mieszkał na Stryszawie u Kowaliczka, u swojej babci. Przybiegła tam jego mama, Wikta, która uciekła ze Spyrkówki i przez las przebiegła do Kowaliczka. Czy uciekła sama, czy z młodszymi dziećmi, to nie wiem, ale musiała przecież te dzieci zabrać, bo samych by ich nie zostawiła. Ona opowiedziała mieszkańcom od Kowaliczków o zdarzeniu na Spyrkówce. Mąż mi mówił, że stali tam na piwnicy, patrzyli i czekali, kiedy Spyrkówka zacznie się palić. Na szczęście Spyrkówka ocalała.

Niemcy mieli też placówkę, punkt obserwacyjny na Jałowcu. Często Niemcy, bojąc się przejścia przez las z powodu partyzantów, brali na Szczurkówce lub innych przysiółkach położonych blisko granicy przewodników, czy też może ci ludzie mieli służyć jako żywe tarcze.

OPRACOWAŁA Elżbieta Żurek

MARIA CHABERSKA, OS. SPYRKÓWKA (ur. 1948 r.)

Ja już jestem z pokolenia powojennego, więc nie mam wspomnień związanych z wojną. Mogę opowiedzieć ciekawą historię związaną z moją rodziną.

Mój dziadek, Klemens Toczek, mimo iż nie potrafił czytać ani pisać, dwa razy był za granicą, żeby zarobić na utrzymanie rodziny. Pierwszy raz wyjechał wraz z żoną Anną do Niemiec, gdzie pracowali w gospodarstwie rolnym. Pod koniec sezonu zauważył, że jego gospodarz wracając wypity do domu z jakiejś imprezy, zostawił przed bramą teczkę. Okazało się, że w teczce są



PRADZIADEK JANIK MICHAŁ



OPIEKUNKA ZOSIA I MAMA ANNA

pieniądze. Powiedział do babci: „Pojdź staro, oddomy mu torbę, to nos weźmie do roboty na drugi rok”. Gospodarz przyjmował w domu gości, więc ze złościł się na dziadka, że mu przeszkadza i natychmiast wyrzucił go z roboty. Dziadkowie wrócili.

Rok 1914. Nędza zmusza ich do kolejnego wyjazdu, tym razem za wielką wodę, do Ameryki. Wyjeżdżając, zostawiają w Polsce piątkę dzieci: Zosię, Anielkę, Władka, Piotrkę i Marię. W rolę matki i opiekunki wcieliła

się 15-letnia Zosia. Na dworcu kolejowym zaczepiła ich cyganka z propozycją wróżenia. Dziadek szorstko odprawił cygankę, więc ta ze złością odpowiedziała mu, że wprawdzie jedzie za wielką wodę, ale niczego się tam nie dorobi.

W Ameryce dziadek pracował na budowie, babcia prowadziła dom i gotowała robotnikom obiady. Tam też urodziły się im jeszcze dwie córki: Otylka w 1925 roku i Anna, moja mama. Po przepracowaniu trzech lat dziadek poszedł na pocztę, żeby zarobione pie-



AMERYKANKI OTYLIA I ANNA



DOM NA DWA KOŃCE



NA BOSAKA DO SZKOŁY

niądze przesłać do domu. Jako niepiśmienny, musiał poprosić na pocztce, żeby mu wysłali dolary i nie wziął żadnego potwierdzenia nadania pieniędzy. Dolary nigdy do Polski nie dotarły. Po kolejnych czterech latach dziadkowie wrócili do Polski. Kupili w Strykawie w Czernej gospodarstwo rolne, na którym już przepracowali kilka miesięcy. Po jakimś czasie przyszedł były właściciel, oddał dziadkowi pieniądze i zażądał oddania gospodarstwa. Dziadek wrócił na Spyrkówkę, wybudował dom „na dwa końce”, w którym zamieszkali z dziećmi – wujkiem Piotrem i jego żoną Anielą z d. Chrzyszcz oraz ciotką Otylią z mężem Ludwikiem Pochopień. Dom ten stoi do dziś.

Rok 1939, wybuchła wojna. W naszej okolicy prowadzi się nabór chętnych do pracy w Rzeszy. Ludzi straszy się, że jeśli nie pojedą sami, to Niemcy ich zmuszą (*Vide – relacja Franciszka Kudzi*). Moja mama Anna zgłosiła się do Arbeitsamtu w Suchej (*Kucharz hrabiego Tarnowskiego o nazwisku Cukier zdradził /Niemcom/ kryjówkę hrabskiego kredensu*

sreber, za co otrzymał stanowisko szefa „Arbeitsamtu” i nazwisko – Herr Zucker. Józef Bogacz. Wspomnienia Ludwika Drwala. Gdy Grzechynię dzieliła granica. Maków Podhalański 2015). Ufało się jej tyle, że nie musiała wyjeżdżać daleko. W Suchej, w restauracji „Hanka” potrzebowali pracownicy do najcięższych robót. Tam mama zaczęła pracować. Co miesiąc dostawała wolne i przez Zasypnicę i Janiki przychodziła do domu przynosząc czasem swojemu bratankowi i chrześniakowi Tadekowi podkradzioną pomarańczę. Kuzyn zawsze wspominał jej smak.

OPRACOWANIE: Elżbieta Żurek

PRZYPISY: Jan Żurek



CZESŁAW SPYRKA

MIĘDZY CUDEM A PRZEZNACZENIEM

*Nie chronił ich oręż
Ni ojczyzny troska
Tylko ty chroniłaś
Nasza matko boska*

*Dla tych, co odeszli na zawsze nieistotnym
jest, czy wierzymy my,
ważnym jest, że wierzyli oni.*

Czesław Spyrka, Sucha Beskidzka 2014



Na pograniczu Beskidu Makowskiego i Żywieckiego. **Jest środa, około siódmej rano, drugiego sierpnia 1944 roku.** Granicę Guberni i Rzeszy przekracza kilkuosobowy oddział partyzancki, pod komendą mężczyzny w wieku około trzydziestu pięciu lat. Jedzie też z nimi pięć obładowanych wozów, każdy zaprzężony w parę koni. Na granicy, koło figury Matki Boskiej, dwaj Niemcy z patrolu granicznego krzycząc: „Halt! Halt!”, chcą zatrzymać jadących partyzantów. Partyzanci z pierwszej furmanki otwierają ogień z automatów, natychmiast kładą dwóch Niemców trupem, trzeci ucieka. Odskakują do pobliskiego lasu. Dowodzący odprawia furmanki, rozkazując im dla zmylenia trochę pokluczyć, następnie poczekać i w rozproszeniu wracać do domów. Partyzanci kryją się w zagajniku niedaleko pobliskich domostw. Po dwóch, może trzech godzinach zjawiają się Niemcy. Zbierają mieszkańców przygranicznego osiedla Spyrki, leżącego po stronie Rzeszy i oznajmili przez tłumacza, że w odwecie wszyscy zostaną rozstrzelani, a domy spalone...

Szukając wyjaśnienia tego wydarzenia wertowałem wszelkiego rodzaju opracowania historyczne i inne publikacje, przeczytałem dużo wspomnień. I co? – I nic. Żadna publikacja nie wspomina o tym, co się działo na tym osiedlu po przyjeździe niemieckiego plutonu egzekucyjnego. Dopiero wspomnienia pana Eugeniusza Smoczka ps. „Mrówka” oraz zebrane relacje złożone przez Władysława R. Wawrzonka ps. „Świstak” w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Ameryce (USA) pod archiwalnym numerem 144, połączone razem z zasłyszanymi przeze mnie opowiadaniem z ust mojej mamy, ojczyma i sąsiadów oraz mojego teścia – byłego żołnierza Armii Krajowej z sekcji kolejowej, także efekty własnego sprawdzania najprzeróżniejszych źródeł, potwierdzających prawdziwość opowiadań naocznych świadków tamtych wydarzeń, dały mi możliwość stworzenia poprawnego opisu okoliczności towarzyszących tym zdarzeniom.

CZY OSIEDLE SPYRKI OCALEJE?

Odczucia ludzi stojących przed plutonem egzekucyjnym potęgowała świadomość dotycząca spacyfikowanego cztery miesiące wcześniej osiedla położonego na Makowskiej Górze w Generalnej Guberni. Tam, na początku Wielkiego Tygodnia 1944 roku, w odwecie za przebywanie na terenie tamtejszego osiedla Zagórze tylko jednego partyzanta, (choć nie zginął ani jeden Niemiec) spalono to osiedle razem z mieszkańcami, mordując w sumie 43 osoby, nie oszczędzono nawet życia niewinnych dzieci. Rzesza stosowała represje jeszcze ostrzejsze, krwawsze i bardziej bezwzględne np. jak w Żywcu, Kamesznicy, Żabnicy, Jeleśni, Lipowej, czy jak ostatnio w Gilowicach: powieszono dziesięciu Polaków



OSIEDLE SPYRKI WSPÓŁCZEŚNIE

za dwóch niemieckich żandarmów. A w Rycerze tylko za ukrywanie partyzantów, SS rozstrzelało również dziesięciu mieszkańców tej wioski. Wspomniane egzekucje odbiły się szerokim echem w całej okolicy.

Co teraz z nimi zrobią? Tam leżą ciała dwóch niemieckich żołnierzy z patrolu granicznego. Jakby nie było zginęli podczas pełnienia obowiązków...? Co z nimi będzie, co będzie z ich dziećmi, co z domami, dobytkiem? Jaki los ich czeka? To wydarzenie przekazywane ustnie zawsze tkwiło w mojej podświadomości. Jednak ciągle było odkładane ad acta, często z powodów czysto życiowych. Jednak największą przeszkodą był brak możliwości właściwego zweryfikowania go i dotarcia do dokumentów potwierdzających ustne przekazy. Osobiście nie mam zawodowego przygotowania w kierunku historycznym ani literackim, dysponuję jedynie własną cierpliwością i dociekliwością. Opisane zdarzenia historycznie i geograficznie miały miejsce. Tak samo prawdziwe są też informacje związane z występującymi tu osobami, ich okupacyjne przeżycia, a nawet osobiste przywary. Jedynie dla sfabularyzowania tych wydarzeń, styl i język prowadzonych dialogów został wzięty prosto z życia, a dla dodania kolorytu nieco go ubarwiłem.

Właściwie to nieraz sobie tak myślałem: „Po co ci to? Zagrożenie, jako dwuipółletni chłopak przeżyłeś, a właściwie dosłownie przespałeś. Tylu ludzi lata okupacji na tych terenach „wewte i w hawte” spisało i opublikowało, które to publikacje zresztą z zainteresowaniem czytałeś. Kogo to dzisiaj może interesować? Ale raz kozie śmierć! Zaryzykuję, napiszę i to możliwie szczegółowo! Dlaczego?

Po pierwsze: Nazwy tego osiedla, na tyle wydanych publikacji, opracowań historycznych, a nawet osobistych wspomnień nikt, dosłownie nikt, ani raz nie wymienia. Co ocaliło życie tych ludzi? Co ocaliło oddział partyzancki?

Jak wspominają sami partyzanci, szanse wygrania z przeważającymi liczebnie siłami wroga były żadne. Może mądre i zdecydowane decyzje dowodzącego oddziałem partyzanckim oraz karność jego ludzi? Czy może postawa ludzi w obliczu śmierci? Postawa,

która została ukształtowana na kamienistej i twardej, ale ojcowskiej ziemi, ziemi-żywi-
cielce, której nawet Hitler nie chciał, bowiem najbliższy osadnik niemiecki, tzw. „bałor”
gospodarzył w centrum Stryszawy (Strichau), około 6 km od Spyrkówki. A może zim-
na krew i przebiegłość tych ludzi, zmieszane z ich nieświadomością, czy może wręcz cza-
sem naiwnością? Zaś zwłaszcza opowiadanie Niemcom niestworzonych historii, daje wie-
le do myślenia. A może niepewność niemieckich żołnierzy, potęgowana świadomością, iż
po wykonaniu pacyfikacji, będą musieli wracać do samochodów lasem, bo innej drogi po
prostu nie mają. A w lesie? Kto wie, ile i jakie wojsko tam jest? A może wreszcie jak w tytu-
le, coś pomiędzy cudem a przeznaczeniem...?

Po drugie: Dociekając tego wszystkiego, bardzo zaintrygował mnie dowodzący ową grupą
partyzantów. Kto to taki? Wariat czy kto? Z taką brawurą, graniczącą z szaleństwem, prze-
kraczać w biały dzień silnie strzeżoną granicę i to w tym miejscu? Dlaczego partyzanci prze-
kraczali granicę, dokąd się kierowali? Czyżby to było związane z akcją „Burza”, albo zamia-
rem rozbicia którejś z placówek granicznych? Co spowodowało podjęcie tak ryzykownej de-
cyzji? Szukając odpowiedzi na te pytania w różnej maści publikacjach czytam, że porucz-
nik „Surma” to, porucznik „Surma” tamto. Niemal w każdym opracowaniu o ruchu opo-
ru na temat pogranicza żywiecko – makowskiego oraz rejonów zamojskich, natrafiłem na
same pozytywne i pochwalne opinie na jego temat. Odczułem chęć poznania dalszych lo-
sów tego ciekawego porucznika oraz poznania szczegółów jego życiorysu. Uznałem, że po
prostu wart, aby się nim zainteresować. Zebrane z różnych publikacji fakty oraz wspomnie-
nia naocznych świadków, pozwoliły na nakreślenie portretu zdolnego i bystrego dowódcy
partyzanckiego, porucznika Czesława Świąteckiego, który nosił pseudonim „Surma”.



CZESŁAW ŚWIĄTECKI „SURMA”,
Z CZASÓW PRACY JAKO NAUCZYCIEL
W CHELMIE

Uwa-
żam, że jest On wart tego, by się z wielkim szacun-
kiem pochylić nad losem tego odważnego, wręcz bra-
wurowego, ale charyzmatycznego dowódcy, a zara-
zem bardzo odpowiedzialnego za los ludzi z jego od-
działu, którymi nie tylko dowodził, ale i wychowy-
wał, zwłaszcza młodych. Jak sami partyzanci wspo-
minają w oddziale porucznika „Surmy” picie alkoho-
lu, palenie tytoniu i używanie wulgarnych słów było
zwalczane osobiście przez ich dowódcę. Jako peda-
gog z cywila robił to umiejętnie i taktownie, zarazem
sam dając przykład. Jak później się okazało, było to
właściwie postępowanie. Zaś, jak podkreślają w swo-
ich wspomnieniach ostatni jego podwładni – par-
tyzanci z oddziału „Garbnika”, robił to znakomicie.
Wspominali z dumą: byliśmy w oddziale Czesława
Świąteckiego, pseudonim „Surma”, po prostu my od
„Surmy”.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1 REJON STACJONOWANIA PORUCZNIKA „SURMY”

Trzecia dekada czerwca 1944 roku. Masyw leśny, rejon zbocza Gronia Gibasowego, w obrębie, Targanice, Okrajnik, Kuków, Targoszów. Czas w oddziale partyzanckim „Garbnika” płynie wolno. Po skromnym posiłku ludzie są trochę rozmarzeni. Myśli same cisną się do głowy. Poza wartownikami, którzy muszą mieć oczy dokoła głowy, jedni drzemią, inni coś czytają, ale większość, a zwłaszcza żonaci, myślami są przy bliskich, przy swoich rodzinach. Marzą, kiedy się ta cholerna wojna skończy, bo też i w samym lesie coś jakby spokojniej. Niemcy trochę odpuścili. I szefostwo jakby czegoś oczekiwało, jakieś powstanie, a to ja-



FOT. 203B RODZINA ŚWIĄTECKICH – 1941

kaś akcja „Burza”? E tam, od tego są politycy, a my od walki. Ale tak Bogiem a prawdą, to tym szkopom trzeba by dobrze dać popalić, by już wracali do tych swoich „heimatów”. Jednym z rozmyślających jest dowódca tegoż oddziału, trzydziestopięcioletni porucznik „Surma”. A co to dzisiaj? Sobota. Zaraz, zaraz, toż to 24 czerwca – imieniny żony Jasi. A za miesiąc moje i mojej jedynej córeczki Ani. Ile to już będzie miała tych lattek? W 1941 roku miała dwa latka, które razem spędzaliśmy jeszcze w Zwierzyńcu.

A potem ten cholerny „Wisman”, czy jak mu tam rzeczywiście było? Osobiście go do konspiracji wprowadziłem. A gdyby nie ta ich fantazja i brawura w kawiarni na Marszałkowskiej w Warszawie? Kto widział, aby lotnikowi niemieckiemu kazać tańczyć na stoliku? I już afera gotowa, a struktury pod-

ziemne w Zamojskiem rozpracowane. Ja, dzięki Bogu, a może też Matce Boskiej, dwa razy im nawiałem. Strzelali, ale „Pod Twoją Obronę” zrobiło swoje. Ale inni nie mieli takiego szczęścia. Czyli w październiku Ania będzie miała już pełne pięć lat. Boże, Matuchno nasza, tak bym ją przytulił, ale tak moooocno, moooocno... A Jasia, jak sobie tam daje rady, sama z małym

dzieckiem? Całe szczęście, że w Zwierzyńcu mamy tylu krewnych. Kawał drogi od nich muszę się ukrywać przed Niemcami. Targoszów, Sucha, Kraków, Tarnów... i dopiero Zwierzyniec w Ordynacji Zamojskich, no w sumie będzie jakieś 350 km stąd. Oj, daleko, daleko ta wojna nas od siebie rozdzieliła”. Z głębokiej zadumy wyrwało go przytłumione wołanie:

– Poruczniku „Surma”, poruczniku „Surma” – to partyzant „Dąbek”, stary druh porucznika!

– Nie wrzeszcz tak głośno, „Dąbek”, bo w Żywcu cię Niemcy usłyszą. Znowu będziemy musieli wiać przed nimi. No, ale właściwie zawsze nam to nieźle wychodzi.

– E, poruczniku teraz to byśmy stracha szkopom napędzili. A żeby tak jeszcze mieć lepsze uzbrojenie, ciągnął marzycielsko „Dąbek”.

– Ale co ty ode mnie właściwie chciałeś?

– „Roman”, no Antek Płanik przybył z Krakowa. O dziewiętnastej macie się z nim spotkać na polanie Gibasowej, w domu koło tej kapliczki co nam służy za skrzynkę kontaktową. Przysłał „Nurmiego”, a jego furmanką podwieźli. *Psiokrew tyz mi wielki margrabio, nozki go bolą ledwo zadek dowlok. Pewnie teraz odpoczywo.*

– Jak to „macie się”? Coś ty Dąbek oszalał, czy ci się pomyliła Armia Krajowa z Armią Czerwoną, że używasz, „macie się”?

– Nic mi się nie pomyliło, tylko macie być razem z „Jeleniem”, znaczy się z Wojtkiem Galicą.

– Powiedział, kto jeszcze?

– Nie. Powiedział tylko: dowódca taktyczny „Surma” oraz szef kompani „Jeleń”. Przykazał „Nurmiemu”, że jego przyjazd to tajemnica. Właściwie, to która funkcja jest ważniejsza: szefa czy dowódcy? – pyta podchwytliwie „Dąbek”.

– Ano tak, jak w rodzinie, odpowiada uśmiechając się filuternie porucznik. – Ale jak to mam rozumieć? – docieka „Dąbek”.

– Widzisz w rodzinie matka, to tak jak szef na kompani: dba, by rodzina była czysta, schludna, nie chodziła z dziurami w spodniach, miała jedzenie przygotowane, itd. Rozumiesz?

– Pewnie, że to jasne. U nas w domu też tak było. A ojciec? – drąży dalej temat ciekawy odpowiedzi partyzant.

– A ojciec to tak, jak ja – odpowiada „Surma”. Ściąga do domu co może, by było czym matce gospodarzyć i z czego ugotować. A to dzieciaki od czasu do czasu pogoni, by miały kondycję i nie zapomniały, kto tu jest taktycznym. Jasne? – odpowiedział śmiejąc się „Surma”.

– Jasne, jasne poruczniku – przytaknął rozbawiony „Dąbek”.

– Przestań już z tym porucznikiem. Właściwie już dawno znasz moje rzeczywiste imię i nazwisko, a że jesteś osiem lat młodszy to i lepiej, dłużej pożyjesz.

– No dobrze panie poruczniku. No masz ci los z tym „Dąbkem”, zamyślił się „Surma”. Właściwie to on ma fajnie: urodził się w Ślemieniu, nieraz podczas patrolu wpadają na placki

ziemniaczane do jego szwagierki Kaśki Gibasowej. Imienia i nazwiska bardzo też nie ukrywa. Leopold, czyli jak oni tu mówią, Poldek Gibas. Albo ten „Brzózka”, że nazywa się Andrzej Palus i że ojca ma na Lesie, też wszyscy wiedzą. Aha! Są jeszcze inni: z Kukowa, z Suchej, niemal sąsiedzi. W razie wyspy to bardzo niebezpieczne. – Ech – machnął ręką – lepiej obejdę czujki i sprawdzę, czy na obrzeżach obozowiska spokojnie. Przecież władze niemieckie i ich uzbrojone służby tylko czekają, by nas dorwać. Zaś Żywiec, który jest ośrodkiem władzy niemieckiej na południowo wschodni rejon Śląska, to zaledwie 15 km stąd. Może im także się już ta wojna przejadła? Aha! Hans to po naszymu Jan, na pewno będzie spokojnie – odetchnął z ulgą porucznik „Surma”. Nie ma się co martwić na zapas, pożyczmy, zobaczymy. Wszystko w rękach boskich, jak zapisane tak było i będzie. A może taki nasz los, jakie mamy przeznaczenie?

2 TAJEMNICZA AKCJA

„Sądzę, że dobrze z rotmistrzem „Zawieją” zdecydowaliśmy. Właściwie oddziałem Armii Krajowej w żywieckim jest tylko „Garbnik”, dowodzony przez jedyne, jak na razie oficera akowskiego, jakiego mam do dyspozycji, obeznanego w terenie. Innego wyjścia nie mam – przytaknął sam sobie zamyślony „Roman” zerkając do mapy, na której dokładnie, jak na warunki partyzanckie, zaznaczono granicę pomiędzy Generalną Gubernią a Rzeszą. Zaś bardziej na południe granicę z nieprzyjazną Polakom Słowacją. Aha! Południe Babiej Góry to tereny słowackie, a zalesione północne stoki Babiej Góry i Policy to nasze”.

– Meldują się porucznik „Surma” i sierżant „Jeleń” – przerwało dumanie „Romana”.

– Siadajcie! Aha, sierżancie, łącznik niech wraca do obozu.

– To chyba coś bardzo ważnego – zagadnął tajemniczo „Surma”.

– Tak, tak – odpowiedział, po czym odczekał, aż wróci „Jeleń”. – Ważne, a do tego jeszcze bardzo niebezpieczne oraz wymagające przygotowania logistycznego i taktycznego. Szef „Jeleń” musi dobrze doposażyć w co należy, zwłaszcza w buty. Ale do rzeczy. Po pierwsze: wszystko musi być utrzymane w ścisłej tajemnicy. Ogólnie sprawa wygląda tak: ty, „Surma”, wybierz z piętnastu najlepszych partyzantów. Dobrze, gdyby byli z okolic Suchej albo przynajmniej obeznani w okolicznych miejscowościach.

– U nas większość to miejscowi, a jeszcze przybywają nowi ze Suchej – wtrącił sierżant „Jeleń”.

– No, nie tylko – zaoponował „Roman”, np. „Surma” nietutejszy, a obeznany w terenie, jak mało kto. Dlatego jego wybrano do tego ważnego zadania. Trzeba skompletować i przeszkolić chłopaków. Tym się zajmie osobiście „Surma”. Zaś sierżant „Jeleń”, jako szef – ekwipunkiem, umundurowaniem, zwłaszcza zaś butami. A że trzeba przekraczać granicę i będzie kontakt z inną partyzantką, to mundury mają być na „cacy”. Dopilnuj,

by wszyscy mieli na prawym rękawie naszyte tarcze Śląskiego Okręgu Armii Krajowej: owalna tarcza, czarne tło, zielony świerk i biały orzeł z koroną, pomysł rotmistrza „Zawiei”.

„Surma”, ile ci zajmie wybieranie tych piętnastu ludzi?

– Wybierać będzie w czym, bo dochodzą nowi. Będą wymagać przeszkolenia. Tak do dziesięciu dni.

– No to sierżancie wszystko jasne? W sumie masz ponad trzy

tygodnie. Rozpoczęcie akcji w połowie lipca, ale gotowość od dziś. No dobrze, od poniedziałku – zmienił zdanie, widząc skwaszone miny swoich rozmówców. Ale powtarzam dobitnie, wszystko ma być w tajemnicy, bo to bardzo poważne zadanie. Każdy ma wiedzieć tylko to, co niezbędne i w swoim czasie. Bo inaczej z akcji zamiast chwały, będą ofiary. Co bardziej ciekawskich zbywać, im mniej będzie wiedział, to lepiej dla niego. Ustalamy: od poniedziałku żadnych wyskoków, wycieczek, odpuszczamy Niemcom, nawet „bauerom”. Zaopatrzenie tylko nocą i legalne, darowane lub zakupione od chętnych chłopów, a w ostateczności z zapasów.

– Chłopaki też by coś przed taką wyczerpującą akcją lepszego zjedli – wtrącił „Surma”

– No tak, co ja dla chłopów ugonię, to „Surma” z nich wygoni. Nie mówiąc już o rozwalanych butach – skomentował na zakończenie sierżant. Mogę się odmeldować do oddziału?

– Pewnie, pewnie – odrzekł nieprzywykły do wojskowych zwrotów „Roman”.

– A „Surma” zostanie do jutra. Niech sierżant zajmie się za porucznika oddziałem. – Wiem, co mam robić, to leży w zakresie moich obowiązków.

– Do zobaczenia!

– Poruczniku, mam cię wstępnie wprowadzić w ogólny plan akcji, a szczegóły sam sobie musisz dopracować. Dla ciebie została najbardziej ryzykowna część całej operacji. Wymagająca stalowych nerwów, żelaznej kondycji oraz samodyscypliny i co najważniejsze, smykałki partyzanckiej oraz dobrego refleksu. Dlatego „Zawieja” postawił na ciebie, a „góra” zaklepała. Tamci na „górze”, czyli krakowski Kedyw, uważa cię, jakby to powiedzieć, za „czarnego konia”. W zamojskim to podobno byłeś niezły?

– E, to ci „Zawieja” pewnie głupot naopowiadał. Dobrze wiesz, że mało wiedzieć, to bezpieczniej – powiedział „Surma”. – Ale mów, co to zadanie?

– Wszystko masz przed sobą. Co tak patrzysz? Całe twoje zadanie jest na tej mapie.



TARCZA ŚLĄSKIEGO OKRĘGU AK

Ale po kolei: będzie do odbioru broń.

– No nareszcie – ucieszył się porucznik – ale, już tyle razy obiecywali i nic z tego nie było.

– Ale tym razem to pewniak. Sam „Zawieja” się za to zabrał. Z resztą, coś się chyba szykuje, a wiedzą, że bez broni, to do du..., do duszy z całą tą wojaczką. Ogólnie sprawa przedstawia się tak: ja jestem w całej tej sprawie koordynatorem, sierżant – to słyszałeś, a rotmistrz „Zawieja” w Generalnej Guberni będzie odbierał broń z tego zrzutu. A że ja jestem koordynatorem, więc to mój obowiązek, by być przy pierwszym odbiorze broni. Tak, to pierwszy zrzut broni dla Armii Krajowej, przeznaczony na teren Rzeszy, od początku okupacji.

– A co my tu mamy na tej mapie?

– Tu jest twoje obozowisko, a zrzut nastąpi o tu, patrz, między Budzowem na południu a Stroniem na północy. Ale ty ze swoimi ludźmi masz dotrzeć bezszelestnie na wschodni skraj tego kompleksu leśnego, o tu na styku górnych części wiosek Palczy, Zachelmej i Budzowa. Ta polana w lesie, o tutaj – wskazał palcem, – to nasza zrzutowa placówka. Nosi nazwę „Żywica 102”. Zrzut powinien nastąpić pod koniec lipca. Ale tak jak nadmieniałem, ty musisz wyruszyć plus minus piętnastego lipca. Lepiej poczekać, niż nie zdążyć. Tam kwateruje kompania „Boruty”. Podobno zna świetnie tamtejszy teren. Będą sygnalizować i zabezpieczać całość tam, na miejscu. Ale zadowoleni, to oni z tego nie będą, bo swoje muszą zrobić, zaś broń w całości ma trafić tu do nas, do „Garbnika”. Czyli tak po chłopsku: idziesz po naszą broń, rzekł „Roman”, mocno podkreślając „naszą”. Tylko te 50 km. I ta cholerna granica, naszpikowana placówkami niemieckimi. W tamtą stronę jakoś przeskoczycie, ale z powrotem?

– A właściwie ile tej broni będzie?

– Z tego, co słyszałem, to na pewno ponad dwie tony.

– Ponad dwie tony – powtórzył zamyślony porucznik. Ale tego „na barana” w piętnastu, no i jeszcze ja, czyli w szesnastu, nie zabierzemy.

– O to się nie martw. Dowódca „Huty-Podgórze” już wyznaczył porucznika „Azo-ra” z plutonu „Babcia” z Zawoi do zorganizowania furmanek. A dla leśniczego to pestka.

– Ale wracajmy do mapy. Jak to widzisz „Surma”, trudno będzie, co?

– Wiesz co „Roman”, muszę się temu lepiej przyjrzeć. Ale tak sądząc po mapie, to zostaje nam tylko jeden jedyny, w miarę bezpieczny, szlak. O, tędy lasem, potem w dół przeskoczyć i tym potokiem w górę, mały skok i granica.

– To w tamtą stronę? A z powrotem, gdzie chcesz przekraczać granicę z pełnymi wozami broni?

– Właściwie jest tylko jedna, bezpieczna droga. Przy samej granicy, stoi tam może z dziewięć domów osiedla Spyрки i figura Matki Boskiej. O tu jest, nawet dokładnie zaznaczone.

– A skąd ty „Surma” wiesz, że tamtędy będzie bezpiecznie?

– To znany szlak przemysłowo – partyzancki między południowo-zachodnią Gubernią, a Rzeszą. Sam ześ nas z „Zawieją” i chłopakami w zeszłym roku w Żywieckie tamtędy przeprowadzał.

– Dobra, uśmiechnął się po nosie „Roman”. Na tym etapie dzisiaj musimy kończyć, ciemno się robi i na mapie nic już prawie nie widać. Jutro do tego wrócimy.

– Tylko nie jutro. Jutro niedziela, idę na mszę. A muszę to wszystko, co omawialiśmy, spokojnie przemyśleć.

– Dobrze poruczniku, więc zostawiamy tę sprawę do poniedziałku.

– Zgoda, ale po południu. Przed południem chcę wstępnie wybrać kilku i ściągnę też sierżanta „Jawora” z Romanki, z jego plutonem. Sucha to rodzinne miasto „Jawora” i nie tylko „Jawora”. „Jeleń” będzie mógł już się rozpatrzyć w sprawie umundurowania.

– W takim razie „siusiu, paciurek i do spania” – zażartował „Roman”.

– Tak, tak. Ja jednak wyjdę nogi rozprostować i zobaczyć, czy będzie ładnie, gdy pójde jutro do kościoła. Dziś są imieniny mojej żony. Zanosi się na ładną niedzielę. *Hanse* śpią, może oblewają imieniny. Że też mają imieniny razem z moją żoną Jasią.

– Widzę „Surma”, że bardzo tęsknisz za swoją rodziną? Tam, w twoje strony, na Zamajszczyznę wkracza już Armia Czerwona.

– Tak, wkracza, dobrze powiedziane, ale nie wyzwała. Boże chroń nas od takich wyzwolicieli. Do was tu w 1920-tym nie doszli, macie szczęście! Ale u nas, czego nie zjedli, to resztę zniszczyli, a kobiety... strach pomyśleć.

– E, teraz to oni sojusznicy. Nie martw się „Surma”.

– Też mi sojusznicy, a w 1939-tym wbili nam nóż w plecy. Dobranoc. Śpijmy już, jutro będę drzemał w kościele, zamiast się modlić.

– Dobranoc – odburknął „Roman”.

3 PLAN

– O już jesteś – zagadnął porucznika „Surmę” „Roman”.

– Tak, właśnie przyszedłem, abyśmy zakończyli to, czego w sobotę nie zdążyliśmy uzgodnić. Przed południem wybrałem kilku, a „Jawor” niezwłocznie dołączy ze swoimi. Sierżant „Jeleń” zrobi im przegląd, ale znając Wojtka, będzie im wciskał swoje poglądy na temat woj-ska, tym swoim ojcowskim sposobem. Właściwie dobrze robi, teoretycznie ich już przeszkoli.

– Wejdźmy może do środka. O, tu jest mapa. A jak tam było wczoraj w kościele?

– Nie wiem czy mi się wydawało, ale tak na mnie patrzono, jakbym miał na plecach napisane „partyzant”. Inna rzecz, ludzie tylko miejscowi.

– Co się dziwisz? Wszyscy się tu znają. Jeśli jeszcze panny za tobą zerkają, to tylko powinieneś się cieszyć. – Jestem żonaty i mam córeczkę – uciął „Surma”. Lepiej dawaj tę mapę. Na czym to przedwczoraj skończyliśmy?

– O tu, przy tym osiedlu Spyрки. A co ciekawego wymyśliłeś poruczniku „Surma” od soboty?

– A choćby to, że nie ma innego wyjścia. Jedyna bezpieczna furmańska droga wiedzie pomiędzy tymi domami – wskazał na mapie. W tamtą stronę w razie potrzeby, możemy to osiedle ominąć idąc skrajem lasu, przez młodnik a potem dopiero do figury Matki Boskiej, a tu już granica i Gubernia. Jadąc furmankami z powrotem, musimy przejechać jednak środkiem osiedla Spyрки, a ten dom na środku, trzeba niemal, popod strzechę dookoła objechać. Całe szczęście, że ludzie tam mają dobrą zasadę: nic nie widzą, nic nie słyszą, a ruch i handel jak na jarmarkach przed wojną. Ziemia licha i kamienista, a kontyngenty trzeba oddawać. Muszą sobie ludzie jakoś radzić, aby żyć. No trzeba przyznać, że ten odcinek i to osiedle Spyрки jest najdokładniej naniesione na tej mapie. Każdy budynek, o nawet studnie, nie mówiąc już o tej figurze.

– A co ty „Surma” myślisz, że o tym przejściu to tylko my wiemy? A że Niemcy mają dobre mapy, to teraz i nam ich nie brak. Coś mi się widzi poruczniku, że ty i bez mapy masz nie tylko dobre, ale bardzo dobre rozeznanie?

– Rzeczywiście. Zgadza się, dużo wiem o tym szlaku. Większość oddziału pochodzi z tych okolic: z Suchej, z Kukowa, ze Ślemienia. Jeden to nawet zna to przejście, jak swoją własną kieszeń. Mamy tu takiego bystrego łącznika – miejscowy, często przebywa w oddziale. Przyszedł właśnie w sobotę, trochę gaduła, ale mówi to, co może się nam przydać, a nikomu nie zaszkodzi. Często z nim rozmawiam. Zanim związał się z partyzantką był przemytnikiem. Przenosił z Żywca przez to osiedle Spyрки drożdże, tkaniny, a nawet małe, żywe świnki. Zaś z powrotem masło, jajka czy cielęcinę. Za polską żywność Niemcy słono płacą, a i oko przysmykają na ten szmugiel. Nawet kiedyś przemycał jakieś książki. Chcąc się więcej od niego dowiedzieć, zabrałem go wczoraj ze sobą, niby jako przewodnika, podjąłem temat jego kontrabandy. Przyznał, że przynajmniej raz w tygodniu trasę Żywiec – Spyрки pokonywał tam i z powrotem. Na początku wojny, to gospodarze, którzy mieli pola i pastwiska po obu stronach granicy, co dzień tę granicę bez problemów przekraczali. Żywiec – via Stryszawa, Grzechynia, a nawet Maków robił jednym kursem. Ale to się urwało. Chłopi musieli się nawzajem polami powymieniać, gdyż granicę uszczelniono. A teraz, jedni przybywają z Rzeszy do Spyрки, zaś drudzy z Guberni i handel kwitnie na całego. Ten sprytny łącznik opowiedział mi, że raz to nawet miał miejsce taki przypadek: zaczął w jednej chałupie wyciągać z plecaka drożdże, a tu przed domem nagle pojawił się, nie wiadomo skąd, patrol niemiecki. Uciekł więc na izbę, znaczy na strych. To jeszcze nic, okazało się, że to nie ci znani tutejszym ludziom Niemcy, ale jacyś nowi, obcy. Weszli na *pogrodke*, to taki rodzaj werandy. Jeden usiadł sobie na progu domu, widział stąd granicę, jak na dłoni. Drugi zaś, nie zdejmując broni, nachylił się przez drzwi i zawołał: „jesz kto, halo, jesh kto?” Widząc wychylającą się zza drzwi ładną dziewczynę, w czarnych lokach, uśmiechnął się do niej. Zaczął mówić, mieszając języki: „Ich und meine Kameraden, my kupić maszlo, może szera, można slaniny. Bitte, bitte ładna dzieszczyna, i kawal leba

bitte”. Anielka (tak było na imię dziewczynie) poszła pewnie poszukać tego, o co ją proszono, a Niemcy cierpliwie czekali. A on z drożdżami, pół metra nad nim. Zdawało mu się, że wszyscy słyszą bicie jego serca. „Jeszcze te cholerne schody”, nie żadna drabina, ale wygodne, zrobione z szerokich desek stopnie. Jeszcze sobie Niemiec przysiadł na nich, stawiając karabin między swoje stopy. Gdzie ta Anielka się podziała? Całe wieki jej nie ma... Nareszcie przyniosła na brytfance pół bochenka chleba i kawałek słoniny. Niemiec z całą brytfanką podał wszystko temu drugiemu, a dziewczynie włożył do kieszeni od fartucha kilka marek. Dziewczyna przeliczyła i powiedziała: „– Herr oficer, to za dużo, a nie mam reszty.” – „Reszta nein, reszta nein! Keine oficer, keine oficer, wir Soldaten” – coś tam jeszcze szwargotał po niemiecku. Wyszło z tego, że dowódca ich patrolu ma dziś urodziny. Czeka u szczytu Magurki, a tych dwóch wysłał po zaopatrzenie. „– Ich bitte noch szamogon, bitte szamogon.”

Dziewczyna wpadła do kuchni, jak wystrzelona z procy i migiem podała Niemcowi dużą flachę bimbru. Ten oglądając flaszkę samogonu, chciał jeszcze dopłacić, ale czarnuła, pokazując na marki, rzekła: „– To za resztę, to za resztę. Reszta, reszta.” „– Danke, baszo danke, ładna dzieszyna”. Zapakowali towar, gdzie mogli i odeszli, granicą do szczytu Magurki. Zaś przemytnik drożdży miał takiego stracha, że gdy zszedł, to bezwiednie wyjął i położył na tych schodach od strychu pistolet, a potem na śmierć o nim zapomniał. Resztę drożdży wyłożył, zapakował towar, a tu nagle wchodzi do kuchni najstarszy brat Anielki, Józek ze znalezionym na schodach pistoletem, śmiejąc się i żartując, aby śmieci też ze sobą zabrał, gdy będzie wychodził. Jak opowiadał łącznik, sam nie wiedział, co było większe: strach, czy wstyd? Wiadomo broń, to nie to samo, co szmugiel. Nie czekając na prośzone placki ziemniaczane, bo przecież Anielka ostatnie pół chleba odstąpiła Niemcom, jak wyrwał, to się ze dwa miesiące tam nie pokazywał. U Spyрки myśleli nawet, że ten nasz łącznik wpadł. Później wyjaśniło się, że to byli „granicznioki” pilnujący granicy na odcinku od szczytu Magurki do zolamtu pod Drwalową, a mający placówkę u Pytla nad suską Zasypnicą.

– Ale wróćmy do tych domów koło kapliczki. Na tym osiedlu, jeden drugiego ostrzega i wiedzą, gdzie i kiedy przeszedł patrol. Nawet, gdy się na siebie gniewają i z tego powodu nie rozmawiają, to w potrzebie zawsze



ANIELA SPYRKA NA WESELU (W OSTATNIM RZĘDZIE, PIERWSZA Z LEWEJ)

się wspomagają. Na uwagę: „– E, kumoter, przecios ty do mnie nie godos.” – odpowiadają: „Godom, nie godom, ale powiydz mi kumoter, co do tego majom Niymcy” ? Tam się żonaci mężczyźni nawzajem nazywają kumotrami, a ich żony kumoskami. Starsi wiekiem to krzesnołojce i krzesnomatki – kwestia różnicy wieku. – To dobrze, to bardzo dobrze, ale co dalej z tą kapliczką? – zapytał „Roman. – Przy granicy stoi ta figura i dwie, może trzy małe czereśnie. Nad kapliczką gruby buk, niemal w samej granicy. W tym miejscu, czasem ci z patrolu przystają.

Mają stamtąd widok na granicę, jak na dłoni, aż hen do szczytu Kiczory, w kierunku Siwcówki, gdzie mają swoją placówkę. Od Spyрки to jakieś plus minus 5 km.

Po przejściu granicy, idąc na wschód, mamy co prawda teren niezadrzewiony, ale chwała Bogu, z góry prawie niewidoczny. Droga prowadzi popod wysoką miedzę, a po około czterystu metrach będziemy już z drugiej strony góry, a tam dalej, las grzechyński, osiedle Cyganowa, potem przez Skawę, dalej grzbietem w prawo, aż do spacyfikowanego osiedla, na Makowskiej Górze. Następnie furmańską drogą w dół, przez Jachówkę, skrajem Budzowa, do Zachełmnej. Ponad cztery godziny forsownego marszu, licząc od granicy. Tak samo z powrotem pojedziemy z bronią – podsumował „Surma”.

– Tak, na mapie to łatwo wygląda poruczniku, a w praktyce może być różnie?

– A różnie, różnie – westchnął, porucznik, ale to już wie tylko Wszechmocny.

– Tak, tak – przytaknął zamyślony „Roman” – to oczywiste. Zatem na dziś sprawy służbowe na tym kończymy.

– Teraz może byśmy tak co dobrego zjedli? Gaździna gdzieś wybyła. Co prawda, chłopcy dopiero poszli nad ranem po chleb do Walusiaka z Porąbki. Zrobią także świeże, zaopatrzenie. Ale, wczoraj od jednej kobieciny dostaliśmy, takie trzy wielgachne placki z pszennej razowej mąki, na drożdżach, z grubą posypką. Było nam strasznie głupio brać, ale mówiła, że piecze w piecu cztery na raz. Ma jeszcze starą pszenicę, to namielą na tym młynku, co jej któryś z partyzantów załatwił. Więc ona tak z wdzięczności daje te placki. Trudno odmówić. Zgodnie z partyzancką regułą dałem do kuchni, niech to równo podzielią. Dyżurny zaraz odciął moją porcję. A kawa w pudełeczku też się znajdzie. Zobacz, co Polak potrafi! Mała deseczka, trzy białe gwoź-



KAPLICZKA MATKI BOŻEJ PRZED RENOWACJĄ



WIDOK SPRZED FIGURY MATKI BOSKIEJ U SPYRKI. PO LEWEJ STRONIE DROGI JEST ZAWOJA, PO PRAWEJ STRYSZAWA. STĄD NIEMCY MIELI GRANICĘ JAK NA DŁONI. WIDOCZNA NA ZDJĘCIU DROGA DO LAT SIEDEMDZIESIĄTYCH BYŁA POŁOŻONA TAK GŁĘBOKO, ŻE NIE BYŁO WIDAĆ JADĄCEJ PO NIEJ FURMANKI. TĄ DROGĄ ZJEŹDŻALI FURMANKI Z BRONIĄ W 1944 ROKU.

dzie, dekielek z pudełka po paście do butów. Na dekielek mamy około 80 % bimber. I zapalamy, stawiamy blaszany garnuszek albo menażkę, sypiemy to, co mamy i ciepłe picie gotowe. Nawet jajka można ugotować. Nie musimy czekać na gospodarzy. – Uff, jakie gorące. Mocna ta kawa, ale gorzka.

–Wiesz Antek, przydałby się teraz ten miód, który z „Knyplem” kiedyś przez trzy dni na okrągło jedliśmy. Tak wygląda ta nasza partyzancka armia, ale nie ma co narzekać, widocznie takie nasze przeznaczenie. Nie ma miodu, można sobie inaczej poradzić. Chłopi sadzą sobie buraki cukrowe, niby na paszę. A po zbiorze oskrobiają, pokroją i do garnka, na ogień. Gotują, gotują, aż się zrobi syrop. Dlatego tak zalatuje. Mają cukier zrobiony domowym sposobem. Piernika też można upiec.



SPYRKÓWKA Z LAT 80-TYCH

4 KU GRANICY

– Witam bracie partyzancką! – powitał zebraną na leśnej polance grupę partyzantów szef oddziału partyzanckiego „Garbnika” starszy sierżant „Jeleń”. Dało się zauważyć, że jest na luzie, bo był uśmiechnięty i wyraźnie zadowolony. – Siedzieć, nie wstawać. Obiad, jak widzę, mieliście obfity, do tego dwa dni luzu. Chyba starczyło, abyście wypoczęli? Proszę słuchać uważnie, nie będę powtarzał. Ja was tylko wprowadzę tak ogólnie, resztę powie wam porucznik „Surma”. Kolacja dzisiaj będzie wcześniej.

– Hura! – ucieszyli się półgłosem chłopaki.

– Tak bardzo się nie cieszcie, przed wami poważne zadanie, z jedzeniem też, jak to w drodze.

– Wiemy, wiemy! – przytaknęli zgodnie.

– Do rzeczy. Do kolacji czas na przygotowanie do wymarszu, uzupełnienie niedociągnięć mundurowych. Buty i mundury otrzymaliście najlepsze, jakie tylko mamy. Rozkaz „Surmy” był zdecydowany, nie było sprzeciwu podczas wymiany umundurowania między wami a tymi, co zostają w miejscu zakwaterowania. „Krata”, ta twoja oznaka na twoim przedramieniu jakoś krzywo przyszyta, dobrze chociaż, że na prawym. Po kolacji ma być prosto.

A ty „Dąbek”, jak ten żydowski Icek, inaczej niż wszyscy. No niech już tak będzie, może „Surma” przepuści. Pamiętajcie, oznaka to oczko w głowie „Zawiei” i „Surmy”. Tylko śląscy partyzanci takie noszą. Broń, zgodnie z zaleceniem porucznika. Na wasze nogi czeka z pięćdziesiąt kilometrów partyzanckiego szlaku i to w jedną stronę. Marsz wyłącznie nocą.

– E, to nic strasznego, my przywykli, dla nas to pestka.

– Rozumiem – skinął głową szef. Teraz na pewno będzie trudniej. Chodziliście małymi grupkami, a niektórzy, zanim trafili do oddziału „Surmy” to owszem, też chodzili, ale z kontrabandą i w pojedynkę. Tym razem będzie na pewno trudniej. Po pierwsze, grupa jest, szesnastoosobowa, więc niemała. Po drugie: ma być po cichu. Po trzecie: koniecznie unikać szkopów, najlepiej omijając ich z daleka. Po czwarte: używać broni tylko wtedy, gdy będą się o to prosić i piąte, najważniejsze: zabezpieczenie taboru. A to wszystko cicho, sza, jak te myszki. Zrozumiano?

– Tak jest. Szefie, może tak coś więcej szef nam powie o tym taborze?

– Szczerze? Ja już wiem, lecz to tajemnica służbowa. Nie mogę, „Surma” tyle pozwoił, o więcej pytajcie porucznika! Zbiórka po kolacji, cała piętnastka ma być gotowa do wymarszu zgodnie z instrukcją, którą znacie, więc nie będę kolejny raz przypominał.

Panie poruczniku, sierżant „Jeleń” melduje oddział w pełnym rynsztunku, gotowy do wymarszu. Stan piętnastu plus jeden. Oddział spoczni!

– Panie sierżancie, przejmuję oddział. Oddział na moją komendę baczność! Oddział spoczni! Jak, jesteście wypoczęci?

– Tak jest!

– To dobrze, czekają nas niemałe trudy. Szef was na pewno wprowadził, co i jak. Co nas czeka, wiedzą tylko tam w niebie. Mamy do przeskoczenia po cichutku granicę Generalnej Guberni. Sierżant „Jeleń” zostaje z resztą oddziału w obozowisku. Będą niepokoić oddziały niemieckie, by mieli jakieś zajęcie. My tymczasem raz dwa będziemy z powrotem. Jasne?

– Tak jest, ale co to za tajemnicza akcja?

– Więcej na miejscu, w Guberni. Będzie czas na wszystko, będzie spanie, jeść też dadzą. Za piętnaście minut wymarsz. Przed zmrokiem będziemy na skraju lasu, kierunek południowy – wschód. A dalej ciemną nocą... Większość z was ten szlak dobrze zna z partyzantki, no i ze szmuglu. A co, może to nieprawda?

– Hej, scyro prowa, porucniku. Porucnik nietutejszy, ale z naszymi obyczajami i gwarom łobeznany, jak mało kto.

– W końcu zawsze byłem dobrym uczniem. Panowie, osobiście odpowiadam za wykonanie tego zadania. Powinno obyć się bez strat własnych. Będziecie pod moimi rozkazami, ale kule Pan Bóg nosi. Dlatego starym zwyczajem, trudy znosimy jednakowo: szeregowy, porucznik, starszy, młodszy. Znam ten szlak, pójdę jak zawsze pierwszy. W nocy trzymamy się blisko, rozmawiamy szeptem, palić – broń was Panie Boże. Pierwszy odcinek do skraju lasu za dnia, a jak się ściemni, w dół do rzeki, w górę do granicy, odskok od granicy i już będziemy mieć ze 25 km za sobą. Odpocznijemy, przeczekamy dzień. Nocą w drogę, lasem grzechyńskim, osiedle Cyganowa, przez Skawę na Makowską Górę, następnie w dół do Jachówki, tam będzie czekał przewodnik. On nam wskaże miejsce postoju. A na dziś tylko tyle macie do zapamiętania: czujność, w przypadku rozproszenia – pierwsze miejsce zbiórki to zachodni skraj lasu grzechyńskiego, drugi punkt – styk lasu za cmentarzem w Budzowie, tam będzie czekał nasz łącznik „Bolek”. Poza mną, „Dąbek” i „Knypel” z „Brzózka” znają się z nim dobrze. Teren również dobrze znają, więc w razie czego ich się trzymać, używanie broni – tylko w konieczności, ustalam hasło na czas marszu: hasło – „tam”, odzew – „powrót”, zapoznać się ze szkicem marszruty z zaznaczoną granicą i trzema najważniejszymi punktami. Jeden krzyżyk to pierwsze miejsce postoju, ewentualnie zbiórki na skraju lasu grzechyńskiego, a dwa krzyżyki to drugi punkt, ten koło cmentarza w Budzowie. Zaś trzeci punkt to gwiazdka przy tej figurze. Właściwie to najważniejsze miejsce. Tu przekraczamy granicę. Dla tych, którzy tędy nigdy nie przechodzili: musimy przejść koło osiedla Spyryki, za kamienną figurą Matki Boskiej jest już Gubernia. Około kilometra dalej mamy las grzechyński. Pierwszy etap będzie za nami. Zapamiętać dane ze szkicu. Ja znam trasę na pamięć, szkic należy dokładnie spalić. Przynajmniej taki pożytek z Palaczy.

ROZDZIAŁ DRUGI

5 PALCZA – KWATERA ROTMISTRZA WACŁAWA ZDYBA PS. „ZAWIEJA”

– Panie rotmistrzu, porucznik „Surma” melduje swoje przybycie.

– A, to ty Czesław, już kończę. Witam, witam. Nie trzeba tak służbowo poruczniku. Partyzantka lubi luz. Wiem, wiem gdzie trzeba to trzeba, ale my dwaj... Co u ciebie? – nie melduj, opowiadaj – przywitał wchodzącego energicznie wstający, jeszcze młodo wyglądający oficer rotmistrz Zdyb, znany pod pseudonimem „Zawieja”.

– Siadaj i opowiadaj. Oddział masz rozlokowany? Prowiant wam zabezpieczają?

– Tak, wszystko w najlepszym w porządku. Chłopaki po marszu wracają do formy, spisali się prawie wzorowo panie rotmistrzu.

– Tak, tak. Ćwiczenia i jeszcze raz ćwiczenia, to i krwi w walce mniej. Ale czekając na moje przybycie mieli kilka luźniejszych dni, to swoje odespali?

– Tak jest, odespali – roześmiał się zagadnięty porucznik. – Są pod opieką sierżanta „Jawora”, tego z „Romanki”.

– Czesiu, trochę mi brakuje lasów żywieckich. Ale jak to mówią nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. I tym razem to powiedzenie się sprawdziło. Jest już potwierdzony zrzut broni.

– Tak, wiem już o tym.

Więc wracaj do chłopaków i czekajcie cierpliwie na łącznika z meldunkiem. Zobaczmy się dopiero podczas zrzutu.

– Poruczniku, długo tak jeszcze będziemy tkwić w jednym miejscu nic nie wiedząc? Kości bolą. Na co my w końcu czekamy? Poza apelami i modlitwą tylko byczenie się, szlag człowieka trafia.

– Mnie też. Mam rozkaz czekać, to czekamy

– Ale na co? Na kobyle *caco* – wtrącił się „Brzózka” – nie jest źle, jeszcze takiego leniuchowania nie było. Żarcie dają miejscowi, jest lato, spanie fajne. Żyć nie umierać. Warty, co to za warty? Niemca od wymarszu z Rzeszy nie widzieliśmy. Nawet bałora w pobliżu nie uświadczysz. Miejscowa partyzantka to sobie tu może naprawdę na wiele pozwolić. Właściwie to tylko z nimi mamy rozrywkę podczas stania na czujce, przechodzą tędy tam i z powrotem. Taka partyzancka „Wieża Babel”. Jeden nawet pieprzył, czy by który z naszych nie przyszedł do nich. Chwalił się, że mają jakieś odczyty, prelekcje i takie tam. Może by tak poruczniku u nas takie coś po apelu zorganizować, tak dla urozmaicenia?

– Po co czekamy? Cierpliwość to wielka zaleta człowieka, wszystko w swoim czasie, wszystko dla dobra zadania. Natomiast, co do tego agitatora i tego co bredzi „Brzózka”, to ja, „Surma”, oświadczam wam, z całą odpowiedzialnością, jako wasz dowódca, że nigdy nie pozwolę na żadne polityczne agitowanie NIKOMU!!! Jesteśmy Armią Krajową, a wojsko musi być apolitycznie. Zapamiętajcie sobie to raz na zawsze. Zrozumiano?

– Ale *bajok* z ciebie „Brzózka”. Wnerwiłeś tylko porucznika. Poruczniku, „Brzózce” z nudów się tak palnęło.

– Macie szczęście, że mamy być cicho. Po powrocie do Kocierza, pogonię po lesie, że hej.

– Aha! Jednak stąd będziemy wracać, coś się jaśniej robi w tej sprawie?

– Panowie dzielam wasze zniecierpliwienie. Wszyscy bez wyjątku jesteśmy ochotnikami w Armii Krajowej. Bez samodyscypliny partyzantka szybko by się rozpadła. Każdy z nas może odejść, dokąd chce i kiedy chce uzyskując zwolnienie z przysięgi. Pytanie: dokąd? Wojna jeszcze trwa. Sierżancie „Jawor”, zdjąć „Dąbka”! Stoi nad ścieżką od strony kalwaryjskiego klasztoru.

– Poruczniku „Dąbek” wraca, prowadzi jakąś dziewczynę i chłopaka. Wojna, a im amorów się w lesie zachciało.

– Cicho, to dzieci „Jaśmina”, najmłodszy Edmund z siostrą Danką. Niech was przytulę moje kochane Smoczki. Dokąd się wybieracie?

– Wracamy z kościoła. Braciszkowi coś się obilo o uszy o waszej bytności, więc mnie wyciągnął na modlitwy. Już ja wiem, o co prosił Matkę Boską Kalwaryjską.

– Widzisz, jedną prośbę spełniła, a drugą... A drugą, panie poruczniku, ja bardzo chcę do partyzantki. Przyjmie mnie porucznik?

– Nie, nie mogę! Musi być zgoda ojca małolacie.

– Tata ukrywa się w Łapanowie, ale się zgodził. Danuś powiedz, że to prawda.

– Taaak, tak, tak – szybko przytaknęła starsza siostra – uprosił ojca.

– To zmienia postać rzeczy. Będziesz miał pseudonim „Mrówka”. Zostajesz z nami.

– Naprawdę? Jestem bardzo uradowany poruczniku. Nie wiem jak mam dziękować?

– Dziękować nie ma za co. Ale mów co u ciebie?

– Dziękuję, jakoś leci. Teraz to ja jestem „Mrówka”, pełną gębą partyzant z oddziału porucznika „Surmy”. Ha! Ty, Danko, teraz to ja od „Surmy” jestem!

– Ty zamiast się nadymać, odpowiedz porucznikowi, gdy cię pyta!

– Tata z mamą gdzieś się ukrywają w Łapanowie. Ja z Danką jesteśmy w Palczy. To miejsce tata wynalazł u krewniaków. Po sąsiedzku mieszkają. Pan zna? „Blondyn” z żoną i córką. To on niby mimochodem napomknął, że „Surma” już jest z oddziałem w tej okolicy. A tutejsi będą obstawiać jakąś akcję.

– Aha! Ukrywał się u was na Graniczniku, zanim naszej czwórce „Jaśmin” dał zimową kwaterę.

– Poruczniku chyba jest jakimś leśnikiem, ma takie coś jak skrzywienie zawodowe. Danko kazała mi przynieść z lasu choiny na miotłę. Podszedłem gdzie najbliższej, łamałem

jak popadło, nie omijając młodych jodełek. Zobaczył to pan Adam, dostałem taki wykład, że będę do śmierci pamiętał. Mówił, że las trzeba szanować, mało tego, mamy go z sercem pielęgnować.

– To ci słusznie przyłożył, las to dom partyzanta. Ryczka znam, kiedyś rozmawialiśmy. Po wojnie pewnie obejmie jakieś znakomite leśnictwo, jestem tego pewny!

– Poruczniku, Danką poszła. Mogę dołączyć do oddziału?

– Oczywiście.

– Sami swoi, witajcie koledzy! Jestem partyzant „Mrówka”

– Ty, młokos, a podziękowałeś mamie za mleko? Też mi partyzant, do szkoły, a nie do lasu!

– Te, „Mrówka”, „Mrówka” jak ułał, masz pracować, jak mrówka! Cha, cha.

– Panowie dajcie chłopakowi spokój. Zaczynjcie lepiej sobie wspominać partyzanczkie przygody, byście umieli opowiedzieć to swoim wnukom. Zaczynają ci, co już mają bliższych, poza zasięgiem Hitlera.

– Cha, cha, cha! Mamę cię poruczniku, ty pierwszy.

– Dlaczego ja?

– A tak, panie nauczycielu, całe Lubelskie wolne od szkopów. Tym razem się nam nie wykręcisz. Opowiedz coś o sobie, tajemniczy panie „Surma”. –Dobrze, lecz nadal jestem poszukiwany przez Gestapo, zwłaszcza w Generalnej Guberni. Czesław Świątecki ich zdaniem, to polnische bandit, nie pamiętając, kto kogo napadł. Urodziłem się, tak przynajmniej mam zapisane w dokumentacji w chełmskiej szkole, 14 czerwca 1909 roku w Krzymym Stoku, tartak Ordynacji Zamojskich, Pańska Dolina. Widzicie, zaraz się urodziłem jako kwalifikowany mechanik. Niestety, nie wszyscy moje urodzenie docenili i trzeba było do szkoły powszechnej mnie zapisać. Coś z tego w mojej głowie zostało, gdyż od 1 września 1925 roku przyjęto mnie do gimnazjum Państwowej Szkoły Rzemieślniczej w Chełmie. Zamieszkałem u pani Lindorfovej przy ulicy Piłsudskiego 31. To były dobre czasy, mówię wam. A skończyłem w 1928. Tata mechanik, mama dzieci chowała. A ja jako najstarszy z rodzeństwa zaraz we wrześniu 1928 podjąłem pracę w tej samej szkole jako instruktor – nauczyciel kontraktowy. Następnie obowiązkowe wojsko, szkołka podoficerska saperów ze specjalnością mostów kolejowych. Dwa lata i do cywila, znowu do roboty. Dobrze, że zdążyłem się jeszcze przed wojną ożenić. Wojaczkę z Zapasowym Batalionem Mostów Kolejowych ze Stanisławia, miałem krótką, jak większość w polskiej armii. Na urodziny dziecka jeszcze w październiku zdążyłem. Zdemobilizowany zamieszkałem w Zwierzyńcu, pracując jako mechanik w tamtejszym tartaku. Śliczna córeczka Anna nam się urodziła, a ja zamiast się nią i żoną opiekować, to mi się konspiracji zachciało.

W Zwierzyńcu czułem się naprawdę pewnie, ufając w zwykłą ludzką uczciwość. Zangażowałem się w Związku Walki Zbrojnej, pełniłem funkcję szkoleniowego instruktora broni i zbrojmistrza. Szło nam świetnie. W dzień legalna praca w tartaku, wieczorem z ro-

dziną, a nocami kolegów się dozbrajało. Mówię wam, w lasach, a lasy tam duże i piękne, zbudowaliśmy dobrze zamaskowane zbrojownie. Leżała sobie w nich nasmarowana prze-
różna broń: granaty, pistolety, automaty, miny, itp.. Było tego trochę. Teraz nie musieliby-
śmy nikogo prosić o łaskę.

– A od kogo taką broń mieliście?

– Większość pozostało z kampanii wrześniowej, to sobie w wolnych chwilach z maj-
strem Saciukiem naprawialiśmy, parając się rusznikarstwem. Lecz najlepsze automaty
i miny to osobiście podbierałem z pociągów stojących często na węzłowej stacji Biały Słup.
Lasem, tam i z powrotem przemierzając łącznie do 10 km za każdym razem.

– Co, tak samotnie?

– A co, miałem brać was, byście mi szkopów spłoszyli?. Tylko w pojedynkę takie pod-
kradanie miało szanse się udawać.

– Ale złapali porucznika i trzeba było wiać?

– Wcale nie! Główna przyczyna, moim zdaniem, to zbytńia pewność siebie, całkowite
zaufanie i słaba konspiracja. Początki były fatalne, ale to tak samo jak w całej Polsce. Zwie-
rzyńca też nie ominęło. Przyplątał się taki jeden cwaniaczek, gdzieś ze Śląska, zgrywał lot-
nika. Przebywał w zamojskim z dziewczyną Magdą. Początkowo wykazywał się nawet
ponadprzeciętną odwagę. Szybko zdobył zaufanie. Nawet ja się nie wyznałem, co z nie-
go za gagatek. Rekomendowałem go do naszej szturmówki, nawet byłem świadkiem jego
przysięgi. Że też mnie tak zaślepiło. Za tę naiwność płacę do dzisiaj. Nosił kilka nazwisk,
używał też różnych pseudonimów: w Zwierzyńcu był znany jako „Wisman”, vel „Rust”.
Okazał się wielkim szuja, sypiąc łaził po Zwierzyńcu w gestapowskim mundurze. Zada-
nie miał ułatwione, bo przyjeżdżał niby inspektor uzbrojenia z Komendy Głównej ZWZ
w Warszawie. Dlatego widział, gdzie znajdują się zbudowane, nasze dobrze zamaskowa-
ne magazyny z bronią. W piątek rano, 30. stycznia 1942 roku za wskazaniem „Wisma-
na”, aresztowano naszego komendanta – porucznika Stanisława Branta, ps. „Dąb”. Zaś po
mnie „Wisman” wraz z gestapowcami przyszedł do tartaku osobiście. „Wilka”, czyli Cyry-
la Saciuka nie aresztowali, pytali tylko o mnie. „Wisman” szepnął Saciukowi, że jemu da-
ruje. „Wisman” wiedział, że „Wilk” jest mocnym filarem naszej zbrojeniówki. Jako majster
brał udział we wszystkim, co wiązało się z naszą konspiracyjną działalnością. „Wilk” oso-
biście przyjmował przysięgę składaną przez „Wismana”.

Dlaczego mu darował, tego nie tylko ja, ale pewnie i sam Saciuk nie będzie wiedział.
Przyszli więc po mnie do tartaku. Pracownica tartaku pani Klimaczyńska pobiegła, by
mnie ostrzec. Nie zdążyła. Wtedy w domu w najlepsze odsypiałem nocny wypad do Białe-
go Słupa, w celu „czyszczenia” transportu z bronią. Byli jednak szybsi od pani Klimaczyń-
skiej, podjechali samochodem. Przy moim aresztowaniu był obecny umundurowany „Wi-
sman”. Mnie i Branta zamknięto w gminie, w oddzielnych pomieszczeniach. Brandtowa
i moja żona Jasia jakoś do nas dotarły. Prosiłem, by „Wilk” zrobił wytrych, który mi mia-
ła dostarczyć moja żona. I tak zrobili. Niestety, przed wieczorem przewieziono nas samo-

chodem do Zamościa. Wytrych nie zdążył nas uwolnić. Na drugi dzień, z powrotem przywieźli nas do Zwierzyńca. Do lasu ze mną pojechało trzech gestapowców oraz przymuszony woźnica. Był silny mróz, śniegu też dużo napadało. Gestapowcy mieli ogromne, grube kozuchy i wielgachne, ciepłe buty. Ja miałem tylko cienkie paletko i kamasze. W lesie jeden gestapowiec, z bronią gotową do strzału, stanął tak, by widzieć furmana i tych dwóch, którzy łązili ze mną szukając ukrytego w tym rejonie magazynu broni. Szukanie przeciągało się. Chodziliśmy zataczając coraz większe kręgi. Gdy byliśmy już blisko, zobaczyłem w znanym mi miejscu kwadrat lekko rozpuszczonego, śniegu. To już koniec pomyślałem, znajda. Wtedy im mówię, że jest mi bardzo zimno i już sam chciałbym trafić w poszukiwane miejsce. Poprosiłem, by mi się pozwolili pomodlić w tej intencji, a że jestem bardzo wierzący, to Matka Boska na pewno mi pomoże.

Uśmiechając się kpiąco zezwolili, sami też byli już zziębnięci. Wiedziałem, że to już koniec mojego żywota. Odmówiłem żarliwie „Pod Twoją obronę” i modlitwę przed śmiercią. Wstałem z klęczek, podszedłem i zacząłem zgarniać z wjazdu śnieg. Szwabom tak się śpieszyło, że mi pomagali. Drzwi kazali mi samemu otwierać. Wiedziałem, że gdy drzwi się otworzą, to wszystko wybuchnie. W tym celu przecież zakładałem minę pułapkę. Wiedzieli o tym tylko wtajemniczeni. „Wisman” nie wiedział o tym zabezpieczeniu. Za moment to wybuchnie i ze mną koniec – myślałem. Byłem najbliżej, miejsce u św. Piotra gwarantowane. Ci dwaj mocno opatuleni. Wybuch, nawet mocny, może ich tylko odrzucić. Matko Boska Gromniczna, oświeć nieboraka!”. I oświeciła! Niby to mocując się z tymi drzwiami, poprosiłem gestapowców, by pomogli otworzyć te cholerne drzwi. Jeden podszedł, razem je otwarliśmy. Wszystko było jak zawsze, a jednak wybuch nie nastąpił. Przez otwarte drzwi gestapowiec oświecił pomieszczenie elektryczną lampką. Aż sobie gwizdnął z radości. Na ścianach fachowo, jak w wojskowej zbrojowni, wisiały karabiny i automaty, w skrzynkach amunicja, obok miny, granaty. Wszystko naoliwione, porządnie ułożone. Aby się temu lepiej przyjrzeć zeskoczył do magazynu, szwargocząc coś do tego, który stał przed schronem. Ja tymczasem podskakiwałem dla rozgrzewki, ale nie tylko. Ten drugi podszedł do mnie przez uchylone drzwi i zaczął oglądać z zaciekawieniem zgromadzoną broń. Gdy się nachylił, ja go za kozuch i zepchnąłem na tego drugiego, co już był niżej, przy broni. Ten jak worek z ziemniakami, w tym grubym kozuchu staranował tamtego na dole. Ja zaś szybko wyskoczyłem z dołu i w las. Zanim ci dwaj wygramolili się z tego schronu, to ja przez las wiałem jak zając.

– A co, nie strzelali?

– Strzelali i to gęsto. Ten trzeci zaraz walił z automatu. Czułem jakby mi przygrywały w takt mojej ucieczki. Z lasu wyszedłem na drogę dla zatarcia śladów. Gdy się ściemniło, poszedłem do pobliskiej miejscowości, do Obroczy, koło 5 km od Zwierzyńca. Zjadłem kolację u adwokata Witoszka, członka naszej organizacji. Gdy odpocząłem, poszedłem do hrabiostwa Jana i Róży Zamojskich, którzy mieszkali w majątku Rózin – nazwa pochodzi od imienia hrabiny Róży. Tam też czekałem na fikcyjne dokumenty. Pomieszkiwa-

łem u hrabiego Zamojskiego, na zmianę w leśniczówce i na folwarku. Państwo Zamojscy to naprawdę wspaniali, z wielkiej litery LUDZIE i patrioci, żadne słowo tego nie odzwierciedli. A z Góry Folwarcznej, patrząc na wschód, rozciąga się śliczna panorama na kochany Zwierzyniec. Stąd do niego tylko 1500 metrów. Niestety, dla Czesława Świąteckiego lub, jak kto woli, rusznikarza „Surmy”, Zwierzyniec został już zamknięty. Po otrzymaniu fałszywych „papiren” hrabiostwo mnie należycie wyposażyło, więc ruszyłem w drogę, za tym nędznym zdrajcą „Wismanem”. Gdybym tak dopadł tego łachudrę, to jego majątny tatuś lekarz miałby zapewnioną dożgonną darmową praktykę. Namiary na jego temat miałem z pierwszej ręki: sam „Wisman” chełpił się kiedyś, będąc na bani, z jakiej to bogatej i inteligenckiej rodziny pochodzi. Co nim kierowało? Próżność, pycha, a może bezczelność, bo zapewne nie szczerość. I tak dzięki długim niemieckim kozuchom i mojemu lichemu ubranku, kapral „Surma” przeżył. Pod samym nosem mnie mieli, węszyli, wszędzie wypytywali i wszystko to nadaremnie. Ale głęboko wierzę, że bez żarliwej modlitwy i dobrego ludzkiego serca na pewno by się nie udało. Zamojscy to hrabiowie całą gębą, przez Stwórcę widać namaszczeni.

– Nie to co nasz hrabia. Pozbierał z suskiego zamku, co tylko mógł i dał nogę do Francji – zażartował z hrabiego Tarnowskiego zamyślony „Mazurek”.

– Masz rację Zbyszku – przytaknął „Mazurkowi” siedzący obok „Kruk”. Wżenił się do Branickich to i serca brakło, gdy przyszły ciężkie czasy. To i tak dobrze, że lasy zostawił.

– *Tylko se godojcie po cichu, bo jak się dowi, to jesse, jak nie zdoży un, to jego dzieci-ska bedo kcieć łod wos dularów za chodzone po jego krzokach.*

– Ale, ale, nie przerywajcie porucznikowi. – I co z tym „Wismanem”, dostał lanie?

– Otrzymał to, na co sobie zasłużył, lecz nie ode mnie. Ale po kolei: „Wisman” lubił sobie wypić. Będąc raz dobrze na rauszu, zaczął się wychwalać nie kryjąc nawet nazwiska, że jest synem dobrze sytuowanego lekarza z Sosnowca nazwiskiem Sztuka, że jest spokrewniony z Radziwiłłami, stąd drugi jego pseudonim „Rust”. Nawet był żonaty z dużo starszą od siebie Ślązaczką. Ale Magda była młodsza i ładniejsza. Romans się wydał i trzeba było wiać ze Śląska do Generalnej Guberni. Fantazji to jemu nie brakowało. Mawiał, że gdy coś się urodzi, to zrobi partyzanckie chrzciny. Przestałem już wierzyć w to, co mówił, lecz pomyślałem sobie, czemu dla pewności nie sprawdzić tego w Sosnowcu. Więc się wybrałem. W Połańcu miałem pecha, albo szczęście mnie opuściło. Wpadłem drugi raz w szwabskie łapska, podczas zwykłej łapanki. Wszystkich zatrzymanych wzięli w Połańcu, a po dwóch dniach załadowali na samochody i wywieźli w kierunku zachodnim. Dokąd? Bóg Jeden wie. Za Połańcem, na zakręcie wyrzuciliśmy eskortę z samochodu. Zanim się pozbierali, to my w las i potokiem wialiśmy jak stado dzików. Samochód zdążył odjechać spory kawałek, tak że ucieczka się udała. Ja z takim drugim jakoś dotarliśmy do Krakowa. „Wisman” dostał od chłopaków to co mu się słusznie należało. Z tego, co do mnie dotarło, na Magdzie, która wróciła w zamojskie, już w marcu 1942 roku wykonano wyrok.

A „Rusta”, vel „Wismana” zwabiono podrabiając fachowo ich korespondencję. „Wisman” przyjechał z Warszawy do, niby jeszcze żyjącej Magdy w zamojskie. Wtedy nasi zaopiekowali się nim szybciotko i pan lotnik wylądował miesiąc po Magdzie w trzydziestopięciometrowej studni na terenie starej cegielni, mając zasłużoną kulkę w głowie. Jaki lotnik, takie lądowanie. Za lekko zszedł z tego świata, powinien doświadczyć tego, co jest rzeczywiście prawdziwym cierpieniem. Nasz komendant „Dąb”, czyli Stanisław Brant został wywieziony przez Zamość i zamek w Lublinie do Oświęcimia, a w dniu 25 listopada 1942 rozstrzelany. Miał 36 lat, zostali po nim dwaj mali chłopcy: Marek i Andrzej. Niemcy, jak zwykle skrupulatni, żonę zawiadomili o jego śmierci. Do mnie dotarła ta przykra wiadomość w Krakowie, w same święta Bożego Narodzenia w 1942 roku. Nie mogłem przeboleć, że mu się nie udało i musiał zginąć. „Wisman” sypał, aresztowano wielu ludzi, a on jest winien ich śmierci. Niemiec, wiadomo wróg otwarty, trzeba z nim walczyć. Lecz konfidenci będący na usługach okupanta, to najgorszy element polskiej społeczności. Nie należy im absolutnie pobłażać, tylko bezwzględnie tępić. Ale się rozgadałem na tym koniec. A potem, potem to już z wami los mnie związał.

– „Dąbek”, teraz ty opowiedz jak żeście sprawnie z porucznikiem „Surmą” sprzątnęli, a potem uprząтали niemieckich policjantów w Brzezynie na Rychwałdzie – żywo zareagował zagadnięty, świeżo przyjęty „Mrówka”. – Owszem, czemu nie? Ale ty najpierw opowiedz, jak z „Surmą” uciekałeś przez całą wieś. – Ciebie „Dąbek” nikt nie przegada, znam cię nie od dziś, w końcu z porucznikiem trochę przebywaliście w naszym domu. – Co zrobić, jestem teraz najmłodszy, więc zacznę od tego: Pamiętam, gdy „Dąbek”, „Brzózka”, „Knypel” oraz porucznik „Surma” przebywali zimą z 1943 na 1944 na Graniczniku. Fajnie było, cieszyliśmy się obaj z bratem. Byliśmy dumni, że mamy prawdziwych partyzantów tu, u siebie w domu, nie tam gdzieś w lesie. Strach był, czemu nie? Wyczuwaliśmy to po tacie i po mamie, choć przed nami strachu nie okazywali. Tata stale mówił, co mamy robić w razie niebezpieczeństwa. Miał wrodzony talent konspiratora i przewidywania, a mama w razie potrzeby nerwy ze stali. Dzięki nim cała nasza rodzina jeszcze żyje. Tata przecież z armią generała Hallera wracał do Polski, dezertując wcześniej Austriakom na froncie włoskim. Prawdziwy „Jaśmin” z „Jaśminową”. Jak mówiłem, było ciekawie i niebezpiecznie. Dzięki porucznikowi znam się na broni, no tylko się nie obrażacie, tak samo jak i wy. – Cha, cha, cha, „Mrówka”, ale zalewasz!

– Wcale nie, „Knypel” z „Dąbkim” widzieli, jak „Surma” mnie szkolił. Potrafię w momencie z zamkniętymi oczami, rozebrać i złożyć broń różnego kalibru.

– Tak, nie przechwała się, prawdę mówi – przytaknęli zgodnie.

Zachodził do nas czasem komendant posterunku z Pewli Małej, niejaki Schwartz. Typowy służbista, zawodowy pruski policjant, niby coś „kupić”. Miał zawsze ze sobą pięknego psa, owczarka alzackiego. A w rzeczywistości to zwyczajnie, rutynowo, chodził węszyć i wypytać o to i owo. Wychodząc zawsze coś otrzymywał do torby, niby zawsze chciał płacić, ale tylko chciał. Na szczęście przenieśli go na inny posterunek. Tata zawsze po jego wyjściu

mówił do mamy, że najciemniej pod latarnią. Przed świętami Bożego Narodzenia cała nasza czwórka przyprowadziła zarekwirowanego „bałorowi” byka, ale takiego „po byku”. Miał jakieś 800 kilo. Tata dołożył wieprza, coś ponad 120 kilo. Narobili wyrobów, jedzenia było, że hej. Jeszcze torbę kartek Niemcom zarekwirowali i mogli zimować. Schwartza przeniesli, wystarczy tylko lekka czujność wokół domu, to święta będą spokojne. Wigilię spędzaliśmy wszyscy razem, jak jedna wielka rodzina. Opłatek, życzenia, jakby wojna nas nie dotyczyła. Porucznik trochę sobie kolęd z nami pośpiewał. Ale było fajnie. W Boże Narodzenie, wiadomo wielkie święto, tata z nami poszedł do kościoła, mama miała chore gardło, dlatego została w domu. Mówi: a tam, pomodłę się spokojnie i też będzie po bożemu. Obok w pokoju, jak zwykle byli nasi leśni przyjaciele. Porucznik zajęty czytaniem, „Dąbek” jak zazwyczaj pewno spał, „Knypel” z „Brzózka” mieli na zmianę pilnować, czy nie idą jacyś niepożądani. Coś się jednak zagapili. Mama nagle patrzy, co to przed domem? Rany boskie! To pies Schwartza, Matko Boska, za nim kilka kroków lezie przeniesiony komendant. O ucieczce nie ma mowy, za późno. Szepce przez drzwi, by byli cicho, bo Niemiec z psem już w progu. Mama nerwy w garść i jakby nigdy nic zaprasza niepożądanego gościa do jedyne go wolnego pokoju. Schwartz siada za stołem. Stół jeszcze starym zwyczajem z sianem pod obrusem, jak to w Wigilię. Pije herbatkę ziołową przejadając świątecznym plackiem. Karolka tylko się trzymaj, jeszcze trochę, jeszcze troszeczkę, ratuj swój dom, ratuj wszystkich co znaleźli schronienie pod twoim dachem...Szczęściem, ten cholerny Schwartz jakby przyjaźnie jest nastawiony, może będzie dobrze. Ale czy jest sam? Co z psem, czy czego nie wyczuje? Nawet takiego dobrego mięska nie tknął, mimo zachęty swojego pana. Ta czwórka za drzwiami w sąsiednim pokoju, oby cicho, oby im nerwy nie puściły. Strach pomyśleć, oni uzbrojeni, Niemiec także, jatka gotowa. Myśli w głowie latają, jak w największą letnią nawałnicę. Matko Boska, ratuj naszą rodzinę! Ech, są w kościele, na pewno nas Bóg uratuje, tylko aby wytrzymać to napięcie. Pies widocznie mądrzejszy od właściciela, wyczuwając zagrożenie usiłuje otworzyć drzwi zewnątrz, ciągnie swojego pana do wyjścia. Rany Boskie, to lustro fałszuje, czy ja taka błada?

– Frau Szmoszek, pani nein mówisz, pani baszo chora, bitte pieszyna.

– Tak, tak nie mogę rozmawiać. Może nawet zaraźliwa ta choroba panie, her Schwatz, o teraz gorączka wraca – wykrztusiła widząc w lustrze swoją twarz, przed chwilą bladą, teraz nagle czerwoną jak pomidor.

– Auf wiedersehen!

Z Bogiem, panie Szwartz – wykrztusiła dodając w duchu: „masz i tak szczęście, że twój pies jest mądrzejszy od ciebie, bo ci życie uratował”.

– Panowie, szwabska kolęda zakończona, możecie wychodzić, dzięki Bogu w tę noc śpimy jeszcze w naszym domu – wyszeptwała. Uklękła na kolana i dziękowała Matce Boskiej za odsunięcie zagrożenia. Napięcie mija, ale jej organizm nie wytrzymuje, traci przytomność. „Surma” szybko podaje krople, kładzie mamę na łóżko, mama wraca do siebie. A potem jeszcze mówi: panowie, pomódlmy się, w podzięce, że nas złe ominęło, aby

i w przyszłości Opatrzność Boska miała nas w swojej opiece. O, jeszcze wielokrotnie matnia modlitwa była potrzebna i nadal jest. „Jaśminowa”: potwierdziła swoje umiejętności z konspiracji na piątkę.

– Wiesz „Mrówka”, jak opowiesz o tym waszym spotkaniu, coście je mieli z patrolem niemieckim, to potem ja opowiem, jak my z „Surmą” tych dwóch Niemców wyprawiali drabiną do nieba i w dodatku nie będę sobie bimbał z twojej elokwencji.

– „Dąbek” trzymam cię za słowo, jesteście świadkami.

– „Mrówka, nie kręć, tylko siadaj na cztery litery i opowiadaj!

– Niech ci będzie. Kurczę, ale wtedy miałem okropnego stracha. Kazali mi zaprowadzić porucznika na jakieś spotkanie. Poszedłem z ochotą, byłem podbudowany. Rozeszła się wieść, że 1. lutego Warszawiaci zlikwidowali jakiegoś ważnego gestapowca, który był znany jako kat Warszawy. Musiał być ważny, bo Niemcy sami opowiadali o tym. To było w czwartek, około szóstej wieczorem. Pogoda 10. lutego była ładna, księżyc w pełni, śnieg duży, było dobrze widać. A śniegu Bozia sypnęła zimą z 1943 na 1944 rok zapewne dlatego, aby utrudnić łażenie szwabom po wsi. Idę dumny jak paw, przecież idę z „Surmą”. Jasny gwint, kto to? Co prawda to kawałek od nas, ale widać, że to policjanci w mundurach i z długą bronią. Idą nam naprzeciw. Co robić? Ucieczka? Nawet zatrzymanie się wzbudzi ich podejrzenie. A my jak dwa zające na patelni, na tle śniegu cel idealny. „Rzyk–fizyk, zimna krew. Może nie będą kontrolować. Idziemy spokojnie, prosto na nich, może się uda. Porucznik miał, jak zawsze, krótką broń. A ja? Ja... e, nie wszystko musicie wiedzieć, jeszcze wyszłoby sztydło z worka i „Surma” zrobiłby mi zaległy wykład, a tata całkiem słusznie solidnie natarł uszu. Chwile leć, policjanci coraz bliżej, „Surma” przodem, ja za nim, mijamy ich. Przecież to policjanci z tutejszego posterunku. Mnie rozpoznali to i nie legitymowali. Legitymowany „Surma” zrobił szybko jeden krok, zasłaniając mnie, równocześnie mówiąc: to mój ausweis i błyskawicznie wystrzelił. Jeden policjant pewnie ranny przewrócił się, drugi zgiął się w pół. Zrobiło się zamieszanie, policjanci nie strzelają, porucznik również przestał. Ja przy tym wszystkim zapomniałem o swoim „nielegalnym” pistolecie, po prostu oniemiałem. Dopiero, gdy „Surma” huknął, „nogi za pas”, to daliśmy takiego przyspieszenia, że hej. Ja przodem, porucznik ponagłając „szybciej, szybciej” zaraz za mną, depcząc mi po nogach. Cały czas mnie zasłaniał swoim ciałem. Policjanci ani raz nie zdążyli strzelić. Wycofując się zabrali postrzelonych. Jak się później okazało jeden był ranny, a drugiego uratował pas, a właściwie klamra u tego pasa. Po prostu „Surma” strzelając z bliska, trafił w sprzączkę na jego brzuchu. To policjantowi uratowało życie. Lecz mnie rozpoznali, wiedzą kogo i gdzie szukać. Dlatego może na razie odpuścili? Czas nagiął, trzeba było jak najszybciej na Granicznik, zawiadomić bliskich. Wcale nie było nikomu do śmiechu: tata, mama wraz z rodzeństwem musieliśmy opuścić jak najszybciej rodzinny dom. Przezorność taty zaowocowała, każdy wiedział gdzie się ma udać, choć każdy innym kierunkiem. „Surma”, „Dąbek”, u „Zajęca” w Rychwałdzie a „Knytel” z „Brzóz-

ką chyba gdzieś w Przyłękowie. Ale to już ich sprawa do opowiadania. Ja tylko dopowiem, że „Nurmi” nas w porę ostrzegł o tym, że w Żywcu szykują na nas obławę. Przyjechało coś z pięć samochodów tego pruskiego robactwa. Aż tylu po nas przysłali, nic nie znaleźli, po nas nawet smrodu nie zostało. Dobrze „Jeleń” mówił: róbcie, jak wam ojciec każe, a przeżyjecie tę wojnę”. Wiedział, co mówi, przecież razem z tatą podziękowali austriackiej armii za służbę na froncie włoskim i razem z Hallerem w 1919 wracali do Polski. Sierżant „Jeleń” poprosił ojca o pomoc w przechowaniu „Blondyna” wraz z jego żoną Rozalką i to od tego zaczęła się nasza partyzancka konspiracja. „Jaśmin” i tym razem był szybszy, a my mamy się, jak widać, nie najgorzej. Daj Boże tylko tak dalej jak mawia mama z tatą. „Dąbek”, teraz twoja kolej.

– Niech będzie – machnął ręką „Dąbek”. To było po tym, jak żeśmy wszyscy musieli się wynosić z gościnnego domu „Jaśminów” na Graniczniku. „Brzózka” z „Knyplem” zamelinowali się gdzieś w Przyłękowie. Zaś ja z porucznikiem byliśmy u „Zająca” w Rychwałdzie. To była bezpieczna kwatera. Gąsiorek z żoną i córką Heleną mieszkali na osiedlu Brzezina, a ich druga córka Franciszka przebywała w tym czasie w Zwardoniu. Pamiętam, to był wtorek 22. lutego. Wicek Gąsiorek – „Zajac” poszedł do roboty do Sporysza. Regina Gąsiorkowa podała nam obiad. Po obiedzie posprzątała talerze. Spokój, cisza, bezpiecznie, – tu nikt obcy nie zagląda – rzekła gospodyni. To i czuliśmy się tu bezpiecznie. „Surma” zaczął pisać meldunki, ja nie mając co robić, wlażłem pod pierzynę. Buty pod łóżko, automat pod ręką nakryłem pierzyną by biedakowi nie było zimno. No to sobie zasnąłem snem sprawiedliwego. Spałem jak kamień, coś do trzeciej. Nagle tuż przy uchu usłyszałem „Surmę”: „Niemcy, nie wstawaj, bo nie zdążymy”. „Surma” hybnał do szafy i siedzi w niej. Żandarmi weszli do izby, pytają Gąsiorkową, która przezornie nie weszła z nimi i pokazują na mnie. – Kto to? „Surma” daje odpowiedź, strzelając z szafy, jak z jakiegoś betonowego bunkra. Strzały z bliska efekt, wiadomo. Mnie te ułamki sekund wystarczyły, mój automat zagrał jak na organkach waląc w tego drugiego i wiadomo już po weselu. Tylko ci na ziemi już nie powiedzą „bitte ausweis”. Jak się to stało? Czemu przyszli do Gąsiorków? Może ktoś sypnął? Wcale nie. Gąsiorkowa pozbierała się i mówi, że to przyszli za dziewiętnastoletnią córką Franią, która uchylała się przed wywózką na roboty. Po prostu była to rutynowa łapanka. Kanonada jeszcze brzmi mi w uszach. „Surma” zlustrował przez okno obejście. Zanim ja zdążyłem ubrać buty i się do reszty się obudziłem, on błyskawicznie na strych. Po chwili wraca i mówi: Połdek, w koło spokój, wszyscy w domach, a do Gąsiorkowej rzekł zdrobniale:

– Reginko, napij się zimnej wody i *siadnij se*, bo wyglądasz gorzej, niż ci dwaj na ziemi. Nie wiem, co bardziej pomogło, czy wypita zimna woda, czy porównanie do leżących żandarmów. Wypiła, usiadła i spokojnie, ale z przekąsem mówi pytająco: „*Postrzylaliście se, co? To se teraz pozamiatajcie*”. Po chwili „Surma” poszedł wolno do kuchni, skąd przyniósł jeszcze dwa garnuszki wody. Usiadł przy stole, poskładał wolno meldunki, schował do plecaka. Podając mi wodę powiedział: „wypijmy na spokojno, to cudowne lekarstwo, bo gospodyni pomogło i teraz już mądrze mówi”. Siedzieliśmy tak z kilka minut nic się do siebie nie od-

zywając i patrząc na tych na ziemi, jak na dwa drewniane kłocce. Po dłuższej chwili „Surma” wstając rzekł: „plan obmyślony, bierzemy się do sprząwania. My z Poldkiem, tak by sąsiedzi nic nie widzieli, wyniesiemy umarłaków do szopy, na zimno by krew szybciej zastygła. Gąsiorkowa z Helą umyją dokładnie podłogę i trzeba znaleźć otwory po pociskach, zaprawić je i zamalować dla niepoznaki”. Sprawnie nam to poszło, tak że o piątej, gdy wrócił Gąsiorek z roboty ze Sporysza, to już było tak starannie zamaskowane, że zapytany Wicek stwierdził tylko: „*E, widzom jono piyknie umytom podłogo*”. To my zaraz jak tylko wyszła, postaraliśmy się by nie była, *az tako piykno*. Poczekaliśmy, a wieczorem Wicek wyszukał drabinę. To my tych szwabów na tą drabinę i wio z nimi, jak najdalej od Brzezin. Los nam sprzyjał, miało się na nów, to i noc była ciemna, tylko śnieg trochę polepszał widoczność. Wszystko poszło zgodnie z planem. Jeszcze raz posprawdzaliśmy, czy dokładnie zatarliśmy ślady. „Surma” nalegał na „Zajacę”, żeby ten szedł z nami do „Baby”, a kobiety należy dobrze zamelinować. Gąsiorek się jednak uparł twierdząc, że nikt nic nie wie, to i panikować na zapas nie ma co. A jego miejsce jest w domu. To myśmy się z „Surmą” przenieśli się do Gilowic, do „Baby”. Co prawda Niemcy znaleźli swoich kamratów, ale śledztwo początkowo utknęło w miejscu. Na żadne ślady nie trafili. Przy sprząwaniu tych dwóch żandarmów też nas nikt nie przyuważył. Wszystko wskazywało na przyschnięcie sprawy. Tak by pewno pozostało, tylko ta cholerna sąsiadka, wypaplała: – *„Jo zek zodnych łobcych, ani partyzanów nie widziała. Jono dwa dni tomu tych dwók ziandarów, jak włazili do chałupy, Wicka i Reguśki Gąsiorków. Ale zek nie dojrzała, cy już wyleźli, cheba tam jesce siedzom, moze się łopiły chłolerniki jedne.*” Niemcom to wystarczyło. Aresztowali Reginę z córką Heleną. Gąsiorka też, mimo że go ostrzeżon., Gdy szedł po robocie do domu, na drodze już czekali na niego. Aresztowania nie ominęły również sąsiadów. Kobiety się jak na razie uratowały, bo Gąsiorek całą winę wziął na siebie dzieląc los sąsiadów. Wszystkich zamordowano 3. marca w Gilowicach.

Robiło się coraz niebezpieczniej. Zwłaszcza po tym, jak brat „Mrówki” „Edek” przyszedł do „Baby” po „Surmę”, by go zaprowadzić do leśniczówki na spotkanie z „Romanem”. Znowu na drodze znaleźli się ci cholerni żandarmi i to znajomi. Wiedzieli, że cała rodzina Smoczków jest poszukiwana. Jeden z nich znał dobrze Smoczków, dlatego rozpoznał „Edka”. „Surma” nie czekał z tłumaczeniem, próbował strzelić, ale pistolet nie wypalił. Widocznie żandarmi mieli niemałego stracha, bo „Surmie” i „Edkowi” udało się skutecznie nawiać. Trzeba było znowu pójść do „Krzaka” na Groniu. Tylko na krótko, bo znów się trzeba było zwijać. Lecz już los wygnał nas na tereny Generalnej. Guberni. W Święta Wielkanocne trochę napadało śniegu, więc „Roman” skierował nas do Budzowa. Przy cmentarzu czekał łącznik „Bolek” i zaprowadził nas tu, do Zachełmnej na wygodne kwatery. Dopiero się panowie „Dąbek”, „Surma” i „Knypel” z „Brzózka” wypali, jak lordowie. Tak, tak przy tym samym cmentarzu i ten sam „Bolek”, co i tym razem. Ale nie liczcie, że wam powiem gdzie te wygodne kwatery się znajdują. Przespałoby się pod miękką pierzynką, oj przespało. Koniec mojej gadki, „Surma” wraca.

- Kapral „Dąbek”, zrób zbiórkę!
- Już się robi poruczniku! Melduję oddział w całości gotowy do apelu.
- Kapral „Dąbek” wstąpić do szeregu! Oddział na moją komendę: Do modlitwy!

MODLITWA

O Boże, któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń!
Wołamy z różnych stron do Ciebie. O polski dom, o polską broń.

O Boże skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj,
Dla wolnej Polski nam, pracować daj!
By stał się twierdzą nowej siły
Nasz dom, nasz kraj!

O, usłysz Panie skargi nasze, o usłysz nasz błagalny śpiew.
Znad Warty, Sanu, Bugu, męczeńska do Cię woła krew!

O Boże skrusz ten miecz....

W Imię Boże, amen.

– Spocznij! Żołnierze! Odebrałem meldunek: od teraz obowiązuje okres czuwania w celu odbioru broni. Szczegóły po złożeniu, specjalnie na tą okoliczność przygotowanej przysięgi. Powtarzajcie za mną! –Bacność! Do przysięgi!

ROTA PRZYSIĘGI ŻOŁNIERZY ODBIORU BRONI

„W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, jako żołnierz powołany do służby specjalnej, przysięgam, że powierzonego mi sprzętu, poczty i pieniędzy strzec będę, nie tylko jako dobra państwowego, ale i jako środków przeznaczonych dla odzyskania wolności Ojczyzny. A tajemnicy służby specjalnej dochowam, nawet wobec przełożonych i kolegów w konspiracji i nie zdradzę jej nikomu, aż do końca wojny. Tak mi Panie Boże dopomóż.” –Dziś mamy piątek 28. lipca 1944 roku. Oczekiwanie zwane czuwaniem będzie trwać trzy, cztery dni. Zrzuty odbywają się tylko nocą. Gdy w radio podają umówiony sygnał, to każdej nocy trzeba być na posterunkach w okolicy punktu zrzutowego. Samoloty startują z lotniska we Włoszech. Tak, tak z Włoch. Tam są już nasi. Z Wysp Brytyjskich było za daleko i mieli duże straty. Samoloty nadlecą nad Polskę koło północy.

Czujki będą wychodziły tak, by przed wieczorem być na miejscu. Na polanie tutejszy oddział „Boruty”, który zna teren rozstawi sygnalizację świetlną.

W tym rejonie mają swoje obozowisko, lecz w sierpniu przenoszą się w rejony ba-
biogórskie. Patrole będą cztery. I tak trzech będzie od zachodu i południa po czterech od
północy oraz od wschodu. Zachodni wiatr będzie znosił spadochrony w stronę Skawin-
ek i Lanckorony. Po apelu kolejno was rozprowadzę. Zadaniem naszego oddziału jest ze-
branie tego wszystkiego, co spadnie z góry. W sumie powinno być tego 24 sztuki: 12 za-
sobników i 12 paczek. To wszystko musi być dokładnie zebrane, łącznie ze spadochrona-
mi i przeniesione do stodoły w Zachełmnej. Uwaga, tylko dobrze spadochrony policzyć,
tak by się zgadzało z ilością tego, co pozbieramy. Spanie również podczas dnia, a noc-
ki – wszyscy na czujkach będziemy wypatrywać samolotu. Żeby było jasne, dla porządku
przypominam: ścisła dyscyplina, o żadnych wyjściach nie ma mowy.

STUDIUM POLSKI PODZIEMNEJ THE POLISH UNDERGROUND MOVEMENT (1939-1945) STUDY TRUST	
TELEPHONE: 01-992 6057	11, LEOPOLD ROAD, EALING, LONDON, W5 3PB
L.dz. 9857/80	Dnia 15 sierpnia 1980 r.
W Pan Władysław Wawrzonek ul. Świerczewskiego 84/1 50-020 WROCŁAW.	
Szanowny Panie!	
List Pana z 18.VI. otrzymaliśmy 3.VII.B.r.	
W związku z Pana prośbą podajemy dane odnośnie zrzutu w Palczy koło Kalwarii Zebrzydowskiej.	
Placówka odbiorcza w Palczy miała nazwę "Żywica" /nr. 102/- położona 15.km. na p.in. zach od Myślenic.	
Placówka czuwała od 28.VII-31.VII.44. Dalsze czuwanie od 31.VIII - 3.IX.44 zostało odwołane. Zrzut na "Żywicę" dokonany był tylko jeden raz w dniu 30.VII.44.	
Samolot Halifax, z załogą angielską W/O. CLACKETT, zrzucił na placówkę "Żywica" 12 zasobników i 12 paczek. Był nad celem o godz. 00.23, odebrał sygnał i wykonał zrzut w 2 nalotach.	
1-szy o godz. 00.54 z 5.000 stóp- 11 zasobników i 12 paczek,	
2-gi " " 00.57 1 zasobnik. Widoczność była słaba.	
Niestety nie posiadamy szczegółowego wykazu zawartości zasobników i paczek dla tego zrzutu. Przesyłamy w załączeniu ogólne zestawienie które pomogą Panu odtworzyć zawartość odebranego przez Pana zrzutu.	
Złączam wyrazy poważania <i>H. Czarnocka</i> H. Czarnocka Kierowniczka Archiwum.	

KOPIA DOKUMENTU POTWIERDZAJĄCA ZRZUT W PALCZY

ROZDZIAŁ TRZECI

7 PLACÓWKA ODBIORCZA „ŻYWICA” NR 102 – GÓRA CHEŁM

– Poruczniku, nadlecą dzisiaj czy nie? W niedzielę to się im nie będzie chciało.
– „Mrówka”, niedziela czy nie, wojna trwa. Twoje zadanie proste, lecz bardzo ważne: licz dokładnie, ile tych przesylek nam zrzucą, dochodzi pełnia, spadochrony będą dobrze widoczne.

– O słyhać coś poruczniku! Czemu leci od wschodu, o tam gdzieś na południe od Krakowa, o tam znad Myślenic. Rany Boskie! Wariat, jeszcze go zestrzela. Słyhać, że z łądunkiem silniki mocno pracują. A może to nie nasz? O patrzcie to nasz, nasz!

– To na pewno nasz, już jest nad Palczą, łagodnie obniża lot. Zatacza koło, będzie plus minus półtora kilometra nad ziemią. Rakieta wystrzelona. Mamy 23 minuty po północy. Latarki elektryczne zapalone.

– Patrzcie wysypują! Zapamiętajcie, liczyć dokładnie! Za bardzo wiatr rozwiewa. A tego jednego dokąd niesie? „Mrówka” policzyłeś, bo samolot odlatuje?

– Tak jest, naliczyłem 23 spadochrony.

– Ma być 24.

– „Jawor” z „Knyplem” też naliczyli 23 spadochrony. – Widać dobrze, nie może być pomyłki. Ale wraca. Tak, wyrzucili jeszcze jedną sztukę. Teraz jest 24. Odlatuje, odchyła się na boki jakby nam machał na pożegnanie.

– Mamy poniedziałek, 57 minut po północy, 31 lipca 1944 roku. A teraz to wszystko trzeba pozbierać. Tylko uważać bo po deszczu jeszcze nie całkiem wyschło. I tak spraw-



SPOSÓB ROZMIESZCZENIA ZASOBNIKÓW
W SAMOLOCIE, W MIEJSCU BOMB ZNAJDUJE SIĘ
SPRZĘT ZRZUTOWY
[HTTP://WWW.SPPW1944.ORG/INDEX.
HTML?HTTP://WWW.SPPW1944.ORG/POWSTANIE/
POWSTANIE_ZRZUTY.HTML](http://www.sppw1944.org/index.html?http://www.sppw1944.org/powstanie/powstanie_zrzuty.html) (16.07.2014)

nie zrzucili, bo unoszące się nad lasem podeszczowe opary na pewno, utrudniały pilotowi zadanie.

– Wiesz „Surma”, nie będzie to łatwe. Porozpieprzało te ładunki w promieniu ponad dwóch kilometrów.

– Co dalej? Tylko 22 sztuki? Całą niedzielę, poniedziałek i całe rano wtorku nam zeszło, a jeszcze nie mamy wszystkiego.

– Poruczniku, nasi z godzinę po odlocie widzieli, jak „Boruta” z takim drugim zjeżdżali w dół furmanką. Mieli na wozie coś na kształt pojemnika. Przykryte choiną. Pod drzewami ciemno, to nie byli pewni. Lecz jak się rozwidniło, poszli trochę wyżej, skąd zjeżdżali. Tam znaleźli ślady i widoczne na drzewie połamane gałęzie. Znać było rafki od kół, z góry słabo odcisnięte, a w dół głębsze, jakby z ciężarem.

– To już wiemy, kto nam podebrał jeden zasobnik. Ale gdzie jest dwudziesty czwarty? Szukajcie, jeden niosło w stronę Lanckorony.

– Tego mamy. Wpadł w Palczy gospodarzowi na obejście. Chłopsko nie zastanawiając się długo, załadował na wóz i wczoraj wieczorem dowiózł.

– Trudno, ktoś nam się jeszcze przyłączył do spółki

– Panowie kończymy szukanie i zbieranie. Jako dowódca będę się ja przed „Zawieją” z tego tłumaczył. Wy zrobiście wszystko, co tylko było

FOT. NR 208 KSEROKOPIA
FRAGMENTU WSPOMNIENI PT. „MOJA WOJNA Z NIEMCAMI” TADEUSZA MAZURKIEWICZA „BORUTY”,
DEFINITYWNE POTWIERDZA, ŻE
NIE OTRZYMAŁ Z TEGO JEDYNEGO
ZRZUTU ŻADNEJ BRONI, A TYLKO
PRZYZNAJE SIĘ DO „PODEBRANIA”
JEDNEGO ZASOBNIKA. NAWET
WYSZCZEGÓLNIŁ, CO W NIM BYŁO
ORAZ WYRAŹNIE NAPISAŁ, ŻE
SAMOŁOT „ZATACZAŁ KRĘGI WOKÓŁ
CHEŁMU”

w nim parę razy, długo nie mogłem znaleźć wejścia do niego. Pewną okolicznością „Łagodzącą” mogło być oczywiście to, że noc była bezgwiezdna. Mimo wszystko jednak fakt ten świadczył dobrze o zamaskowaniu. Najlepszy jednak bunkier, najlepsza organizacja czy szkolenie nie zastępowały rzeczy najważniejszych, której nam było brak, mianowicie – broni.

Pamiętam, była letnia, ciepła noc. Wieczorem otrzymałem wiadomość, że na naszym terenie jakiś oddział partyzancki ze Śląska będzie odbierał zrzut z Anglii. Zrzut? No to pewnie i broń?

Ponieważ moi chłopcy pomagali w przygotowaniach do sygnalizacji i przyjęcia zrzutu, udałem się wraz z Władkiem Różgą¹, który powoził konni. Na miejsce akcji. Kierował nią jakiś kapitan z Armii Krajowej.

– Melduję – powiadam – że pomagamy przy odbieraniu zrzutu, może by było coś i dla nas, na początek, choćby ze dwa automaty...

Kapitan wrzucił ramionami.

– Nie – mówi – musi być porządek. Zrzut jest dla oddziału Surmy ze Śląska. Tak ma być, wszystko co dla nich przeznaczone, musi do nich trafić, a o was pomyślmy później. Na wojnie – pomyślałem – „później” bardzo często bywa równoznaczne z „nigdy”. Wypadki bowiem biegają szybko, co nie zrobione dziś, staje się często nieaktualne jutro.

Szumiały silnikami, potężny Liberators zataczał kręgi wokół Chełmu, od kadłuba odrzucały się spadochrony z pojemnikami. Wiatr dął mocny, dary z nieba były unoszone daleko od miejsca przewidzianego dla zrzutu, mnóstwo zatem było z tym wszystkim biegających i szukających.

Zrezygnowałem z dalszych prób.

– Władek – powiadam – jedziemy.

Połą drogą zjeżdżaliśmy w dół. Nagle konie zastrzygły uszami i stanęły, jakby zobaczyły coś niesamowitego.

Rzeczywiście. Nieco w bok od drogi, na grupie drzew, wisiało coś w rodzaju białego obłoku. Dusza pokutująca, czy biała dama z jakiegoś rozsypanego w ruinę zamku? Tak pewnie pomyślały konie Różgi, dla nas jednak było jasne, że to zasobnik z Londynu.

Siódme przykazanie... Staralem się o nim zapomnieć zagłuszając je ludowym porzekadłem: „Bierz Michał, co Pan Bóg daje”. Najadłem się później z tego powodu wstydu, natarto mi uszy, ale...

Ale w zasobniku znajdowały się prawdziwe skarby. Dwanaście Stenów, sześć rewolwerów systemu Smith-Wesson, takich, jakich w westernach używają kowboje. Świetne, jak się później okazało, spluwie. Dwie radiostacje odbiorcze i dwa zegarki. Jeden z nich, marki „Zenith”, noszę do dnia dzisiejszego.

Nareszcie mieliśmy z czyn zacząć. Moi chłopcy przestali mordować się przy ćwiczeniach z drewnianymi atrapami karabinów. Dalszy ciąg szkolenia odbywał się z prawdziwą bronią w stodole Różgi.

W terenie krążyły, rzadkie wprawdzie, niemieckie patrole. To była nasza „zbrojownia”. Mielśmy ich teraz czym zaatakować i zapasy broni rosły.

Po zameldowaniu dowódcy batalionu Mirskiemu o zdobyciu uzbrojenia, otrzymałem w dwa dni później rozkaz zorganizowania oddziału partyzanckiego, któremu od miejsca postoju nadano kryptonim „Chełm”, i rozpoczęcia działań partyzanckich.

Jako tako uzbrojeni dokonaliśmy wypadu na dużą garbarnię w Zembrzyczach, gdzie zaopatrzyliśmy się w skórę. Zaczęliśmy się „liczyć” w terenie. Konfiskowaliśmy bydło zabierane przez Niemców na kontyngenty. Pewną część braliśmy na własny użytek, ale większość w tej czy innej formie zwracaliśmy właścicielowi, którzy wobec Niemców

¹ Różga – Władysław Gorył, kpr. Rez., pierwszy zwierzchny do „Chełmu” partyzant, wspinał się zwiadowca. Wspomina o nim w „Pięciu mostach” mjr. Tadeusz Studziński

możliwe. Do obiadu trochę czasu zostało, to do stodoły i prześpijcie się. Posiłek przesunąłem na później, tak byście się mogli wypaść. Pod wieczór przyjadą zaprzęgi z furmanami, szybko załadujemy i do domu. Co się ze „Surmy” śmiejecie? Tam za Targoszowem i Kuko-
wem w lesie jest teraz wasz dom. Ja zaś do obiadu stoję na czujce. Wy do spania! To rozkaz. Kierunek stodoła marsz! Ogłaszam capstrzyk. Wojsko śpi!

8 WYMARSZ Z BRONIĄ Z ZACHEŁMNEJ

– Oddział baczność! Na prawo patrz! Panie rotmistrzu „Zawieja”, porucznik „Surma” melduje oddział gotowy do wymarszu. Stan: szesnastu plus jeden, oraz zaprzęgi konne z obsługą. Wszyscy zaprzysiężeni i przeszkoleni w ochronie powierzonego ładunku.

– Poruczniku dajcie spocznij. Żołnierze podziemnej Armii Krajowej. Powierzono wam do ochrony cenną własność państwową. Jest to broń przeznaczona do walki w celu wypędzenia naszego bezwzględnego okupanta. Wasza ofiarność jest heroiczna, jednak bez broni niemożliwa jest skuteczna walka z niemieckim agresorem. Wojska hitlerowskie są w odwrocie. Zwycięskie armie naszych sojuszników stopniowo wypierają wroga z okupowanych krajów. Przy pomocy tej broni wspomozemy ich wysiłek, by nasza Ojczyzna była jak najszybciej wolna. Rozkaz jest jasny: broń ma dotrzeć do miejsca przeznaczenia w całości, z pomocą Bożą możliwie bez strat w ludziach. Lecz broń nie może w żadnym przypadku wpaść w ręce Niemców, raczej wam zginąć, a broni nie oddać. Ruszajcie w drogę z Bogiem! Do zmierzchu trzeba jednak poczekać. Poruczniku „Surma”, dajcie na przerwę.

–Baczność! Spocznij! Na przerwę w miejscu rozejść się!

–Chodź „Surma”. Jest jeszcze trochę czasu, siądźmy. O tam na pieńku i na odchodnym jeszcze chwilę porozmawiamy. Przemyślałem o tym, co meldowałeś o braku tych dwóch pojemników. W meldunku podano, że zrzucą 12 zasobników i 12 paczek.

PIĘĆ TAKICH „BĘBNÓW” ZŁĄCZONYCH RAZEM
WRAZ ZE SPADOCHRONEM TWORZYŁO JEDEN
WIĘKSZY POJEMNIK ZRZUTOWY
[HTTP://ODKRYWCA.PL/CO-BYLO-W-POJEMNIKACH-
ZRZUTOWYCH-DLA-AK,175972.HTML](http://ODKRYWCA.PL/CO-BYLO-W-POJEMNIKACH-ZRZUTOWYCH-DLA-AK,175972.HTML) (16.07.2014)
ZASOBNIKI ROZBIERALNE, TZW. CELKOWE,
ZAŁADOWANE SPRZĘTEM WOJSKOWYM



Całkowicie się zgadza z tym, co z nieba spadło, tak wszyscy zgodnie naliczyli. Odnaleziono 11 zasobników i 11 paczek. Brakuje dwóch. Ten jeden to wydaje się słusznym podejrzenie, że odebrał nam go sam „Boruta”, dowódca oddziału „Chełm” ze swoim zwiadowcą „Różgą”. To właśnie jego i „Borutę” widzieli twoi ludzie. Podczas przyjmowania zrzutu, „Boruta”, przedstawiając się kim jest, zameldował, że pomagają w tym odbiorze i zagadnął, że tak na początek ze dwa automaty dla nich by się przydały. Zbyteł „Borutę” czymś w stylu, że broń w całości przeznaczona jest dla oddziału „Surmy” z Armii Krajowej „Śląsk”. Taki jest rozkaz, a o nich pomyślimy później. Odchodząc powtórzył: „aha, później...”. Wiesz, że nie jestem miękki, ale zrobiło mi się go żal. Postanowiłem „zapomnieć” o tym, co wiem. Ty też o tym zapomnij, tak samo twoi chłopcy. Pewne jest, że broń trafiła w dobre ręce, a „Boruta” będzie umiał ją należycie wykorzystać. Niech im służy jak najlepiej. Na pewno ta druga paczka też trafiła w dobre ręce. „Boruta” od samego początku liczył na jakieś „kapnięcie” z tego zrzutu, bo logicznie myśląc po co wybrał się furmanką? Zanim stworzył oddział partyzancki „Chełm”, to pracował na tym terenie jako listonosz. Tak, że sprytu jemu nie brakuje. Ech, może nawet dobrze, będzie miał czym walić w Niemców.

– Ja też tak uważam rotmistrzu. Sierżancie „Jawor”, posprawdzane wszystko? Jeżeli wszystko w porządku, to zbiórka przy furmankach. Porucznik „Azor” jest z Huty-Podgórze od kapitana „Szarego”. Furmanki to jego działka, to jego teren. Na pewno sobie poradzi. Ostatnią furmankę chroni sierżant „Jawor” plus trzech. Pierwszą ja chronię, plus dwóch. „Mrówka”, ty pojedziesz razem ze mną. Masz się mnie trzymać jak rzep psiego ogona. Pozostali obsadzić resztę wozów. Poruczniku „Azor” słońce zaszło, kierunek granica, w Imię Boże ruszaj... W stronę Sarnowa pojedziemy równą drogą prowadzącą grzbietem góry, „Mrówka” oglądaj krajobraz, jest prawie pełnia, wszystko dokładnie widać. Maków tu w dole, tam hen to zarys Babiej Góry i pasmo Policy, prosto przed nami Grzechyńnia, a za masywem Magurki, kochany Smoczku, tylko o rzut beretem jest twój Granicznik. A tu gdzieś, w Wielkim Tygodniu, Niemcy spalili całe osiedle, nawet z dziećmi.



POMNIK NA CMENTARZU W MAKOWIE PODHALAŃSKIM UPAMIĘTNIAJĄCY ZAMORDOWANYCH PRZEZ NIEMCÓW W ZWIĄZKU Z PACYFIKACJĄ OSIEDLA ZA GÓRĄ NA MAKOWSKIEJ GÓRZE W DNIU 4 KWIETNIA 1944 ROKU. NA TABLICY WIDNIEJĄ NAZWISKA CZTERDZIESTU DWÓCH OFIAR. CZTERDZIESTA TRZECIA OFIARA – AGNIESZKA BANIA LAT 35, PO EKSHUMACJI ZOSTAŁA POCHOWANA W KRZESZOWIE.

– O, tam, po prawej widać zgłiszczca. Straszny widok jeszcze dzisiaj. –Zobacz sobie jeszcze, o tam za nami ta góra z lasem to Chełm, a bardziej na wschód to Palcza. Z tej równej drogi musimy skręcać w lewo i w dół do osiedla Sarnowo, przez drogę do Skawy, brodem na Cyganową, a tam będzie pod górę. Droga bardzo trudna niemal do samej granicy. Ty pilnuj by wszyscy byli cicho. Zollamt w Suchej stąd widać, a z drugiej strony „Marysin” z gestapem makowskim. Całe szczęście, że w nocy nosa nie wychylają.

– „Surma”, ostatni wóz wyjeżdża ze Skawy, na parę minut musimy się zatrzymać, popoprawiać na wozach, złapać oddech i wio dalej!

– „Azor”, z ciebie to zawodowy, leśny furman. „Dziadek” wiedział, że taki da sobie radę.

– Nie „Surma”, ja jestem leśniczym w Zawoi. A że z chłopami żyję w zgodzie, to się też od nich czegoś nauczyłem. A oni jak widzisz, fach dobrze znają, nawet po ciemku. Żeby tylko konie wytrzymały, bo na sam Przysłop stale pod górę, miejscami bardzo ostro. O już się zaczyna Cyganowa.

– Poruczniku „Surma” te dwa konie całkiem osłabły, nie mogą już z tym ciężarem dalej jechać. Pozostałe konie też są u kresu sił, a do granicy jeszcze cały las grzechyński, wiadomo – ze skarpami. Co robimy? Może by tak zostawić trochę w lesie i dobrze ukryć?.

– Zaraz, „Azor” zaraz, niech myśli pobieram. Chodźmy do „Jawora”, a ty dawaj tu jakiego miejscowego.

– O ten jest dobry, co rozmawia z twoim „Jaworem”. To Staszek „Sołtys”.

Wszyscy go tu znają jako Staszka „Sołtysowego” z „Za Lasu”. Popatrz jaki kawał zgrabnego kawalera z niego. Gdzie tylko się znajdzie, to dziewczyny razem z matkami za nim zerkają. Nawet córkę „Dziadka”, czyli komendanta Huty-Podgórze, Marysię coś ciągnie do niego.

Znalezienie miejsca zlecę „Sołtysowi”. Staszek wiem, że to twój rejon kawalerski, to i rozeznanie masz z pierwszej ręki.

– A to akurat prawda, jest tylko jedno pewne miejsce – na Drwałówce.

Tylko uwaga, cały czas po prawej ręce macie granicę, a zaraz nad Drwałówką jest zollamt z obsadą. Lecę przodem, załatwię co trzeba.

– Franek, Franek, co ty jeszcze nie śpisz? Otwórz drzwi. To ja, Staszek z „Za Lasu”. Widzę, że szyjesz jeszcze.

– A szyję. W nocy szyje się najlepiej. Karbidówkę mam dobrą, to i mam jasno.

– Tylko ty sobie lepiej pozasłaniaj okna, bo jak cię „Fajeczka” z „colantu” dopatrzy, to cię będzie miał na oku. Odkładaj to szycie i budź Ludwika. Naszym potrzeba pomocy.

– Ludwika nie ma, poszedł do brata Staszka, do Grzechyni, żeby zaprowadzić takiego nowego szmuglera z towarem. Był na jarmarku w Suchej.

– Trzeba broń przechować przez kilka dni. Bierzemy Jędrka Drwala z Józkiem. Ale u kogo to schowamy Stachu, może gdzieś koło Zimnej Wody? Tam szwabcy nie chodzą.

– Nie ma mowy, „Surma” ten pomysł stanowczo odrzucił. Pogadamy z Jędrkiem, ten jego wiatrak byłby dobry.

– Jędrak może jeszcze nie śpi, przed godziną słuchaliśmy u niego radia. Mówili o rozpoczęciu jakiegoś powstania dziś, znaczy się wczoraj, coś koło piątej wieczorem. Podobno Niemcy w strachu. Jędrak będzie więcej wiedział. Ja musiałem wyjść, aby skończyć spódnicę twojej Stefce. Podobno na odpust w Zawoi się z tobą umówiła, ale pewnie nici z tego. Lepiej było tego radia dłużej posłuchać....

– Franek cicho! E, to już nasi. Poruczniku „Surma”, jest pomoc. „Ofiarny”, eee, Franek Drwał ze sąsiadem Jędrkiem Drwalem przechowują te bębny.

O w tym wiatraku na samiutkiej granicy. Jędrak miał tam młynek, ale Niemcy zabrali, to zamontował dynamo i jest zarazem antena do radia i prąd. Szwabysze jeszcze nie wiedzą, do czego to służy. Wszystko hula ku uciesze, a ludziska słuchają. A patrole niemieckie już się naoglądały tego cudu techniki, to może przez te parę dni nie zaglądna.

– „Ofiarny”, dokąd ci to mamy dostarczyć?

– O tam, pod wyżej pod tą miedzę. Tylko cicho tam, wyżej nad domami, jakieś 300 m dalej jest zollamt, i to dobrze obsadzony. Tak że droga tamtędy jest skutecznie zaryglowana. Do wiatraka pochowamy sami, a wy się już zmywajcie. Staszek „Sołtys” tu na czwartego musi zostać. Cholerka, zaraz będzie widno. Aha! Jak będziecie zabierać te bębny to tylko kontakt przeze mnie. Jestem stale w domu, bo szyję, a i trafić łatwo. Tylko uwaga w dzień czasem Niemcy wpadają.

9 LASEM GRZECHYŃSKIM DO GRANICY

– „Surma”, postaw tu ze sześciu przy tym wąwozie. Patrz, jakie bajoro. Trzeba podtrzymać wozy. Jeżeli dziś mamy przeskoczyć granicę, to przy końcu lasu trzeba się na chwilkę zatrzymać.

– Przerwa! Sierzancie „Jawor”, weźcie ze trzech i gałęziami zamaskujcie bardziej widoczne koleiny. Słońce oświeciło już szczyt Magurki, drzewa widać dobrze. Tylko, co w tych drzewach siedzi?

– „Surma” mamy szczęście, że trochę ulżyliśmy koniom, tymi potokami nie wydoliłyby.

– Po tę broń niestety trzeba będzie przyjść z *pleckami* panie poruczniku, z *pleckami*.

– „Azor”, a ci drwale to pewni ludzie?

– To Drwalowie. Ja też nie mogłem załapać, gdy mi to „Sołtys” z początku opowiadał. To jest przysiółek Drwałówka, ale potocznie mówią np. idę do Drwala; taki skrót myślowy. Jest tu tylko pięć domów, a mieszkają tu chyba sami Polakowie i Drwalowie. Co do pewności, to gwarantuję za nich głową. Nasz „Dziadek” z córką u nich bywa. Pytany mówi, że pod latarnią najciemniej.

– To dobrze, bo ta broń ma być pod Żywcem w komplecie. „Roman” z uporem mania-ka wierci mi dziurę w brzuchu, że całość i tylko całość mam dostarczyć na miejsce.

– Poruczniku, konie i ludzie ledwo dychają, może by tak trochę zabrać na plecy, a nas z końmi zwolnić. Resztę można schować w potoku. To nasz rejon, a „Dziadek” pomyśli, co potem z tym fantem zrobić. A tak mówiąc szczerze, to by się nam tu takiego sprzętu przydało, oj przydało.

– I tu Józku mamy problem. Mam rozkaz bez względu na wszystko dziś przekroczyć granicę, a broń zabezpieczyć już na terenie Rzeszy. A ty mi w tym pomożesz. Zgoda? Tym bardziej, że jutro może być tylko gorzej. Ten „Ofiarny” słyszał w radio o powstaniu w Warszawie. Jeżeli to prawda, to jest oczywiste, że Niemcy jeszcze bardziej uszczelniają granicę. Poruczniku „Azor”, ale żeby tak w biały dzień? To do mądrych chyba nie należymy?



FURMANKI KONNE DO LAT 60-TYCH STANOWIŁY PODSTAWOWY ŚRODEK TRANSPORTU.

– Ty „Surma” popatrz, słońce już nad Żarnówką, te twoje chłopaki łącznie z sierżantem ani mrukną, że im ciężko. Na oko widać, że piąty krzyżyk to ten „Jawor” już nosi? Nawet ten młodziak „Mrówka”, trochę się przed lasem grzechyńskim zdrzemnął, widać nie przywykły, ale dziarsko się trzyma.

– „Jawor” to zawodowiec, ma tyle lat, ile mówisz. „Mrówka” zaś to rzeczywiście jeszcze małolat, ale staż konspiracyjno-partyzancki ma dłuższy od większości tu obecnych. Nie raz my Niemcom spod muszki uciekali, jak dotąd skutecznie.

10 OSIEDLE „ZABOREM” – 500 M DO GRANICY

– Zabrakło lasu. Jesteśmy widoczni, jak na patelni. Tam, po prawej, to szczyt Magurki. To tam się spotykają patrole z placówki od Pytla, z tymi ze Siwcówki. Zawsze przechodziliśmy tędy nocą, ale dopiero w dzień widać, jaka tu przepiękna panorama. Patrz Smoczek, tam w lewo to Babia Góra, zewsząd jest dobrze widoczna. Dziś mnie to nie cieszy. Niezbyt ciekawie to dla nas wygląda: dwa kaemy i po nas. Wystawiliśmy się jak stado kaczek. Dobrze, że mamy słońce za plecami.–Zjeżdżać do tych domów na lewo, o tam między tą piwnicą a domem.

– *Pochwalony go gospodarzu! Można się tu chwilkę zatrzymać?*



FOT. 215A ZABOREM, W TYM MIEJSCU „SURMA” ROZMAWIAŁ Z WŁADYSŁAWEM BASIURĄ

– *Jo tu nie gospodarz, jono moj brat Stefon. Ale stanoć, comu niy? A co potrza?*

– *Są tu gdzie w okolicy Niemcy?*

– *E, panie, tu Niemcy się nie plotajo. Tu Za Borom jesce od pocotku wojny ich nie wi-dziołek. Tam dali, po granicy to się casom przechadzajom, jedni tam koło kaplicki chłodzi do Grapki, a drudzy po wirychu. Ale, panie, te włoży, to niek lepi wjadom pod jabłonie.*

– *Ma pan rację. Zjechać pod drzewa!*

– *Panie włojskowy, jo jes Władek Basiura, a nie zodon pon. Moze zawołom brata, un furmanił na wojnie, to se z nim pogodocie.*

– *Nie ma potrzeby, ja dowodzę tym oddziałem. Chcę się tylko zorientować, czy się da przejechać granicę i dostać się do lasu za Spyrkami.*

– *Panie, bedzie juz trzy na siódmo. Moze Niemcy juz poleźli do Kicory, to do Jonika, przez Spyрки moze sie przedostaniecie. Cheba, ze kcecie placówko u Siwca rozwalić. Nie by-łek w wojsku, z partyzantką tyz ni mom nic do cyniono, ale o tom casie, to im rady nie docie. Z daleka wos powysztzylajom, jak te gołobie na dachu.*

– *To nie jest naszym celem, mamy inny problem. Musimy się dostać do lasu koło go-spodarza Siwca, a nie na Siwcówkę.*

– *Panie, to comus mi niy godocie, ze wom chłodzi o Stefona Siwca z Polonki.*

E, tam jes piokny las i patrzeć stam-tod mozna, daleko. Za Spyrkami to już ton las, pod samo jego chołupo dochodzi. Zno-my się dobrze, costo przychodzi do kowo-la u Warcioka. Niek się pon nie boi, my tu wszyscy trzymomy jozyk za zobami. Tu je-sce na granicy nikogo nie złopali, a stale tam do dziywcot chodzomy. A tamci cho-dzom do nasych. Nawet jak som wesela, to się nik Niemców o zgodo nie pyto. Trzy lata tomu, jak się zonił Jozek Spyрка, to cały niymiecki patrol przysedł, sprowadzi-li jono jakiesik pozwolonie. Prawie wszyj-scy z rodziny przešli granico, a kawalyrko tys przysła, zeby potajcować. Niemcy wy-pili trosko bimbru, cosik zjedli, trosko po-słuchali muzyki i pošli se w swojo strono. A my, juz biołom raniom, całom bandom śpiewajoc, przez granico przechodzili i nik nos nie haltował. To se Niemcy ustalili gra-nico, a nie my, to comu my momy tamtody nie chłodzić? Dziś jes łodpust Matki Bło-



WŁADYSŁAW BASIURA Z ŻONĄ WERONIKĄ ORAZ
CÓRKAMI WŁADZIĄ I STASIĄ

skiej Janielskiej w Zowaju, to za kwilko Spyrkowanie, Jonicanie i nie ino, nikogo sie nie bedo pytać, jono pudo do kościoła razem z dziecyskami. Powiom jesce panu, tak po nasomu: my tu wszyjscy, co miyskomy w tych gorak, te niymieckie porzodki mamy globoko w rzyci. Jo tys zaroz z kolegami: z małom i duzom Julkiom pójdomy na ton łodpust. Juz my sie w nie-dzielo z dziywcotami łod Spyрки ugodali.

– Granica na drodze naszego przemarszu wygląda bezpieczne. Przez lornetkę nie wi-dać żadnego patrolu. Sierzancie, ruszamy w stronę granicy. Z Bogiem, Władku.

– *Tło z Bogiom! O tu, przez Bory, dali prosto popod Grapo, potom juz moce granico, tam w prawo przez Spyрки do Jonika, po lewo bedzie las, o ktory wom chłodzi. A tam pod Polonkom sie piyknie schowocie, razem z koniami i wozami.*

11 O JEDEN KILOMETR ZA DALEKO

– „Mrówka”, ty najlepiej żebyś wlaźł do jakiegoś kopca z mrówkami. Na razie trzy-maj się mnie blisko! Dobrze, że się trochę przespał. Sierżant „Jawor” ze swoimi – uważać na tyły. Broń odbezpieczyć! Na razie spokojnie. Jeżeli który coś zobaczy, to wiemy w las Stryzawski i kierujemy się w górę, do szczytu,

w okolice Surzynowej Góry, do rejonu zbiórki. Nie wiązać się walką! Strzelać tylko w razie zagrożenia! Stanowczo nie dać się zatrzymać!

– „Surma”, gdyby nie ty i te bębny, to dzisiaj ze Staszkiem „Sołtysowym” mieliśmy być na odpuscie w Zawoi. Już w maju Staszek się ze swoją Stefą umawiał. Ale znając Stasz-ka, to bębny już pochowali i szykują się na ten odpust. Ten to ma szczęście z tymi dziew-czynami, same za nim latają.

– Ty, „Azor”, zejdź na ziemię, niech ci się pierdoły nie marzą. Przed nosem mamy granicę. Zaczekamy, niech dołączą ostatni. Granica leci w lewo w dół i w prawo, tam do szczytu. My zaś jedziemy do tej figury, a dalej między domy. Wiem, co myślisz, prosto do tego lasu, tak blisko, ale niestety niewykonalne, brak drogi. Chcąc nie chcąc, musimy się w biały dzień przedostać przez te Spyрки do najbliższego lasu. Jak to nazwał ten Władek: do lasu pod „Polonką”. Na mapach widnieje nazwa „Surzyny”. To może i lepiej. Nie na-niesiono tej nazwy, to i może Niemcy nie trafią. Tylko jeden jedyny kilometr. Teren wy-gląda bezpiecznie. Niemców ani widu, ani słyhu. Od Kiczory nic nie ma, od Magurki też spokój. Jedynie granica koło samych domów jest niewidoczna. Ten *brzyzek* po prawej nas osłania, ale i widoczność zawęża. Wola boska, przekraczamy. Ruszaj spokojne, wolno. Pa-trzeć nawet uszami. Jest figura!

Matko Boska! W Imię Ojca i Syna i Ducha Święt...!

– Halt, halt, halt!

– Rany Boskie! Niemcy! Tam, za tym bukiem, z prawej, nad figurą!

– Chłopaکی ognia!

– „Surma”, ale skosiłeś tych dwóch! Trzęsło nimi, jak snopkami. Ale tu patrole chodzą zazwyczaj trzyosobowe.

– Szukamy tego trzeciego?

– Nie! I tak w tym miejscu jest o dwóch nieboszczyków za dużo. Zostawić wszystko, nawet niemieckiej broni nie zabierać. Wszystko zostawić przy zabitych!

– Ale ten trzeci ściągnie niemieckie posiłki!

– Bez dyskusji, wykonać rozkaz! Powtarzam: nic Niemcom nie zabierać! „Azor”, zwracamy! Zwijamy się! Odskakujemy w stronę lasu! Szybko, tam w stronę tego zagajnika! Skutki mogą być straszne.

Matko Boska, miej w swojej opiece mieszkających tu ludzi i mój oddział.

12 ZBAWCZY MŁODNIK

– Ruszać się, biegiem! Nie rozwlekać spadochronów. Posprawdzać, wszystko zabrać z furmanek i do zagajnika! Ty „Mrówka” nie dźwigaj, lepiej pozwijaj te sznury by się nie plątały. Biegiem, biegiem! Za chwilę nam Niemcy pomogą nosić. Ty „Azor” zabieraj mi-
giem furmanki! Nie chodzi o Niemców, tylko o bezpieczeństwo nasze oraz mieszkańców



TABLICA PAMIĄTKOWA ODSŁONIĘTA W DNIU 2 SIERPNIA 2014 R., W 70-TĄ ROCZNICĘ
OCALENIA MIESZKAŃCÓW I OSIEDLA SPYRKI OD SKUTKÓW ODWETU NIEMIECKIEGO
OKUPANTA ZA ZASTRZELENIE PRZEZ PARTYZANTÓW AK DWOCH ŻOŁNIERZY
NIEMIECKICH. DOKŁADNIE Z TEGO MIEJSCA POR. „SURMA” JEDNĄ SERIĄ Z AUTOMATU
ZLIKWIDOWAŁ NIEMIECKI PATROL

z tego osiedla. Trochę bajzlu im narobiliśmy. Im mniej ludzie będą widzieć, tym lepiej dla nich i dla nas.

Z furmankami musisz trochę dla zmyłki pokluczyć. Że niby to w głąb Rzeszy, po czym odskoczycie ze trzy kilometry na teren Guberni. Przeczekacie trochę, potem rozjeżdżcie się każdy z osobna. Masz na pewno z sobą któregoś spryciarza, więc ci powie, jak ciebie i gajowych przechytują, gdy umykają z drzewem z twojego lasu.

– „Surma”, dlaczego chłopakom kazałeś to wszystko dzwigać, do zagajnika?

Nie można by przez to pastwisko podjechać na skraj młodnika?

– „Azor”, po wojnie to sobie ty przez to pastwisko możesz znaki drogowe ustawić albo i nawet tory kolejowe, ale dzisiaj zabieraj się z tego miejsca jak najszybciej i jak najciszej. Na wozach już nic nie ma, możesz się zmywać. My tu, z pomocą Bożą, gdzieś to pochowamy, postaramy się dobrze zamaskować. Jeden Bóg na niebie wie, co będzie dalej. Ten młodnik to słabe schronienie, ale innego wyboru nie mamy. Wszystkie zbocza są odkryte i z daleka widoczne. Pozakrywać bardzo dokładnie trawą i choiną cały sprzęt. Spadochrony pod siebie, trochę sobie na nich poleżymy. Układać się w pozycji leżącej, można się zdrzemnąć. Najlepiej niech połowa z nas śpi, a połowa czuwa. Broń zabezpieczyć i położyć w zasięgu ręki. Niech was ręka Boska broni, jeśli który strzeli bez mojego wyraźnego rozkazu. To mu osobiście ustrzelę, wiecie co. Tak, że do końca życia będzie miał spokój z dziewczynami.

– Poruczniku! O tam, za tym potokiem, idą drogą w górę, patrzcie pomiędzy te drzewa z tego miejsca dobrze widać.

– Widzę, przyjechali tymi samochodami, co było słychać tam w dole potoku. Ale sobie idą spokojnie, pod górę krok za krokiem. Można by pomyśleć, że to jakaś wycieczka, nawet psy ze sobą prowadzą. Dobrze, że wiaterek wieje zachodni, inaczej by nas już zwietrzyły. Właściwie to pozycje mamy świetne. Ułożyli się rzędem, pod górę. Oni na zboczu, my im pod słońce, tylko seriami ich kosić. Resztę by się granatami, w tym potoku, który nas dzieli, dobiło. Broni mamy w nadmiarze, wystarczyłoby, jak nic na sprzątnięcie naszych „myśliwych”. Ciężkiej broni nie widać, by mieli ze sobą. Po prostu kusząca okazja dla każdego partyzanta.

– Czešku, ale musiałbyś też przewidzieć, co dalej, co tymi ludźmi z osiedla?

– Poruczniku, teraz wiem, dlaczego musieliśmy przez tę łąkę na plecach taskać to wszystko do tego zagajnika. Rosa wyszła, dzięki temu śladów już nie ma.

– Już po 15-tej. Czyżby się bali wychylać nosa poza osiedle? Może liczą się z tym, że muszą wracać tym odcinkiem przez las. Możliwe, że mieszkańcy tej Spyrkówki rozmyślnie wyolbrzymili naszą liczebność, świadomie lub nieświadomie napędzili im zwykłego stracha. A na to wygląda. Jeżeli tak, to Matka Boska ma w tym niemały swój udział, a i nam się przy okazji upieczą. Pewnikiem Niemcy tym razem odpuszczają, za co z góry w imieniu wszystkich Boży dziękuję.

ROZDZIAŁ CZWARTY

13 DOM NA ŚRODKU OSIEDLA SPYRKI

– Jozek, podejże Cesiowi jego gornecek. Idom pod krowo, niek przyjdzie do stajnie, to mu ucedzom mlycka. Jono dej ton jego, bo z innego nie bedzie pił. Jes sparty jak koza. A co ty tak copis przy tom oknie, co? Babio Głora ci dziwno? Przecios co dzień mos ją przed łoknami.

– Aniyłka gdziesik poleciała, a mnie kozała pilnować, kiedy patrol pudzie z powrotem w stro-no Kicory. Widziołek, jak przešli w strono Ma-gorki. Wybierajo sie całom bandom na ton łod-pust do Zowojo. W niedzielo był tu Mietek Ko-zina spod Babiej z tom od Budzonja, siedzieli na pogrodce i sie śmioli. A ze ni mogom spać, to zek swysoł, jak się ugadowali na dziś. Weronka, ton wywar z makowin juz mi się skojcył. Comuześ mi go ugotowałam jono w takim małym gorcku? Bo-leści wracajom, a jak wypijom, to lepi mi sie spi i juz tak strasznie mnie nie boli. Dobrze ci ta bab-ka „Klimkowa” doradziła o tom maku. Una była w Ameryce, to sie tam tego nauczyła.

– Cesi, wypilżeś już to mlycko? To pojdze do taty na kolana. Popatrzomy se w izbie przez okno. Dochłodzi siódmo, to już bedo iś wierchom Bieski-da. Ka te granicnioki, kany uni sie podzieli? Wiys Cesi, dopóki Niymsy nie przyjdo pod Kicoro, to ciotka Aniyłka pójdzie se nie na odpust, a do du... .E, jeseś jes mały, to nie musis wszyskiego wiedzieć.

– Jozek, zamknij to łokno i odyjdz stamtod z tom dzieckiom. Jesce wos zawieje. Aniyłka po-sła miodzy chałupy, to bedzie wiedziła, ka som ci Niymsy. Jo idom podoić „Winocho”.



CZESŁAW SPYRKA PRZED RODZINNYM DOMEM
NA ŚRODKU SPYRKÓWKI



CÓRKI „BABKI” KLIMKOWEJ ANNA URODZONA
W AMERYCE I EMILIA



SPYRKÓWKA – MIĘDZY PRZYŚCIANKAMI

– Weronciu, już się nie złościj, łokno zamkniote. Chodź Cesi, domy kanarkom jeść za to piykne gwizdanie. Cesi, podejże tacie to pudełko, jono nie rozsypoj. O, swysys, jak piyknie ptoski w izbie gwizdajom, a mama odprawio „Godzinki”

w stajni? I momy w kupie: wesele w izbie, a w stajni kaplico.

– Weronka, Weronka! Pozamykos się w ty stajni, jesce se spiywos głośno te swoje codziynne „Godzinki”, to pewnie nie swysys, że u Matki Boskiej wojna.

– Cegos kces Stefka? Jako wojna? To pewnie twój Maniek patykiom po nasych śtachytak przejechał, a ty se myślis że to maszynger.

– Wcale niy. Ślak po wodo. Swysom, jak ci dwa z patrolu zahaltowali jakiesik wozy. A ton, co sed koło tego piyrsego wozu, jono, roz trrrrr z maszyngeru.

I było po nich. Godom ci Weronka, zatrzepało nimi na stojoco, jak młoconymi snopkami. Lezo tam, przy buku, nad Matkom Błoskom.

– No Stefka, a gdzie te wozy, co ześ je widziała?

– Tego to jo nie wiom. Na pewno widziałak nojmni dwa, ale jesce było wiocy na drodze, co idzie „Zoboru”. Straśnie się tego przeloktak. Alek się pozbierała i pieronom poleciałak przykozać nasom, żeby nie patrzyli casom przez łokna. Ale swysom, że ty dali śpiewos, to ci przysłak pedzieć Lecom jus z powrotem, bo nasa Aniyłka jest głucho, a moj Władek pojechał z wasom Staskiom do roboty. Godoł, że majo ściogać drzewo w Kicory, strzylanie pewnie swyseli.

– Nareście Aniyłka jeześ. Siadnolibyście spokojnie na dupach, a nie sukali wcorajsego dnia. Widzicie, co się robi. A kany jest Bronek?

– Bronek załatwił cosik mojemu Mietkowi i temu przysedł dopiero nad ranem. Odsypio teraz na izbie. Sepnoł mi jono, ze Mietkowi załatwił wszystko.

Na odpuszcie mom to Mietkowi dać, bo un się dziś nika nie wybiyro.

– Aniyłka, Aniyłka, Bronek jes najmłodszy, ale modrzysy od ciebie. Niymcy dziś kozdego na granicy od razu zastrzelom, nie bedo sie bawić w zodne legitymowania. Stefka Władkowa widziała, ze jono dwóch zastrzelili.

A w patrolu widziołek trzech,

– To ka jes ton trzeci?

– Jozek, spokojnie. Zaroz wszystko ci opowiom.

Posłak sie spytać do Gienki „Od Zgóry”, cy idzie do tego Zawojo, jak my sie ugadowały w niedzielo. Gienka, to wies jak Gienka, jak idzie do tych swoich krow to nie wyjdzie, aze wszystko ma skojsone.

To se pogodałak trosko z krzesnołojcom Emilom. Straśnie się mortwi córkom Hankom, jak ji tam jes, na tyk robotach w tyk Niymcach. Patrzyliśmy razem, jak juz Niymcy sie wracali z Magorki, jak śli z gory koło Grapki. Došli do warciokowego chodnika. Dwók posło granicom na dół, ku kaplicce. Ale tam już dali „Od Zgory” nie widać. Ton trzeci z psom przesed popod Zgorową chałupo i wloz do Jantusia. Jantuś był za nieboscki Austryje na wojnie, to pewnie ich mowo rozumiy, a wiadomo ze Jantuś to umie godać. Moze ton Niymiec to jaki Austriok? Jak Giynia wysła ze stajnie, to siadlimy se w kuchni, atu swysomy – kasik strzylajo. To krzesnyłojciec Emil nie doł się nom nawet ruszyć. Potom się uspokoiło, tozek posła do chałupy, a po drodze jesce popatrzyć, co sie to robi. Przeleciałak ponad naso piwnico, wzionak jesce na wszelki wypodek trosko siana ze śrobka. Krzesnomatka Jantusiowa była na polu. Powiedziała, ze jedon Niymiec był prawie u nich, jak zacnli strzelać. Wyskocyl i polecioł w stronę Matki Boskiej. Uwidzioł pewnie co się stało, bo za jakosik kwilo Jantuś go uwidzioł, jak som uciekoł poza Pierogowo piwnico, ponod Kuboskowo Snozino, a potom przez Pustki ku Młace.

– To teraz juz wszystko wiomy: ton Niymiec polecioł przez las na placówko po pomoc. Za jakie dwie, trzy godziny bedzie tu od Niymców az corno. Cheba musioł się strasnie boć, bo uciekoł lasom po swoich kamrotów. Aniyłka, a ka mos to packo, co ci jo dalek? Zabierze to pieronom i wiejomy stod.

– Aniyłka, nakłajdze tys krowom siana, a do cebrzyków nalyj wody. Niymcy krowom darujom, ale nom niy. Jo popatrzom, moze przez Warcioki do grzechońskiego lasu przyjdomy i tam pocekomy.

– Ty Weronka zajmij się Jozkiom, Cesia to ja weznom na barana.

Wyjdom se i pokrocom sie trosko koło tego nasego Warciokowego przyjsia.



PRZYJACIÓŁKI Z LAT OKUPACJI: ANIELA POLAK (PO
MĘŻU TOCZEK), ANIELA SPYRKA(KOZINA)
I GENOWEFA KUDZIA(OLEKSA)

Jak na granicy bedom strzylać, ucieknom ku Grzechyni i spróbujom w innym miejscu przejść z powrotem. A jak bedom sie wracoł, to powiom Spyrkowianom, ktorody można uciekać. Wychodzim teroz, a wy pilnujcie, zeby Niemcy nos nie dopadli. Nojprodzy przyjdo z lasu od Młaki. Albo podjado autami od Śtrysawy, popod Bajcery do Huciska.



PŁOT Z KOZIOREK – W PODOBNYM UWIĄZŁ NIEMIECKI PIES

– Jozek, Jozek, pojdz tu. Krzesnołojciec Jantuś godo, ze gdziesik za Pierogowom piwnicom jakisik pies wbił się w płot. W ton pleciony z koziorek i strasnie jujcy. To podobno pies z tego niemieckiego patrolu. Jantuś juz był przy nim, ale pies nie daje do siebie dojść. Pies niemiecki, ale kozdego zwierzocia skoda, jak sie strasnie morduje. Jantuś godo, zebyś ty go zastrzelił. Wszyscy przecioz wiedzo, ze mos strzelbo.

– A Jantusiowi to jesce nie jes dość dzisiejszego strzylanio? Powydz mu, ze zaroz tam podyjdom, jono weznom cosik dlo psa, i kawolek jakiegosik powrozka.

Ty, psiorzu jedon uwazuj, bo jak ci pies portki stargo, to jo nie bedom tego zasywała!

– Cesi, patrozje, jaki piykny piesek. Nie bojze się, un nos nie ugryzie. Popatrz se, jaki un jes wystrasony. Pogłaskoj go, jono pomalutku. O, tak, widzis? On cie jus lubi.

– Jozek, nie bow sie z tom psom, jono schowaj te pora marek i nase łobrocki.

To jedone jes cosik jesce worte. Bronek pewnie zaraz przyjdzie. Na granicy jes cicho, pewnie drozki do Warcioka jesce nie pilnujo.

– Weronciu, siadnij se spokojnie. Jo z nasej chołpy nie myślom uciekać.

Co mo być, to bedzie. Wolo Bosko! Byłek na polu, nikogo nie widziołek, zeby kany kto uciekoł.

– Jozek, ale dziecko?

– Tam w gorze, u Wszechmocnego jest zapisane i to na pewno wyraźnie, wiewa casu przeznacyli kazdomu na jego życie. A Cesi i ty z całom Spyrkówkom sie uratujom. Tak mi mój duch podpowiadio. Ty zaświyć lepi świycko przed obrazom Matki Boskiej Nieustajociej Pomocy.

– Joziu, zacomześ ty tego psa wyciognoł, to jo juz zaświeciła dwie świycki, a jesce zdozylał się z dzieckom za nas pomodlić. Cesi nawet prosił Bozio, zeby ci pies portek strasnie nie stargoł, bo swysoł, ze mama tacie powiedziała, ze mu portek nie bydzie sywała.

– Widzis jaki chopoczek modry i pojotny? Mo dopiryro dwa i poł roku, a juz slucho, kto co i jak godo. Napewnło do se w życiu rady.

– Chodzcie, koło Warcioka jesce przyjdomy.

- Słuchojze Bronek, my nika nie idomy. Tobie z Aniyłkom tyz radzom, zebyście z nami złostali.
- Jozek, ty se rob jako ta kces, jeżeś nojstarsy, ale my z Anielkom uciekomy.
- Mom te osiomnoście lot i wiom już cosik o škopach. Wasa wola. Zostańcie z Bogiom!
- Wy tyz idźcie z Bogiom. My cekomy na wasę „Niek bedzie pochwalony!”. Wiys co Weronciu, moze to źle ześmy z nimi nie kcieli iś?
- Jozek, moze nie bedzie tak źle, Niymcy to tyz ludzie. Ludka na placówce u Siwca jeś im gotuje. Chociaz una jes z nakazu do roboty, to sie grzecnie do niej łodnosom. A jak sie Jantuś miał urodzić, to som komyndant placówki zawołał z pola furmana, zeby ton pojechał roz – dwa po pomoc.
- No moze i mos racyjo, ale Ludka jus za dwa tyźnia, zamiast bawić dziecko, to musiała iś im z powrotem gotować.
- No cheba tomu, ze Ludka strześnie dobrze gotuje, to ji nawet dali opiekunko dlo Jontka A pamiotos, jak w 1940 roku jo była za siostrę Stefko, jak una była chora, przez miesioc na tyj placówce, żeby tam sprzotać za nio, to żołnierz niemieccy grzecnie się do nos odnosili.
- Weronka, patrze sie, cheba dobrze widzom: tam od Młaki, o tam z lasu już wychodzo i jesce się popotrz – spółd Bieskida tyz wylažo i ido w strono chałupy Bronkowej. Ty z Ceśkiom uciekoj. Moze jesce zdoyysz. Ja bedom w chałupie, za słaby zek jes, żeby uciykać.
- Widzom, widzom, cały śnur ich ciognie do góry. Tyk, cło wyleźli ze Śtrysawki cheba trosko mni lezie, psy nawet majo. Jozuś, ale ciebie samego w chałupie nie zostawiom. Zre-stom nie widać, zeby Spyrkowanie strześnie uciekali. Aleś ty Jozuś blady. Napijze sie lepij tej herbaty z makowin, bok ci już ugotowała.
- Niy, nie kcom, po tom wywarze mogom rozdwa usnąć. Dej mi lepij ze dwa kieluski tej Bronkowej przepolonki.
- Jozek, a gdzie ty mos tom swojom fuzjo, cosik downo zek je nika nie widziała.
- E, przecioz jest na szofie, o tam zawinioto. Schowolek jom na wiesno, bo przez lato sie nie strzyła do zwierzot.
- Rany Błskie! Ty to mos świote nerwy: fuzyja na szofie, a Niymcy pod Spyrkami.
- Werociu, jono sie ta nie denerwuj, juz jo wyniesom na środek i dobrze ukryjom.
- Tak schowos, jak ześ schował w lutom. Dobrze, ze Franek od „Zgory” sed po wodo i zdoył jo z drogi kopnoć do śniega. Za kwilko w tom miyjsu byli już Niymcy.
- E tam, bo musioła sama wylecieć spod strzechy, przecioz zek jo som włożył do śpary pomiodzy drewnami. Uwijołek się i pewnie jom musiołek wypchać na drugo strono.
- Jozek, Jozek zwoli twojej strzelby skojcomy w Oświocimiu, jak Jasiu Siwiec, teść mojej siostry Ludki. Pamiotos, jak w śterdziestom drugim roku na Boże Norodzone przyswali jono zawiadomionie, ze on juz umar?
- Ale za prochy to se kozali zapłacić, niby ze na pokrycie kosztów przeswanio.
- Teroz to juz pewnie tej fuzyje nie przepchnies na drugo strono, bo Niymcy juz som



CZESŁAW SPYRKA, POD SPYRKOWSKIMI CHAŁUPAMI, Z MAMĄ WERONIKĄ
I SIOSTRAMI– STASIĄ I WŁADZIĄ (1956)

nad chałupom. Popatrzze się, som koło piwnice, Oświocim som do nos przysed. Dawojze to zielastwo, włożom jom do dziury w kuchni pod podłogom.

Co jo sie tej Cesiowej poszewki nasukała, a ton mi strzelbo w nio połowijoł i jesce łoliwą wysmarowoł.

– Chwała Bogu! Ledwo my zdozyli. Przydepnij mocni deski, zeby nie wystawały. Jo położom jesce na nie choino. Koło proga bedzie wyglodało, jakby to było do wytarcio botów. Na pewno sie nie spostrzego, co my tam mamy sowane.

– Przypotrz się: siadajom na murku koło łokna z kuchni. Wioksej głupoty cheba ni ma, zeby chałupo stawiać tak, zeby droga sła dołokoła niej i to prawie pod samom strzechom. Psiokrew, nawet pojes ni mozno, żeby ci kto nie nie zazyroł do miski.

– Weronka, nie godoj tela po próżnicy. Ty sie zaroz uspokój. Podźmy lepi z Ceśkiom do izby sie pomłodlić, ale po cichu. Niek se nie myśło, ze sie ich tak strasnie bojomy.

14. PŁANETNIKI I ODROBINA SZCZĘŚCIA

Józek, Weronka otwierojcie te drzwi! To jo, Hanka Świyrkosowa. Mocie zabrać swoje dokumenty i zaroz sie zgłosić na zebranie, ktore Niemcy zarzodzili. Nojpierw kozali przyjąć mnie. Pewnie tomu, ze ci dwaj Niemcy pora minut przed ich zastrzeloniem stali na samej granicy przed nasom chałupom.

*Obserwowali przez lornetko cało granico. Kciałak sie dowiedzieć, ka jes ton trzeci, bo ich trzech sło wceśni przez Grapko na Magorko. Nalołak im do trzech garnecków młyka i po-
dałak. Powiedziałak im jesce, zeby dali tyz tomu trzeciemu, ale trzeciego nie było z nimi. Jo*

ta nie bardzo umiom godać po niemiecku, ale co trzeba to się jakosik dogodom. Oni tyż co-sik po polsku rozumieli. Mleko wypili, chcieli płacić, ale ja do nich, że w Zowaju dzisiok jes odpust, to mi nie wypodo brać zapłaty. Śmiejoc sie pokozali, że tu granica, a uni majo rozkaz, żeby dobrze pilnować. Nawet jakiesik urlopy majo wstrzymane. A za złapanie przecho-dzocyk przez granico, na urlop bedo se mogli jechać. Nojwoźnysy z patrolu posed pomiodzy chołupy, a uni mieli pocekać na niego na granicy, koło buka, tego nad Matkom Błoskom. Je-don z nik, jak sed na doł, to pewnie kcioł mnie przestarszyć, abo może i łostrzyc. Śmioł się i zrobił z palców krotko. A potom mi pedzioł: „Anna, achtung, Wadowitz.” Trosko zek sie zdziwiła, bo przecioz nie roz widzieli, jak zek przechodzja przez granico, abo ślak po wodo. I uni mi nigdy nie bronil. Potom zek umyła garcki i posłak jesce z mlykiem do piwnicy. Az tu nogle swysom haltowanie, a za kwilko trrr trrr trrr... Trwało to niedługo. Urwało pora ga-łozek na śliwce, a potom już było cicho. Koło kaplicki zrobił się jakisik ruch, to podparłak drzwi w piwnicy drogiom. Wysłak z chołupy dopiyo za jako godzino. Widziałak, że ci dwaj lezo zabici, ale bołazek się blizy podyjś. Wzionak koronko. Nawet mi do głowy nie przysło, żeby uciec za granico. Jak jono przyśli Niemcy, zaroz posli ku tom zabitom. A jo dali z tom mojom koronkom w rocach i ani się nie dom rady ruszyć. Dopiero przysedł Franuś od Kuko-wianki i godo, że mom z dokumyntami przyjś ku ich chołupie. No wicie, tam kole tego buka. Był tam tys już Wicek od Kuboska z całom rodzinom. Taki jedon w siodlatyj copce, wysarp-noł mi dokumenty, Potom przeczytał imię, ale przy nazwisku zafeflukterował. Doł te moje papiyry drugiemu Niemcowi, a ton już nawet dobrze po polsku przeczytał „Anna Świerkosz”. Ton piyrsy cosik szybko prześwargotał. Zdaje się, że ton drugi to tłumoc. Dokumenty za-trzymali i kozali mi zawołać wszystkich Spyrkowian, tak coby wszyscy przyśli za pół godzi-ny pod naso chołupo. Juzek wszystkim pedziała . Momy jesce pięć minut. No to jo tela wiom. A co uni nom sykujo, któz to może wiedzieć. Zeby my jono się wrócili do tyk nasyk chołup.

– Hanko, zabierz Józka ze sobą. Ja tu jeszcze coś pilnego mam do zrobienia.

Za chwilę będę z dokumentami.

– Dobrze Weronciu, ale ze strachu napiłabym się jednego głębszego.

– To się napijcie z Józkiem, tylko Józiowi tak troszeczkę. Wychodźcie! Od Jantusia i od Klimka już idą, idźcie z nimi. –Psa zabierasz Józek ze sobą? Może lepiej zostaw go w domu.

– Jeszcze czego? Znajdą go w domu i może być problem. Na pewno będą go szukać.

– Józek, a kulko weź ze sobą i uważaj byś się nie przewrócił. Ja zaraz tam będę.

Czesiu napij się trochę tej herbatki, co pija tatuś.

– Mama, to nie dobre. Nie chcę.

– Pij synku! Zobacz, dam ci dużo cukru, a ty lubisz „cucu”. O, zobacz, jakie teraz dobre. Tata poszedł i zapomniał wypić. To ty musisz wypić za niego. Jak wypijesz, to tatuś szybko wyzdrowieje. O, tylko tyle? O fajnie, Trochę mało. Zobaczmy, gdzie ja cię mogę położyć do spania, może do piwnicy? No nie ma mowy, tamci dwaj Niemcy są przed piwnicą. Chodzą tam i z powrotem. Czego oni tu pilnują? Został tylko w stajni żłób koński. Przyjedzie Sta-

szek z Kiczory, będzie wiązał konia, to Cię zobaczy. Tylko, czy będziesz miał dosyć, aby spać przynajmniej do piątej? Nas już pewno nie będzie na tym świecie, ale chłopak się uratuje. O, już wiem po czym będzie spał jak suseł. Dam mu z cukrem, białe to nie pozna. Idę do ogródka przynajmniej tu nie pilnują. Chodź synku, mama ułoży cię tam, gdzie śpi konik. O tu fajnie mama da ci słomki, prześcieradełko i przykryje kocym, a pod główkę masz twojego ulubionego jasia. O, grzeczny chłopak, a do buzi damy cumelek z „cucu”. Wstaniesz dopiero, gdy cię konik obudzi. Aaaaaa, kotki dwa... .

– Weronka, Jezus Mario, chodź szybko! Józka Niemcy chcą zastrzelić. Uznali, że to na pewno uciekinier z Oświęcimia, bo ostrzyżony na krótko, wychudzony i widać, że słaby. Nic tylko zbieg. Chodźmy ponad dom od Franusia Polaka, będzie szybciej.

– Rany Boskie, gdzie mój Józek, pewnie go te pierony ogniste już zastrzeliły.

Stefka, Johaska, gdzie on jest?

– Uspokój się Weronka, nic mu nie ma. Poszli sprawdzić ten płot, czy aby prawdę mówić o tym psie. Przeszli dołem, a wy górą i się minęliście. Jego pierwszego wzięli na spytki, co on za jeden, czemu tak na tyso wygolony i z jakiego obozu uciekł. Jeszcze ten pies. Gdy ten Niemiec w czarnym mundurze głośno i nachalnie nastawał na Józka, to pies stanął, jakby w obronie twojego Józka strzygąc uszami i warcząc. Niemiec sięgnął po pistolet, a ten jeszcze bardziej warczy. Józek zaczął tłumaczyć, że pies się zaklinał w jakimś płocie, a on tylko go uwolnił. Pies na pewno jest niemiecki, bo na obroży są jakieś znaki. Przyprowadził go tutaj, by im go oddać. Podał Niemcowi smycz, ale pies przywarował na ziemi i nie dał się zabrać temu Niemcowi. Niemiec ze zdziwieniem pokręcił głową, przywołał dwóch z automatami i przeszargotał coś do tłumacza. Zabrali Józka z psem i poszli za Pierogową piwnicę.

O, wracają. Józek jest uśmiechnięty, widać poszło wszystko dobrze.

– Milka, ty byłaś na robotach w Niemczech. Pewnie rozumiesz, o czym oni szwargoczą?

– Mówią, że ten Polak, mówił prawdę. Sprawdzili, taka sama sierść jest na płocie, a pies od Polaka nie chce odejść. Cicho, lepiej będzie, żeby nie wiedzieli, że rozumiem, o czym oni mówią.

– Achtung! Uwaga! Wszyscy zebrani! Tam, koło drzewa leżą dwaj martwi żołnierze niemieccy. Zostali zastrzeleni przez nieznanych bandytów. Wojenne prawo niemieckie nakazuje, by w miejscu, gdzie się to zdarzyło, spalono wszystkich budynki, a mieszkańców skazano na karę śmierci. O zwierzęta możecie być spokojni. Gospodarze niemieccy potrafią lepiej o nie zadbać, niż wy. My wiemy, że nie wszyscy mieszkańcy są na zbiorce, ale prawo niemieckie łaskawie zezwala, aby do dziesięciu minut wszyscy przybyli na miejsce zbiórki. Dzieci również temu zarządzeniu podlegają. Jeżeli zostaną w domach to się żywcem usmażą. O ucieczce nie ma mowy. Żołnierze rozstawieni pomiędzy waszymi zabudowaniami mają bezwzględny rozkaz zastrzelić każdego uciekającego. Tylko jedna osoba z każdego domu może iść po nieobecnych. Los, los!

– Rany boskie moje dziecko!!!

– Weronka, a gdzie ty masz Ceśka?

– Nawet nie pytajcie mnie o to! O ja głupia, zapomniałam, jak się we Wielki Wtorek hajcowały domy na Makowskiej Górze. Lecę po niego.

– Weronka, aleś ty dostała szwongu! Ein moment i jesteś z powrotem. Nigdy mnie nie słuchasz. Stale powtarzam tylko sobie pomalutku, „langsam, bieda tylko szybko lata”. Cemu takiego dużego chłopaka niosłaś i trzymasz na rękach?

– Józek, ty nie zadawaj zbędnych pytań. Tobie choćby koło dupy strzelali, to ty się nie zdenerwujesz. Chciałabym mieć taki spokój duszy jak ty. A gdzie masz tego niemieckiego psa?

– Podszedł jeden z przybyłych żołnierzy, przeszwargotał dwa słowa i pies posłusznie przeszedł do niego i zaczął jeszcze warczeć na mnie. Krzesnyojciec Jantuś mówi, że to ten trzeci, ocalony z tego patrolu. Ten który uciekał w stronę Młaki. Pewnie wezwał pomoc i już wrócił. Ciekawe czy się będzie chwalił jak bohatersko spieprzał przez Pustki do potoku?

– Cicho, bo jeszcze któryś z tych, co stoją naprzeciw nas z tymi karabinami może rozumieć, o czym gadamy. Pierony ogniste, stoją sobie pod jabłoniami, a nas trzymają na słońcu.

– Ruhe! Cisza! Czy wszyscy wrócili? Pan komendant daje wam szansę przynajmniej częściowej naprawy zbrodniczego czynu dokonanego przez tych bandytów. Mianowicie, jeżeli mieszkańcy wydadzą tych bandytów, to niemieckie prawo przewiduje odstąpienie od zastosowania surowego, ale sprawiedliwego prawa niemieckiego. Pan komendant daje wam jeszcze dwie godziny. Będziecie nadal pilnowani, lecz zezwala na rozmowy między sobą w celu uzgodnienia miejsca ukrycia bandytów. Radzi się pośpieszyć, bo jak żołnierze znajdą wcześniej bandytów to łaskawe prawo niemieckie nie będzie już obowiązywać. Po domach nie będą szukać, bo jak się tam ukryli, wiadomo armia niemiecka będzie do nich strzelać jak do niedopieczonych królików. A mieszkańcy w tym ogniu podzielą ich los. To jest Rzesza, ziemia rdzennie niemiecka. Powinniście zdawać sobie z tego sprawę. Władza niemiecka nie ukrywa, jaka kara się należy za dokonanie napadu w biały dzień na ich funkcjonariuszy. W powiecie żywieckim nie było ani jednego przypadku, by sprawcy podobnych czynów nie byli za to surowo i sprawiedliwie ukarani. Stu Polaków nie jest warte życia jednego niemieckiego żołnierza, czy obywatela. Wy jesteście tylko z łaski Firera poddanymi narodu niemieckiego.

– Patrzcie jak szukają? W taki sposób to się szuka zgubionych kurcząt z kwoką, rozgarniają pokrzywy i szczawiowi nie przepuszczą. Dobrze, że do Weronconych makówek nie strzelają.

– Czego oni szukają na tej drodze? Nawet z buka coś wydłubują. Najwięcej szwargocze ten, co zabrał psa Józkowi. W miedzy też grzebią., Żeby tam były osy, ale by spieprzali. Pewnie by granat rzucili. Ten grubas znalazł kawałek jakiegoś sznura ze spinką, coś się za bar-dzo rozglądają, jakby się zaczęli czegoś bać. I to nie na żarty.

– Bądźcie cicho! A ty Milka słuchaj i tłumacz, co oni szwargoczą. Udawajmy, że się naradzamy.

– Znaleźli oryginalne łuski angielskie. Porównują je z tymi kulami co wydłubali z buka.

A ta spinka z tym kawałkiem sznura, to z jakiegoś spadochronu, na pewno nie z niemieckiego. Ten w czarnym mundurze pyta tego, co doszedł później, co zabrał psa Józkowi. Pyta, czy placówka na Siwcówce, w razie ataku, jest dobrze przygotowana do obrony. Ten odpowiedział, że przy takiej ilości wojska, jak on tu widział, to jest to niemożliwe. Jednak uważa, że ataku na tę placówkę nie będzie. Biegając po pomoc przez las, nikogo nie widział.

Patrol, który wyruszył z nim z powrotem też niczego nie zauważył. Przypuszcza, że ten desant jest częścią większej akcji, możliwe, że związanej z wydarzeniami w Warszawie. Być może zaplanowane jest zajęcie Żywca. W niedzielę, w nocy słychać było latające samoloty. Jego ludzie twierdzą, że to samoloty angielskie. Ten, z tą wroną na czapce, trochę przybladł. Zobaczcie, jak mu oczka latają. O samolotach i tajemniczym zrzucie w okolicach Budzowa, owszem, jest mu wiadomo z meldunków. Ale co, zapadli się jak duchy pod ziemię? Odgrza się, że jak nas przyciśnie, to mu wszystko wyśpiewamy.

– Słuchajcie, gdy nas będą pytać, to trzeba wyolbrzymiać tak ilość furmanek jak i ludzi. Żeśmy się strasznie przelękli tej strzelaniny, pochowaliśmy się do piwnic i nie widzieliśmy, w jakim kierunku to wojsko odjechało. Dopiero, gdy zobaczyliśmy wojsko niemieckie to wyszliśmy z piwnic.

– Krzesnołojce Emilu, dobrze radzicie, ale czy nam uwierz?

– Uwierz, czy nie uwierz, ale czy mamy inne wyjście? Jeżdżę po świecie, to trochę je-



SETNE URODZINY ANNY ŚWIERKOSZ

stem obeznany. Niemcy są butni wobec słabszego i strachliwego, ale gdy spotkają silniejszego, to pokorniej. Trzeba stworzyć taką atmosferę, żeby nie pokazać po sobie że się ich boimy. Ja zaś postaram się opowiedzieć im jakąś stosowną bajkę.

– Weronka, czy ty ze strachu ruszasz tymi wargami?

– Wcale nie, tylko na okrągło mówię „Pod Twoją Obronę”, a na przemian „Serdeczna Matko”. Nie wiem jak wam, ale mnie modlitwa zawsze pomaga. Jesteśmy przecież z tyłu figury, to nas Matka Boska nie widzi, ale na pewno nas słyszy.

– Achtung! Uwaga! Czas minął, ale pan komendant przedłuża swoje zarządzenie do czasu zorganizowania furmanki potrzebnej do zabrania ciał zastrzelonych żołnierzy. Pyta, gdzie są mężczyźni i starsza młodzież. Macie wszystko powiedzieć, co wiecie o strzelających bandytach. Najważniejsze to gdzie się ukryli i ilu ich było. Korzystając z łaskawości komendanta mieszkańcy będą zeznawać tylko po jednej osobie z każdej rodziny. Trzeba ustawić się rodzinami. Mówi tylko jeden z rodziny, pod odpowiedzialnością karną podaje nazwisko, imię, nr domu, skład rodziny oraz ilu jest tu obecnych i gdzie w tej chwili znajdują się pozostali. Niech zacznie Anna Świerkosz. Ta, która powiadamiała wszystkich o zarządzanej zbiórce. Następnie kolejno z najbliższych domów.

– Nazywam się Anna Świerkosz, nr domu 341. Miyszkom jono z moim chłopom Franciszkiem, dzieci niy mamy. Mój chłop posed rano do arbajcantu sukać lepsz roboty, bo to, co zarobi se w lesie nie wystarczy ani na sol. Ja zem nic nie widziała bok przesiedziała cały cos w piwnicy.



JEDNA Z OCALAŁYCH, SPYRKOWSKICH RODZIN

– Następny.

– Nazywam się Franciszek Polak, nr domu 340. My żeśmy nic nie widzieli, bo my jeszcze spali.

– Następny!

– Moje nazwisko to Polak Wincenty, nr domu 339. Ja powiem jak na spowiedzi, co wiem na ten temat. Siedziałem sobie na ganku, patrzyłem jak ci wasi maszerowali wiyrychem Bieskida. Przeszli koło kapliczki w stronę szczytu Magurki. Długo nie wracali, nie mogąc się doczekać, kiedy przejdą z powrotem, zacząłem czytać Żywoty Świętych, byłem zajęty czytaniem. Nagle widzę, jak ci dwaj od was zahaltowali żołnierzy jadących od Guberni, kierujących się w stronę mojego domu. To wojsko było jednak szybsze od waszych, zrobili tylko trrr, trrr, i wasi leżeli, jak snopki. Było ich strasznie dużo, jechali i jechali, mieli karabiny maszynowe. Widziałem na wozie takie małe działko. Nie wszystkich można było zobaczyć, bo byli ukryci, o tam za tym brzyzkiem. Ale widział jak z pierwszej furmanki zagrały ich karabiny maszynowe. A że celnie to sami widzicie. Pierwsze furmanki widziałem jakieś 50 m od siebie. Komendy padały w języku polskim, ale może i w angielskim. Widziałem, że byli w jednakowych mundurach, na rękawach wszyscy mieli takie owalne odznaki. Podobne widziałem kiedyś w gazecie niemieckiej, na zdjęciu pokazującym żołnierzy armii polskiej na zachodzie. Podpis głosił, że to polscy spadochroniarze, którzy zostali wzięci do niewoli niemieckiej. Może to też spadochroniarze. Niemcy mają takie jednostki, to na pewno armie polskie także. U ruskich też jest podobno jakieś wojsko polskie, sami Niemcy w gazetach o tym piszą. Gdy tylko zobaczyłem, jak ścięli tych dwóch, to frontowym zwyczajem z córką Milą i jej dzieciakiem zeszliśmy do piwnicy. Wyszliśmy jak zjawili się żołnierze niemieccy, to i oni widzieli tyle samo, co ja.

Aha! Zdażyłem przed schowaniem się jeszcze zobaczyć, jak do zastrzelonych podeszło z tego oddziału dwóch wojskowych. Ułożyli ich równo, nie rewidując ich i nic nie zabierając. Zostawili w rękach zabitych nawet broń. Partyzanci zabraliby broń, a przynajmniej na pewno buty. Ale jeżeli to oddział spadochroniarski, to pewnie wyposażeni są dobrze we wszystko. Widocznie okopali się w okolicznych lasach i czekają na was.

– Tato, może trzeba było powiedzieć, że może więcej widział ten uciekający Niemiec. Bo gdy padły strzały to jeden, pewnie z tego patrolu, przybiegł gdzieś z góry, za nasz węgiel. Gdy zobaczył, co się dzieje, wpadł do izby i wczołgał się pod łóżko. Dopiero jakżeś go postraszyl, że mogą go tu znaleźć, bo tego wojska jest dość dużo, to wylazł i wyrzywał ponad naszą Snozinę w stronę Siwcówki, aż się za nim kurzyło. Nawet swojego psa, który leciał za nim, nie ratował. Wtedy ten pies wbił się w płót Franka Pieroga. Tato, to chyba ten sam żołnierz, co trzyma psa?

– Tak, to na pewno on. Milka, na ten temat trzymaj język za zębami. Co ty myślisz, że on się przyzna do tego? Sama widziałaś jak wymachując rękami pokazywał, z którego miejsca bronił granicy. Nie bądź głupia, to nam może tylko zaszkodzić. Lepiej ode mnie rozumiesz niemiecki to słuchaj, co zamierzają.

– Polak, o czym tam rozmawiasz z córką?

– Ano mówiła, że widziała, jak ten oficer, który trzyma tego ładnego psa odważnie walczył z tym wojskiem. Dopiero, gdy się przekonał, że tego wojska jest bardzo dużo, wycofał się w stronę swojej placówki gęsto się ostrzeliwując.

– Następny!

– Ja nazywam się Stefania Spyрка, mieszkam w domu nr 344. Mąż pojechał ze sąsiadem Stanisławem Spyrką ściągać drzewo z Kicory do Stryszawki, bo taki dostali nakaz z ar-bajcantu. Jo zek tylko widziała jak zek sła po wodę to samo, co krzesnyojciec Wicek, tylko mniej, bo zaraz ze strachu uciekłak, widząc takom strasnom wojne. Idę sobie spokojnie po tą wodę, a tu ten wasz wojok jak nie zacznie się drzyć „halt!” I jesce nie skończył, jak ten od tych wozów, jak nie po-ciągnie po nich z maszyngwera, to tylko po-trzepało nimi i kopyrtneli sie pod tego buka. Ale te nase wojoki tak śprytne to zrobili zek nie bardzo dojrzała wszystko, tylko było sły-chać, trrr. Ładne to wojsko było, ale ze ich było duzo, tok licyła na wiokso wojno. Pole-ciałak dziecyska schować w piwnicy i nic nie widziałak.



WERONIKA (Z PRAWYJ) Z CÓRKAMI WŁADZIĄ
I STASIĄ

– Ja jestem Spyрка Weronika spod nu-meru 345, o tam, koło Stefki Władkowej.

My z nimi nie są rodzina, tylko najbliź-si sąsiedzi. Józef, to mój mąż, ale mam prośbę, żeby go zwolnić. Koło naszego domu stoją wasi żołnierze, to będzie miał bezpiecznie i nigdzie wam nie ucieknie. On uratował waszego psa, jest ciężko chory. Sami sprawdzaliście.

– Gut. Można z najbliższego domu przynieść krzesło, ale tylko jedno dla chorego.

– Józiu siadaj, o teraz ci będzie lżej. O tak, lepiej ci teraz? Aha! Tak jak godałak, miysz-komy na środku Spyrkówki. Jo z Józkiem i synem Ceśkiem, z tym co tu spi. Jest jesce z nami śwagier Stasek, ale go teraz ni ma, bo pojechał z Władkiom Stefconym furmianić do lasa. Anielka, siostra mojego chłopca tyz miyszko z nami, ale posła zapłacić płodotek obywatel-ski do gminy. Dostała zwolnienie od wywózki na roboty do Nymiec, bo musi pomagać w go-spodarstwie. Kontyngenty trza duze łoddawać. A najmłodszy Bronek cheba pomogo Stasko-wi i Władkowi w lesie. Naprowdo, jo zek nic nie widziała, ani nie swysała. Drzwi zek zam-kła do stajni, jakzek dłojiła krowy, zeby nie było przeciogu. Harmider rano u nos w chał-u pie zawsze okropny, bo Jozek Ceśkowi kanorki pusco, zeby mu gwizdały. A jo se w stajni na

cały głos odśpiewujom „Godzinki”. Dobrze, że mi Stefka pedziała ło tyj wojnie koło nasej Matki Boskiej, to my się z mężem i synem schowali, a wyszliśmy dopiero, gdy już niemieckie wojsko przyszło od Młaki. Na pewno wasi żołnierze widzieli więcej od nas. Może pan komendant zezwoliłby nam się napić, bo już jesteśmy prześluchiwani tyle czasu, a jest ciepło. Inni mogą zasłaćnąć i nic nie powiedzą choćby nawet coś wiedzieli?

– Gut! Komendant zezwolił na dwadzieścia minut przerwy.

Zabrać wiadra i przynieść więcej wody, bo żołnierze będą nabierać tej samej wody co i wy. Tylko z czystej i dobrej studni.

– Dobra studnia jest za Świerkoszowym domem, ale to po drugiej stronie granicy.

– Gut, gut. Pójdzie z wami dwóch wartowników i Anna Świerkosz.

– Hanka, po drodze próbujcie z tych dwóch coś wyciągnąć.

– Koniec przerwy, koniec picia! Mówić, co wiecie. Następny.

– Ja jestem Stefania Pierog, nr 356. Mój mąż Franciszek miał ważne załatwienie w Wadowicach. Z nami mieszkają nasze dzieci. Zajęta byłam dziećmi, więc nic nie widziałam, nic nie słyszałam. Nasz dom stoi po drugiej stronie osiedla. Tam gdzie sąsiad uratował waszego psa. Nawet nie wiem kiedy przyszli wasi żołnierze. Dobrze, że mnie powiadomiła Hanka Świerkoszowa, bo bym o tej zbiórce nie wiedziała.

– Następny!

– A to może ja teraz, bo ja nawet nie wiem, czego od nas chcecie. Nazywam się Piotr Toczek. Mój dom jest najbardziej oddalony od tego miejsca, ma nr 348. Nic nie widzieliśmy, nic nie słyszeliśmy. Byliśmy w tajni, a tajnia ma kamienne, grube ścia-



STEFANIA PIEROG Z CÓRKAMI



PRZED DOMEM PIEROGÓW MARIAN I JAN ORAZ MARIAN KRZESZOWIAK



PIOTR TOCZEK WSPOMINA Z CZESŁAWEM SPYRKĄ I JEGO KOLEGĄ WYDARZENIA Z CZASÓW WOJNY

ny. Panowie, możecie sami sprawdzić, że nic nie słyhać. Kazaliście się zgłosić, to przyszedłem tylko z dziećmi: z Otylcią, Jańcią i najmłodszą Stasią. Anielka, znaczy się moja żona, poszła z koszykiem zbierać trawę dla krów. Ale szybko się nie zjawi, bo jak ona się zabierze, to sobie panie można czekać do samej śmierci.

– Ruhe, milczeć! Tym razem musi się pośpieszyć by zdążyć. Następny.

– To może teraz my z kumotrem. Właśnie, razem chcemy powiedzieć, właśnie, dlaczego się tak stało koło tego buka.

– Ruhe! Mówi tylko jeden!

– Ja jestem Spyрка Jantuś. E tam, Antoni, ale ze sąsiadami Spyrkami my nie rodzina. Żona ma na imię Marysia. Mieszkamy w domu z numerem 347. Ja, panie święty, biłem ruskich już na pierwszej wojnie. My, panie święty, z Ausriokami i Niymcami, wspólnie ganialiśmy ich po polach. Ale, panie święty, prawie zawsze uciekali przed nami. Byli szybsi od nas, tak że ich, panie święty, nigdy nie dopadliśmy. Pewnie z tego powodu Niymcy tą wojnę przegrali. Tylko jakby my ich, panie święty, wtedy dopadli, to wy teraz nie mielibyście kłopotu z nimi. Widzieć to ja nic nie widziałem, panie święty, ale kumoter Emil wam to lepiej opowie. On bardziej rozpoznany. Panie święty, przed wojną co tydzień jechał do Krakowa. Teraz założyliście wszędzie szlabany, panie święty, to jeździ tylko do Żywca i to rzadko.

– Ruhe! Kończyć, kończyć! Następny!



ANIELA I PIOTR TOCZKOWIE



KATARZYNA KUDZIA Z CÓRKĄ GENOWEFĄ ORAZ DZIECI HALINKA, ZOSIA I MARYSIA

– Ja chciałem powiedzieć, właśnie, nazywam się Kudzia Emil. Mieszkam we własnym domu. Mój dom jest zbudowany na dwa końce, właśnie, nr domu to 342. Żona to Katarzyna. Mam porządne gospodarstwo rolne i dwie córki, właśnie. Moja córka Genowefa bardzo lubi to gospodarstwo. Annę zabrali do Niemiec, by im tam gotowała, właśnie. Zabrali, bo dobrze gotuje i piecze. Niemki pewnie nie umieją dobrze gotować, właśnie. Ania jest zdolna, to ich szybko nauczyci, właśnie. Pisała, że do piekła również się można przyzwyczaić.

A w piekle trzeba diabła bratem nazywać, żeby w piekle wytrzymać, właśnie.

– Ruhe!

– Mówić, co się działo koło drzewa!

– Właśnie, ja tego nie widziałem, tylko wystuderowiliśmy obydwaj z kumotrem Antkiem, kto to mógł być. Panie Niemiec, kumoter Antoni twierdzi, że tak szybko to zrobić i zniknąć bez śladu mogły tylko planetniki. Ja też tak uważam, że to na pewno planetniki zrobiły, właśnie.

– Was ist das Planetnik?

– Panie Niemiec, planetniki to takie istoty, które mieszkają w chmurach i obserwują, co się dzieje na ziemi. Jak zobaczą, że się biednym ludziom dzieje krzywda, to rozkładają te swoje parasole i zjawiają się niespodziewanie na ziemi. Robią szybko porządek ze złymi ludźmi i szybkoitko znikają, właśnie.

– Pan komendant powiedział, że jesteście obaj z kumotrem idioci, ale tak nie do końca. To był desant, a nie żadne planetniki. Komendant ma nawet linkę z klamrą z tego parasola.

– Właśnie, ja chciałem jeszcze powiedzieć względem tego desantu, właśnie. Sami doszliście do tego, że to zrobili ci z desantu, właśnie. To na mój chłopski rozum z zastrzeleniem waszych żołnierzy mieszkańcy Spyrkówki nie mieli nic wspólnego, właśnie. Jeżeli nie mieliśmy z tym nic wspólnego, to nie jesteście winni tego zajścia, właśnie. To może pan komendant pozwoliłby nam rozejść się do domów, właśnie. Nawet waszego psa uratowaliśmy, właśnie.

– Ruhe! Achtung! Uwaga! Macie ostatnią szansę uratowania swojego życia. Przed wami stoi pluton, który wykona każdy rozkaz pana komendanta. Pan komendant zdecydował, czy będziecie powieszzeni, czy rozstrzelani. Radzi się pośpieszyć, bo jego dobra wola i cierpliwość się kończy. Na wskazanie miejsca ukrycia się bandytów, pan komendant łaskawie daje wam jeszcze trochę czasu do zastanowienia. Zastanówcie się, czy warto ginąć za bandytów, którzy pomimo, że wiedzą, jakie kary spadają na mieszkańców każdej miejscowości, w której ginie obywatel wielkiego narodu niemieckiego, narażają ich na to. Wskażcie tych bandytów, to wszyscy natychmiast wrócicie cali do waszych domów. Pan komendant daje wam słowo niemieckiego oficera. Dzieci również spotka ten sam los, co i was. Zastanówcie się nad tym. Wystarczy, że jedna osoba poda jakąkolwiek wskazówkę dotyczącą miejsca przebywania bandytów, a uratuje was wszystkich. Armia Niemiecka w krótkim czasie dopadnie tych bandytów. Zastanówcie się, czyje życie jest dla was ważniejsze: bandytów, czy wasze i waszych dzieci? Komendant traci cierpliwość i nie myśli długo czekać. Heil Hitler!

– *Rany Boskie! Ustawiają się przed nami w szeregu, to już z nami koniec.*

Bierźcie dzieci do środka, może się któreś uratuje. Dzieci stawajcie szybko z tyłu, za nami. Milka, nie patrz już na nic, tylko tłumacz, co ten gestapowiec krzyczy do tych żołdaków.

– *Uspokójcie się! Daje im rozkaz zbiórki. Ale bądźcie ciszej, nie słyszę, co ten ich komendant mówi do tłumacza!*

– *Jedyny ratunek to w naszej Matce Boskiej. Pomódlmy się do niej, ale w duchu, nie muszą widzieć, że się ich boimy.*

– *Patrzcie, patrzcie, odchodzą. Dostali rozkaz wymarszu. Dobrze przecież słyszałam, wszyscy szybko mają się udać do samochodów. Wielkie dzięki, żeś czuwała nad nami Matucho nasza, Najmilsza... .*

– *Achtung! Uwaga! Nasze wojsko otrzymało rozkaz wymarszu do obsadzenia ważniejszych obiektów. Pan komendant nakazuje wam rozejście się do domów. Ostrzega i to bardzo surowo, że jeżeli w drodze przez las padnie chociaż jeden strzał lub zginie choćby jeden żołnierz niemiecki, to bez ostrzeżenia domy zostaną otoczone kordonem i podpalone razem z mieszkańcami i całym dobytkiem. Pan komendant, jednak daje wam szansę. Obiecuje każdemu z waszego osiedla, że zostanie zwolniony z oddawania kontyngentu i otrzyma również wysoką nagrodę pieniężną za wskazanie pobytu wszelkiej maści bandytów. Wstrzymane będą również wobec tej rodziny nakazy pracy do zachodniej części Niemiec. Dadzą też dobrze płatną pracę, tu na miejscu. Powiadomienie to jest ważne do odwołania. Heil Hitler!*

15. CZORT Z NIMI

– Już będzie chyba koło czwartej po południu. Ale nas te pierony ogniste wytrzymały. Im się też dupy zagrzały. Całe plecy mieli mokre. Trochę z gorąca, a może ze strachu. Wiadać było, że nie byli pewni co się stanie.

– *A krzesnołojciec Wicek, jak im powiedział o tych lasach, to im już nie było tak wesoło, nie nadaremno czyta tyle książek. Bo krzesnołojciec Jantuś to wiadomo, gadanie to ma nie z tej ziemi.*

– *Krzesnołojce Emilu, wy z tymi planetnikami, to daliście do wiwatu. Tyle jeździec po świecie to wiecie, że żadnych planetników nie ma...*

– Właśnie, jak zwał tak zwał. Niemcy nazywają ich desantem, a dla nas mogą to być planetniki, właśnie. Grunt, że jak widzicie, Niemcy się ich boją. Planetniki sprzątnęły dwóch, jeszcze nam się upiekło, właśnie. Powiedźcie sami, kto by to mógł zrobić tak sprawnie, jak nie planetniki, właśnie?

– Widzieliście? Nawet się im szukać nie chciało. Nie wiadomo czy z lenistwa, czy ze strachu?

– Czort z nimi! Podejdźmy lepiej do figury i podziękujmy z całego serca za opiekę nad całą Spyrkówką, szczególnie za dzień dzisiejszy.

– Matka Boska widocznie dała nam znak wdzięczności za to, że nasz przodek Spyrka Jan zabrał ją z tego utrudniającego furmankom jazdę zakrętu. Przeniósł figurę na swoje pole. Tu na nowym miejscu nie musi już słuchać furmańskich przekleństw i znosić Bożej obrazy. Niemcy zniknęli. Młodzież wraca z odpustu w Zawoi.

– Weronka, Cesiek całą awanturę przespał. Co mu dałaś, że się teraz dopiero obudził.

– Anielka, nawet nie pytaj. Powiem ci później. Teraz lecę, bo muszę mu dać dużo słodkiego mleka do picia. Ale nie powiesz nikomu? Zwłaszcza Józkowi. Nawet Bronkowi tego nie mów Teraz powiem ci tylko tyle, że każda matka robi wszystko, by ratować swoje dziecko. By mieć jakąś nadzieję gotowa jest zrobić każdą głupotę.

– Stefka, twój Władek z naszym Staszkiem przyjechali już z Kiczory.

Pewnie się denerwowaliście widząc, co się u nas dzieje. Widzieliście w Stryszawce Szkopów?

– Ani rano, ani teraz. Rano prawie wyjeżdżaliśmy z potoku, a tu od Spyrkówki słyszemy trzy, może cztery serie z automatów. To wtedy my po koniach i w górę, do Kiczory. Trwało to może mniej niż pół godziny. Patrzymy, a u Spyrki spokój, nawet coś jakby za spokojnie. Wiadomo, w Zawoi odpust, a tu w zasięgu wzroku nie widać, żeby kto przechodził przez granicę. Nawet patrol gdzieś wcięło. E, to może nie u Spyrki. Uznaliśmy, że trzeba odczekać. Postanowiliśmy, że jak święto w Zawoi, to dziś nie musimy tego drzewa ściągać. Jesteśmy w robocie. Na wszelki wypadek, zdjęliśmy chomąta z koni i niby coś naprawiamy. Słuchamy, a w dole od Bajcera do Huciska jadą auta. Za jakieś pół godziny widzimy Szwabów, jak podchodzą do Spyrki od Młaki. To koniec. Tylko czekać na dymy nad Spyr-



GDYBY NIE TO CUDOWNE OCALENIE, WIELU SPOŚRÓD LUDZI Z PONIŻSZYCH FOTOGRAFII ZAPEWNE NIE BYŁOBY DANE OGLĄDAĆ ŚWIATA... W DZIEŃ I KOMUNII ŚW. KRZYSZTOFA PIEROGA



W DZIEŃ I KOMUNII ŚW. DANUTY ŻYWCZAK

kówką. Nic tylko się modlić za was. A to i się pomodliliśmy. Nawet konie jakby wyczuwały nasz niepokój. Wyjątkowo stały spokojnie. A co się tu działo?

– W domu wam opowiemy.

– Chodźcie zaśpiewamy przy kapliczce. Franuś od Kukowianki poleciał po *heligonkę*, to nam przygra do śpiewania.

– Kumoter, trzeba było zagrać Niemcom „Alte Kameraden”. Oni lubią marsze, to by nas może tak długo nie trzymali na twoim polu, panie święty

– Antek, to nie tacy Niemcy, z jakimi goniełeś ruskich.

– Dla tych to specjalnie ćwiczę marsza żałobnego „W mogile ciemnej śpij na wieki”.

W sam raz dla takich Niemców. Gotów jestem zagrać nawet Hitlerowi.

– Mogłeś jaki granat włożyć temu do portek. Temu antychrystowi, jakeś był z nim na froncie.

– A teraz głośno śpiewamy naszej Opiekunce „Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi...”.

16 JEDNAK NIEMCY ODPUŚCILI

– „Surma”, patrz tam. Idą z powrotem.

– Cisza! Jeszcze nie wiadomo, czy wracają do samochodów. A może coś wywęszyli? Tyle czasu tam byli, a nosa nie wychylili. Niemcy odpuścili.

Po prostu nie do uwierzenia. Zachować ostrożność! Jeszcze czekamy w całkowitej ciszy. Liczebnie tyle samo ich wraca, ilu podchodziło pod górę. Jednak należy się liczyć

z tym, że mogli zastawić pułapkę. Mogli z drugiej strony podesłać posiłki, a teraz czekają, aż się wychylimy. Musimy odczekać do zmroku. Upewnić się, czy teren jest czysty. W czwórkę czuwamy, reszta może spać.

– Koniec spania! Bezpośrednie zagrożenie minęło. Osiedle u Spyрки zaczyna żyć dniem codziennym. Pułapki na pewno nie ma, bo ludzie wracający z odpustu najwyżej przechodzą granicę bez żadnego problemu. Broń należy przenieść w możliwie bezpieczne miejsce. Przechodzimy do drugiego wariantu, czyli do planu B. Broń przenosimy na Polonki. Zostały nam tylko nasze plecy. I tak dobrze, że się na tym skończyło. „Bogusz”, ty wraz z „Gromem” i jeszcze dwóch, pójdziecie pierwsi, jako szpica. Jeżeli w wyznaczonym terenie jest bezpiecznie, zostawcie niesioną broń. My spokojnie będziemy przenosić następne partie ładunku. Trzeba koniecznie zorganizować prowiant. Tylko nie w tym rejonie, lichy nie śpi. „Bogusz”, wy z „Gromem” udacie się w rejon Suchej. Waszym zadaniem jest dostarczyć do rana jedzenie. Tylko dyskretnie i sprawnie. Już się ściemnia, przystępujemy więc do działania. Zabierać broń i wymarsz w wyznaczonym kierunku! Tylko cicho. Spokojny będę dopiero, gdy całość przeniesiemy w bardziej bezpieczne miejsce.

Broń, która jest w wiatraku na Drwałówce, musi zostać do niedzieli przeniesiona w bardziej bezpieczne miejsce. To, sierżancie „Jawor”, twoje zadanie. Zabierzesz swój pluton, tak by za jednym razem zabrać wszystko. „Ofiarny” przykazał, że do niedzieli musimy z wiatraka wszystko zabrać. Tę broń zamelinujemy gdzieś na terenie Suchej, w rejonie Błądzonki. Z tego co wiem, plutonowy „Bogusz” jest dobrze obeznany w tym terenie. Ty „Jawor” także. Teraz na mnie spadł obowiązek dysponowania całością zrzutowej broni. W pierwszej kolejności dozbiorimy wszystkie drużyny „Garbnika”, następnie uzupełnimy niedobory oddziału „Sosienki”, dowodzonego przez porucznika „Danutę”, który wkrótce zacznie nam podsyłać uciekinierów z obozu oświęcimskiego. Część broni ukryjemy na odcinku Sucha-Żywiec. Zaczniemy działać wieczorem, gdy chłopaki pojedzą, a przez dzień odeśpią męczące ostatnie trzy doby.

Rzeczywistość jest taka: z Włoch wysłano 24 pojemniki i tyle potwierdzono w nocy z 30 na 31 lipca 1944 roku. Zrzucano wszystkie 24 paczki. Wszyscy obecni tyle naliczyli. Zebraliśmy i załadowaliśmy na furmanki 22 pojemniki razem ze spadochronami. Jednym pojemnikiem na pewno zaopiekował się „Boruta”, a drugim? Trudno powiedzieć. Za dużo ludzi tam było, żeby ocenić trafnie.

- Partyzant „Mrówka”, czemu nie śpisz? Co się tak wpatrujesz w te góry? Śpij, gdy przyniosą jedzenie, obudzę cię na śniadanie.
- Poruczniku, piękne te nasze góry. Tylko po co ta wojna... ?
- Masz rację. Przepiękny widok. Zobacz jak słońce oświetliło szczyty okolicznych gór. Tam z prawej na południowy zachód to Jałowiec, a bardziej w prawo to Granicznik

z twoim rodzinnym domem. Na wprost, najbliżej nas, to Kiczora. A ta najwyższa góra to masyw Babiej Góry. Zaś bardziej w lewo, na wschód to Polica, a pomiędzy nimi przełęcz Krowiarki. Te domy poniżej, w długiej dolinie to Zawoja ze Skawicą. A dalej po południowej stronie to już Słowacja. Zobacz, jak zza szczytu Magurki wyłania się słońce, jakby się jej południowe zbocze paliło. Wspaniały widok. Całości dopełnia panorama rozciągająca się na północ, w stronę Suchej: Góra Jasień. Prosto na północ Leskowiec, a tam na północny zachód Wielka Puszcza z naszym obozowiskiem. W prostej linii, będzie ze trzydziści kilometrów na zachód, w tej kotlinie to już Żywiec. I tak po kolei, zwracając wzrok na wschód, pomiędzy tymi górami znajdują się: Porąbka, Kęty, Andrychów, Wadowice, a tyłko ręką sięgnąć i widać Targoszów, Krzeszów, Tarnawę Górną.

– Poruczniku, a gdzie Maków?

– Makowa z Grzechynią stąd nie widać. Znajdują się prosto na wschód, tam za Magurką.

– Poruczniku, tam w dole słysząc, jakby stację kolejową w Suchej. Tamtędy mnie kolejarze „przeszwarcowali” końcem lutego do Guberni.

– Tak, to suski dworzec. Ale ty wypatruj lepiej „Bogusza” i „Groma”, bo już powinni być z powrotem. Poszli na pewno na Bładzonkę, za stację kolejową, w kierunku Krzeszowa i Tarnawy Górnej.

– Panie poruczniku, jestem bardzo wdzięczny tym suskim kolejarzom za ich pomoc. Właściwie wszystkim zdążyłem podziękować, za wyjątkiem tego „wajchowego”. No, poruczniku, jak się nazywa ten, co przekłada zwrotnice?

Pan przecież uczył w szkole kolejowej.

– To zwrotniczy lub nastawniczy. To on obsługuje zwrotnice lub rozjazdy, młokosie, a nie „wajchy”.

– Jak zwał, tak zwał, ale to on decydował, że maszyniści mogli zwolnić, a ja mogłem bezpiecznie przeskoczyć z lokomotywy do pociągu jadącego do Krakowa. To członek AK na kolei o pseudonimie „Władek”. Wyglądał na lat koło trzydziestu, niezbyt wysoki, czarne włosy. Gdyby się porucznikowi coś o tym człowieku obilo o uszy, to byłbym wdzięczny za wiadomość o nim. Chciałbym go kiedyś spotkać i podziękować mu za pomoc.

– Wiesz „Mrówka”, musisz się uzbroić w cierpliwość, bo kolejarze to zamknięta grupa AK. Robią dywersję po cichutku i bez fajerwerków. Sam się przekonałeś osobiście, że to co robią jest wykonane po partyzancku, a zrazem sprawnie i cicho. Ale jak to bywa w życiu – cierpliwości, a na pewno zdążysz temu człowiekowi jeszcze podziękować. Popytaj „Jawora” albo „Groma” to miejscowi ludzie, a najlepiej „Bogusza”, który jest z Bładzonki. „Władek” jest w wieku koło trzydziestki i też jest stamtąd. Na Bładzonce mieszka wielu kolejarzy. Na pewno będzie coś wiedział. Może powie, a może nie. Pamiętaj: konspiracja to podstawowa zasada każdego ruchu oporu. Być może, że te podziękunki zostaną dopiero na po wojnie.

– Poruczniku „Surma”, jacyś trzej ludzie wychodzą z zagajnika. O tam, na wprost, kierują się w naszą stronę. Niech porucznik zobaczy przez lornetkę, bo naszych ma być tylko dwóch.

– „Mrówka”, to nasi – dwa Ludwiki, czyli „Bogusz” z „Gromem”. Obładowani niosą dla nas jedzenie. Tylko kim jest ten trzeci? Mówiłem, żeby zrobić to dyskretnie. Ten trzeci wcale w tej chwili nie jest tu potrzebny. Za kilka minut dotrą z prowiantem. „Mrówka”, trzeba obudzić „Jawora”, tylko delikatnie. Dopiero przed chwilą zasnął. Albo lepiej ja sam to zrobię, a ty powiedz chłopakom, żeby już wstawali. Będzie posiłek i to do syta.

ROZDZIAŁ PIĄTY

17 MOCNA KAWA OD BAŁERÓW Z BŁĄDZONKI

– Plutonowy „Bogusz”, wyraźnie mówiłem, że miało być dyskretnie i po cichu.
– Poruczniku, proszę się nie denerwować, to nasz człowiek, akowiec. „Władek”, z sekcji kolejowej.

Znamy się od dziecka. Przed wojną należeliśmy do „Strzelca”. Razem stawaliśmy do poboru. On służył na granicy, tak samo jak i ja. Bez niego nasze dzisiejsze zaopatrzenie byłoby naprawdę marne. Byliśmy w kilku domach i naprawdę ludzie, mimo swoich dobrych chęci, nie mieli nic do sprzedania, poza kilkoma jajkami. Szliśmy właśnie w stronę osiedla Na Koźlu, a tu za krzakami mignęły nam się dwie sylwetki. Wołam:

– Kto idzie?

Słyszę:

– Stefa Grygowa od Książka.

Stefkę znałem, głos się zgadzał, a ta druga osoba to kto?

– A mój sąsiad, Władysław Kyś.

Okazało się, że Grygówna wraca z Budzowa. Była na pocztę wysłać paczkę dla wysiedlonego sąsiada Franka Palecznego. Nosi te paczki dwa razy w miesiącu, przekraczając granicę w okolicy Działu Makowskiego. Wraca zazwyczaj wcześniej, ale tym razem musiała u rodziny w Budzowie przeczekać do nocy. Ludzie przychodzący do nich opowiadali, że w nocy z niedzieli na poniedziałek samoloty latały nad lasem i jakiś desant wylądował. Rodzina mieszka nad Paleczką i słyszała, że koło ich domu w ubiegłą noc przejeżdżały jakieś furmanki. Ludzie mówili, że to na pewno jechali skoczki z tych samolotów. Niemców też w Budzowie więcej, niż zazwyczaj. A granicy w dzień niespostrzeżenie nikt nie przeskoczy. Ojciec Stefki się martwił, poprosił więc sąsiada Władka Kysia, a zarazem narzeczonego Stefki, by ten wyszedł przed nią. I było dwa w jednym: randka i opieka. Miał być ślub, ale wojna wybuchła i ślub został odłożony.



A JEDNAK DOSZŁO DO ŚLUBU
WŁADYSŁAWA KYŚ I STEFANII GRYG
Z BŁĄDZONKI – PÓŹNIEJSZYCH TEŚCIÓW
AUTORA

Skorzystałem z okazji i pytam: czy na Koźlu znajdziemy coś do jedzenia dla naszego oddziału? Tak dla zmyłki powiedziałem, że czekacie na Żurawnicy. Zgodnie orzekli, że szkoda fatygi, bo to okres przednówkowy. Ale poradzili nam, kto coś może mieć. Zawróciliśmy na Koczurówkę. Na gospodarstwie Wójcików gospodarzy Niemiec pochodzący z Rumunii. Rodzinie Wójcików dobrze powodziło się na tym gospodarstwie. Niemcowi jeszcze lepiej, bo miał darmową siłę roboczą w osobie dziewiętnastoletniego Józka, jednego z synów prawowitych właścicieli tego gospodarstwa. To od niego wiadomo, że jedzenia mu nie żałuje, a posiłki jada z całą rodziną niemiecką. Dobrze i do syta. Józek twierdzi, że w stosunku do niego i do innych Polaków odnoszą się poprawnie. Poza jednym incydentem, kiedy to mała „bałora” napluł Józkowi do zupy. Wtedy go Józek chwycił za łeb i rzucił z ganku, na którym jedli. Niemiec chciał lecieć do gestapo, ale za Józkiem wstawiła się córka „bałora”, która jadła z nimi i widziała, jak jej młodszy brat prowokował Józka. Gdyby nie ona, to Józek pewnie wylądowałby w Oświęcimiu. Po tym incydencie jednak Józek otrzymał robotę koło Bielska, ale często przyjeżdża do domu. Zaś wracając do sprawy obudziliśmy „bałora” i w możliwie spokojny sposób zażądaliśmy tego, po co przyszliśmy. Niemiec otworzył spiżarnię i kazał brać co chcemy. A Józkowi, który właśnie przyjechał z Wapienicy do pomocy „bałorowi” przy żniwach, kazał złapać i zabić kilka kur. Poprosił tylko o pokwitowanie. Oczywiście wypisałem wszystko, co zarekwirowaliśmy. Nakazałem też, że dopiero za dwa dni może zanieść ten dokument do urzędu, bo w przeciwnym razie dostanie lanie. Specjalnie to powiedziałem przy świadku, którym był Józek Wójcik, żeby miał przed nim większy respekt. Gdy wraz z „Gromem” sprzątałismy „bałorową”, wtedy niezbyt zaopatrzoną spiżarnię, Grygówna z „Władkiem” zrobili taki rumor za domem, jakby nas tam było wielu. Jednocześnie musieli też obserwować dom sąsiadki „bałora”, bo ta „urzęduje” z Niemcami. Co prawda od kiedy nasi pięknie ją ostrzygli zachowuje się trochę grzeczniej. „Władek” tylko się uśmiechał, bo te ostrzyżyny, to był jego pomysł za zbytnie interesowanie się Stefką, dlaczego i z czym ona tak często chodzi w stronę Garców. Nie pomagało tłumaczenie Stefy, że idzie do rodziny. Szkolna koleżanka wprost podkreślała: przecież ty Stefka nie masz żadnej rodziny ani na Pikiecie, ani na Garcach, ani nawet na Działach Makowskich. Mieszkańcy Błędzonki też się żalili, że owa panna nie tylko „urzęduje” z Niemcami, ale również im donosi. Zorganizowano ostrzyżyny, a gdyby to nie pomogło, to jeszcze obiecano jej 25 batów. Widocznie pomogło, bo się uspokoiła i siadła na dupie. Przechodząc koło budynku szkoły doszliśmy do wniosku, że to trochę mało i zastanawialiśmy się co zrobić z tymi zabitymi kurami, które mieliśmy w worku ze słomą. Stefka wiedziała, że na gospodarstwie u jej ciotki Wartowej na Pykowie jest „bałor”, który źle odnosi się do Polaków. Kiedyś nawet takim szerokim pasem od upręży niemiłosiernie zbił męża jej ciotki, Staszka Wartę – prawowitego właściciela gospodarstwa. A wiadomo, że „bałor” jest zamożny, więc nie zaszkodzi odplacić pięknym za nadobne. Tak też zrobiliśmy. O, tam to naprawdę było co rekwirować. Lania nie spuściliśmy, ale pokwitowania nie otrzymał, choć bardzo prosił. Bo co on powie w urzędzie? Wo-

łałby lanie i pokwitowanie. Nie dałem. Za to solennie przyrzekłem, że jeśli wcześniej niż przed niedzielą poleci do urzędu, to solidne lanie dostanie. Tym razem z robieniem har-mideru „Władek” przesadził niszcząc bryczkę, którą ten rumuński Niemiec jeździ i trzeba było go uspokajać. Zrobił to, jak potem powiedział, na prośbę Stefki. Za pobicie wujka i za ciotkę, bo do niej to rumuńskie szwabsko też się chamsko odnosi. Gdy wyszliśmy od „bałora” było już po północy. Trzeba by to jedzenie gdzieś szybko przygotować.

„Władek” powiedział Stefce: „mogłabyś to zrobić, bo jesteś po kursie kucharskim”. Ona zgodziła się. Ale gdzie? W domu rodzinnym nie może. Często w nocy przychodzą ludzie z miasta, a to po ziemniaki, po nabiał, a nawet po mąkę. Młaki mają pod dostatkiem, bo mieli ją na zmianę na młynku z korbką w potoku, nad domami. Młynek wymyślił i zrobił kolega „Władka” – Jasiek Żmija. A części do młynka „Władek” zorganizował na kolei. Wojtek Gryga, jako największy gospodarz na Książkówce, który ma najwięcej zboża, zawsze ustala kolejność mielenia. Sprawę ma też uproszczoną, bo po pierwsze ma powa-żanie w środowisku, a po drugie na osiedlu Książki nie obsadzono żadnego „bałora”, gdyż nie było chętnych ze względu na same stare chałupy. Uznaliśmy wspólnie, że najlepiej będzie to zrobić u „bałora”, który jest u Stefana Listeckiego na Dulskówce. Dom stoi trochę na boku, a i z tego, co Stefan opowiada, „bałor” – Rumun jest bardzo rozżalony na Hitlera, że ten ich zrobił w bambuko. Tak, że gdy tylko przyjechał i zorientował się, iż Polacy zo-stali siłą wyrzuceni ze swoich gospodarstw, to zaraz chciał wracać. Propaganda głosiła, że to ziemie rdzennie niemieckie, a Polacy je opuścili i trzeba się opuszczonymi a zasobnymi gospodarstwami zaopiekować.

Pomysł na przyrządzenie jedzenia u „bałora” był trafiony. „Bałor” sam rozpałił w pie-cu. Zawołał Stefana, by ten szybko poszedł po wodę i po drewno do pieca. Obudził żonę, żeby pomagała Stefce. Szło im sprawnie. Tym bardziej, że Stefka kilka razy na święta uczy-ła ją pieczenia i gotowania. Zawsze jej dobrze zapłaciła. Z „Gromem” dawaliśmy do zrozu-mienia, że Stefka nie jest tu dobrowolnie, „Władek” pilnował przed domem. Lepiej żeby go nie widzieli, licho nie śpi. Gdy już wszystko było gotowe, pozwoliliśmy Stefce iść do domu. Stefana wypytывaliśmy przy „bałorze”, czy idąc przez Knapiki dojdziemy do Mucharza. Na Knapikówce „Władek” dopiero dołączył ponownie do nas. Chciał pomóc zanieść to wszystko przynajmniej do Żmijów. Wtedy wyprowadziliśmy go z błędu, że my idziemy naprawdę w stronę Zasepnicy. Władek trochę się zachnął, ale szybko zrozumiał, dlaczego tak postępujemy. Ano skoro tak, to nas odprowadzi drogą przez Dupakówkę, poza stację. Z oferty z chęcią skorzystaliśmy, bo tego jedzenia było tyle, że było co nieść. Jedyny pro-blem to taki, że nie mieliśmy chleba. Stefka z „bałorzyną” chciały piec jakieś placki na bla-sze, ale uznałem jednak, że nas rano zastanie na Dulskówce i będziemy uziemieni do na-stępnej nocy, a wy będziecie głodni przez cały dzień. „Grom” biadolił, że jak to tak wr-cać nam bez chleba. Porucznik jak porucznik, ale sierżant „Jawor” na pewno będzie stękał, że gdyby on poszedł, to chleb by był. „Władek” powiedział „Gromowi”: „nie mamrocz, ja chleb załatwię w piekarni u pana Mrugacza”. Na Smolikówce rozeszliśmy się. My ponad

Stryszawkę w stronę Ról, a Władek do piekarni Mrugacza. Mieliśmy stracha, bo się już robiło widno i widzieliśmy jak „Władek” niespodziewanie przed samymi torami wpadł na trzyosobowy patrol niemiecki. Ostro go legitymowali. Sucha to przecież stacja graniczna, więc i bardziej pilnują. Wszystko skończyło się dobrze. Jeszcze widzieliśmy, jak „Władek” przeszedł na wprost przez tory, jakby chciał ich specjalnie prowokować. Jak się później okazało „Władek”, jako zwrotniczy, ma pozwolenie na chodzenie po torach. Posiada też stałą przepustkę na godzinę policyjną. Spotkaliśmy się w lesie nad Kołaczkami. „Władek” miał chleby w worku. Gdy go zapytałem czemu nam nie powiedział, że ma takie pozwolenia, roześmiał się z nas i odparł pytająco: „–A czy wy zawsze zaraz wszystko każdemu mówicie? Teraz to i „Grom” przyznał, że mamy co trzeba, to my lasem, w górę przez Kamienne no i jesteśmy.

– Jak uważasz „Bogusz”? Bo mnie się widzi, że tą trasą, czyli przez Dupakówkę, będzie z bronią najbezpieczniej przejść do Krzeszowa przez Żurawnicę. No i z „Władkiem” wypada się przywitać, bo patrzy na mnie z marsowym wyrazem twarzy. Chyba dlatego, że cię trochę ofuknąłem za jego przyprowadzenie. A jego samego potraktowałem raczej nieufnie: Witam. Jestem podporucznik. „Surma”, dowódca oddziału „Garbnik”. Dziękuję za pomoc patrolowi wysłanemu po zaopatrzenie, przy okazji podziękujcie swojej narzeczonej O waszym udziale wiem od „Bogusza”. Zrelacjonował mi co i jak.

– Ja jestem „Władek”, strzelec Armii Krajowej, sekcja kolejowa.

– Chodź, zjesz z nami. Stałeś na czatach to i przy gotowaniu nic nie podjadłeś.

– A no nie zdążyłem. Poruczniku, tylko zapalę papierosa, bo przy jedzeniu nie wypada. A w ogóle czy mogę? Osobiście do tej pory nie miałem okazji poznać porucznika. Ale z opowiadania wiem, że palacz działa na pana jak czerwona płachta na byka.

– Ale mną straszą. Zwalczam palenie, ale u młodzieży, a u starszych to raczej alkohol. Stawiam sprawę jasno: albo picie albo broń. Porządek musi być. Trochę za to psy po mnie wieszają, ale wiem, że mam rację.

– Poruczniku, we wrześniu w 1939 roku z papierosami w plecaku przebyłem front. Wtedy nas ruskie capnęli pod Stanisławiem. Szukali oficerów. Ale nie po stopniach, wiadomo. Każdy, kto mógł to zrywał pagony. Kazali pokazać ręce. Delikatne, wiadomo oficer. Zabierali i odprowadzali na wschód. Moje ręce coś im nie pasowały, bo mnie dołączyli do grupy oficerów. Gadam, że jestem radiotelegrafista, ale im to lata. Dopiero szepnąłem do takiego jednego starszyny, który mówił dobrze po polsku, że mam schowany cały plecak z machorką. Zainteresował się. Kazał przynieść radiotelegraf i polecił mi nadać komunikat. Poszło dobrze. Uwierzyli i mnie zwolnili. Dali przepustkę i pozwolili wracać do domu. Ale papierosy z całym plecakiem zabrali. Jak widać, dzięki papierosom dostałem szansę dalszego życia i będę palił do usranej śmierci, czy się to komu podoba czy nie, panie poruczniku.

– Dobrze, dobrze, ale widzę, że już wypaliłeś „Władku”. Podejźmy do chłopaków.

– Smacznego chłopaki!

– Dziękujemy! Siadajcie poruczniku.

- Przesuńcie się trochę. Idziemy we dwójkę. To jest „Władek”
- Poruczniku, jesteśmy z Suchoj to się znamy z „Władkiem”. Wcześniej niż z porucznikiem.
- Matko Boska! Poruczniku. To przecież ten zwrotniczy, który mi pomagał podczas ucieczki z „ukochanej” Rzeszy. Panie zwrotniczy, bardzo dziękuję za pomoc! Poszło wszystko fajnie. Dotarłem na miejsce bez problemów. Jeszcze raz wielkie dzięki, wielkie dzięki!
- Nie ma za co chłopcze. Bardzo się cieszę. Nieraz o tobie myślałem, a tu patrzcie, jak szybko się spotkalіśmy. Tylko co ty robisz po tej stronie granicy? Miałeś do końca wojny przebywać z rodziną na terenie Guberni. Nic z tego nie rozumiem?
- Panie zwrotniczy, trafiło się, to wracam w rodzinne strony. Strony rodzinne to strony rodzinne. A porucznik „Surma” przyjął mnie do swojego oddziału i mam teraz pseudonim „Mrówka”. Teraz jestem po prostu u „Surmy”, więc wędruję z jego oddziałem.
- Widzę „Mrówka”, że ci to odpowiada i pewno spełniło się twoje marzenie. Chociaż ty bardziej się nadajesz do szkoły niż do partyzantki. Ale mów mi „Władek”, bo to też zarazem moje imię. Ja już będę się zbierał do powrotu. Jest już wpół do szóstej, a ja o siódmej przejmuję służbę.



DOM NA POLONCE, PRZY KTÓRYM PARTYZANCI POSILALI SIĘ. OBECNIE TEREN „BESKIDZKIEGO RAJU”

– Zaczekaj chwileczkę, napijesz się co ciepłego. Chłopaki u gospodarza gotują kawę z cykorią. Tę sama, którą macie od panów „bałorów”. O, już niosą. Idzie z nimi gospodarz. Niesie garnuszki.

– Zaczekam, chętnie się przywitam ze Stefanem. Znamy się już lata. Walczył koło Cieszyna. Był ranny w głowę. Na Lipiu ma brata Staszka, wielkiego żartownisia. Gra na klawierze. Często razem kolędowniliśmy. Staszek, gdy się dowiedział, że brat został ranny, pojechał rowerem do Cieszyna i przywiózł go bez problemów do domu. Cześć Stefan! Co u ciebie słychać?

– Witaj Władek! A co ty tu robisz?

– Przyszedłem się do ciebie napić kawy.

– Skoro tak, to masz tu garnuszek. Chłopaki nalejcie koledze! Tylko uważaj, dziś gotowana. A czemu tak na stojąco?

– Na siódmą muszę być w robocie.

– Gdybyś widział Staszka, to mu powiedz, żeby mnie odwiedził w którąś niedzielę.

– Dziś będzie wracał pociągami żywieckim z roboty, to przekażę. Gdy mam dniówkę, to zawsze się widzimy. Dobra ta kawa i mocna. Stawia od razu na nogi. Do widzenia poruczniku! Do zobaczenia chłopaki! Tylko omijajcie Czerną. Nawet nocą, bo tam pełno „bałorów”, a posterunek mają niedaleko torów, nad Salowym Brzegiem. A ty „Mrówka” słuchaj porucznika „Surmy”, a wyjdiesz na ludzi.

– Czołem!

18 KONIEC POSIŁKU NA SURZYNOWEJ GÓRZE

– Koniec posiłku. „Bicz” z „Hartem” poprawcie maskowanie. „Bogusz”

z „Gromem” zająć się pozostałym prowiantem i umieścić w cieniu, o tam za tą przymą kamieni. Będzie na później. Panie Stefanie, wielkie dzięki za pomoc. Naprawdę, ta kawa wszystkim była potrzebna. Jak nas nic nie spłoszy, to zaczekamy tu do wieczora. Wieczorem pójdziemy sobie swoją drogą.

– Spokojnie poruczniku, tu mało kto chodzi. Wiem, że wystawicie czujki, ale będę się kręcił koło domu. A gdyby kto nieproszony szedł w tym kierunku, to *mu poraże*, żeby sobie poszedł inną drogą.

A po śniadaniu nie chcielibyście czasem jeszcze tu na tej górze jakiegoś Żyda z wyszynkiem?

– A coś ty myślał, pewnie że by się przydał. Chętnie wypilibyśmy zimne piwko po takiej wyherce.

– Tyś chyba „Dąbek” na głowę upadł. Na szczycie Surzynowej restauracja mu się ma-

rzy. Pewnie jeszcze miękkie spanie? Hotel?

– No, byłoby jak w raju. W „Beskidzkim Raju”. Może za pięćdziesiąt albo więcej lat. Jak już z wnukami tu przyjedziesz, z trudem poznasz tę okolicę. Tak będzie zabudowana. Tylko Babia Góra się nie zmieni.

Koniec pogawędki. Dochodzi osiemnasta. Kto ma służyć, niech się odmelduje. „Jawor” z „Gromem” i „Hart” zostaną, a pozostali pod drzewa i odpoczywać. Podejdźmy do broni. Trzeba rozdzielić, co gdzie idzie.

– Poruczniku, pomoc do niesienia już czeka. Czekają w lasku za domem Stefana.

– Mówiłem, żeby dopiero wieczorem, a nie w biały dzień.

– Poruczniku, każdy był informowany, żeby dopiero pod wieczór stawić się na Polonkach. Nie wiedzą jednak, w jakim celu.

– Przynajmniej tyle dobrze! Ale niecierpliwi. Prawdę mówi przysłowie: „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła”. Po tej nocy jak sobie podźwigają, już nie będą tacy niecierpliwi.

– Poruczniku „Surma”, ale to pewni ludzie.

– To bardzo dobrze. Być może w przyszłości z dumą będą opowiadać, jak pomagali partyzanckiemu oddziałowi „Surmy” w przenoszeniu broni z Polonki.

– Poruczniku „Surma”, a gdzie z tą bronią i którędy?



A JEDNAK POWSTAŁ „RAJ” NA SURZYNOWEJ GÓRZE,
NAD JANIKAMI



WIDOK NA BABIĄ GÓRĘ Z POLONKI, GDZIE TERAZ STOI OŚRODEK KONFERENCYJNO-WYPOCZYNKOWY
„BESKIDZKI RAJ”

– Przez Dupakówkę jest najkrócej i najbezpieczniej. „Jawor” i ty „Hart” macie jeszcze pilne i bardzo niebezpieczne zadanie do wykonania. Do niedzieli te pojemniki z bronią, które są złożone w wiatraku na Drwałówce, muszą być bezwzględnie stamtąd zabrane. Nie można dłużej narażać mieszkańców Drwałówki. Władek Basiura mówił, że Stefan Siwiec często przekracza granicę idąc do kowala. Więc niby z cie-



CHAŁUPA ŁOSYSIOKOWA Z KUŹNIĄ

kawości zapytałem Stefana którędy. Tak przed wojną, jak i obecnie na piechotę to on chodzi o tu, prosto na Janiki, potem drogą w stronę Spyrkówki. Mija przy drodze studnię w dużej kępie kamieni, a potem jakieś 100 m dalej jest droga w lewo, ponad Spyрки, która prowadzi do stromego pastwiska położonego przy samej granicy i tam się kończy. Pastwisko jest porośnięte jałowcami, ale widać stamtąd jak na dłoni granicę, aż do szczytu Kiczory. Niewidoczny jest tylko stromy odcinek w górę, od pastwiska w stronę szczytu Magurki. Stefan tam sobie siada spokojnie pod jałowcem na kamieniu i obserwuje. Jeśli nie widać i nie słychać żadnego patrolu, to sobie spokojnie przekracza granicę. Jeszcze parę kroków i jest u Warciaków.

Z powrotem wraca tak samo. Na wszelki wypadek zawsze niesie jakieś narzędzie rolnicze. Jak dotąd jeszcze się z patrolem nie zetknął. Niestety, furmanką tamtędy się nie przejedzie. Ale o tym to wiedziałem bez Stefana.

Po prostu od strony Guberni droga kończy się na wspomnianej Warciakówce. Dokładnie – furmanką od osiedla Magurka można dojechać tylko do kowala zwanego „Łosysiokiem”.

– Poruczniku, ale od tego Drwala będzie bliżej przejść Księżym Lasem, przez Podksiężę, lasem ponad Kopaliny i dalej poza stację kolejową. Przeskok przez Stryszakwę na Kułasówkę do Dupaka, a od Dupaka już tylko jeden krok i będziemy w lesie kocierskim.

– Sierżancie „Jawor”, na to się nie zgadzam. To zbyt niebezpieczne. Co prawda nie trzeba w tym wypadku przekraczać granicy i jest to krótsza trasa, lecz ze sprzętem nie da rady. Trzeba pamiętać o placówce straży granicznej u Pytla. A w dodatku mają jeszcze strażnicę pod Drwałową. Tak więc ten kierunek jest skutecznie zaryglowany. Proponuję, abyśmy wrócili do trasy, o której mówił mi Stefan. Jest dłuższa i trzeba przekraczać granicę, ale omijamy szerokim łukiem niemieckie placówki, a zwłaszcza stację kolejową. I co jest też nie bez znaczenia, na tym odcinku nie ma ani jednego „bałera”, ani żadnego „dojczy”. A ludzie, jak się już wczoraj przekonaliśmy, godni są zaufania. Sier-

żancie „Jawor”, teraz dam swoje wskazówki. Sierżant dokładnie je zapamięta, a w sobotę w nocy wykona. Na powtarzanie już nie będzie czasu. Okazuje się, że Stefan dobrze zna te rejony. Za kawalera chodził z kolegami do dziewczyn w Grzechyni, na Polanę i na Drwałówkę. Tak skutecznie chodził, aż po drodze żonę sobie znalazł. Po przekazaniu do przechowania części broni „Ofiarnemu”, pojechaliśmy dołem grzechyńskiego lasu, wzdłuż potoku. Lecz na piechotę można trochę skrócić i całkowicie ominąć osady. Z Drwałówki prosto w las do małej polanki. „Ofiarny” na pewno was odprowadzi. Niech wam pokaże drogę prowadzącą skosem przez las, a wychodzącą nad dwoma domami. Jak on to nazwał to siedlisko? Już wiem: nad Krajskami, a poniżej osiedla „Na Magrce”. Po wyjściu z lasu trzeba przejść może 250 metrów do domu u Smolucha. Nie, nie, nie tak mówił. Już wiem: u Smolicki. Tam musicie uważać: po pierwsze po prawej z góry, od granicy będziecie widoczni. Dziś pełnia, więc noc w sobotę będzie też jasna. Po drugie, jak miniecie ten dom po prawej, w skos będzie droga do pól. Idąc tą drogą, przejdziecie ponad Warciakówkę i dojdziecie do małego pastwiska z kilkoma drzewami. I tu się kończy droga i Gubernia. Następne to już stryszawskie pastwisko ze Stefanowym kamieniem i jałowcami. Dzieli je tylko kilka kamieni ułożonych jeszcze przed wojną i stroma ścieżka. To razem wyznacza granicę. Gdy to przeskoczycie, będziecie w Rzeszy. Trzeba wam jednak wiedzieć, że tę ścieżkę wydeptały niemieckie patrole graniczne. Gdy będziecie już nad Spyrkami, od zachodniej strony zacznie się droga, o której już wspominałem. Dojdziecie do tej studni w kępie kamieni. O zobaczcie, dobrze ją stąd widać. To ta największa. „Jawor”, zobacz ją sobie przez lornetkę. Lecz nie pójdziecie tu, na Polonkę, ani przez Janiki, tylko idźcie prosto. Na przełaj przez las, w stronę Kubasiaków i Suchej. Po wyjściu z lasu przed Kubasiakami będzie tylko jeden dom.

– Poruczniku, znam ten teren, to dom Krupinej. Należy już do Suchej.

– To bardzo dobrze, że teren jest znany. Tak więc od tego domu ponad Kubasiaki jest już prosta droga przez Kamienne na Role. Dalej nie ma co omawiać, bo jak się ściemni, to będziemy tamtędy przechodzić. I jak sierżancie? Chyba mi przyznacie rację, że to o niebo bezpieczniejsze przejście. Jeśli są jakieś pytania lub niejasności, to chętnie wysłucham?

– Poruczniku, dzisiaj jest czwartek, czasu niewiele, trochę bezdroży będzie. Więc jak daleko w głąb Rzeszy musimy odskoczyć od granicy z takim ciężarem?

– Jak dojdziecie na Role, to będzie świetnie.

– Jasne poruczniku, broń ukryjemy na Rolach. Proponuję, aby część broni, którą dzisiaj niesiemy, również złożyć w bezpiecznej kryjówce na Rolach. Role są dogodnym miejscem dla dalszego przetrzutu w stronę Żywca.

– „Jaworku”, dobra propozycja. A co ty na to powiesz „Hart”?

– „Jawor” opowiadał mi i „Kracie”, że w razie problemów ma dobrą melinę przygotowaną na Rolach. Już rano podpowiedzieliśmy „Jaworowi”, że dobrze byłoby teraz skorzystać z tej kryjówki.

– Dobrze, dajcie mi chwilę pomyśleć. W takim razie mała modyfikacja planu:

„Jawor”, ty ze swoimi przeczekasz jutrzejszy dzień na Rolach. Wieczorem wyruszysz z powrotem na Drwałówkę po pojemniki z bronią. Trasę przemarszu omówiłem przed chwilą bardzo dokładnie. Granicę przekraczajcie bezwzględnie tylko nocą. Puste pojemniki zostawcie gdzieś w lesie, a broń, tak jak mądrze zaproponował „Jawor”, dobrze schowajcie na tych Rolach. Będę czekał na meldunek w sprawie tego, jak poszło. Czy to wszystko jest jasne?

– Poruczniku, mam pytanie. Ale nie całkiem związane z tą sprawą.

– Pytaj „Hart”, mamy jeszcze czas. Jeśli potrafię, to szczerze odpowiem.

– E, bo tak porucznik ręczy za tych ludzi, ale mnie się nie chce wierzyć, by nie było między nimi jakiej mendy? Żeby tak wszystkim mieszkańcom bezwzględnie ufać.

– Wiesz „Hart”, że nie lubię mówić rzeczy niesprawdzonych, a sprawa jest całkiem prosta. Na tym obszarze stykają się cztery miejscowości: Stryszawa, Zawoja, Grzechynia oraz Sucha. Tworzą one razem niemal jednolitą mentalnie i kulturowo dużą osadę nazywaną Przysłopiem. Nazwa pochodzi od przełęczu pomiędzy górą Kiczorą a Magurką. Kiczora to ta pierwsza na wprost nas, a Magurka ta po lewej. Ale ze względu na lichą ziemię „bałery” nie kwapili się, żeby tu gospodarzyć. Nie znajdziesz tu ani jednego Niemca, a na donosicieli ci ludzie się po prostu nie nadają. Bo jak trzeba to nic nie słyszą i nic nie widzą. Nie zmieniała ich przyzwyczajęń ani mentalności nawet wojna, czy wytyczona tamtędy granica, nawet nowe porządki Hitlera. Tak samo twierdzi „Dziadek”, dowódca Huty – Podgórze. Potwierdzeniem tego było wczorajsze zachowanie tych ludzi oraz dosadne, ale trafne określenie Władka Basiury. Tutejsi ludzie te niemieckie porządki mają wszyscy głęboko w rzyci. Ja osobiście, tak jak i każdy z was, muszę przyznać, że to ludzie prości i biedni, lecz mający duże poczucie godności. Co ciekawe sami tej zalety u siebie nie dostrzegają. Również warunki w tym rejonie są o niebo bardziej sprzyjające takim zachowaniom niż w okolicach Żywca. Kontrolujecie z „Jaworem” z Romanki tamten teren, to macie dobre rozeznanie. A ten rejon ja kontroluję, dlatego co potrzeba to wiem, bo od logistyki i dobrego rozeznania zależy nasze „być albo nie być”.

Ale wracając do sprawy, o którą pytałeś: taka typowa menda niemiecka, to jeszcze się tu nie wylęła. Nasi łącznicy potwierdzają, że ten odcinek pogranicza od strony Rzeszy jest czysty. Natomiast gdzieś po zawojskiej stronie, a to już Gubernia, mieszka taki jeden niepewny osobnik. Może nie taka całkiem zdeklarowana menda niemiecka, ale miejscowi się go obawiają. Nazywając go fałszywcem. Ale nas to nie dotyczy, bo on mieszka gdzieś koło Kiczory, a to daleko od szlaku, którym przechodzimy. Tamtędy nawet przemytnicy nie chodzą, bo można się spotkać z patrolem, który schodzi z Kiczory lub wracających na placówkę do Siwców. Suche fakty „Nurmi” dostarczył meldunkiem z Huty–Podgórze do mojej wiadomości. A szczegóły pochodzą od samego porucznika „Azora”, bo teren Zawoi, gdzie mieszka wspomniany osobnik, kontroluje właśnie porucznik „Azor”. Zapytałem go podczas jazdy o tego delikwenta. Miał czas to opowiedział. Nawet coś mi się zda-

je, że sprawiało mu to niemałą przyjemność. Powiedział nawet, co osobiście sądzi o tym osobniku. Ale czy na pewno wszystko, to nie był bym tak bardzo tego pewny... Obowiązki wzywają. Koniec pogawędki!

19 PRZED ŚWITEM ZDAŹYĆ NA ROLE I DUPAKÓWKĘ

– Jeżeli wszystko jasne, to „Hart”, przyprowadź pomocników do transportu. Przy okazji przeproś też Siwca za zamieszanie. Ty „Bogusz”, zrób przy broni zbiórkę.

Ja z „Jaworem” rozdysponujemy, co pozostawić na Rolach, a co poniesiemy do obozowiska. „Krata” z „Hartem”, ściągnijcie czujki. Pobierzcie resztę broni i tak pozacierajcie ślady naszej bytności, żeby Stefan, gdy wyjdzie w niedzielę z żoną na spacer nie zauważył, że w tym miejscu tyle chłopów biwakowało. „Bogusz”, ty tym razem pójdziesz pierwszy jako przewodnik. My z „Jaworem” pójdziemy z tobą. „Mrówka” też. Naszym zadaniem będzie zabezpieczenie od czoła. „Hart” z „Kratą” i z „Gromem” będą zabezpieczać tyły transportu, więc pójdą jako ostatni. Oddział, uwaga! Jest pełnia. Widoczność całą noc będzie bardzo dobra. Każdy z nas jest obładowany, a przez to mniej czujny. Idziemy po dwóch, utrzymując odległość, tak, żeby zachować kontakt wzrokowy między dwójkami. Należy zachować wzmogoną ostrożność. Gdy znajdziemy się nad Kubasiakami, będzie dobrze widoczna placówka niemiecka u Pytla, na polanie u stóp Magurki. Jeśli my ją możemy dojrzeć, to i Niemcy mogą obserwować nas. Po tym krótkim, ale odkrytym odcinku wejdziemy w las nad Kamiennym i pójdziemy nim aż na Role. Nie powinno być niespodzianek.

– Poruczniku, a ten Salowy Brzeg z Czerną, o których nas przestrzegał „Władek”, to gdzie?

– Spokojnie. Czarna to te domy, które widać w tej dolinie poniżej nas. Salowy Brzeg to pierwsze wzniesienie od Suchej na szosie do Żywca. Pomiędzy tym widocznym stąd brzegiem a Stryszawką jest linia kolejowa. Niemcy mają mocny posterunek między torami a gościńcem. Teren jest otwarty i wszystko dookoła jest dobrze widoczne. Zrobiłem też rozpoznanie sił i położenia tego posterunku, aby dać Niemcom nauczkę za perfidną metodę łapania uciekinierów. Mianowicie tory kolejowe w tym miejscu mają ostry łuk, na którym pociągi zwalniają. Jadące tą trasą transporty z ludźmi do Oświęcimia z tego powodu jadą wolniej. Najbardziej zwalniają naprzeciw tego przekłętego posterunku. Ludzie korzystają z nadarzającej się okazji i uciekają. Ci, którzy udają się w dół lub górę Stryszawki zazwyczaj trafiają na dobrych ludzi, od których otrzymują jakieś jedzenie, żeby się posilić. Następnie są kierowani do Zawoi. Przypuszczam, że się im udaje uratować, bo jak na razie nie było meldunku o zatrzymywaniu tych ludzi na granicy. Jednak szkopy z tego posterunku zastosowały prosty, ale skuteczny sposób na zwabienie tych nieszczęśników. Za-

trudniona jest u nich Polka, którą zmuszają żeby wołała do uciekających „tutaj, tutaj, pomóżemy wam” i w taki sposób uciekinierzy znów wpadają w niemieckie łapy. Danie szkopolom wycisku jest na razie niemożliwe. Nasze straty i represje wobec miejscowej ludności z tego powodu mogłyby być zbyt duże. Zastosowałem prostą i jak do chwili obecnej skuteczną metodę. Nauczyłem się jej od Niemców. Odwiedziliśmy tę panią, mówiąc jej, że ma zaprzestać tych praktyk. Próbowaliśmy coś wyjaśniać, ale jej tłumaczenie, że jest zmuszana przez Niemców do takiej praktyki, było niewiarygodne. Nie miałem jednak całkowitej pewności, gdzie leży prawda. Zaproponowałem więc, żeby sobie sama wybrała rodzaj kary. Zapytałem też, czy wie, jakie kary stosuje się za zbyt gorliwe pomaganie Niemcom. Odpowiedziała, że tak. I po namyśle nieśmiało powiedziała, że wołałaby strzyżenie. Nie mieliśmy maszynki fryzjerskiej. Trzeba było skorzystać z nożyczek. Obcięliśmy ją jednak tylko na zapalkę, ponieważ zgodziła się dostarczyć Niemcom list z ostrzeżeniem, aby zaprzestali tych perfidnych praktyk. Pomysł był trafiony. Zwabianie uciekinierów wołaniem ustało. Tak więc nie dawajcie się zwieść zbyt głośnym obietnicom pomocy, zwłaszcza jeśli to jest przez jakąkolwiek władzę zabronione.

Na nasze szczęście tamtędy nie musimy przechodzić. Schodząc lasem zostawiamy te okolice po lewej stronie, bo przeskoczmy szosę, tory i Stryszawkę jakieś 2 km od posterunku nad Salowym Brzegiem i tylko półtora kilometra od dworca kolejowego w Suchej. Gdy dotrzemy na Role, „Jawor” ze swoją grupą tam się zatrzymają. Ukryją broń i zostaną na odpoczynek. Pozostałe osoby z naszego oddziału, razem ze mną, po przeprawieniu się przez Stryszawkę, zamelinują część broni tak, aby zwolnić tych kolegów, którzy nam pośpieszyli z pomocą. Z tym wszystkim musimy zdążyć przed świtem. Maszerujemy w milczeniu. W prawo zwrot, kierunek Role marsz. Powinniśmy zdążyć przed świtem. „Bogusz”, na czoło i prowadź w imię Boże!

– Poruczniku „Surma”, jesteście na Rolach. Ja tu zostaję, a wy na tym łuku pójdziecie krzakami do rzeki. A za Stryszawką w prawo, zresztą, „Bogusz” dobrze wie którędy.

– Dzięki „Jaworku”, poradzimy sobie. Po wykonaniu zadania, niezwłocznie melduj jak wam poszło. Za bardzo się nie chwal, że wracasz po resztę broni zostawionej na Drwałówce. To zalecenie dotyczy także twojego plutonu. Czołem sierżancie. Czekam na ciebie na Kocierzu.

– „Bogusz”, prowadź za tą rzekę. Byłoby bliżej naszego wojennego domu. W okolicy Dupakówki przeczekamy dzień. Gdy się ściemni, już tylko jeden sus i będziemy u siebie.

– Poruczniku „Surma”, z lasu za Dupakami można dojrzeć mój dom rodzinny.

Zamiast siedzieć w lesie, może bym tak przez dzień pomieszkał na rodzinnych śmieciach.

– Doskonale rozumiem co to rozłąka z żoną, a jeszcze jak są dzieci...

– Poruczniku, niestety z żoną i córeczkami się nie zobaczę. To nasz dom rodzinny, a żona z dziećmi mieszka na Zasepnicy.

– Zgoda. Jeżeli zdążymy przed świtem, to tak. Ale w pojedynkę cię nie puszczę,

bo gdy jeden śpi, to drugi pilnuje. A w razie jakiegoś przykrego przypadku jeden drugiego będzie osłaniał.

– Dzięki poruczniku. Gdy się tylko ściemni, to najdalej za pół godziny dołączymy i będę dalej za przewodnika.

20 Z POWROTEM NA KOCIERZU

– Poruczniku „Surma”, sierżant „Jeleń” melduje oddział „Garbnik” w miejscu stacjonowania.

– Sierzancie, wszystko w porządku. „Jawor” z innymi jeszcze jest w terenie, Od „Bogusza” przejmij część broni ze zrzutu. Połóżymy się na odpoczynek.

„Jawor” za dwa, trzy dni zamelduje się tu w obozie i wtedy zadecydujemy co dalej. A jak tu u was? Było spokojnie?

– Tak. Nie mieliśmy ze strony Niemców żadnych niespodzianek, tylko w środę około dziewiątej rano zwiadowcy widzieli pośpiesznie jadące w stronę Suchej samochody. Sądziłem, że szkopy nas namierzili, za to że im zrobiliśmy trochę szumu. Zaleciłem wzmożoną czujność. Okazało się to jednak na wyrost. Niemcy też widocznie mieli inne zadanie, bo wjechali do Stryśzawy, a wracali w tym samym składzie koło szóstej wieczorem w stronę Żywca. Co i gdzie robili przez te dziesięć godzin – nie wiadomo.

– Wojtusi, ale ja wiem.

– Poruczniku „Surma”, sierżant „Jawor” melduje wykonanie zadania. Ludzie są już wypoczęci. Poszło, lepiej niż się spodziewałem. Po wypoczynku na Rolach dotarliśmy do Drwala bez przeszkód. Szlak, który omawialiśmy, sprawdził się. W tamtą stronę, aby się odciążyć zabraliśmy tylko broń krótką. W sobotę wieczorem zapukałem do „Ofiarnego”. Otworzył. Wszedłem i zdębiałem. Patrzę, a na krzesłach wiszące mundury niemieckie. Błyskawica w głowie: broń odkryli, „Ofiarnego” przestraszyli; wpadłeś „Jaworku” prosto w szwabskie łapy. Po prostu złapałem stracha. „Ofiarny” widząc moją reakcję, powiedział spokojnym głosem: „Przepraszam, ale przeszywam te niemieckie łachy na cywilne ubrania.” Aż sobie zakląłem z wrażenia i zaraz się musiałem tego wstydzić. „Ofiarny” wskazał bowiem ręką na coś w rodzaju ołtarzyka i spokojnym, ale bardzo zdecydowanym głosem powiedział, że nie wypada przeklinać. Potem nakrył maszynę do szycia, pochował mundury i dalej tym samym głosem powiedział: „Zabierajcie, tylko cichutko, bo widno jak w dzień.” Chłopaki kolejno, sprawnie zabierali bębny z bronią. Jednak dwa zostały.

– Co robić Franek? – zapytałem.

– Zaraz zawołam brata Ludwika ze Staszkiem Polakiem i sąsiada z synem – odpowiedział tym swoim spokojnym głosem „Ofiarny”.

Tym sposobem przy ich pomocy za jednym razem zabraliśmy cały ładunek. Odpro-

wadzili nas ponad kilometr do lasu. Tam powyciągaliśmy wszystko z pojemników. Ładunek rozdzieliłem możliwie po równo tak, że już sami się ze wszystkim zabraliśmy. Poleciłem „Ofiarnemu”, żeby dobrze ukryli te pojemniki w lesie. Jego brat Ludwik się z tego bardzo ucieszył, mówiąc, że takie pojemniki na gospodarstwie po wojnie będą jak znalazł. Zapewnił, że na pewno dobrze je schowają.

– A ile ma lat brat tego krawca?

– Młody jest. Ma niewiele ponad dwadzieścia lat.

– No widzisz „Jaworku”, dla tych młodych warto walczyć. Oni szczerze wierzą, że wojna niebawem się skończy.

– Ja też tak myślę, poruczniku.

– A jak z powrotem przeskoczyliście granicę?

– Wiadomo, obławowani sprzętem ponad miarę robiliśmy sobie przystanki co kawałek.

Ominęliśmy wszystkie zabudowania. Dopiero na Rolach weszliśmy pomiędzy zabudowania. Wyszliśmy z lasu na Role nad Kołaczkami. Między domami byliśmy nad ranem. Wszyscy jeszcze spali. Udało nam się dobrze wszystko zamaskować. Z tym nam trochę zeszło i zrobiło się już dobrze widno. Całe szczęście, że to niedziela. Ludzie nie wstają wczesnym rankiem – to plus, ale jest i minus – każdy człowiek jest zaraz bardziej zauważalny. Przejście tyłu chłopca na Dupakówkę i dalej uznałem za zbyt niebezpieczne. Rozstawiłem czujki, a pozostałych odeślałem do spania. Wieczorem razem z „Hartem” postanowiliśmy, że tak dużej ilości broni nie można zostawić bez dozoru. „Hart” zaproponował, że on na ochotnika zostanie, a ja się zgodziłem. Uzgodniliśmy, że będzie czekał na wiadomość o tym jak porucznik zadecyduje. On został na Rolach, a my przez Dupaki, Lipie i dalej przez Żurawnicę bez przeszkód dołączyliśmy do oddziału. Panowie, broń jak na razie jest bezpieczna i dobrze pilnowana przez najbystrzejszego partyzanta, jakiego kiedykolwiek miałem. Bo przyznacie, że „Hart” to bystry chłopak.

– Sierżancie „Jawor”, obydwaj z „Hartem” postąpiliście bardzo rozsądnie. Jednak takiego stanu rzeczy nie można przeciągać. Dziś we trójkę tę sprawę całościowo przeanalizujemy i ustalimy, jak rozdysponować powierzony nam sprzęt wojskowy. Jako dowódca „Garbnika” zaznaczam, że najważniejsze teraz to należycie uzbroić nasze plutony tą bronią. No i jeszcze broń dla trzeciego plutonu, który niebawem powstanie z osób chętnych do wstąpienia do „Surmy”. Oddział „Danuty” będzie operował pod nosem Niemców, dlatego postanowiłem dozbroić „Sosienki”. Broń będą pobierać systematycznie patrole od „Danuty”, które przychodzą z oświecimiakami. To będzie moje zadanie, a w razie mojej nieobecności jak zawsze zastąpi mnie sierżant „Jeleń”. Tak więc broń, którą mamy tu w obozie, z okładem wystarczy, aby te dwa cele, które wam przedstawiłem zrealizować. Chciałbym usłyszeć, co wy o tym sądzicie?

– Wiesz „Surma”, jako szef kompani, jak każdy szef, zostawiłbym wszystko tu na Kocierzy. Zaś jako partyzant uważam, że słusznie robisz dozbrajając „Sosienki”. „Danuta” na pewno potrafił zrobić z tej broni dobry pożytek.

– A ty, „Jawor”?

– Całkowicie podzielam opinię sierżanta. Słuszna decyzja porucznika.

– Dobrze. A co zrobimy z tym, czego „Hart” pilnuje na Rolach? Dla „Harta” wiadomo, sprawa prosta. Tę część, przy której teraz waruje, trzeba ulokować koło Żywca. Tak żeby z Romanki było blisko. W niedzielę zrobiłem rozeznanie i wiem, że broń w stronę Żywca można by przewozić koleją.

– To ci dopiero pomysł! Z Suchej do Żywca broń dla partyzantów przewozić pociągiem. I to aż tyle broni. Proste. Rzekłbym nawet, że prostackie i dlatego może się udać. Moim zdaniem wymaga to jednak jeszcze dopracowania. A szef co na to?

– Jak na mój wiek, to pomysł bardzo odważny, ale przy dobrej organizacji możliwy do wykonania. Czyli reszta broni do partyzantów pojedzie sobie pociągiem. Zgoda, niech tak zostanie. „Jaworku”, żeby to razem zgrać, przyda nam się „Nurmi”. Jest świetnym łącznikiem i wywiadowcą. W dodatku jest znany w środowisku kolejarskim. „Jawor”, wystawisz koło stacji swojego człowieka z bukietem kwiatów. Do niego będą się zgłaszać osoby przysłane przez „Nurmiego”. Dopiero po upewnieniu się, że to pewny „tragarz”, będzie kierowany bezpośrednio na Role. Na Rolach „Jawor” z „Gromem” będą ostatnim ogniwem sprawdzającym. Po odebraniu ustalonego hasła, będą mogli zgłaszającemu się wydać broń. „Nurmi” będzie polegał wyłącznie na zaufanych kolejarzach. Powinno obyc się bez przykrych niespodzianek. Pod warunkiem, że nie będzie się im narzucać sposobu, jak to mają zrobić. No i jeszcze hasło. Hasło dla kolejarzy dobre będzie np. „za torem”. Po utworzeniu trzeciego plutonu, będąc z takim uzbrojeniem w jednym miejscu, staniemy się dla Niemców twardym orzechem do zgryzienia.

– Tak nam dopomóż Bóg! – dokończyła zgodnie zebrana trójka.

Zrzutowa broń z dwudziestu dwóch pojemników w całości i bez strat własnych dotarła na miejsce swojego przeznaczenia i natychmiast niemal wszystka, została użyta w walce z okupantem.

Wszystkie osoby związane z jej transportem bezpośrednio, czy pośrednio, zrządzeniem losu, w żaden sposób nie ucierpiały. Właściwie można powiedzieć: nikt nie zginął. Ot, taki sobie epizod wojenny.

Tak epizod, ale niespotykany.

Niemcy w takich sytuacjach nigdy nie darowali.

Do 1944 roku w zwalczaniu ruchu oporu Hitlerowi wystarczały siły policyjne i Gestapo. Jednak w 1944 roku do tych zadań skierowano jeszcze siły Wehrmachtu. Wehrmacht, jak się później okazało, postępował jeszcze bardziej bestialsko, niż siły policyjne. Po prostu dysponował większą siłą.

Dla uzasadnienia tego podam tylko jeden przykład. I to nie z Polski, bo w Polsce to powszechnie wiadomo, że bestialstwo Niemców było normą.

Region Toskania we Włoszech, w górach gdzie bierze początek rzeka Arno. Jedenastego kwietnia 1944 roku w okolicy wioski Valluccole w potyczce z partyzantami ginie dwóch żołnierzy niemieckich. W odwecie trzynastego kwietnia tegoż roku o świcie, hitlerowcy w celu pacyfikacji, dużymi siłami otaczają wioskę Valluccole. Bez ostrzeżenia strzelają do każdej napotkanej osoby. Następnie wrzeszcząc, kopniakami wywlekają z mieszkań często jeszcze śpiących mieszkańców i bez ceregieli rozstrzeliwują ich przed własnymi domami.

W tej porannej masakrze ginie stu ośmiu mieszkańców tej wioski (właściwie osady), w tym czterdzieści trzy kobiety i dwadzieścioro dwoje dzieci.

Ten akt barbarzyńskiego bestialstwa został wykonany przez regularny oddział Wehrmachtu, dowodzony przez oficera w stopniu majora, z doborowej dywizji Hermana Göringa dowodzonej wówczas przez generała Paula Contraha. Świadkiem tych wydarzeń był cudem uratowany mieszkaniec Valluccole – Alfredo Gabineri. Tego dnia stracił całą rodzinę. Na jego oczach bez pardonu zastrzelono jego babkę, matkę, żonę i dziecko, które owinęło się rączkami wokół szyi swojej mamy. Fakt ten odnotowały meldunki i raporty niemieckie, potwierdzając tym niezbitcie, że w swojej zapalczowości oprawcy z pod znaku Wehrmachtu nie zastosowali się nawet do dyrektywy Hitlera, zgodnie z którą za śmierć jednego Niemca należało stracić dziesięć osób.

Biorący w tej rzezi czynny udział żołnierz Wehrmachtu – Max Gotthardt, publicznie do kamer opowiedział cały przebieg poszukiwania i mordowania mieszkańców osady Valluccole. Przyznał także, że w rzeczywistości była to jednoznaczna zemsta za baty, jakie Niemcy otrzymywali od aliantów. Oczywiście potępia oficerów, ale równocześnie nadmienia, że on też przeżył piekło podczas służby we Francji

Być może ktoś pomyśli: „Boże jacy ci wszyscy Niemcy byli niewinni i prześladowani. Nic, tylko płakać nad nimi”.

Na tle przytoczonego przykładu nieszablonowym jest postępowanie Niemców w stosunku do osiedla Spyryki. Niemcy, co niewiarygodne, zachowywali się poprawnie w stosunku do jego mieszkańców. Ba, nawet nie chodzili po domach. Powiadomienie o miejscu zbiórki polecili jednej z mieszkanek. Jak wspominali ówczesi żyjący Spyrkowianie, nikt nie został uderzony czy kopnięty. Dlatego starałem się w wyczerpujący sposób opisać tę historię w jednej publikacji celem upamiętnienia tych wydarzeń.

To by było tyle na temat mojego „po pierwsze”, o którym pisałem we wprowadzeniu.

Natomiast co do „po drugie”, dotyczące osoby porucznika „Surmy” Czesława Świąteckiego, odsuwam to na razie w czasie. Obecnie gromadzę materiały.

Jeżeli czas pozwoli, postaram się chronologicznie uporządkować znane i nie znane fakty z jego życia, gromadząc je w jednej publikacji. Postaram się również przybliżyć dzieje partyzantki, które są związane z jego osobą.

Uważam, że obowiązkiem naszym jest przekazanie następnym pokoleniom szacunku dla ludzi, którzy żyli w tym okropnym czasie, tracąc zdrowie, a jak w przypadku „Surmy” także i życie.

Czesław Świątecki „Surma” , wracając z rozpoznania został omyłkowo postrzelony, o godzinie 21.30, 12 stycznia 1945 roku koło Harbutowic.

Przewieziony do szpitala w Krakowie przy ul. Kopernika, umiera dnia 26 lipca 1945 roku.

Ważnym jest, by pamięć w nas nie wygasła o tych, którym być może, zawdzięczamy tak wiele.

OSOBY – Kolejność alfabetyczna, według pseudonimów w Armii Krajowej

„Azor”	Józef Danielczyk
„Bicz”	do 1947 Emil Żabnicki, a od 1947 do 1990 jako Kupczak
„Blondyn”	Adam Ryczek
„Bogusz”	Ludwik Hejny
„Bolek”	Bolesław Mirocha
„Boruta”	Tadeusz Mazurkiewicz
„Brzózka”	Andrzej Pawlus
„Dąbek”	Leopold Gibas
„Dziadek”, „Szary”	Wenancjusz Zych
„Grom”	Ludwik Kołacz
„Groń”	Stanisław Harężlak
„Hart”	do 1947 Kazimierz Wolny, a od 1947 do 1990 jako Józef Jeleśniański
„Jawor”	Józef Kołacz
„Jeleń”	Wojciech Galica
„Kazik”	Andrzej Sumera
„Knypel”	Ficoń Władysław
„Krata”	Witold Pampuch
„Kruk”	Karol Krzeszowiak
„Listek”	Stefan Fijak
„Mazurek”	Zbigniew Bigaj
„Mrówka”	Edmund Smoczek
„Nurmi”	Andrzej Pyclik
„Ofiarny”	Franciszek Drwal
„Roman”	Antoni Płanik
„Soból”	Józef Harężlak
„Sołtys”	Stanisław Dyrz
„Surma”	Czesław Świątecki
„Wiarus”	Tomasz Płonka
„Władek”	Władysław Kyś
„Zawieja”	Wacław Zdyb

WZMIANKI DO OSÓB, KTÓRE BYŁY ŻOŁNIERZAMI ARMII KRAJOWEJ

„Azor” Józef Danielczyk

Dowódca plutonu „Babcia” w Zawoi, wchodzącego w skład Legionu Śląskiego „Huta-Podgórze”. Był leśniczym w Zawoi. Po wojnie, od lutego do czerwca 1945 roku pełnił funkcję zawojskiego wójta. Bardzo zaangażował się w uruchomienie mocno zdewastowanej Szkoły Podstawowej nr 1 w Zawoi Centrum, dzięki czemu uczniowie mogli rozpocząć w niej naukę już 10 kwietnia 1945 roku. W drugiej połowie tegoż roku wyjechał na ziemie odzyskane, gdzie pracował jako nadleśniczy w miejscowości Wieniec Zdrój (od 1946 r. Świeradów). W latach 1948–1950 był leśniczym w obrębie Kubryk, następnie awansował na zastępcę dyrektora Lasów Państwowych w Olsztynie.

„Bicz” Emil Żabnicki

Jeden ze starszych stażem partyzantów A.K. w żywieckim. Jedyne uratowany z rodziny Żabnickich z Żabnicy. Całą jego rodzinę Niemcy wymordowali. Po rozwiązaniu Armii Krajowej walczył w oddziale zbrojnym przeciwko nowym porządkom w powojennej Polsce. Musiał uciekać przed karzącą ręką ówczesnej sprawiedliwości, dlatego zmienił swoje dotychczasowe nazwisko na Kupczak. Dzięki temu rozplątał się i to skutecznie w plenerze. Odnalazł się dopiero w 1990 roku, gdzieś w Poznaniu, przyznając się do swojego rodzowego nazwiska.

„Blondyn” Adam Ryczek

Do początku 1942 roku mieszkał w Żywcu przy ul. Komorowskiego 51. Jego brat Janek, jako zawodowy oficer, w styczniu 1940 roku przedostał się do Francji. Drugi brat Adama, Antoni, został zamordowany przez okupanta na targowicy w Wielki Czwartek 2 kwietnia 1942 roku, jako podejrzany o działalność konspiracyjną. Adam Ryczek razem z żoną Rozalią postanowił zniknąć z Żywca. Niejako przejazdem, na krótko przebywał w domu Gustawa Smoczka, ps. „Jaśmin”. Przekroczył granicę i pod innym nazwiskiem ukrywał się w Palczy. Razem z żoną i małą córeczką, przebywał tam do końca wojny. W Palczy prowadził ważny punkt kontaktowy pomiędzy terenowymi oddziałami partyzanckimi a wyższym dowództwem Armii Krajowej. Zaraz po wojnie pracował w Suchej jako leśnik. W 1949 roku objął leśnictwo w Stryżawie. Administrował lasami na tym terenie aż do przejścia na emeryturę. Chcąc w jednym zdaniu określić jego wizerunek, to można by rzec, że był to człowiek, od którego biła wrodzona, a nie nabyta, czy wyuczona inteligencja. Po zakończeniu swej doczesnej drogi, powrócił do rodzinnego Żywca, gdzie spoczywa z żoną Rozalią, wędrując po niebiańskich lasach.

„Bogusz” Ludwik Hajny

Partyzant w oddziale „Surmy”. Mieszkaniec Suchej. Początkiem grudnia 1944 roku, por. „Surma” został przeniesiony do batalionu „Surowiec”, który stacjonował w lasach Gości-bi, koło Harbutowic. Dowodzenie po nim objął uciekinier z Oświęcimia por. „Chiromata”. Przed świętami Bożego Narodzenia por. „Chiromata” w celach aprowizacyjnych wysłał do Krzeszowa „Bogusza” wraz z grupą partyzantów, aby trochę oskubali licznie mieszkających w tej miejscowości „bałorów”. Natknęto się jednak na przybyły do tej wsi silny oddział żołnierzy niemieckich. Doszło do strzelaniny, w której to potyczce plut. „Bogusz” dostał serią z karabinu maszynowego w biodro. Postrzał ten był bardzo poważny. Partyzantom jednak udało się oderwać od nieprzyjaciela i zabrać ze sobą do obozowiska ciężko rannego „Bogusza”. Jednak przyszłość dla „Bogusza” nie zapowiadała się wesoło. Do rany wdała się infekcja, ktoś powiadomił o tym żonę rannego. Żona, przy pomocy któregoś z kolegów, na sankach zabrała rannego „Bogusza” z lasu nad Kocierzem. Częściowo pociągami, częściowo samochodem przewiozła go do Krakowa. Dzięki temu z początkiem stycznia 1945 roku bardzo ciężko ranny „Bogusz” trafił do Szpitala św. Łazarza, przy ul. Kopernika w Krakowie. Mimo poważnej infekcji, „Bogusz” stracił zdrowie, ale uratował życie.

„Bolek” Bolesław Mirocha

Początkowo łącznik – przewodnik – wywiadowca, a następnie partyzant „Garbnika”.

„Boruta” Tadeusz Mazurkiewicz

Dowódca oddziału „Chełm”. Postać ogólnie znana w świecie partyzanckim. Proponuję przeczytanie jego wspomnień pt. „Moja wojna z Niemcami”. Wydanie papierowe lub w internecie. Wystarczy tylko w przeglądarce Google wpisać frazę Tadeusz Mazurkiewicz „Boruta”, a otwierają się strony z odpowiednimi linkami.

„Brzózka” Andrzej Pawlus

Partyzant oddziału „Garbnik”. W potyczce z Niemcami w dniu 28 stycznia 1945 roku został ranny w lewe ramię. Po tym zdarzeniu przebywał w domu położonym koło przystanku kolejowego w Kurowie, zaś po przejściu frontu został umieszczony w szpitalu polowym w Suchej, w budynku Szkoły Podstawowej nr 2 przy ul. Zasypnickiej. Niestety, wdała się gangrena i ojciec zabrał „Brzózkę” do wsi Las, gdzie zmarł w swoim domu rodzinnym.

„Dąbek” Leopold Gibas

Partyzant oddziału „Garbnik”. Mimo rozwiązania oddziału, z kilkoma byłymi akowcami walczył przeciwko utrwalaczom nowej władzy. Po ujawnieniu podjął pracę w leśnictwie, pracował w lasach na terenie Tarnawy Górnej, zaś w wolnych chwilach zajmował się myślistwem.

„Dziadek”, „Szary” Wenancjusz Zych

Ogólnie znana osobistość konspiracyjna z lat okupacyjnych na terenie Żywca i w lasach Beskidu Makowskiego.

„Grom” Ludwik Kołacz

Mieszkaniec Suchej, partyzant oddziału „Garbnik”.

„Groń” Stanisław Haręźlak

Łącznik oddziału „Garbnik”.

„Hart” Kazimierz Wolny

Bardzo ciekawa postać. Jeden z pierwszych i ostatnich partyzantów w rejonie żywieckim. Aresztowany uciekł z aresztu, zakuł niemieckich strażników w kajdanki, uwolnił „Bicza” oraz kilku innych aresztowanych i wrócił do oddziału „Surmy”. Po zakończeniu wojny nadal pozostał na wojennej ścieżce, tym razem ganiał razem z „Biczem” za przedstawicielami nowej władzy ludowej. A że im bezlitośnie dawał popalić, oni też się nim mocno interesowali. Tak mocno, że „Hart” z myśliwego stał się zwierzyną, co mu stanowczo nie odpowiadało. Jak się po latach okazało, był bystrzejszy od aparatu władzy i po prostu kpił z nich. Zmienił swoje dotychczasowe nazwisko i imię na Jeleśniański Józef. razem z najserdeczniejszym kolegą „Biczem” (który również zmienił dane). W ten sposób uniknął poboru do wojska. Zadekowali się z „Biczem” w Poznaniu. Do swoich nazwisk wrócili dopiero po 1990 roku. Przez wszystkie te lata bezpieczeństwa wychodziła ze skóry, by ich dorwać i wyrównać w zaległe porachunki. Ale „Hart” z „Biczem” okazali się, jak zwykle o niebo sprytniejsi od przedstawicieli nowej inteligencji.

„Jawor” Józef Kołacz

Mieszkaniec Suchej, dowódca plutonu oddziału „Garbnik”. Jego wspomnienia zostały zawarte, w maszynopisie nr 1039 w Czytelni Czynu Niepodległościowego w Krakowie. Zawierają one wiadomości, które dotyczą jego udziału, a co za tym idzie wielu innych znaczących informacji, na temat operacji przewozu zrzutowej broni.

„Jeleń” Wojciech Galica

Szef oddziału „Garbnik”. Do jego obowiązków należała ewidencja stanu osobowego oraz księgowanie wpływów i wydatków, jakie ponosił oddział „Garbnik”. Jak pisze Władysław R. Wawrzonek: W każdym miesiącu szef siadał uroczyście na stosownym pniaku, rozkładał listę i wypłacał kolejno podchodzącym partyzantom. Podpisywało się pseudonimem. Żołd był comiesięcznie, regularnie wypłacany. Kawaler otrzymywał 120 marek niemieckich, a żonaci otrzymywali 180 marek. Jeszcze dokładniej, na polecenie „Surmy” były zapisywane wpływy, które przekazywano do Komendy Głównej AK. Po odejściu „Surmy”

z „Garbnika”, początkiem grudnia 1944 roku również odszedł na bezterminowy urlop. „Jeleń” nie uczestniczył bezpośrednio w odbiorze, ani w transporcie zrzuconej broni.

„Kazik” Andrzej Sumera

Mieszkaniec Suchej, w oddziale „Garbnika” pełnił rolę łącznika. Po wojnie prowadził zakład kamieniarski w Suchej. W latach 80-tych przewodniczył zarządowi Cechu Rzemiosł Różnych w Suchej Beskidzkiej jako Starszy Cechu. Z tego też powodu często się spotykaliśmy, po części oficjalnej, tradycją była o wiele miłsza, część towarzyska, o atmosferze rodzinno-koleżeńskiej. A pan Andrzej, jako łącznik oddziału AK „Garbnik” wiedział sporo.

„Knypel” Władysław Ficoń

Partyzant oddziału „Garbnik”.

„Kraśa” Witold Pampuch

Partyzant oddziału „Garbnik”.

„Kruk” Karol Krzeszowiak

Mieszkaniec Suchej, partyzant oddziału „Garbnik”. Zginął 28 stycznia 1945 roku, koło Kurowa, w tej samej potyczce, w której poważnie ranny został „Brzózka”.

„Listek” Stefan Fijak

Partyzant oddziału „Garbnik”. Sprytny. Wyjście na słup, by odciąć kable telefoniczne, było dla niego pestką. W jego schowku znalazła schronienie część sprzętu, otrzymanego ze zrzutu.

„Mazurek” Zbigniew Bigaj

Mieszkaniec Suchej, bardzo pobożny, członek oddziału „Garbnik”. Zginął, gdy Niemcy zorganizowali zasadzkę na dwunastoosobową grupę zaopatrzeniową, która szła po chleb. „Mazurek” poszedł wtedy w zastępstwie partyzanta „Świstaka”(według własnej relacji, Władysława R. Wawrzonka, ps. „Świstak”). Wg niemieckiego raportu było to 6 października 1944 roku, około godz. 20.30. „Mazurek” miał przy sobie karabin i 60 naboji.

„Mrówka” Eugeniusz Smoczek

Najmłodszy uczestnik oddział „Surmy” podczas odbioru broni i jej przewozu przez granicę. To jego wspomnienia opisane w pracy zbiorowej pt. „Zmagania wojenne na Żywiecczyźnie 1939–1945”, rzucają właściwe światło na to, co i jak się zdarzyło, podczas odbioru i transportu broni. Pan Smoczek dokładnie opisuje zachowanie por. „Surmy” w czasie zagrożenia zaistniałego na granicy. A znał on Czesława Świąteckiego bardzo dobrze, gdyż ten przez jakiś czas ukrywał się w jego domu rodzinnym na Graniczniku, koło Pewli Małej.

„Surma”, był swoistym przyjacielem domu rodziny Smoczków w konspiracyjno-okupacyjnej rzeczywistości.

„Nurmi” Andrzej Pyclik

Mieszkaniec miejscowości Las. Jeden z pierwszych łączników i wywiadowców AK po obu stronach granicy. To dzięki jego rozeznaniu szlak partyzancki z Żywca do Krakowa przez Spyрки, został uznany i zaakceptowany przez AK jako bezpieczny.

„Ofiarny” Franciszek Drwal

Członek oddziału „Huta–Podgórze”, mieszkaniec Grzechyni, na osiedlu Drwale.

Z zawodu krawiec. Po wojnie wybrał powołanie kapłańskie, święcenia otrzymał w 1955 roku, mając 42 lata.

„Roman” Antoni Płanik

Doskonały organizator konspiracyjny, szybko nawiązujący stosowne kontakty. Braki praktyczne w wyszkoleniu wojskowym nadrabiał wiedzą teoretyczną i dużym zaangażowaniem. To on przeprowadza początkiem czerwca 1943 roku, z Krakowa do Żabnicy koło Żywca, „Zawieję” – (Wacław Zdęb) i „Surmę” – (Czesław Świątecki), wraz z kilkoma konspiratorami. Tym samym potwierdził, że trasa przez Cyganową i Spyрки jest trasą bezpieczną, a przybyła grupa akowców przyczyniła się do rozbudowania, żywieckiej partyzantki w terenie.

„Soból” Józef Haręźlak

Łącznik oddziału „Garbnik”.

„Sołtys” Stanisław Dyrz

Jeden z pierwszych organizatorów oddziału Huta – Podgórze na terenie Grzechyni. Mieszkaniec Zawoi, osiedle Za Lasem. W miejscowym środowisku bardziej znany jako Staszek Sołtysów z Za Lasu. Po wojnie, podobnie jak Józef Danielczyk „Azor” wyjeżdża na ziemie odzyskane, gdzie pracuje jako leśniczy.

„Surma” Czesław Świątecki

Dla bezpieczeństwa zmienił swój wizerunek i posługiwał się nazwiskiem Artur Gulczewski. Dowódca oddziału Armii Krajowej „Garbnik”. Z zawodu nauczyciel. Postać, mimo jego skromności, niezwykle barwna. Przytoczę tylko jedno zdanie Eugeniusza Smoczka, zawarte we wstępie do opracowania zbiorowego pt. „Zmagania wojenne na Żywiecczyźnie 1939–1945”, str. 34”:



„Odważny, twardy, zdyscyplinowany i wymagający dyscypliny dowódca oddziałów partyzanckich, wzbudzający powszechny respekt i jednocześnie strach, jak gdyby filmowy bohater dywersyjnego oddziału”.

Rozkazem z dnia 25 listopada 1944 roku „Surma” zostaje przeniesiony do batalionu „Surowiec”, jako zastępca dowódcy tego batalionu – ppor. „Hardego” z dniem 14 grudnia 1944 roku. Ppor. „Hardy” ze swoim oddziałem przybył z okolic Olkusza do lasów koło Harbutowic.

W styczniu 1945 roku Niemcy postanawiają zdobyć obóz partyzancki koło Harbutowic. „Surma” zgłasza się na ochotnika w celu rozpoznania możliwości wydostania się z koła. Ustala jak się później okazało, bezpieczny kierunek na Bienkówkę i Trzebunię. To według rozpoznania „Surmy” ppor. „Hardy” bez strat wyprowadza batalion z okrążenia w nocy z 12. na 13. stycznia 1945 roku z Lasu Gościbia koło Harbutowic. Niestety „Surma” przepląca to własnym życiem.

Postrzał jaki przez pomyłkę otrzymał w pachwinę w czasie powrotu z rozpoznania, był przyczyną jego śmierci w lipcu 1945 roku.

„Wiarus” Tomasz Płonka

Dowódca plutonu, oddziału „Garbnik”.

„Władek” Władysław Kyś

Mieszkaniec Suchej Błędzonka, os. Książki. Wracając po klęsce wrześniowej został ranny i umieszczony w szpitalu w Tarnowie. W szpitalu tym pracowała przełożona pielęgniarka urodzona w Bremen, która знаła język polski. Władysław Kyś również urodził się w Niemczech, w tej samej miejscowości co wspomniana pielęgniarka. Z tego względu był dobrze traktowany, jak wspominał nieraz z uśmiechem, czasami aż za dobrze. Po zagojeniu się ran, zaopatrzone przez panią przełożoną w odpowiednią ilość papierosów i je-



PORUCZNIK „SURMA” Z GRUPĄ OFICERÓW W LESIE HARBUTOWSKIM-1944

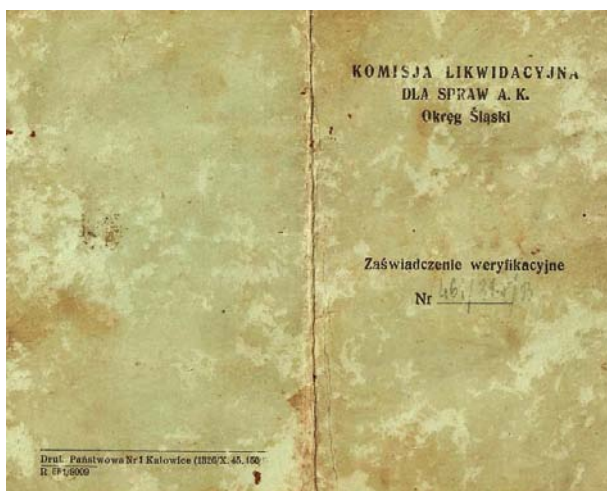


W CZASIE POBYTU W SZPITALU ŚW. ŁAZARZA W KRAKOWIE WIOSNĄ 1945 R.



dzenia opuścił tarnowski szpital, po czym bez przeszkód dotarł do Suchej. Przyjął pracę jako zwrotniczy na stacji kolejowej w Suchej, w ten sposób uniknął przy okazji wywózki na przymusowe roboty do Niemiec. Z racji charakteru pracy otrzymał stałą przepustkę na czas godziny policyjnej i możliwość poruszania się bez ograniczeń po całym dworcu, i co najważniejsze po całym torowisku. Mając takie uprawnienia i odpowiednie wykształcenie wojskowe, szybko został wciągnięty do pracy podziemnej na kolei.

Nie brał udziału w bezpośrednich akcjach zbrojnych w terenie, wręcz przeciwnie, miał rozkaz, aby, nawet wśród jego najbliższych nie wiadano, że jest członkiem kolejowej organizacji Armii Krajowej. Bezwzględnie przestrzegał tego rozkazu. Jak się później okazało, nie wiedziała o tym nawet jego narzeczona, a później żona. Dowiedziała się o tej tajemnicy długo po wojnie. Czysty przypadek sprawił, że „Władek” spotkał swoich kolegów, którzy byli z oddziału „Surmy”.



KSEROKOPIA ZAŚWIADCZENIA WERYFIKACYJNEGO O PRZYNALEŻNOŚCI DO ARMII KRAJOWEJ OKRĘGU ŚLĄSKIEGO WŁADYSŁAWA KYŚIA PS. „WŁADEK”.

„Zawieja” Wacław Zdyb

Kawalerzysta, uczestnik zawodów w 1938 we Lwowie i Tarnopolu. Osadzony w oflagu XC o podwyższonym rygorze, w Lubece, skąd uciekł już w 1942 roku. Po przybyciu do okupowanego kraju przeszedł do podziemia. Z ramienia Armii Krajowej został oddelegowany w okolice Żywca, celem wspomżenia miejscowej partyzantki. Początkiem czerwca 1943 roku „Zawieja” zabiera z Krakowa „Surmę” oraz kilku innych akowców i udaje się w wyznaczony teren: z Krakowa pociągiem do Stronia, ze Stronia piechotą przez Jachówkę, Makowską Górę, Cyganową następnie lasem grzechyńskim, przez granicę, osiedle Spyryki, i dalej Stryszawą, omijają przystanek w Lachowicach, jako niebezpieczny i dochodzą do Kurowa. W Kurowie cała grupa wsiada do pociągu. Wysiadają za Jeleśnią, w Pewli Małej, skąd pie-

szo dotarli w okolice Żabnicy. Po ponownym zorganizowaniu żywieckiej partyzantki akowskiej i jej należytym przeszkoleniu udaje się w rejon Olkusza. Śmiertelnie ranny od zabłąkanej kuli koło miejscowości Zarzecze, na trasie Olkusz – Wolbrom. Prosi, by go dobito. Prośbę tę spełniono dnia 18 sierpnia 1944 roku. Po śmierci „Zawiei” w żywieckim walczy dobrze wyszkolony przez niego i należycie uzbrojony bronią ze zrzutu oddział partyzancki „Garbnik”, dowodzony przez por. „Surmę” – Czesława Świąteckiego.

WZMIANKI DO OSÓB, KTÓRE NIE BYŁY ŻOŁNIERZAMI ARMII KRAJOWEJ

Stefania Kyś z domu Gryga

Mieszkanka Suchoj, Bładzanka, os. Książki. Nie była w konspiracji, a mimo to bardzo często przekraczała granicę GG, pomiędzy Garcami, Śpiwłami a Działem Makowskim. W Budzowie nadawała paczki dla wysiedlonego sąsiada Franciszka Palecznego, wywiezionego z rodziną w okolice Skierniewic. Zbieg okoliczności sprawił, że wykorzystując swoje zdolności kulinarne nakarmiła akowców z „Garbnika”. Po latach, gdy rozmawiała o tym zdarzeniu ze swoim mężem Władysławem, przygadywała mu. „Wielki narzeczonny, a nie pisał, że należy do akowców”. Na to mój teść odpowiadał: ty też często przechodziłaś przez granicę i nie chwaliłaś się tym nikomu na wsi. Czy ty myślisz, że ja się o ciebie nie bałem?



STEFANIA KYŚ Z D. GRYGA
Z CÓRKĄ HALINKĄ – PÓŹNIEJSZĄ
ŻONĄ AUTORA – CZESŁAWA
SPYRKI

Ludwik Drwal

Mieszkaniec Grzechyni, os. Drwale. Brat „Ofiarnego”. Osobiście nie należał do AK, ale w konspiracji, chcąc nie chcąc, tkwił po uszy. Jego brat Staszek był głównym ogniwem przemytu w Grzechyni i nie tylko przemytnikiem. Brat Franek „Ofiarny”, na co dzień był spokojnym krawcem, a równocześnie był czynnym akowcem. Potrafił szybko i sprawnie zorganizować pomoc dla podziemia. To brat Franek wtajemniczył Ludwika w sprawę ukrycia części zrzutowej broni i „wrobił” go tak, że jeden „bęben” musiał z kolegą dźwigać aż do Zimnej Wody w lesie grzechyńskim. Jak sam wspomina z uśmiechem, bęben ten był tak ciężki, że gdy go nieśli ze Staszkiem Polakiem na drągu, „wodził” ich na obie strony. Z tego samego powodu musiał żałośnie prosić brata Franka, aby wraz z innymi zaczekali, gdyż nie nadążali za innymi, a co gorsza, obawiali się, że ich Niemcy wystrzelają. Pan Ludwik Drwal to obecnie ostatni żyjący z tych, którzy osobiście uczestniczyli

w przenoszeniu części opisywanej broni. To on wyjaśnił, dlaczego część broni zostawiono i ukryto zanim doszło do potyczki z patrolem granicznym u Spyрки.

Pan Ludwik cieszy się jeszcze dobrym zdrowiem, mieszka koło kościoła w Suchej Beskidzkiej. I oby, co daj Boże, jak najdłużej zdrowie mu dopisywało.

Stefan Siwiec

Mieszkaniec Stryszawy, siedlisko „Polonka”. Nie należał do AK. Lecz jego gospodarstwo położone na samym szczycie Surzynowej Góry, było odizolowane od pozostałych obejść. Znajdywało się ono na drodze planowanego przewozu zrzutowej broni. Ten rejon został ustalony jako pierwszy punkt postoju po przekroczeniu granicy, punkt przeznaczony na odpoczynek i przeczekanie do zmierzchu. Trudności związane z uciążliwym terenem, a co za tym idzie pozostawienie części sprzętu u Drwala, opóźniły przejazd. Ponadto potyczka graniczna zmieniła sposób przemieszczania broni z konnego na pieszy. Trzeba było zmienić plan i czas jej dalsze-



LUDWIK DRWAŁ – z KSIĄŻKI „GDY GRZECHYNIĘ DZIELIŁA GRANICA”, J. BOGACZA, STR. 120

go transportu. Jak się później okazało, mimo zaistniałych przeszkód, miejsce wybrane przez „Surmę” było trafnym wyborem, a sam gospodarz człowiekiem przyjaznym, pogodnym i stale uśmiechniętym. Jego twarz jakby stale się śmiała. Pana Stefana Siwca miejscowi nazywali Stefanem z „Polonki”, ale jego koledzy z kawalerskich czasów, zwali go też Porajem. Wzięło się to od używania przez niego, gwarowego zwrotu: „poroj mi ta”, „jo ci porajom” lub „co mi ta poraisz”. Takie swoiste dwa w jednym, łączące wskazanie dobrej rady i dalszy kierunek postępowania w sytuacji rozwiązywania jakiegoś problemu. Pana Stefana znałem osobiście z racji tego, że jadąc od Stryszawy do domu przez Spyрки, a trzeba nam wiedzieć, że to trasa mocno pod górę, potrzebował do tzw. zakładki drugiego konia do pary. Mój ojczym z sąsiedzkiej grzeczności dawał (co ważne nie pożyczał) swojego konia. Konia na umówioną godzinę do os. Hucisko zazwyczaj ja zaprowadzałem. Z czasem bardzo to polubiłem, a jadąc wolno lasem, pod górę można sobie było z panem Stefanem gwarzyć i gwarzyć, a rozmówcą był znakomitym. Gospodarstwo pana Stefana Siwca, prawdopodobnie ze względu na utrudniony dojazd, zostało sprzedane.

Włochy, lotnisko w Brindisi, jest niedziela. Po godz. 20-tej, 30 lipca 1944 roku startuje samolot Brytyjskich Sił Powietrznych (Royal Air Force, w skrócie RAF), bombowiec Halifax JP – 254 „D”, z angielską załogą, samolot prowadzi W/O Clackett. W luku bombowym, zamiast bomb ma załadowanych dwanaście paczek i dwanaście zasobników z bronią, dlatego zwany latającą ciężarówką. Leci samotnie nad Adriatykiem, potem nad Węgrami, przelatuje nad Tatrami, po czym leci w kierunku góry Chełm, położonej między Budzowem a Storniem. Po pokonaniu tysiąckilometrowej trasy, już po północy, z kierunku wschodniego nadlatuje nad placówkę odbiorczą o kryptonimie „Żywica 102”. W poniedziałek 31 lipca 1944 roku o godz. 00.57 zrzucono ostatni zasobnik i samolot wrócił do swej bazy w Brindisi. Zbieraniem pojemników i paczek w terenie zajął się oddział „Surmy”. Jeden pojemnik podkraść „Boruta”, dowódca oddziału Chełm, drugi do dziś nie wiadomo gdzie zaginął. We wtorek 1 sierpnia 1944 roku wieczorem broń załadowana na furmanki wyrusza w kierunku granicy z Rzeszą. Jadą przez Jachówkę na Makowską Górę, przez las nad os. Sarnowa, przecinają szosę. Dalej przeprawiają się przez rzekę Skawę, jadą w górę przez Cyganową, kierując się do ustalonego miejsca przekraczania granicy. Droga, którą już przebyli była bardzo trudna. Dla ulżenia koniom „Surma” z konieczności zgadza się na pozostawienie części broni na os. Drwale, pod opieką „Ofiarnego”, akowca z oddziału „Huta-Podgórze”. Pozostawienie części pojemników okazało się słuszne, bo przejazd z całym ciężarem potokiem Grzechynka byłby niezwykle ryzykowny. Po wyjechaniu z lasu grzechyńskiego, tabor znalazł się na otwartej przestrzeni. „Surma” z taborem zboczył z trasy i zatrzymał się na krótko w najbliższym os. Zaborem. Okolica wydawała się spokojna, jakby nie było wojny. Zasięgnięcie języka u mieszkańca tego osiedla też to potwierdzało. Mimo, że dochodziła siódma rano, „Surma” postanowił dojechać do pierwszego miejsca postoju. Na granicy Rzeszy i Guberni, przy os. Spyryki dochodzi do potyczki z patrolem granicznym, dwóch niemieckich żołnierzy z patrolu zostaje zastrzelonych, trzeci ucieka. „Surma” znając okolicę kieruje furmanki w dół, wzdłuż granicy, wgłębianą drogą, tak że brzegi zasłaniają jadące furmanki. Partyzanci przenoszą z wozów cały sprzęt przez łąkę nazywaną przez miejscowych jako „Bronkowe Młacki”, do młodka otoczonego starymi drzewami. Po zamaskowaniu broni i zatarciu śladów na łące, kryją się gdzie mogą. Niemców, jak to było wcześniej do przewidzenia, podwieziono od Stryszawy do siedliska „Hucisko”, skąd w dużej liczbie szli lasem w kierunku miejsca potyczki z partyzantami. Przechodzili gęsiego obok ukrytych partyzantów, część z nich jedną stroną potoku, a druga grupa po drugiej stronie odnogi tegoż potoku. Natomiast kilkuarowy młodnik z ukrytymi partyzantami znajdował się pośrodku. Po godzinie szesnastej Niemcy wracają do samochodów. Partyzanci w nocy przenoszą wszystko do lasu, w pobliżu domostwa Stefana Siwca. W następną noc przenoszą broń dalej do os. Role w Suchej. Po odpoczynku „Jawor” i jego ludzie wracają, zabierają za jednym razem cały sprzęt z os. „Drwale” i ukrywają na Rolach. „Jawor” z tego co dostał na Role, bierze tyle broni, ile tylko może i zano-

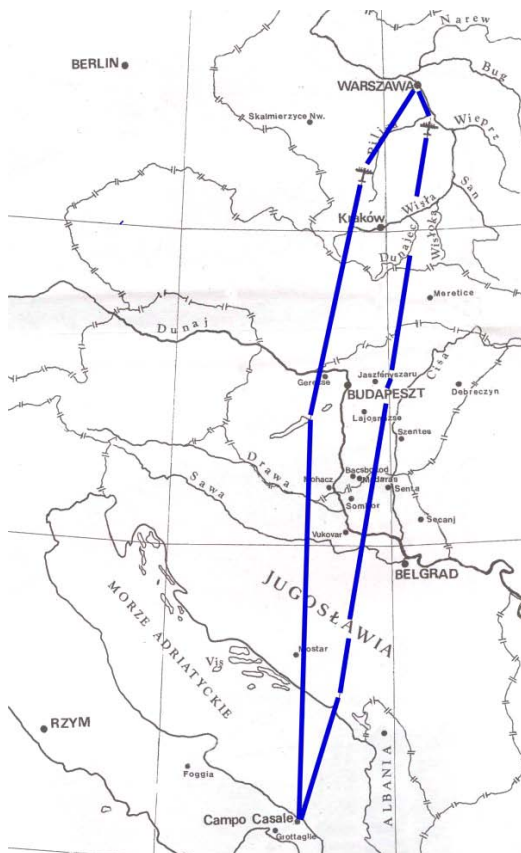


KAPLICZKA NA OSIEDLU SPYRKI

si do obozu na Kocierzu. „Surma” rozdysonował otrzymaną broń i dopracował plan, który został obmyślony przez „Jawora” i „Harta” na przewóz części broni kolejną. Pomysł trochę szalony, ale jak się później okazało udany. W piątek 24 listopada 1944 roku, ze schowka na Rolach, „Jawor”, przynosi do obozowiska na Kocierz, ostatnie osiem stenów.

Jadąc od Zawoi, Grzechyni albo Stryszawy do hotelu „Beskidzki Raj”, nie można ominąć wspomnianej figury Matki Bożej, podobnie jak i nie przejechać przez osiedle Spyрки.

Kamienna figura tej Matki Boskiej (na postumencie widnieją rok 1870) pierwotnie stała około piętnaście metrów poniżej miejsca, w którym stoi dzisiaj.



[HTTP://WWW.SPPW1944.ORG/INDEX](http://www.sppw1944.org/index).
[HTML:HTTP://WWW.SPPW1944.ORG/POWSTANIE/POWSTANIE_ZRZUTY.HTML](http://www.sppw1944.org/powstanie/powstanie_zrzuty.html)
 (16.07.2014)

Dokładnie stała w kępie kamieni na rozwidleniu dróg w kierunku Grzechyni i Zawoi. Kapliczka ta stojąc na tym rozwidleniu była często świadkiem przewracających się na tym ostrym zakręcie wozów konnych.

A że tym wywrotkom towarzyszyły siarczyste przekleństwa furmanów, co nie przystoi uszom Matki Bożej, jeden z gospodarzy ze Spyrkówki, Jan Spyрка ofiarował część swojego pola i figurę przeniesiono na miejsce, gdzie obecnie stoi. Od tego momentu wozy przestały się przewracać, a furmani z tej przyczyny przeklinać. Matka Boska zawsze czuwała i czuwa do dzisiaj nad osiedlem Spyрки. Przykładem jest opisywane w tej publikacji wydarzenie związane z transportem broni przez partyzantów, w dzień odpustu Matki Boskiej Anielskiej, drugiego sierpnia 1944 roku. W przeszłości używano różnych form nazwy tego osiedla: Spyрки, U Spyрки, czasem też Spyrkówka.

Trasa lotów samolotów ze zrzutami dla Warszawy z Brindisi we Włoszech, lotnisko wojskowe Campo Casale z Bazą 1586 Samodzielnej Eskadry do Zadań Specjalnych, z którego 30 lipca 1944 roku wystartował samolot z bronią, którą przewoził przez granicę porucznik „Surma” ze swoim oddziałem.

Zasobniki zrzutowe nierozbieralne. Z lewej – zasobnik otwarty, zapakowany sprzętem, z prawej – zasobnik zamknięty bez spadochronów.

BIBLIOGRAFIA

Wawrzonek Władysław.R. „Świstak”(red.), *Partyzanci Armii Krajowej Ziemi Żywieckiej 1942–1947*, cz. I–III. Załączniki. Opracowanie zbiorowe członków AK, zakończono 31 sierpnia 1999

Białasiewicz Wojciech, *Afera „Wismana”*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1985

Kluczkowski Zygmunt, *Dziennik z lat okupacji*, Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza 1959

Kurzępa Ignacy, *Lata wojny i okupacji – wspomnienia*.

Opracowanie zbiorowe. *Zmagania wojenne na Żywiecczyźnie 1939 – 1945*, ŚŻŻ AK. – Wyd. Żywiec 1999

Romanowski Aleksander, *Podhale w walce*, Warszawska Oficyna Wydawnicza Gryf. Warszawa 1994

Mazurkiewicz Tadeusz. *Moja wojna z Niemcami*, Instytut Wydawniczy PAX 1969, Uzupełnione ustnymi wspomnieniami autora skierowanymi do mnie końcem sierpnia 1985 roku, w mieszkaniu Pana Tadeusza Mazurkiewicza „Boruty” w Makowie Podhalańskim.

Wspomnienia Józefa Kołacza „Jawora, obecnie dokument znajduje się w czytelni „Czynu Niepodległościowego” w Krakowie pod nr 1039.

Wspomnienia Andrzeja Pyclika „Nurmiego”, obecnie dokument znajduje się w czytelni „Czynu Niepodległościowego” w Krakowie pod nr 1040

Ustne wspomnienia Władysława Kysia „Władka”, członka AK sekcja kolejowa
Wspomnienia Ludwika Drwała w formie maszynopisu oraz jego ustne relacje w osobistej rozmowie z autorem.

Pan Ludwik Drwał prawdopodobnie jest ostatnim żyjącym, który pomagał w przenoszeniu części rzutowej broni.

Relacje mieszkańców Spyrkówki.

Mój ojciec – Józef Spyrka nie dożył końca okupacji, ale matka **Weronika Basiura vel Spyrka** z d. Zawora, co wiedziała i widziała, przekazała ze mi szczegółami. Do nas nazywano „do Wsiorzanki” z racji tego, że moja babka Wiktoria ze strony ojca, podobnie jak



JÓZEF SPYRKA Z ŻONĄ WERONIKĄ
W DNIU ICH WESELA W 1941 R.

i mama Weronika pochodzili z osiedla Wsiórz w Strykawie. Do sąsiadów również przylgnęły nazwy od miejsca ich pochodzenia lub od imion, czy nazwisk poprzednich mieszkańców. A że mój dom rodzinny stał i stoi na samym środku osiedla Spyrki, to można było usłyszeć i zobaczyć różne rzeczy.

Zaś nasza najbliższa sąsiadka Stefania Spyrka tak wspominała,(przytaczam tylko jej jeden cytat): „Godom ci Ceśku, ton Niymiec wygłodoł, jakby łopiyroł się o niewidoczno ściano ze śkła. Trzepoło nim strąśnie, ale sie nie wywraćoł, jakby te kule strzylane z tegło maszynyngwera nie dawały mu sie przewroćić.”

Następnym istotnym źródłem byli kolejni sąsiedzi, których z racji braku własnych dziadków, traktowałem jako swoich własnych. Z uwagą i cierpliwie słuchałem ich opowieści. Przytoczę kilka ciekawostek, które za-

pewne ułatwią wyobrazić sobie osobowość „moich” dziadków.

Franciszek Polak, zwany dziadkiem Franusiem od Kukowianki, lubił się bawić z dziećmi niemal z całej Spyrkówki, przygrywając nam na swojej heligonce.

Antoni Spyrka, zwany dziadkiem od Jantusia, który snuł niekończące się opowieści o pierwszej wojnie światowej, ubarwiane niewiarogodnymi przygodami w stylu Juliusza Verne. Ależ dobrze się tego słuchało.

Emil Kudzia, zwanym dziadkiem „Od Zgory”, jego opowiadania były jak najbardziej na poważnie. Jako człowiek zasadniczy starał się, by to co mówił zawsze było zrozumiałe i wiarygodne.

Wincenty Polak, zwany dziadkiem Wickiem od Kuboska, niezwykle czytany. To on zaraził mnie bakcylem czytelnictwa. Wincenty Polak to drugi mieszkaniec od Spyrki, który był naocznym świadkiem zastrzelenia przez partyzantów zatrzymujących ich Niemców. Słuchając jego wspomnień o tym, miało się wrażenie, że czyta się dokument.

Po latach, porównując to wszystko z innymi spisаныmi relacjami, właśnie te przekazywane ustnie relacje, okazały się najbliższe stanowi faktycznemu, opisywanego wydarzenia.

Ustne wspomnienia Władysława Basiury – do 1947 roku mieszkańca osiedla „Za Borem”, a potem mieszkańca Spyrkówki. Był jedynym, który rozmawiał z dowódcą przejeżdżających partyzantów na 15 minut przed przekroczeniem granicy. Widział obładowane bronią furmanki, które były w zasięgu ręki. Wielokrotnie, jako młody chłopak pytałem go, co jeszcze więcej wie na ten temat. Jednak zawsze mnie zbywał, zazwyczaj odpowiadając coś w rodzaju: „A po co ci to wiedzieć, chłopce?”

Dopiero w 1971 (rok jego śmierci) zdecydował się wszystko dokładnie mi opowiedzieć. Dlaczego nie chciał wcześniej mówić na ten temat? Zwyczajnie, dla bezpieczeństwa swojego i rodziny.

Właściwie to jego relacje posłużyły mi do skorygowania wiedzy na temat przerzutu broni przez granicę. Wyjaśniły także zagadkę, dlaczego przez tak długi czas nie chciał rozmawiać na ten temat. W 1944 roku mieszkał jeszcze „Za Borem”, był wtedy kawalerem. Żeniąc się w 1947 z moją matką, zamieszkał na Spyrkówce. Pewnej nocy, latem 1949 roku, przed północą do naszego domu weszło dwóch osobników, pozostali czekali przed domem. Zażądali, aby ojczym zaprowadził ich do miejsca, w którym partyzanci mieli złożoną broń po przekroczeniu granicy w sierpniu 1944 roku. Ojczym odpowiedział zgodnie z prawdą, że niby skąd on ma to wiedzieć. Dla pewności zapytali, czy to on jest tym Władysławem Basiurą, który w czasie wojny mieszkał „Za Borem”. Ojczym potwierdził.

- No to czemu kręcisz, że nic nie wiesz o żadnej broni? – dopytywali goście.
- A bo nie wiem – usłyszeli odpowiedź.
- Ale to przecież w ten czas z tobą rozmawiał dowódca partyzantów i ty im powie-



WŁADYSŁAW BASIURA



RODZINA WŁADYSŁAWA BASIURY, 1956

działeś, że za Spyrkami w lesie, poniżej zabudowań Stefana Siwca, można się bezpiecznie w tym lesie ukryć.

– Tak to prawda, ale panowie, doszło do strzelaniny na granicy, koło figury Matki Boskiej, partyzanci zastrzelili dwóch Niemców, a trzeci pobiegł na placówkę po pomoc. Wtedy to partyzanci gdzieś się musieli szybko ukryć. Z tego co mówią sąsiedzi wynika, że furmanki z bronią jakby się pod ziemię zapadły. Drogi prowadzą wgłębianymi wąwozami, co im widocznie skutecznie w tym pomogło. Zaś broń z furmanek partyzanci pewnie zabrali ze sobą.

A co się dalej z bronią działo, to ani sąsiedzi, ani tym bardziej ja nie wiem – wyjaśniał spokojnie ojczym.

– Tak to prawda, my o tym wiemy. A dodając trochę przyjaźniej, zapytali:

– Ale gdzie ten wspomniany las i gdzie mieszka Stefan Siwiec to wiesz?

– No pewnie, że wiem.

– To nas tam zaprowadzisz?

– E, tam panie, gdzie to będziemy po nocy budzić ludzi, a i żona będzie się denerwować, dzieci małe, żona w ciąży.

– Panie Basiura, powiedz pan żonie, żeby była spokojna, bo za niedługo wrócisz. Dodali jeszcze, że nie należy też nikomu mówić o tej sprawie.

Następnie kazali ojczymowi włożyć coś ciemnego na siebie i wyszli. To zdarzenie dobrze zapamiętałem jako siedmioletni chłopak. Ale nie wiedziałem, o co chodzi? Jednego z przybyłych dokładnie widziałem. Był szczupły, wysoki, że sięgał w chałupie sufitu. Przed domem czekało jeszcze dwóch. Jeden z nich miał zarost na brodzie. Gdy doszli na „Polonkę”, obudzili Stefana. Dwóch weszło do domu, zaś ten z brodą i jeszcze jeden zostali z ojczymem pod oknem od kuchni.

Rozmowa toczyła się w kuchni. Przez otwarte okno było dokładnie słyhać, o czym rozmawiali. Jak wspominał ojczym od razu powiedzieli Stefanowi, że wiedzą, iż furmanki do tego rejonu nie dotarły. Ale partyzanci na swoich plecach przynieśli tę broń w pobliże jego domu. Goście przekonywali gospodarza, iż są pewni tego, że gdzieś zachowało się trochę tej zrzutowej broni. Mówili też, że ta broń jest im bardzo potrzebna, dlatego są w stanie dobrze zapłacić za wskazanie miejsca jej przechowywania. Stefan przyznał wtedy, że sobie przypomina, iż po strzelaninie u Spyрки, w zawojski odpust, przy końcu wojny, zatrzymała się w lesie grupa partyzantów, która przenosiła broń. Wspominał także, że cały dzień przesiedzieli tutaj, nawet gotowali kawę u niego. Posiłki sami organizowali, chyba gdzieś w Suchej. Wieczorem doszło jeszcze kilku kolejnych partyzantów, tak, że zabrali wszystko za jednym zamachem i poszli w kierunku Suchej.

– Szkoda waszego czasu, bom pewny, że tu na „Polonce”, żadnej broni partyzanci nie zostawili – podsumował rozmowę Stefan Siwiec.

Chwilę jeszcze odczekali, a następnie podając Stefanowi rękę prosili, by nikomu nie

mówił, że tu byli i pytali o broń. Potem razem wrócili nad nasz dom. Ojczymowi grzecznie podziękowali, powiedzeli by przeprosił w ich imieniu żonę, dodając coś w rodzaju „nas tu nigdy nie było”.

Odeszli pełną drogą w stronę Grzechyni przez Warciaki. Moim zdaniem wśród wspomnianych wyżej gości był zapewne Jan Sałapatek oraz jego koledzy. Zdjęcia, do których obecnie dotarłem to potwierdzają. Moja mama również potwierdzała, że ojczym zaraz tak przypuszczał. A 1944 roku Sałapatek jako mieszkaniec Jachówki i czynny żołnierz podziemia wiedział o trasie przewozu broni. Zresztą żadnych innych grup zbrojnych na tym terenie w 1949 roku nie było. Jan Sałapatek został śmiertelnie ranny i zmarł 29 stycznia 1955 roku w Krakowie. Śmiertelną ranę odniósł w ubeckiej zasadzce, zastawionej 18 stycznia tegoż roku w Trzebuni, w domu Józefa Śmietany, Sałapatek został wtedy uderzony w tył głowy. Ale na tym sprawa broni dla ojczyma jeszcze się nie zakończyła. Bowiem, gdy mi o tym opowiadał w 1971 roku, myślałem że pomylił daty, co jednak do niego nie było podobne. Miał trudności z czytaniem i pisanem, ale pamięć miał znakomitą i nie lubił rzucać słów na wiatr. Mianowicie jesienią 1958 roku „odwiedzili” ojczyma dwaj „panowie” z bezpieki. Pytali o to, o co pytali tamci w 1949 roku, tyle tylko, że mniej wiedzieli o szczegółach tej sprawy. Strasząc ojczyma próbowali mu wmówić, że właściwie to on wie gdzie jest ta broń ze zrzutu, a nawet że podejrzewają ojczyma o jej ukrywanie. Napisali nawet jakieś pismo, podali ojczymowi do przeczytania i podpisania.

O czym zgodnie z prawdą odpowiedział im, że nic nie będzie podpisywał, bo nie potrafi czytać ani pisać. Powiedzieli:

– W takim razie, wystarczy postawić krzyżyk, a do przeczytania zawołać kogoś z dorosłych domowników.

– Panowie, chyba zawołam sąsiadów, bo żona poszła do swojej matki i wróci dopiero jutro, a syn mieszka w Krakowie i przyjedzie dopiero w sobotę – odpowiedział ojczym.

Wtedy jeden do drugiego rzekł:

– K..., ale nas stary s..., jak mu pokażemy takie zeznanie.

– To co robimy z tym zeznaniem?

– A do dupy z takim protokołem, weź to lepiej spal.

Jak opowiadał ojczym, potem podszedł do pieca i wrzucił pismo do ognia, po czym wyszli z domu bez słowa, z durnowatymi minami. Od tego czasu już nikt w sprawie broni nas nie nachodził. W tej historii przez lata nurtowała mnie ta data.

Tyle lat po wojnie, a jeszcze szukali zrzutowej broni. Mimo zapewnień ojczyma, że dobrze pamięta rok odwiedzin przedstawicieli bezpieki, miałem wątpliwości. Nic, jak amen w pacierzu, ojczym sobie pomylił lata? A jednak. W archiwach IPN, znajduje się notatka służbowa SB z dnia 23.kwietnia 1958 roku, oznaczona znakiem: /IPN K a o32 / 17 t.7, cz 3/.

Z notatki tej wynika że, niejaki Kazimierz Wolny, „Hart”, był podejrzany o zamelinowanie większej ilości broni, która pochodziła ze zrzutu. Tyle notatka. Ale trzeba wiedzieć, że ten sam „Hart” po wojnie się nie ujawnił, walczył przeciwko ubekom w okolicach Żyw-

ca, paru nawet skrócił życie. Zmienił swoje dane z Kazimierza Wolnego na Józefa Jeleśniańskiego.

Dopiero po 1990 roku wrócił do swojego pierwotnego nazwiska. Trzeba też pamiętać, że według dokumentów zrzut broni dla partyzantki żywieckiej był tylko ten jeden jedyny, a „Hart” był mocno zaangażowany podczas jej melinowania. W efekcie bezpieczeństwa, do której dotarły przecieki w 1958 roku, tak na wszelki wypadek, bezskutecznie szukała i nie znalazła ani „Harta”, ani zrzutowej broni.

EPILOG

Podsumowując moje opracowanie, pragnę jeszcze raz podkreślić, że starałem się możliwie dokładnie i poprawnie ustalić istotne fakty, które dotyczą owego odbioru i przewozu zrzutowej broni. Tym bardziej, iż w większości poprzednich publikacji często mylnie podawano datę całego zajścia. Nie zgadzało się to z datą przekazywaną ustnie. Jednak z dokumentacji zrzutów wynika, że to mieszkańcy Spyrkówki najdokładniej pamiętali datę, a nawet godzinę przekraczania granicy. Potwierdzają to niezbiecie uzyskane przez Władysława. R. Wawrzonka „Świstak” meldunki zrzutowe porównane ze wspomnieniami najmłodszego uczestnika tego transportu broni – Eugeniusza Smoczka „Mrówki”. Nawet w najbardziej wiarygodnych opracowaniach historycznych, a zapewne takimi są te autorstwa Zygmunta Jankego „Waltera”, nie uniknięto moim zdaniem poważnej pomyłki podając, że zrzut odebrano w 1943 roku. Następnie inni, opierając się o jego opracowanie, zauważają, że coś jest nie tak. Więc piszą, co sami uznają za słuszne i nie korygują dokładnie.

Do 2013 roku uważałem, że jest to zwykły chochlik drukarski. Jednak powód tego błędu jest inny. Mianowicie dla dokładności postanowiłem sprawdzić jeszcze dokumenty źródłowe znajdujące się w czytelni Czynu Niepodległościowego w Krakowie. Gdy wertowałem relacje uczestników owego taboru, które potwierdzały to co już wiedziałem i opisałem. Zainteresował mnie niby drobny, ale moim zdaniem bardzo istotny szczegół.

Jak przyznał sam Zygmunt Janke „Walter”, jako komendant Okręgu Śląskiego AK, nigdy nie dotarł w nasze okolice i osobiście nie miał kontaktu z partyzantką AK operującą po obu stronach granicy w górach Beskidu Żywieckiego i Makowskiego. W 1967 roku, prawdopodobnie dla uzupełnienia tej luki lub potwierdzenia tego, co już wiedział, dotarła w ten rejon pani, przedstawiająca się jako Aleksandra „Walterowa”. Odszukała jeszcze żyjących, byłych partyzantów z oddziału „Surmy” i przeprowadzała z nimi coś w rodzaju wywiado-wspomnień, nagrywając wszystko na taśmę magnetofonową. Następnie nagrania te zostały maszynowo przepisane i skatalogowane. Autorstwo tych dokumentów zostało potwierdzone, jak również to, kto wykonał nagranie. Dokumenty te opatrzone stosownym numerem i umieszczone w/w czytelni. Otóż Pani Aleksandra „Walterowa”, słuchając wypowiedzi pana Andrzeja Pyclika zadała pytanie: (tu cytat z pamięci)

– A to, w którym roku odbieraliście i przewoziliście tę broń?
– Ano 1943 – padła odpowiedź.
– Czy na pewno to było w 1943 roku? – dopytywała „Walterowa”.
– Tak, na pewno. To było latem 1943 roku. – odpowiedział pan Andrzej Pyclik „Nurmi” Andrzej Pyclik.

Dla byłych partyzantów udział we wszystkich akcjach był tak oczywisty, że nie przywiązali zbyt wagi do tego kiedy to było. Ja dla poprawności historycznej tylko nadmieniałem, by wiedzieć, skąd się wzięła taka rozbieżność.

Czytając wszelkiego rodzaju publikacje odnośnie tego jedyne go zrzutu zauważyłem, że często autorzy piszą o tym, że połowa otrzymanej broni była dla oddziału AK „Garbnik”, czyli dla oddziału „Surmy” a drugą niby miał otrzymać oddział AK „Chełm”, dowodzony przez „Borutę”, czyli Tadeusza Mazurkiewicza. Okoliczność ta w żadnych wspomnieniach samych uczestników nie ma potwierdzenia. Brak jest również dokumentacji w tej sprawie, dlatego postanowiłem tej rozbieżności przeznaczyć nieco więcej uwagi. Najbardziej wiarygodną osobą, która mogła potwierdzić, jak rzeczywiście było, jest sam Pan Tadeusz Mazurkiewicz „Boruta”. W wydanej w 1969 przez PAX książce pt. „Moja wojna z Niemcami” autorstwa tegoż, w rozdziale szóstym „Pierwsze strzały” autor opisuje, że na jego osobistą prośbę skierowaną do dowodzącego akcją na górze Chełm:

– „Może by było coś i dla nas, na początek choćby ze dwa automaty?”

Usłyszał:

– „Z tego zrzutu zdecydowane nie. Musi być porządek. Zrzut jest dla oddziału „Surmy” i w całości musi do nich trafić, o was pomyślimy później.”

Dalej pisze, że owszem, ze swoim zwiadowcą „Różgą” podkraśli jeden pojemnik, w którym było dwanaście stenów, sześć rewolwerów, dwie radiostacje i dwa zegarki marki „Zenith”. Więc gdyby otrzymał połowę broni, dlaczego musiały ją podkraść? To samo usłyszałem od Pana Mazurkiewicza w dniu 31 sierpnia 1985 roku w jego mieszkaniu na osiedlu 1000-lecia w Makowie Podhalańskim. Pan Tadeusz Mazurkiewicz „Boruta” jako dowódca OP „Chełm”, a poprzednio miejscowy listonosz, był dobrze obeznany z topografią okolicy. Zdecydowanie podkreślił, że broń zrzucono na polanie góry Chełm, a nie w Palczy. Dowiedziałem się wtedy, że mój rozmówca nigdy osobiście nie poznał „Surmy”. Słyszał, że to był bardzo dobry dowódca w okolicach Żywca i Sucheja, ale dalszych jego losów nie znał.

W Palczy do końca wojny punktem kontaktowym kierował ukrywający się z żoną i małą córeczką pod zmienionym nazwiskiem Adam Ryczek „Blondyn”.

Od 1949 roku objął posadę leśniczego w Stryszawie i zamieszkał w leśniczówce. Odczuwało się od niego jakiś zagadkowy szacunek do mieszkańców Spyrkówki. Większość Spyrkowian żyła z bednarstwa, a drewno świerkowe podkładało się z lasu „pańskiego”, który podlegał pod stryszawskiego leśniczego. Ponadto wypasanie krów w tym lesie było nagminnym. Zdarzało się jednak czasem, że jakiś gorliwy gajowy przyłapał kogoś



CUD CZY PRZEZNACZENIE?

na tym niezgodnym z prawem uczynku, za co groziła grzywna i nie tylko. W takim przypadku szło się do pana leśniczego Ryczka, który już zazwyczaj sprawę znał. Po wysłuchaniu delikwenta, padało zawsze znamienne stwierdzenie: „To jesteście od Spyрки?” Po twierdzącej odpowiedzi, zazwyczaj otrzymywało się mini-wykład na temat szkodliwości czynu, po czym następowało obustronne grzeczne pożegnanie. I tak do następnego razu.

ustalenia geograficznie, czasowe i personalne. Dociekałem, w jaki sposób była rozdysponowana ta broń, w świetle zebranych informacji. Nie udało mi się jednak ustalić dokładnie wszystkich partyzantów biorących udział w opisywanym transporcie. Wiadomo jedynie, że na pewno po broń łącznie ze „Surmą” z Kocierzy wyruszyło szesnastu, a po-

wróciło siedemnastu, bo w Zachełmnej dołączył najmłodszy uczestnik owego transportu siedemnastoletni Eugeniusz Smoczek ps. „Mrówka”.

Na tle innych, podobnych akcji, ta operacja, choć jedna z trudniejszych, mimo wpadki na granicy i zagrożeń z tym związanych, miała szczęśliwe zakończenie.

Prezentacja opracowania Czesława Spyry „Między cudem a przeznaczeniem” po raz pierwszy miała miejsce w dniu 2 sierpnia 2014 r., w 70-tą rocznicę opisanych wydarzeń. W tym dniu, w obecności mieszkańców Spyrkówki oraz okolicznych przysiółków,



CZESŁAW SPYRKA ODSŁONIŁA PAMIĄTKOWĄ TABLICĘ

został odsłonięty i poświęcony głaz z pamiątkową tablicą. Pomysłodawcą organizacji tego niezwykłego spotkania, jak również fundatorem tablicy był Czesław Spyрка. Jako zawodowy kamieniarz wykuł także napis na tablicy. Poświęcenie tego pamiątkowego kamienia miało miejsce podczas polowej mszy św. z udziałem poczty sztandarowego przysiółkowej OSP. Przewodniczył jej Ojciec Jakub Jaroszewicz – proboszcz Parafii św. Józefa Robotnika. Honorowymi gośćmi były osoby, które w dniu



CELABRA ORAZ POCZET SZTANDAROWY PRZECHODZĄ POD MIEJSCE UPAMIĘTNIAJĄCE WYDARZENIA
Z 2 SIERPNIA 1944 R.

2 sierpnia 1944 r. jako dzieci były świadkami opisanych wydarzeń oraz władze gminne Stryszawy i powiatu suskiego.

Przewodnią myślą obchodów 70-lecia wydarzeń na osiedlu Spyрки, było nie tylko upamiętnienie wydarzenia z czasów II wojny światowej, ale przede wszystkim dziękczynienie Bogu i Matce Bożej za ocalenie Spyrkówki od zbiorowego rozstrzelania.

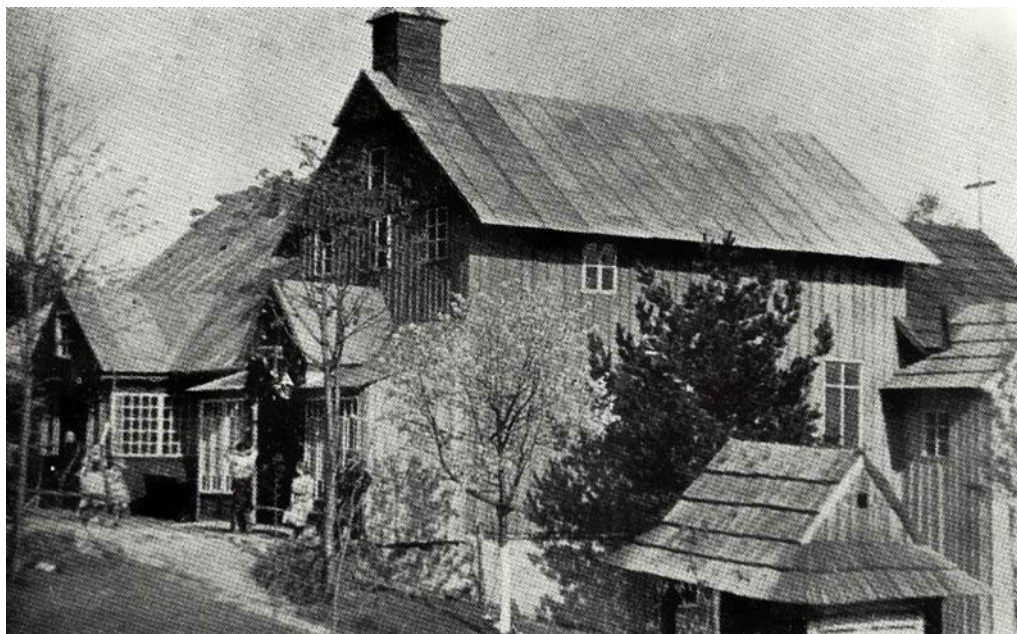


OJCIEC JAKUB JAROSZEWICZ POŚWIECĄ MONUMENTALNY GŁAZ. PO PRAWEJ – POŁOWA MSZA ŚW. PRZY
KAPLICZCE MATKI BOŻEJ W DNIU 2 SIERPNIA 2014 R.

KARMELICI BOSI

W ZAWOI-ZAKAMIENIU

Kościół i klasztor Karmelitów Bosych usytuowane w przysiółku zwanym Zakamieniem, wznoszą się na zboczu góry poniżej Magurki i Przysłopia. Ten malowniczy zakątek położony blisko Babiogórskiego Parku Narodowego, znajduje się na terenie gminy Zawoja i jest częścią tej miejscowości. Początki karmelitańskiej placówki związane są z postacią o. Bernarda Smyraka, karmelity bosego, który był inicjatorem, współrealizatorem budowy nowej placówki i co warto wspomnieć, współziomkiem zawojskiej społeczności. O nim w kronice współbracia napisali: pospolicie nazywamy go „strykiem”, bo jest rodakiem zawojskim i rodzina tym mianem Go darzy.



ZABUDOWANIA KLASZTORNE LATA 60-TE

Pierwsze przygotowania z zamiarem postawienia w tym miejscu domu zakonnego i kaplicy sięgają końca lat trzydziestych ubiegłego wieku. Już w roku 1938 o. Józef Prus gromadził materiał do realizacji budowy. Zaś ofiarodawczynią swego majątku na cel nowej fundacji była Pani Maria Bielas (zamieszkała na Przysłopiu 665). W swoim testamencie dokonała faktycznej darowizny na rzecz o. Bernarda Smyraka i Zakonu Karmelitów Bosych w 1942 roku, a Sąd Gromadzki w Makowie Podhalańskim przyznał Zakonowi



ZABUDOWANIA KLASZTORNE WSPÓŁCZESNE

Karmelitów Bosych spadek po Marii Bielas, oraz zezwolił na przeprowadzenie wpisów hipotecznych.¹ W celu scalenia gruntów 15 stycznia 1948 roku o. Bernard kupił od Juliana Oleksy parcelę „Za Kamieniem”, następnie dnia 5 września tego samego roku przeprowadził z nim wymianę mającą na celu scalenie parcel zapisanych przez Marię Bielas. Wpis do ksiąg wieczystych Zakonu Karmelitów Bosych jako właściciela, dokonał się

w Sądzie Powiatowym 17 kwietnia 1959 roku w Wadowicach.² Otrzymaliśmy z Sądu Powiatowego w Wadowicach - możemy przeczytać w kronice klasztoru – trzy egzemplarze poświadczenia własności nieruchomości po śp. Marii Bielas, córce Franciszka; jest podanych 9 pozycji – inne pozycje są przepisane na Juliana Oleksę przy zamianie małych działek na większe i nam bliższe. Na końcu widnieje podpis sekretarza Sądu: L. Kuźma. Planom budowy klasztoru przeszkodziła okupacja wojenna, a niemal wszystek materiał gromadzony przez o. Józefa został zabrany przez Niemców. Z tego, co udało się ustrzec



JUBILEUSZ 25-LECIA KAPŁAŃSTWA O. BERNARDA SMYRAKA.

1 o. Benignus Józef Wanat, *Zakon Karmelitów Bosych w Polsce. Klasztory karmelitów i karmelitanek 1605-1975*, Kraków 1979, s. 588.

2 Tamże



UROCZYSTOŚCI PRZED STARYM KOŚCIOŁEM

o. Bernard Smyrak w 1941 roku rozpoczął budowę. Budynek w stanie surowym pozostawał do końca wojny. Wraz z jej końcem, na własną rękę i z wielkim trudem kontynuował prace. W 1946 roku dom posiadał prywatną kapliczkę i nadawał się na zamieszkanie. Przez jakiś okres przebywała tam niewielka kolonia siostr Karmelitanek Dz. Jezus z Sosnowca. Po opuszczeniu domu przez siostry, aby wykorzystać to uroczne miejsce postanowiono, że dom będzie służył za rezydencję wypoczynkową dla studentów i profesorów Prywatnego Gimnazjum OO. Karmelitów Bosych w Wadowicach. Dyrektorem gimnazjum był o. Walerian Ryszka, on to 4 maja 1948 r. zwrócił się do Kurii Metropolitarnej w Krakowie z prośbą o pozwolenie na celebrowanie Mszy św. i udzielenie kaplicy praw publicznych, a także o przywilej odprawiania w niej nabożeństw przyjętych w Zakonie. Prośbę podpisał również ówczesny proboszcz Zawoi ks. Franciszek Sitko. Kuria pismem o sygnaturze L. 4310/48 pozytywnie przychyliła się do przedstawionej prośby.

W tym czasie, z pomocą miejscowej ludności, o. Bernard budował drewnianą kaplicę poświęconą św. Józefowi. Mieszkańcy nie tylko pracowali przy budowie ale także według możliwości przynosili materiał. Tak wspomina o tym mieszkanka Przysłopia, Pani Hermi na Spyрка: Lata czterdzieste i pięćdziesiąte były bardzo trudne dla naszego przysiółka. Na Przysłopi była bieda. Nie było dobrej drogi, którą mógłby dojechać samochód, nie było elektryczności. Nikt nie miał prywatnego samochodu. Były natomiast taczki, łopaty, kilofy, a ludzie bardzo chętnie współpracowali z o. Bernardem, pomagając przy budowie kościoła. Ojciec mimo, iż miał wielu przeciwników i wrogów był zawsze uśmiechnięty i pe-



DREWNIANA KAPLICA WIDZIANA Z BOKU. POCZĄTEK LAT 70-TYCH

łen wspaniałych pomysłów, które nam podpowiadał. (...) Były to trudne czasy. Budyjący klasztor ksiądz, jak również nieżyjący już mieszkańcy wzywani byli do odpowiedzialności... Ja rosłam razem z budzącą się wtenczas, a teraz już „naszą” małą parafią.³ Powstanie kaplicy datuje się na rok 1949, a została poświęcona w uroczystość odpustową św. Józefa



DREWNIANA KAPLICA Z FIGURĄ ANIOŁA

19 marca 1950 roku przez ks. Franciszka Sitko. Kaplica była jednonawowa, postawiona po prawej (zachodniej) stronie budynku, a wymiary jej wynosiły: 12 m. długość, 6 m. szerokość, oraz zakrystia za wielkim ołtarzem 2x6 m. Sprzęty liturgiczne na przechowanie i użytek kaplicy przekazał tercjarz z Szopienic, P. Wojciech Bartoszek. Były to: monstrancja, kielich, 3 ornaty, obraz MB. Ostrobramskiej, ołtarz św. Teresy od Dz. Jezus, sztandary, statua MB. z Lourdes, figura anioła z miedzi, oraz fisharmonia, za którą później przekazano P. Wojciechowi 4 000 zł. W roku 1951 o. Józef Prus odkupił z myślą dla klasztoru w Zawoi sześćsetkilowy dzwon ze spiżu od ss. Karmelitanek Bosych z Kalisza.

Dom zakonny wciąż podlegał pewnym ulepszeniom. Według inwentarza z 30 maja 1950 roku obejmował 5 malutkich pokoi, 3 werandy, sieni, kuchnię w suterrenach, salę teatralną pod

3 Hermina Spyрка, *Hej, kany sie podziały nase, dawne casy!?*, „Pod Diablakiem” 9, 1999, nr 3, s. 30.

kaplicą, magazyny, stodołę, drewnutnię, stajnię dla konia i krowy. Wybudowano więc sutereny z kamienia umieszczając w nich kuchnię, rektarz i od strony wschodniej stajnię. Na parterze zbudowano z drzewa cztery cele zakonne, które całkowicie rozwiązały problem mieszkaniowy. Obok kaplicy urządzono chór zakonny do odprawiania służby Bożej.⁴ Do roku 1954 gospodarzem domu pozostawał o. Bernard Smyrak. W tym samym roku Kapituła Prowincjalna Karmelitów Bosych w Krakowie postanowiła przyjąć fundację domu zakonnego w Zawoi i włączyć go w struktury Zakonu. Erygowanie domu wymagało dopełnienia wielu formalności. Najpierw uzyskano pozwolenie na powstanie domu zakonnego od Kurii Krakowskiej, którego udzielił ks. bp Franciszek Jop, wikariusz kapitulny (18 listopad 1954 r. nr 7182/54). Następnie zezwolenie na fundację z upoważnienia Stolicy Apostolskiej, którego udzielił ks. bp Michał Klepacz, przewodniczący Episkopatu Polski. Dekret z dnia 22 grudnia 1954 r. nosi sygnaturę 4709/54/P.E. ad 135/54. W 1966 roku Definitorium Prowincjalne podniosło rezydencję w Zawoi do rangi wikariatu. Pierwszym wikarym został o. Beniamin Kozera, a dyskretem o. Antonin Stańczyk.

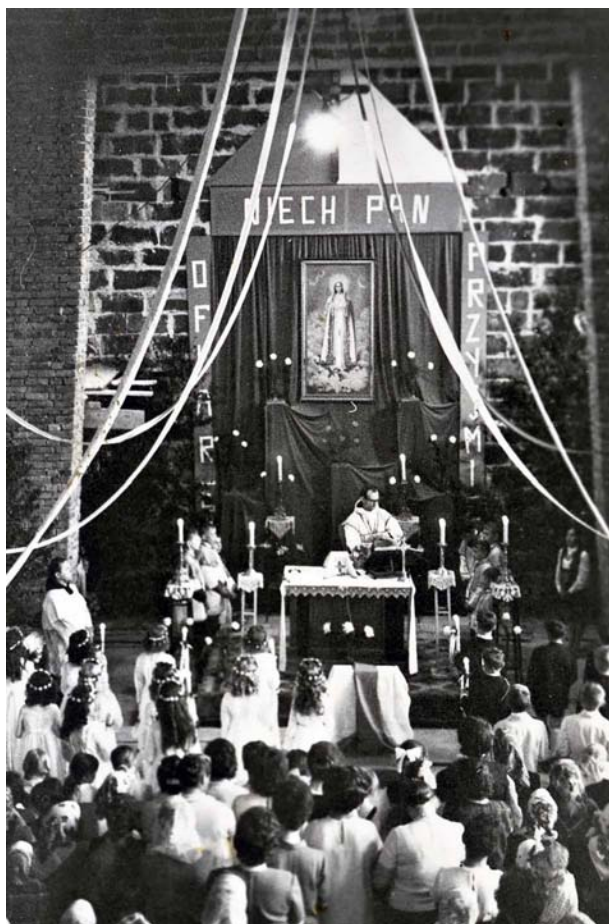


ŚWIATOWE DNI MŁODZIEŻY. LITWA, FRANCJA, SALWADOR I POLSKA NA PRZYSŁOPIU



ZABUDOWANIA KLASZTORNE

4 o. Benignus Józef Wanat, dz. cyt., s. 590.



O. ANTONIN STAŃCZYK. PIERWSZA KOMUNIA ŚW. W NOWYM KOŚCIELE



JUBILEUSZ KAPEŁŃSTWA O. REMIGIUSZA CZECHA

Ojcowie mieszkający na Zakamieniu byli oddani posłudze duszpasterskiej, często chodzili spowiadać do okolicznych parafii, wyjeżdżali na rekolekcje i misje. W celu dalszych podróży chodzili pieszo do Suchoj Beskidzkiej na stację kolejową, a stamtąd do Wadowic albo Krakowa. W kuchni i utrzymaniu domu pomagali im bracia zakonnici. Wiele czasu zajmowały prace związane z prowadzeniem gospodarstwa rolnego. Dla zorganizowania regularnego życia zakonnego ówczesny prowincjał, o. Józef Prus, który wcześniej był zaangażowany osobiście w tworzenie nowej placówki, wyznaczył na przełożonego o. Remigiusza Czecha. O. Remigiusz był przełożonym od lipca 1960 roku. Dokonano wtedy za pozwoleniem powiatowego architekta p. Matuszka i według jego planu kolejnych adaptacji i rozbudowy domu do wymogów życia zakonnego.

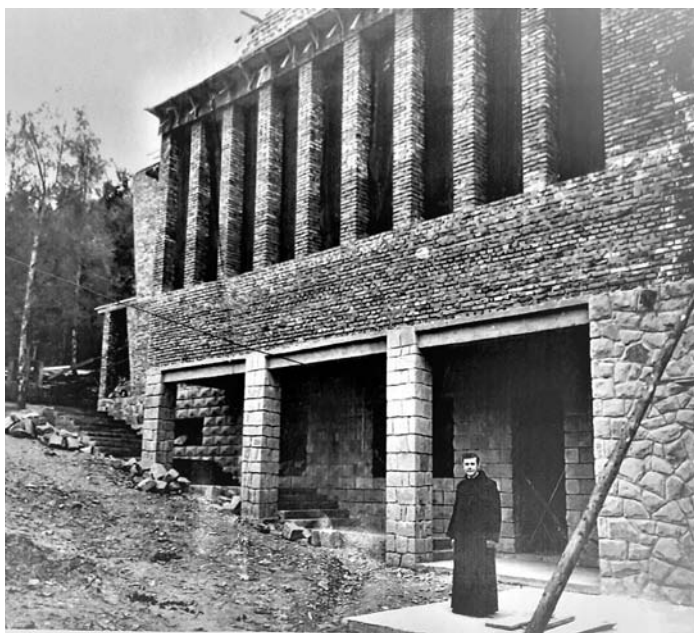
Ówczesny kronikarz, o. Jacek od św. Józefa, Komendera, napisał, że przy silnym wietrze halnym słychać było naprężającą się konstrukcję drewnianej kaplicy. Wielokrotnych napraw wymagał także dach, często przeciekający podczas ulewnych deszczów. Dopie-

ro latem 1961 roku zmieniono pokrycie dachowe na klasztorze i kaplicy – wszystko pokryte blachą i eternitem – podkreślił. Wtedy też przebudowano dzwonnice. W kronice, której autorstwo przejął sam przełożony, o. Remigiusz Czech, możemy przeczytać: Przy okazji przebudowy wmontowaliśmy trzeci dzwon, który był własnością Przysłopia a służył do zwoływania dzieci do szkoły. Widać, bardzo o. Remigiuszowi klasztor zawojski leżał na sercu. Wybrany w 1969 roku prowincjałem Polskiej Prowincji Karmelitów Bosych, zachęcił współbraci na Zakamieniu do budowy nowego kościoła, zapewniając przy tym o swoim wsparciu. We wrześniu roku następnego udało się rozpocząć budowę murowanego kościoła, podczas przełożeńskie kadencji o. Gracjana Bałysa, a kontynuację podjął następny gospodarz miejsca o. Antonin Stańczyk.

Przy budowie mocno zaangażowany był także o. Piotr Gleń. Budowę kościoła ukończono w 1976 roku. Zaprojektował go architekt inż. Antoni Nowotarski. Kościół stoi w miejscu drewnianej kaplicy i posiada cechy stylu podhalańskiego. Podobnie jak wcześniejsza kaplica otrzymał tytułację św. Józefa Rzemieślnika. Dnia 1 stycznia 1976 roku J. Em. ks. kardynał Karol Wojtyła, metropolita krakowski, mianował o. Remigiusza duszpaste-



OJCIEC PIOTR GLEŃ



O. PIOTR GLEŃ PRZY MURACH NOWEGO KOŚCIOŁA



O. BONIFACY KARPIŃSKI

rzem dla filii parafialnej na Zakamieniu, tym samym oficjalnie powierzono karmelitom bosym apostołstwo w ośrodku duszpasterskim św. Józefa Rzemieśnika w Zawoi-Zakamieniu.

W 1978 roku nowym przełożonym został o. Bonifacy Karpiński, który po objęciu urzędu zaraz energicznie zajął się całą gospodarką. Żadnych prac się nie lęka, ani w kościele,

ani na polu. Pogodny, rozśpiewany, życzliwy. Zapowiada się miła i pożyteczna kadencja – napisano w kronice klasztornej. O. Bonifacy piastował urząd przez dwie kadencje, tj. sześć lat. Jego długotrwałe starania o otwarcie cmentarza zostały uwieńczone sukcesem w marcu 1979 roku decyzją wojewody Bielska-Białej. W roku 1981 główną alejkę cmentarza wyłożono żelbetonowymi płytami, które przywieziono aż z Wrocławia. Zaś w lipcu 1983 roku parafianie, w odpowiedzi na myśl o. Bonifacego, podjęli się w czynie społecznym budowy kaplicy cmentarnej. Kaplicę wybudowano bardzo szybko. W kolejnych latach podejmowano prace wykończeniowe jak otynkowanie, schody przed kaplicą, pomalowanie elewacji.



NOWY KOŚCIÓŁ ZE STARYM KLASZTOREM WIDZIANE OD POŁUDNIA

Kościół i klasztor przyciągały uwagę gości i turystów przyjeżdżających na Przysłop. Wielu z nich chciało zatrzymać się na dłużej. Podjęto się więc nadbudowy potrzebnych pomieszczeń nad garażami. Przystosowywano istniejącą część budynku gospodarczego i dobudowano dalszą, z myślą o potrzebach powołaniowych, tj. wakacyjny pobyt karmelitańskich kleryków, a także o odwiedzających grupach młodzieży, oazach, a także dla samych współbraci na Zakamieniu jako tymczasowe lokum. W niedalekiej przyszłości bo-

wiem, miał powstać murowany klasztor w miejsce istniejącego. W tym czasie gospodarzem na Zakamieniu był o. Romuald Wilk. Inwestycję dotyczącą powstania nowego klasztoru datuje się na lata 1986-1990. Nowy - w miejscu dawnego, drewnianego - murowany klasztor zaprojektowali inż. W. Bohdziewicz i inż. S. Walczak z Warszawy.



O. ROMUALD WILK



MINISTRANCI Z NASZEJ PARAFII W SAN GIOVANNI ROTONDO



PARAFIANIE – AKTORZY MISTERIUM MĘKI PAŃSKIEJ

Wspólnotę klaszorną na Zakamieniu stanowi zwykle kilku zakonników, od 3 do 5. Prowadzą oni duszpasterstwo charakterystyczne dla typowej parafii, z akcentem na posługę sakramentalną. Zwyczaje duszpasterskie wiążą się z głównymi uroczystościami kościelnymi, z nabożeństwami przypisanymi poszczególnym okresom roku liturgicznego. Miejsce mają również bardzo konkretne wydarzenia duszpasterskie, jak odpust na święto Patrona parafii św. Józefa Rzemieślnika (1 V), odpust MB. Szkaplerznej (16 VII), wielka dziewięćsiódmiu nowenna przed uroczystością św. Józefa Oblubieńca (19 III), misterium Męki Pańskiej w wielkoczwartkowy wieczór odgrywane przez parafian, dożynki, kolęda duszpasterska, nabożeństwa fatimskie.



KAPLICZKA TRZECIEGO UPADKU

Idąc na Zakamień już z daleka można dostrzec wysoko wznoszący się maszt elektrowni wiatrowej, czyli zwyczajnie wiatrak. To jedna z ciekawostek związanych z karmelitańskim klaszorem. Konstrukcję postawiono pod koniec roku 1995. Ten nowatorski pomysł podjął o. Romuald i dzięki jego zabiegom projekt elektrowni wiatrowej został urzeczywistniony. Wiatrak pozostawał w posiadaniu klasztoru przez 17 lat, jednak wskutek pewnych trudności i wysokich kosztów konserwacji zyskał innego właściciela.

Będąc w bezpośrednim otoczeniu klasztoru zauważymy na wzgórzu klaszornym rozrzucone w pewnych odległościach kapliczki



PORANNA PROCESJA REZUREKCYJNA

Męki Pańskiej. Zostały one usytuowane przy leśnych ścieżkach, prowadząc pątników na wzgórze niczym na Kalwarię. Powstanie tych kapliczek jest zasługą i spełnieniem wyobrażeń o Bernarda Smyraka, który od początku fundacji tworzył charakterystykę tego miejsca. Droga Męki Pańskiej powstała w roku 1951, nie wszystkie kapliczki jednak były zbudowane z kamienia. Działanie czynników atmosferycznych sprawiło, że kapliczki zaczęły tracić swój urok. Drewniane elementy spróchniały, niektóre kapliczki znajdowały się w stanie upadku. W roku 1998, kiedy mieszkańcy poszczególnych przysiółków podjęli się odnowy kapliczek, na wielu z nich zmieniono więźbę i dach (VI, VIII, XIV). Z funduszy zebranych przez ludzi stację V Tadeusz Oleksa zbudował od podstaw. Przy stacji ukrzyżowania (XII) postawiono trzy nowe krzyże. Wielkodusznie do starań o utrzymanie kaplic Męki Pańskiej zachęcała i zabiegała o nie mieszkanka Przysłopia, Pani Hermina Spyrka. Dzięki niej, a także dzięki okolicznym mieszkańcom i sympatykom klasztoru na Zakamieniu kapliczki mogły być utrzymane w należytym stanie i służyć tym, którzy w tym szczególnym miejscu chcą przeżyć choćby chwilę modlitewnego zastanowienia.

SZKOŁA PODSTAWOWA NR 4 IM. ŚW. RAFAŁA KALINOWSKIEGO

Od roku 1896 do 1929 istniała w Zawoi Przysłop tzw. Szkoła Zimowa. Mieszkańcy Przysłopia, którzy posiadli umiejętność czytania, pisanie i rachunków, Kobiela Zofia, Kobiela Feliks, Oleksa Jan i Bogdanik Kazimierz przyjmowali w okresie zimowym w swoich domach doceniającą wartość wykształcenia młodzieży z Przysłopia i przekazywali im swoją wiedzę. Pierwszym dyplomowanym nauczycielem, który



SZKOŁA W ZIMOWEJ SZACIE

podjął pracę na Przysłopi był Franciszek Gazda. Według kroniki szkolnej był to rok 1929, według Leona Rydla rok 1932. Data podana przez L. Rydla najpewniej jest prawdziwa. Pan Rydel opracował życiorys Franciszka Gazdy na dobrze udokumentowanych podstawach. Niestety, pierwsze archiwum szkoły w Zawoi Przysłop wraz z bieżącą dokumentacją i biblioteką szkolną spłonęło w 1956 roku, w trakcie pożaru zabudowań Pana Władysława Spyрки, w których znajdowała się też sala lekcyjna. Początek kroniki szkoły w Zawoi Przysłop opracowała Pani Helena Smyrak na podstawie relacji i wspomnień mieszkańców i nauczycieli.

(„Gdy w myśl postanowień Rady Powiatowej, organizującej akcję dostosowania sieci szkolnej do wymogów ogłoszonej w tym czasie ustawy o szkolnictwie powszechnym, tak, by żadne dziecko nie było pozbawione możliwości korzystania z dobrodziejstw nauki, inspektoraty zgłosiły wol-



FOT. 521. OLEKSA JAN

ne posady. Skorzystał z tego Franciszek Gazda uzyskując w 1932 r. posadę na terenie bezszkolnym w Przysłopiu, przysiółku Zawoi, z poleceniem zorganizowania jednoklasowej szkoły powszechnej...

Przybył tam w okresie letnich wakacji aby przygotować izbę lekcyjną i mieszkanie dla siebie. Oczarowany krajobrazem babiogórskim, po zapoznaniu się z terenem przysiółka, odbywa pierwsze wycieczki... Dociera nawet do Lipnicy Wielkiej, gdzie poznaje podobnych sobie pasjonatów w osobach Józefy i Emila Miaków. Jest na występie zespołu lipnickiego w tamtejszym Domu Ludowym... Wracał więc Franciszek Gazda z wewnętrznym postanowieniem obudzenia folkloru na swoim terenie.

Przysłop to przysiółek leżący na południowym zboczu Magurki... Wtedy był to „świat zabity deskami”, odległy od centrum Zawoi i sklepu o przeszło 1 godzinę marszu, od stacji kolejowej w Suchej Beskidzkiej o przeszło 2 godziny, a od Makowa Podhalańskiego przez Grzechynię do 3 godzin marszu. Łączność ze światem gwarantowały jedynie nogi młodego Franciszka Gazdy. Warunki życia były prymitywne. Mdłe światło lampy naftowej, radio kryształkowe na słuchawki, samotność w długie zimowe wieczory, to wszystko było bodźcem do pracy społecznej, poznania ludu i jego obyczajów. Zaczyna od pieśni ludowych, słuchając ich wykonania przez młodzież i starszych... Gromadzi koło siebie młodzież i starszych kompletując zespół i kapelę, rozpoczyna próby. Wiele czasu zajęło mu odtworzenie stroju zawojskiego... Za jakie pieniądze wyposażył F. Gazda zespół w piękne nowe stroje, trudno odgadnąć. Jednak teraz mógł już spokojnie oddać się pracy z zespołem.

Warunki jednak były trudne. Z powodu braku odpowiedniej sali, próby taneczne odbywały się w scenerii tła świerków na polanie, natomiast w zimie i przy złej pogodzie, na klepisku w stodole.

Pierwsze występy odbyły się na własnym terenie, podczas uroczystości szkolnych i regionalnych. Wtedy



BOGDANIK KAZIMIERZ



FRANCISZEK GAZDA



DZIEŃ EDUKACJI NARODOWEJ

też pokazał się w centrum Zawoi i zadziwił mieszkańców wspaniałością strojów, dawno nie widzianych. Pierwszy poważny występ odbył się w sierpniu 1935 roku, na „Święcie Gór” w Zakopanem, a odniesiony sukces zapalił chęć do dalszej wytrwałej pracy. Rezultat tego oglądano na Zjeździe Górskim w Sanku w 1936 roku, jak również 13.09.1936 roku z okazji otwarcia stadionu sportowego w Zawoi, z inicjatywy honorowego jej obywatela, gen. Tadeusza Kasprzyckiego. Wte-

dy to, w obecności wojewody krakowskiego odbył się występ „Babogórców” z obrzędem dożynek, z cyklem 14 pieśni z Zawoi i paru z okolic Krakowa, z odtąnczeniem „zbójnickiego”. Na Tydzień Gór w Wiśle w 1937 roku, przygotował Gazda specjalne widowisko, z bogatym programem pieśni i tańców. Babogórcy występowali w wielu miejscowościach kraju, a mianowicie w Krakowie, Katowicach, Wilnie, przed mikrofonem Polskiego Radia. Największy zaszczyt spotkał ich w Warszawie, gdzie występowali na Zamku Królewskim przed obliczem prezydenta RP Ignacego Mościckiego i jego żoną, a następnie w rezydencji marszałka Polski, przed Edwardem Rydzem-Śmigłym i w gmachu prezydenta Warszawy na zaproszenie Stefana Starzyńskiego. Występy te, dzięki oryginalnemu brzmieniu pieśni i muzyki góralskiej, tańcom w barwnych strojach, wzbudziły żywe zainteresowanie.

O szczerym umiłowaniu folkloru babogórskiego i bezinteresowności Franciszka Gazdy, świadczy fakt, że efekt swej żmudnej pracy zbierackiej... przekazał nauczycielce i dyrektorce Szkoły Podstawowej nr 5 w Zawoi Gołyni, Pani Zofii Bugajskiej, która w roku 1963 podjęła trud reaktywowania zespołu „Babogórców”, gdzie załóżkiem był trzy osoby należące przed wojną do zespołu F. Gazdy. **Leon Rydel - Zawojski budzieli babogórskiego folkloru – Franciszek Gazda, Prace Babogórskie 1982, Kraków 1983).**

(...ZNP wysłał mnie w 1966 roku na kurs wakacyjny dla działaczy kultury na wsi do Gdyni... Po podpisaniu listy obecności w pierwszym dniu pobytu, ktoś z drugiego końca sali wywołał moje nazwisko i zapytał, czy jestem z Zawoi spod Babiej Góry. Kiedy potwierdziłam – przyszedł do mnie wysoki, przystojny, lekko łysy pan w okularach. Przedstawił się: Ja jestem Franciszek Gazda, pracowałem kiedyś w Zawoi.

Patrzyłam z niedowierzaniem, wzrokiem pełnym szacunku dla tej postaci i dostałam „gęsiej skórki”. Bo w Zawoi na zebraniu nauczycieli w 1964 roku prezeska ZNP przedstawiła nam życiorys Franciszka Gazdy, informując, że nie żyje. Uczciliśmy go minutą ciszy i w kronice ZNP zostało to zapisane.

Teraz wypowiedziałam tylko: Czy to prawda, że ja mam przed sobą żywego, prawdziwego Gazdę? I serdecznie go uściskałam, nic więcej mu nie mówiąc. Potem zaczęły się długie rozmowy na temat Zawoi, jej mieszkańców, zespołu, który prowadził w latach 1932-1938,



BABIOGÓRCY NA WYSTĘPACH W WARSZAWIE. 1937 R.

pieśni... Pan Franciszek Gazda osobiście przekazał mi szczerze swoje doświadczenia i metody pracy z zespołem. Przyobiecwał przesłać mi pieśni dożynkowe i inne oraz widowisko „Hej chłopcy na Mazury”. Dotrzymał słowa. W sierpniu 1966 roku otrzymałam od niego list i cenne materiały do pracy z zespołem...

Franciszek Gazda przekazał mi wszystko, co wiedział o folklorze babiogórskim. Był to jego testament dla Zawoi, który mnie przypadło wypełniać. Załączam list...

Pani Koleżanko. Przesyłam przyobiecane pieśni dla zespołu... Cieszę się, że „dawna nuta góralska” nie ginie, że podjęliście się tamtejsze pieśni kultywować... Pieśń „Do gór, chłopcy, do gór” – prof. Romaniszyn i prof. Chybiński oceniali jej wiek na podstawie melodii opartej na trytonie, na dwa tysiące lat. A więc jest się czym szczyć... Stroje góralskie... starajcie się przywrócić. Przed wojną gdzieś się pokazali w nich – a byliśmy w wielu miejscach, jak w Krakowie, Katowicach, Warszawie, Gdyni, Wilnie, Sanoku, we Wsle, u Prezydenta na Zamku Warszawskim, u Prezydenta m. Warszawy Starzyńskiego, u Marszałka Rydza-Śmigłego i przy wielu różnych okazjach – budziły one przyjazne uśmiechy i zachwyt same przez się... Proszę mi wierzyć, że zawsze z dumą wspominam chwile spędzone na Przysłopiu z dzielnymi chłopakami i dziewczętami i ze starszymi także... Proszę Was napisać mi, czy żyje który z naszych starych „zbójników” – Jędreka albo Stefan Spyрка, Władek Toczek, Michał Polak, Bartyzel – dziewcząt imiona i nazwiska zapomniałem... Życzę Wam sukcesów w pracy zespołu regionalnego. Racibórz, dnia 19 sierpnia 1966, Gazda Franciszek. – **Zofia Bugajska. Zawoja, moja mała ojczyzna. Kraków 2011).**

Ciężka praca nauczycielska i społeczna, wykonywana przez F. Gazdę z pełnym oddaniem, zaowocowała utratą zdrowia. W roku 1938 opuszcza on Przysłop i przechodzi do pracy w Skawie.

Następcą Franciszka Gazdy na Przysłopiu jest pan Michał Jaszczur, który przybył tu wraz z żoną i pracował do wybuchu drugiej wojny światowej, następnie przeniósł się do pracy w Grzechyni.

W roku 1940 pojawia się następny nauczyciel, pan Tutaj. Ciężkie warunki pracy i życia na Przysłopiu, niska pensja nauczycielska, nie złamały jego woli do pracy w trudnym terenie. Oprócz pracy nauczyciela, zajmował się on też produkcją bednarską, a swoje wyroby sprzedawał na okolicznych targach. Z Przysłopia wyjechał w 1943 roku. Kolejnym nauczycielem, a zarazem kierownikiem szkoły została pani Pawłowska Wanda.

Nie mamy informacji na temat działalności szkolnej do końca wojny. Po wojnie przewinęło się w dziejach szkoły wiele nazwisk: Nałudka Irena, Chorobik Mieczysław, Styrylska Helena, Kostrzewa Zofia, Deja Stefania, Wójcik Józef, Poźniak Jan, Szczurek Czesława, Janus Kunegunda, Ciuła Krystyna, Nowak Anna. Praca szkolna odbywa się w wynajętych od osób prywatnych izbach, często oddalonych od siebie, więc nauczyciele przechodząc do innej klasy na lekcję, musieli uprawiać swoistą „gimnastykę międzylekcyjną”.

Oddajmy teraz głos pani Janus (Dańczak) Kunegundzie, która pracując przez kilkadziesiąt lat na Przysłopiu, poznała wszystkie blaski i cienie tej pracy i przez te lata prowadziła swoisty pamiętnik.

W dniu ósmego grudnia 1953 roku dokonano ostatecznego zakupu parceli pod budowę szkoły od Anieli Spyрка, Stryszawa 653. Pod aktem kupna podpisali się: Janus Kunegunda, Styrylska Helena, Michał Polak ze Spyrkówki i Piotr Polak z Magurki. Pieniądze na zakup działki pochodziły ze społecznych datków. Zbiórki pieniędzy dokonywali: Bogdanik Bronisław, Kawiak Herman, Kawiak Benedykt – wszyscy z Zawoi oraz Michał Polak ze Stryszawy i Piotr Polak z Grzechyni.



BUDYNEK SZKOLNY W STANIE SUROWYM

W Styczniu 1954 roku, kierownicza, pani Janus wysłała prośbę do inspektora-tu Oświaty w Wadowicach o zaopiniowanie możliwości budowy nowej szkoły. Otrzymała też informacje, że potrzebę budowy szkoły widzą też władze trzech gmin, z których dzieci w tej szkole by się uczyły. W dniu 21 stycznia 1954 roku przybyli na Przysłop przedstawiciele trzech gmin: Zawoi – pan Zajac, Stryaszawy – pan Pietrusa i Makowa – pan Surmiak. Spotkanie protokołowała pani Ciula Krystyna. Na spotkaniu ustalono, że każda z gmin ofiaruje na budowę po 15 kubików drewna i zostanie wybudowana czynem społecznym szkoła podobna do tej, która funkcjonowała na Podpolicach. Następnego dnia do szkoły na Podpolicach udały się panie Janus Kunegunda i Nowak Anna. Przyjął nas kierownik Józef Wojtyczko. Udostępnił każdy zakątek. Z dyskusji wyciągnięto wniosek, że taka szkoła nie pomieści setki przysłopskich dzieci.

W związku z tym, pani kierownik napisała na własną rękę pismo do Ministerstwa Oświaty w Warszawie, prosząc o budowę nowej szkoły w Zawoi Przysłop. Pismo to podpisały też nauczycielki Styrylska Helena, Ciula Krystyna i Nowak Anna. List ten został wysłany końcem stycznia 1954 roku a już w pierwszych dniach kwietnia przyjechali z Warszawy trzej panowie – przedstawiciele Ministerstwa Oświaty. Protokół z wnioskiem budowy nowej szkoły podpisali oprócz w/w nauczycielek także rodzice: Anna Spyryka z Zawoi 664 i Stefan Spyryka z Zawoi 776.



MIMO BŁOTA WIDOWNIA DOPISAŁA



KOLONIE LETNIE W SZKOLE

Następny etap to już techniczne sprawy. Geodeta wymierzył parcelę przeznaczoną pod budowę szkoły i stwierdził, że jest stanowczo zbyt mała. Konieczne będzie dokupienie działki, inaczej budowy nie będzie.

22 września 1954 roku dokonano kupna pola od północy sąsiadującego z parcelą szkolną. Działkę tą bardzo niechętnie sprzedał Franciszek Toczek z Zawoi 687, zgodził się na jej odstąpienie nie za gotówkę, ale za materiały budowlane, trudno w tym czasie dostępne. Największe zasługi w przekonaniu Franciszka Toczka położyli: pani Ciuła Krystyna i ojciec Bernard Smyrak, karmelita z Zawoi Zakamień. Umowa sprzedaży została podpisana, podpisali ją: Mieczysław Zajac, naczelnik Zawoi, kierowniczką pani Janus Kunegunda, ojciec Bernard Smyrak i pani Ciuła Krystyna. Postanowiono budować szkołę systemem gospodarczym. Liczy się wkład.

Jesienią zbierano dobrowolne datki na Fundusz Budowy Szkół. Fundusze dla szkoły na Przysłopiu zbierali: Inspektor Leon Warpechowski z nauczycielką Krystyną Ciułą oraz adwokat Stanisław Krzeszowiak wraz z nauczycielką Kunegundą Janus. Przez cztery niedziele została uzbierana kwota, która uplasowała Przysłop na I miejscu. Wykonano plany budowy i do pracy.

Budowniczym został Trybała Cyryl z Mosornego, nadzorującym Władysław Żurek z Podpolic, stróżem Kudzia Franciszek z Przysłopia. Fundamenty zostały wykopane w czynnie społecznym. Kopali wszyscy – nauczyciele, dzieci, rodzice. Przybył nawet leśniczy Guzik Franciszek ze swoimi robotnikami leśnymi. Wyróżnili się mieszkańcy Spyrkówki i Magurki. Rok 1956. Tragicznie umiera nauczycielka Styrylska Helena. Drugie tragiczne wydarzenie – w dniu 10 września pali się sala szkolna mieszcząca się u Władysława Spyрки. Wraz z nią płonie biblioteka szkolna oraz wszystkie akta i dokumenty szkoły.

Prace przy kopaniu fundamentów szkoły rozpoczęły się w czerwcu 1957 r. w paź-



DZIECI SZKOLNE NA SPOTKANIU ZE ŚW. MIKOŁAJEM

dzierniku i listopadzie zalano fundamenty, w kwietniu i maju 1958 roku wykonano sklepienie piwnic, do końca 1958 roku został wybudowany parter i przykryty dach. Prace te były wykonane w większości społecznie, jednak wielki hołd należy oddać panu Leonowi Warpechowskiemu, inspektorowi szkolnemu obecnemu na wszystkich zebraniach, na których zapadały ważne decyzje w sprawie budowy szkoły, w trakcie samej budowy również kilkanaście razy przychodził pieszo z Suchoj Beskidzkiej bądź z Zawoi, co było dla niego nie lada wyzwaniem z uwagi na wiek oraz inwalidztwo – utykał mocno na nogę.

Z wiosną 1959 roku wszczęto prace budowlane przy tynkowaniu i wykończeniu wnętrza szkoły, tak, że w dniu 1. września 1959 roku pierwszy dzwonek lekcyjny rozdzwięczał się już w nowym budynku.

Oddanie budynku nie oznaczało zakończenia prac. Należało dokończyć budowę mieszkań na piętrze szkoły, uporządkować teren, z racji szczupłości podwórka szkolnego, koniecznym stało się dokupienie kolejnej działki z przeznaczeniem na wykonanie boiska sportowego. I tym razem mieszkańcy Przysłopia nie zawiedli. Kwestarze ruszyli w teren i potrzebna kwota się znalazła. W roku 1964, na Spyrkówce, w stryszawskiej części Przysłopia mieszkańcy postanowili elektryfikować swoje domy własnym kosztem. Z uwagi na niewielką odległość Spyrkówki od szkoły, postanowiono dołączyć do tej elektryfikacji. Wykopy zostały wykonane w czynie społecznym, komitet elektryfikacyjny nieco wspomógł i końcem grudnia w szkole zapłonęły pierwsze żarówki. Po-



SZKOLNI GOŚCIE. FUNDACJA ROCKEFELLERA

dobnie sytuacja wyglądała z zakupem telewizora do szkoły. Na zebraniu rodzicielskim zapada decyzja o zbiórce pieniędzy i szkoła przysłopska jako jedna z pierwszych szkół w Zawoi od roku 1966 posiada własny telewizor marki Orion zakupiony za 14 000 złotych. Pierwszy dzień roku szkolnego 1986/1987 przywitał uczniów niespodzianką. Szkoła nie ta

sama. Budynek szkolny zerka obecnie na nas kolorową elewacją a wewnątrz nareszcie upragnione, dawno wyczekiwane grzejniki. Oj, nalatała się pani dyrektor w czasie wakacji. *(za Kroniką Szkolną)*.

W dniu 1. grudnia 1998 roku, ówczesny wójt Gminy Zawoja, pan Andrzej Pająk podpisał pozwolenie na rozbudowę szkoły. Na początku 1999 roku nastąpiła zmiana na stanowisku wójta Zawoi, funkcję tę objął pan Marek Listwan, który decyzję o rozbudowie szkoły podtrzymał. W roku 2000 z inicjatywy nauczycieli przysłopskiej szkoły oraz części rodziców powstało Stowarzyszenie na Rzecz Zrównoważonego Rozwoju „Przysłop”. Spomiędzy wszystkich zadań, które członkowie Stowarzyszenia przyjęli w Statucie, głównym celem była pomoc w utrzymaniu szkoły. Wystarczy wspomnieć, że w ciągu 18 lat działalności Stowarzyszenia, udało się pozyskać około 600 000 (to nie pomyłka – sześćset tysięcy), z czego ponad 400 000 przekazane zostało na rozbudowę i modernizację szkoły. Środki pieniężne zdobywane były w różny sposób. Przygotowane były projekty unijne, w każdym roku duża grupa kolędników, niezależnie od pogody, ruszała na drogi i ścieżki Przysłopia niosąc Dobrą Nowinę a jednocześnie wzmacniając finanse szkoły, obowiązywało hasło „Przysłop słynie z zabaw na festynie”, a festy-



ROZBUDOWA SZKOŁY

ny, mimo iż rozpoczynaliśmy ich organizację z zerowym kontem, były organizowane z rozmachem. Występowały gwiazdy estrady i zespoły miejscowe, organizowane były pokazy kandydatów, zawsze było coś dla ciała i dla ducha, nikt głodny nie wyszedł, ale też nikomu z występujących na estradzie nie musieliśmy płacić. Realizując projekty, szkoła prowadzi jednocześnie inwestycje i zajmuje się dodatkowo działalnością edukacyjną z zakresu ekologii, kultury regionalnej i rozwoju turystyki.



SZKOLNI GOŚCIE. Śp. PREZYDENT RYSZARD KACZOROWSKI

ZE ZDOBYTYCH ŚRODKÓW WYKONANO I ZAKUPIONO:

W ramach inwestycji: wylewki i suche tynki w przybudówce, termomodernizacja budynku szkoły, malowanie elewacji, wymiana wszystkich okien i drzwi, ocieplenie budynku, zamontowanie termoregulatorów, czyszczenie i malowanie instalacji CO, wymiana oświetlenia szkoły na energooszczędne, zamontowanie elektrowni słonecznej zasilającej oświetlenie LED korytarza szkoły, zamontowanie 8 kolektorów słonecznych, budowa ujęcia wody dla szkoły, szamba i oczyszczalni ścieków, budowa boiska sportowego z placem zabaw, pracownia komputerowa i izba regionalna.

Wyposażenie szkoły: sprzęt komputerowy: 12 zestawów komputerowych, 2 laptopy, 2 projektory, 4 drukarki, 2 skanery, 2 ekrany projekcyjne, kamera cyfrowa, dysk przenośny zewnętrzny, oprogramowanie: systemy operacyjne, pakiet biurowy, oprogramowanie antywirusowe, cyfrowy aparat fotograficzny, ksero, telewizor, 2 odtwarzacze DVD, telefaks, 10 stolików i 20 krzeseł uczniowskich, 10 stolików komputerowych z krzesłami obrotowymi, sprzęt sportowy: materace, piłki, koźół gimnastyczny, odskocznia, stół do tenisa stołowego, 2 bramki do piłki ręcznej, książki, filmy i programy komputerowe o tematyce przyrodniczej i ekologicznej, tablica szkolna, 3 stojaki na rowery, kosiarka spalinowa.

Inne działania: stała selektywna zbiórka odpadów, wynajmowanie szkoły na wypoczynek letni i zimowy, powstała strona internetowa **przyslop.zawoja.pl**, funkcjonuje spółdzielnia uczniowska „Sklepik pod Magurka” sprzedająca i promująca produkty lokalne, publikacja wydawnictw promujące Przysłop i okolice: folder, widokówka, przewodnik turystyczny, wydawana była gazetka szkolna „Echo Przysłopia”, zakupiono 49 łóżek polowych, powstała Szkolna Ścieżka Dydaktyczna ukazująca walory przyrodnicze i kulturowe Przysłopia, powstał przyszkolny ogródek bioróżnorodności, szkołę odwiedzają wycieczki szkolne, przedstawiciele organizacji pozarządowych, fundacji oraz grupy międzynarodowe.



O. ROBERT STROJNY Z DZIEĆMI PODCZAS JUBILEUSZU SZKOŁY

dowe, szkoła jest punktem międzynarodowej trasy turystycznej dziedzictwa przyrodniczo-kulturowego w ramach programu Szlak Bursztynowy oraz Podbabiogórskiego Ekomuzeum Lokalnej Grupy Działania „Podbabiogórze”.

NAJWAŻNIEJSZE NAGRODY I WYRÓŻNIENIA:

1. W 2005 roku szkoła została wyróżniona **Zielonym Certyfikatem I i II stopnia**, czyli znakiem jakości za działania na rzecz zrównoważonego rozwoju lokalnego przez Fundację Ośrodka Edukacji Ekologicznej w Warszawie we współpracy z Centralnym Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli pod honorowym patronatem Ministra Środowiska, Ministra Edukacji Narodowej, Prezesa Zarządu NFOŚiGW.



DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI W SZKOLE

2. W 2007 w siedzibie Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Warszawie podczas konferencji podsumowującej ogólnopolski Program „Szkoly dla Ekorozwoju”, Szkoła Podstawowa Nr 4 w Zawoi Przysłop została wyróżniona certyfikatem Lokalnego Centrum Aktywności Ekologicznej oraz **jako pierwsza w Polsce** otrzymała międzynarodowe wyróżnienia **Zieloną Flaką**.

gę w ramach światowego Programu Eco – Schools. Wszystkie te działania i sukcesy nie byłyby możliwe do wykonania, gdyby nie solidarność i wspólna praca mieszkańców Przysłopia.

Zbierając relacje świadków historii ciągle spotykałem się z pytaniem: „Co żeście młodzi zrobili z naszą szkołą? Myśmy harowali przy jej budowie, cieszyliśmy się, że wreszcie ją mamy a wy tak łatwo się

jej pozbyliście. Nie patrzyliśmy, czy Zawoja, czy Stryszawa, czy Grzechynia, tylko budowaliśmy wspólne dobro”. To samo pytanie nurtuje mnie ciągle. Jak można było pozbyć się największej wartości na Przysłopi? Wartości, od której zależy funkcjonowanie parafii z ministrantami i scholą, straży z młodzieżówką i generalnie całej społeczności.

Próby podzielenia Przysłopia, na szczęście nieudane, podejmowane były już wcześniej. Dopiero obecny wójt Gminy Zawoja wprost wyartykułował na zebraniu, że jest to sól w jego oku, że nie podoba mu się Przysłop jako całość, woli go podzielić między trzy gminy. Niestety, trafił na podatny grunt. Nastąpiło pokolenie facebookowe, nieprzyzwyczajone do długotrwałej pracy społecznej, dla którego najważniejsza jest wiedza z portali społecznościowych i ilość lajków i hejtów. Pokolenie to zostało „urobione” marchewką i kijem. Kijem były pisma kierowane do rodziców, które z punktu widzenia prawa administracyjnego nie były decyzjami, nie zawierały podstawy prawnej, jedynie informację, że w klasach przysłopskiej szkoły jest zbyt mało dzieci, nie wskazywały drogi odwoławczej. W ramach marchewki wójt nie obiecał chyba tylko tego, że piątki w dzienniku będą wpisywane bardziej czerwonym długopisem. I podziało. Szkoły nie ma. Co prawda, jeśli policzymy, że za siedemnastoma dziećmi, które uczą się obecnie w szkole stryszawskiej odpłynęła subwencja oświatowa, jeśli dołożymy do tego fakt, że subwencja na dzieci przeniesione do Zawoi zmniejszyła się o połowę, widzimy, że oszczędności poczynione na likwidacji są wątpliwe. Znamionnym jest też, że w tym samym czasie, kiedy samorządowcy mydlili nam oczy opowiadając o konieczności oszczędności, rad-



GUMOWCE NA FESTYNIE TEŻ BYŁY POTRZEBNE



SZKOLNE TROFEA



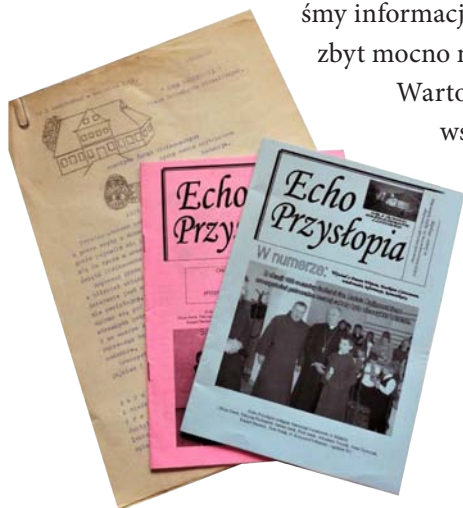
SZKOLNI GOŚCIE. DELEGACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH

ni lekka ręką podnieśli uposażenie wójta a ten bez żadnych oporów przyjął podwyżkę. Wyciągnąć z tego można wniosek, że nie o oszczędności chodziło ale o pokazanie, kto tu rządzi. Oczywiście, gdybym twierdził, że obojętna postawa rodziców wobec szkoły była powszechna, skrzywdziłbym tych, którzy angażowali się w różnym stopniu

w jej ratowanie. Nie możemy wymienić wszystkich, lecz uważam, że naszym obowiązkiem jest wymienić w tym miejscu osoby, które do samego końca walczyły o możliwość posłania swych dzieci do przysłopskiej szkoły: Alicja i Lucjan Chowaniak oraz Bernadetta i Robert Morawa nie dali się zastraszyć kijem ani zachęcić marchewką.

Największy żal mamy do osoby, na wsparcie której liczyliśmy, który tyle razy gościł u nas na zebraniach, festynach, dożynkach, czy nawet choinkowych zabawach szkolnych. Dawał ku temu podstawy. Zawsze wyrażał się o Przysłopiu pozytywnie, w oficjalnych przemówieniach, okraszonych patetycznymi poetyckimi fragmentami, podkreślał wartość małych ojczyzn. Okazało się, że jest to tylko poza obliczona na popularność przekładająca się na głosy wyborcze. W chwili próby wartość przysłopskiej małej ojczyzny okazała się niższa, niż komfort rządzenia dla syna. Pan senator nie użył swoich wpływów politycznych w czasie, kiedy wycofanie weta Małopolskiego Kuratora Oświaty stanowiło szansę na przejęcie naszej szkoły przez Stowarzyszenie Przyjaciół Szkół Katolickich i jej uratowanie. Już rok później, kiedy przekształcenie naszej szkoły w filię szkoły z Zawoi Centrum stanowiło de facto jej likwidację, w Kuratorium otrzymaliśmy informację, że mimo chęci nie są w stanie nam pomóc, gdyż są zbyt mocno naciskana „z góry”.

Wartość i wagę wykształcenia mieszkańcy Przysłopia zawsze doceniali. W kronice szkolnej czytamy, że już pod koniec XIX wieku organizowali we własnym zakresie nauczanie w szkołach zimowych. Pani Józefa Bartunek cytowała mi z pamięci fragment tekstu, którego jeszcze jej mama uczyła się w szkole w 1905 roku: „Powiedz mi mamgo, co to jest Ojczyzna. Czy to jest to samo, co ojcowizna? Dziecko moje. Ojczyzna to ziemia święta, krwią naszych oj-



GAZETKA SZKOLNA „ECHO PRZYSŁOPIA”



W GOŚCINIE U PANI JOLANTY KWAŚNIEWSKIEJ

ców jest przesiąknięta. Dziś na trzy części jest podzielona”. Wprawdzie szkoły nie mamy, próby dzielenia na trzy części trwają, lecz patrzymy w przyszłość z optymizmem. Zabory też minęły.

W budynku szkoły obecnie mieści się Dom Dziennego Pobytu dla osób starszych i niepełnosprawnych.

Niemożliwym jest w tak krótkim tekście przedstawić pełną historię Szkoły Podstawowej nr 4 w Zawoi Przysłop, wybrałem (*subiektywnie*) fakty i zdarzenia najistotniejsze. Również nie da się wymienić wszystkich nauczycieli pracujących w naszej szkole. Wymienienie kierowników i dyrektorów uważam za obowiązek.: Gazda Franciszek (1932-1938), Jaszczur Michał (1938-1939), Tutaj (?) (1940-1943), Pawłowska Wanda (1945 - ?), Deja Stefania



PODCZAS PRZEDSTAWIENIA

(?-1953), Szczurek Caesława (1953), Janus (Dańczak) Kunegunda (1953-1958), Smyrak Antoni (1958-1970), Sroka Zofia (1970-1984), Biłka Lucyna (1984-1998), Krzeszowiak Wiesława (1998-2016), Zasadziński Mariusz (2016-2017).

OCHOTNICZA STRAŻ POŻARNA W ZAWOI PRZYSŁÓP

Historia Ochotniczej Straży Pożarnej w Zawoi Przysłop rozpoczęła się na zebraniu założycielskim w dniu **30 kwietnia 1966 r.** Pierwszym prezesem Zarządu został wybrany dh Antoni Paciorek, a naczelnikiem dh Władysław Spyрка. Obszar działania OSP Zawoja Przysłop to trudny górski teren położony w rejonie przełęczy Przysłop, obejmujący administracyjnie fragmenty trzech gmin: Zawoja, Stryszawa i Maków Podhalański. Początki działalności tutejszej OSP były czasem organizowania jednostki i zdobywania sprzętu. Pierwszą pompę M-200, PO-2 „Leopolia” jednostka otrzymała w dniu 7 stycznia 1969 r. a pierwszy środek alarmowania, ręczną syrenę „Druhna” – w dniu 4 listopada 1969 r. wraz z nowocześniejszą pompą „Leopolia” M-800. Z racji, iż jednostka nie posiadała wtedy własnego pomieszczenia i środka transportu, sprzęt ten był przechowywany w prywatnych pomieszczeniach gospodarczych a w razie pożaru był przewożony furmankami albo ciągnikami.

W roku **1970** jednostka otrzymała syrenę elektryczną, ubrania polowe i hełmy strażackie oraz mundury. Od **1971** roku prezesem Zarządu OSP był dh Władysław Pasierbek, a naczelnikiem dh Józef Zemlik.

W roku **1972** druhowie w liczbie 16 czynnych strażaków ochotników rozpoczęli starania o wybudowanie własnego garażu. Pierwotnie miał on znajdować się przy zabudowaniach miejscowego Kółka Rolniczego, które było właścicielem działki w przysiółku Bory



z przeznaczeniem pod budowę garaży. Dnia 23 grudnia tegoż roku zakupiono parcelę od dh. Zygryda Spyry za kwotę 7.000 zł z zamiarem wybudowania na niej remizy strażackiej. Rok 1973 - prezesem Zarządu został wybrany dh Bronisław Kawiak. W pobliżu planowanej lokalizacji remizy strażackiej zaplanowano budowę zbiornika przeciwpożarowego. W tym celu zakupiono działkę o powierzchni ok. 500 m² od Rozalii Spyry za kwotę 3.000 zł. Jednostka planowała także zaopatrzenie mieszkańców Przysłopia w wodę. Strażacy uczestniczyli w tym roku we współzawodnictwie o tytuł „Najlepszego OSP na terenie powiatu suskiego” zajmując 31. lokatę.

W dniu 23 lutego 1974 r. przysłopscy strażacy uczestniczyli w akcji gaszenia pożaru. Płonął budynek Stanisława Bywalca, Zawoja 1319. Ogień był poważnym zagrożeniem dla pobliskiego lasu. W dniu 15. lutego 1975 r. pozyskana została nieodpłatnie od OSP Wieprzec ogumowana przyczepa gaśnicza do przewozu motopompy i armatury, niestety bez wyposażenia dodatkowego tj. bez zwijadeł do węży i szyn do motopompy. Przyczepę można było holować ciągnikiem rolniczym lub końmi. W tym czasie OSP prowadziła gazetkę w przysłopskim Klubie Młodego Rolnika.

W roku 1976, w dniu 13 lipca miała miejsce inspekcja gotowości bojowej. Do alarmu przybyło 5 strażaków ochotników; wyjazd w czasie 7 min. 20 s. Ogólny wniosek po inspekcji brzmiał: „Jednostka praktycznie niezdolna do podjęcia działań bojowych”.

W 1977 roku w protokole zapisano m in, że zakończono budowę zbiornika wody na potrzeby akcji gaśniczych. Zaś protokół za rok 1978 informuje, że strażacy ochotnicy z Przysłopia zostają odznaczeni za długoletnią służbę. Odznaczenia otrzymali następujący druhowie: Antoni Paciorek, Józef Zemlik, Władysław Spyra, Władysław Pasierbek, Józef Smyrak, Józef Kawiak. W tymże roku prowadzono ożywioną działalność pod hasłem „O dalszy wzrost aktywności społecznej w skutecznym zabezpieczeniu majątku narodowego przed pożarami”. PZPR zachęcała też do realizacji hasła „Dobry strażak to przodujący strażak, robotnik i pracownik umysłowy”.

Rok 1979 to czas zmniejszonej aktywności przysłopskiej jednostki. Choć została wyposażona w ubrania ochronne, pasy, toporki i hełmy oraz zakupiono 8 kolejnych mundurów wyjściowych, to jak wynika z protokołu pokontrolnego „ze względu na brak motopompy jednostka tutejsza (...) jest w stanie spoczynku”. W kolejnym dwóch latach pla-



MŁODZI ADEPCI SZTUKI STRAŻACKIEJ

nowano dalsze prace przy budowie zbiornika przeciwpożarowego. W ramach wyposażenia jednostki uzupełniono braki w zakresie węży strażackich i zakupiono mundury wyjściowe, a co najważniejsze, jednostka miała już sprawna motopompę. W dniu 23 lutego 1980 r. miała miejsce lustracja pomieszczenia OSP Zawoja Przysłop, które znajdowało się w garażu dh. Józefa Spyryki.



NOWA REMIZA I PIERWSZY SAMOCHÓD

W 1981 roku władze odznaczyły wyróżniających się druhów: Władysława Spyrkę, Bronisława Kawiaka, Józefa Kawiaka, Józefa Zemlika, Jana Paciorka i Aleksandra Biłkę. Ponadto w tym roku jednostka pozyskała: 25 mundurów wyjściowych i 10 ubrań ochronnych.

Cztery kolejne lata to okres prac przy zbiorniku ppoż, który został ogrodzony. Teren wokół zbiornika uporządkowano. Wykonane prace społeczne oszacowano na 10.000 zł. Prowadzono także działania zmierzające do zakupu działki pod budowę remizy. Zostały one zakończone sukcesem, bowiem w dniu 2 lutego 1986 r. druhowie zakupili działkę położoną w centrum Przysłopia. W późniejszym czasie dokupiono pozostałą część działki za kwotę 400.000 zł. Od tej pory gromadzono materiał budowlany na budowę Domu Strażaka. Przeniesiono wtedy syrenę alarmową na zakupioną działkę. Jednostka została doposażona w 20 pasów, 20 hełmów i 20 toporków oraz 10 par butów skuterów.

W roku 1991 prezesem Zarządu OSP został wybrany dh Aleksander Biłka, a naczelnikiem dh Józef Kawiak. Składka członkowska wynosiła wtedy 5000 zł na rok. W dniu 1 marca 1992 r. został zatwierdzony nowy statut jednostki. Składka roczna wynosiła już 10.000 zł. Latem druhowie zajęli VI miejsce w Gminnych Zawodach Pożarniczych. Nawieziono też ziemię na działkę, na której planowana była budowa remizy. Ziemia została rozplantowana. Ze sprzedaży kalendarzy zebrano kwotę 1996000 zł.

Rok 1993 to początek budowy remizy. W okresie od maja do grudnia wykopano pod ławy, potem zalano ławy i wymurowano podpiwniczenie. Przygotowano też szalunek pod połowę płyty, która została zalana. W tym okresie odnotowano wyjątkowo duże zaangażowanie mieszkańców Przysłopia i osiedli z sąsiednich gmin w budowę przyszłego Domu Strażaka. W kolejnym roku składka członkowska wzrosła pięciokrotnie i wynosiła już 50.000 zł. Natomiast ze sprzedaży kalendarzy uzyskano kwotę 7034000 zł. Zakupiono 10 mundurów wyjściowych i 8 czapek furażerek. W związku z budową remizy przygotowano teren i wylano ławy pod drugą część budynku. Zakupiono materiały budowlane na dal-

szy etap budowy. Zdecydowano również o wykonaniu nowego planu budowy remizy, gdyż poprzedni, gotowy plan otrzymany od OSP Zawoja Węlcza, nie był dostosowany do terenu. Architektem i inspektorem nadzoru był inż. Józef Polak z Suchej Beskidzkiej. Nowy projekt budowy początkowo zakładał koszty w wysokości 53 mln. zł. Ostatecznie jednak uzgodniono kwotę 35 mln. zł.

W roku **1994** odznaczenia otrzymali następujący druhowie: Srebrny Medal-Józef Spyrka i Jan Żurek, odznakę „Wzorowy Strażak”: Franciszek Polak, Andrzej Żywczak, Jerzy Kobiela, Dariusz Smyrak i Adam Basiura. Rok **1995** był ważny szczególnie ze względu na fakt założenia księgi wieczystej dla działki, na której budowana była remiza. Powstał już nowy plan budowlany Domu Strażaka. Zakupiono 6 nowych mundurów galowych, razem było ich 26 oraz 10 ubrań bojowych oraz 5 par butów skuterów. Jednostka posiada dwie motopompy. Zaplanowano utworzenie Młodzieżowej Drużyny Pożarniczej (MDP).

W roku **1996** miała miejsce kolejna zmiana w składzie Zarządu, naczelnikiem został wybrany dh Jan Żurek. Powstała Młodzieżowa Drużyna Pożarnicza w składzie: Tomasz Kubasiak, Rafał Pierog, Paweł Pierog, Artur Pierog, Dariusz Polak, Marcin Spyrka, Grzegorz Kawiak, Piotr Kubasiak, Sławomir Polak, Piotr Basiura, Marcin Klimasara. MDP zajęła II miejsce w Gminnych Zawodach Pożarniczych, za co otrzymała pamiątkowy puchar. Drużyna seniorów zajęła VI miejsce w tych zawodach. Pod koniec tego roku, 29. grudnia, druhowie brali udział w akcji gaszenia pożaru stodoły w Kalinie Dolnej. W **1997** roku strażacy ochotnicy zajęli V miejsce w Gminnych Zawodach Pożarniczych. Za kalendarze strażackie zebrano tym razem 1554 zł. Postanowiono ogłosić przetarg nieograniczony na dokończenie budowy budynku OSP Zawoja Przysłop, w szczególności na wykonanie ścian i konstrukcji dachowej. Ostatecznie budowa dachu została zakończona w grudniu. Do roku 1998 jednostka nie posiadała własnego samochodu i jej działalność z konieczności ograniczała się do najbliższego terenu Przysłopia.

W **1998** r. jednostka otrzymała od KRSP w Wadowicach samochód dostawczy ŻUK,



ŚLUBOWANIE MATEUSZA TOCZKA

który we własnym zakresie dostosowała do przewozu sprzętu pożarniczego i strażaków. W budowie remizy nastąpił przestój. Wyposażenie bojowe zwiększyło się o 2 nowe motopompy M8/8 typu P0-5. Wyniki tegorocznych zawodów strażackich: seniorzy zajęli III miejsce, natomiast juniorzy-IV. Do MDP zapisało się kilka nowych osób: Andrzej Kawiak, Michał Pierog, Mateusz Pie-

rog, Krzysztof Zachura, , Krzysztof Toczek, Adrian Oleksa, Piotr Basiura, Gabriel Polak i Mariusz Szczurek. Odznaczenia otrzymali: Złoty Medal za Zasługi dla Pożarnictwa – dh Józef Smyrak, Srebrny Medal – dh Franciszek Polak, odznakę „Wzorowy Strażak”-dh Paweł Kudzia, dh Adam Kawiak. Natomiast w kolejnym,



STEYEREM NA ZAWODY

1999 roku odznaczenia otrzymali: Złoty Medal – dh Józef Syrka,

Srebrny Medal – dh Krzysztof Pierog, Brązowy – dh Edward Pasierbek, odznakę „Wzorowy Strażak” – dh Rafał Pierog, dh Wojciech Kawiak, dh Stanisław Polak. Były to wyróżnienia przyznane szczególnie za udział w akcji powodziowej na terenie Gminy Strysza-wa i Miasta Sucha Beskidzka.

W 2000 roku w suterrenach remizy przygotowano pomieszczenia, w których mogły już odbywać się zebrania. Stan konta na koniec tego roku wynosił 59,90 zł., dlatego nie planowano wielu działań. W protokole sprawozdawczym za ten rok odnotowano 6 wyjazdów do akcji, w tym 2 gaśnicze, a 4 to miejscowe zagrożenia. Seniorzy zajęli VI miejsce w Gminnych Zawodach Pożarniczych, zaś bardzo liczna MDP uzyskała następujące wyniki: chłopcy, grupa I-I miejsce, grupa II-II miejsce, podobnie jak dziewczęta, które też zdobyły II miejsce. Jednostka brała udział w akcji „Podaruj dzieciom słońce”. Do MDP, liczącej aż 15 osób, zgłosiły się dziewczęta: Katarzyna Pierog, Dominika Basiura, Kinga Mentel, Anna Spyрка, Katarzyna Toczek oraz rodzynek, Leszek Bury. Odznaczenia w tym roku otrzymali następujący strażacy ochotnicy: Złoty Medal za Zasługi dla Pożarnictwa-Jan Żurek, Srebrny-Marian Kowaliczek, Brązowy- Lucjan Chowaniak, odznakę „Wzorowy Strażak” otrzymał dh Andrzej Klimasara. W kolejnym, 2001 roku Złotym Medalem wyróżniono dha Józefa Kawiaka, Srebrnym-dha Edwarda Morawę, Brązowym -dha Rafała Pieroga, zaś odznakę „Wzorowy Strażak” otrzymał dh Tomasz Kubasiak. Młodzi strażacy wzięli udział w I Ogólnopolskim Turnieju Wiedzy Pożarniczej „Młodzież zapobiega pożarom”. Nie prowadzono żadnych prac budowlanych ze względu na brak środków finansowych.

W 2002 roku jednostka na Przysłopiu otrzymała radiotelefon samochodowy „Motorola”. Doposażono też garaż w remizie. Ważnym zadaniem było dokładne wytyczenie granic działki, na której w stanie surowym stała już remiza. Przeprowadzono czyszczenie zbiornika pożarowego oraz zabezpieczono dostęp do niego przez wykonanie doraźnego ogrodzenia. Po 11 latach przerwy przywrócono zwyczaj trzymania warty przy Grobie Pańskim w czasie obchodów Świąt Wielkanocnych oraz niesienia baldachimu w cza-

sie procesji rezurekcyjnej. Latem, 7. lipca tego roku odbyły się Gminne Zawody Sportowo-Pożarnicze. Przysłopska MDP zajęła w nich III miejsce. Do MDP zapisali się nowi członkowie: Mateusz Pochopień i Witold Bury. Podczas zebrania sprawozdawczego za rok 2002 odznaczenia otrzymali: Złoty Medal za Zasługi dla Pożarnictwa-dh Antoni Paciorek, Srebrny Medal-dh Dariusz Smyrak i dh Franciszek Polak, Brązowy-dh Paweł Pierog, odznakę „Wzorowy Strażak” przyznano dh. Marcinowi Spyрка.

W roku **2003** zakupiono od OSP Krzeszów samochód gaśniczy GBA STAR 660 -beczkowóz, w którym wymieniono skrzynię biegów i właściwie go oznakowano, przeinstalowano też radiostację oraz sygnał dźwiękowy. Strażacy ochotnicy brali w tym roku udział w akcji powodziowej na terenie gmin Maków Podhalański, Stryszawa i Zawoja, zaś w **2004** roku uczestniczyli w akcji gaszenia dużego pożaru tartaku MAKPOL w Zawoi. W okresie suszy zaopatrywali mieszkańców w wodę. Byli też wraz z Radą Rodziców miejscowej szkoły i ze Stowarzyszeniem na Rzecz Zrównoważonego Rozwoju Przysłopia współorganizatorami pierwszego festynu „Noc Kupały”. MDP, do której zapisał się jeszcze Konrad Pierog, zajęła I miejsce w Gminnych Zawodach Sportowo-Pożarniczych. Niestety drużyna seniorów została zdyskwalifikowana z powodu awarii motopompy. Składka roczna wynosiła wtedy 10 zł. Odznaczenia otrzymali: Srebrny Medal za Zasługi dla Pożarnictwa-dh Dariusz Smyrak i dh Lucjan Chowaniak, Brązowy Medal-dh Andrzej Żywczak, odznakę „Wzorowy Strażak” wręczono dh. Piotrowi Kubasiakowi i Piotrowi Basiurze. W tym roku doprowadzono też do sporządzenia notarialnego aktu własności działki, na której stoi remiza. Przejęto także nieodpłatnie od Państwa Anny i Kazimierza Dudków areal o powierzchni 5,02a na rzecz OSP. W tym samym roku pozyskano od Związku OSP RP w Krakowie środki finansowe na dokończenie budowy remizy, z festynu uzyskano kwotę 3500 zł, ze sprzedaży kalendarzy na rok 2004 zebrano kwotę 2.415 zł, zaś za 2005 r. – 2.015 zł. Pieniądze te przeznaczono na wykończenie suterenu w remizie. Zmodernizowano ogrodzenie zbiornika wody na cele pożarowe. OSP była już w posiadaniu aktu notarialnego działki. Aby umożliwić Wójtowi Zawoi inwestowanie w ten nowy obiekt strażacki przekazano Gminie Zawoja połowę budynku remizy i połowę działki, tj. 10,94a. W tym roku strażacy zakupili od OSP Zawoja Dolna samochód gaśniczy Star 244 GBA 2,5/16. Jednostka brała udział w 2 akcjach ratowniczych i w 1 zagrożeniu, jak również w ćwiczeniach zorganizowanych dla służb ratowniczych na Mosornym Groniu w Zawoi. OSP Zawoja Przysłop liczyła wtedy 30 członków, z tego 9 nowych (4 kobiety i 5 mężczyzn). Do MDP należało 13 osób. Odznaczenia w tym roku otrzymali: dh Aleksander Biłka, dh Andrzej Żywczak, dh Krzysztof Pierog, dh Mateusz Pierog, dh Piotr Kubasiak, dh Lucjan Chowaniak, dh. Dominika Basiura, dh Franciszek Polak i dh. Jan Żurek.

W **2005** roku strażacy uczestniczyli w uroczystościach związanych z peregrinacją relikwii św. Teresy od Dzieciątka Jezus, jak również pomagali w zabezpieczaniu Mistrzostw Polski w Ratownictwie Medycznym oraz w organizacji festynu. Na placu remi-



JEST W ORKIESTRACH DĘTYCH JAKAŚ SIŁA

zy dokonano niwelacji terenu i wykonano szambo. Jednostka licząca w tym roku 33 osoby, uczestniczyła w poszukiwaniu zaginionej osoby. Do MDP zapisały się kolejne osoby: Przemysław Żurek, Gabriel Polak i Łukasz Kudzia. Jednostka pozyskała też członka wspierającego w osobie Krzysztofa Wcisło, który przekazał na cele OSP 1.000 zł. Odznaczenia otrzymali następujący druhowie: Złoty Medal za Zasługi dla Pożarnictwa – Edward Morawa, srebrny – Edward Pasierbek, brązowy – Piotr Kubasiak, Krzysztof Toczek, odznaki „Wzorowy Strażak” odebrali Marcin Spyрка, Mariusz Szczurek.

W **2006** roku Dom Strażaka został wyposażony w stoły. Ponadto wykonano instalację elektryczną w sali reprezentacyjnej, w przedsionku i na klatce schodowej. Przeprowadzono tynkowanie, położono masę elewacyjną i podbito strzechy. W ramach działań bojowych strażacy uczestniczyli w 9 akcjach gaśniczych oraz w likwidacji 3 zagrożeń miejscowych. Byli również współorganizatorami festynu. Odznaczenia otrzymali: dh Aleksander Biłka, dh Krzysztof Pierog, dh Mateusz Pierog, dh Artur Pierog i dh Krzysztof Toczek. od 18 lutego **2007** roku OSP w Zawoi Przyłop posiada nowy statut. W tym dniu aż 8 nowych druhów złożyło ślubowanie. MDP liczyła wtedy 8 osób, w tym 3 chłopców i 5 dziewcząt. W remizie wykonano kuchnię i salę reprezentacyjną. Również w tym roku zorganizowano festyn. Strażacy brali udział w 3 akcjach gaśniczych oraz w likwidacji 4 zagrożeń miejscowych. Stan ilościowy wynosił 40 strażaków ochotników. Tegoroczne wyniki zawodów strażackich to V miejsce drużyny seniorów i takie samo drużyna MDP. Dh Łukasz Toczek zajął w tym roku I miejsce w eliminacjach gminnych, a potem także w powiatowych Ogólnopolskiego Turnieju Wiedzy Pożarniczej „Młodzież Zapobiega Pożarom” w grupie szkół podstawowych i awansował do XXX Eliminacji Wojewódzkich tegoż turnieju zajmując w nim III miejsce. Młodzi strażacy byli przygotowani do turnieju przez dh. Jana Żurka. Składka członkowska wynosiła od tego roku 20 zł.



SZTANDAR DLA OSP

W **2008** roku wyczyszczono, zabezpieczono i ogrodzono zbiornik przeciwpożarowy. Przy remizie rozbudowano szambo. Ze względu na brak środków finansowych nie prowadzono prac w budynku remizy. Panowie Józef i Tomasz Basiura przekazali na rzecz OSP konstrukcję do kominka w sali reprezentacyjnej. Strażacy uczestniczyli w gaszeniu 3 pożarów oraz w likwidacji 2 zagrożeń miejscowych i dwukrotnie brali udział w akcjach poszukiwania osób. Członkowie MDP uczestniczyli w gminnych eliminacjach do Turnieju Wiedzy Pożarniczej. Dh Łukasz Toczek ponownie zajął I miejsce. Odznaczeni w tym roku druhowie to: Krzysztof Pierog, Mateusz Pierog, Mariusz Szczurek, Witold Bury, Krzysztof Toczek. W **2009** roku na liście czynnych członków OSP było 38 osób. W budowie remizy nadal trwał postój. Utwardzono plac przed remizą. Dokonano przejęcia działki od państwa Ewy i Witolda Kozinów. OSP została wyposażona w pilarkę spalinową Husquarna. Zaliczono udział w gaszeniu 4 pożarów. Wyniki gminnej rywalizacji to V miejsce drużyny seniorów i III miejsce MDP, do której w tym roku należy 5 dziewcząt i 5 chłopców. Wyróżnieni zostali następujący druhowie: Krzysztof Pierog, Mariusz Szczurek, Mateusz Pierog, Aleksander Biłka, Janusz Pluta, Piotr Kubasiak, Jan Żurek. W **2010** roku wybrano nowy Zarząd, w tym prezesa – dh. Mariusza Szczurka i naczelnika – dh. Mateusza Pieroga. W tym roku jednostka uczestniczyła w gaszeniu pożaru grupy zabudowań przy ul. Mickiewicza w Suchej Beskidzkiej. Liczba strażaków ochotników to 29 osób. Do MDP zgłosiły się dodatkowe 4 osoby: Kacper Bubiak, Rafał Toczek, Bartłomiej Drabek i Michał Drabek. Pozyskano agregat prądowłoczy i od fundacji WOŚP pompę pływającą. Jednost-



WIEKOWA ZMIANA WARTY

ka uczestniczyła w 13 akcjach, przy czym 4 to gaszenie pożaru, zaś 9 to likwidacja zagrożeń miejscowych.

W 2011 roku jednostka OSP Zawoja Przysłop liczyła 30 czynnych strażaków ochotników. Zakupiono wtedy samochód gaśniczy STEYR 790 4/4 GBA 2,5/16. Sprzedano natomiast STARA za kwotę 6000 zł do OSP w Szymkowie. O stan techniczny wozu bojowego stale wzorowo dba dh Krzysztof Pierog. Strażacy zabezpieczali rajd samochodowy. Uczestniczyli też w konkursie sołectw Gminy Zawoja zajmując III miejsce i zdobywając nagrodę pieniężną w wysokości 2000 zł. Udział w Gminnych Zawodach Sportowo – Pożarniczych zakończył się zdobyciem V miejsca przez drużynę seniorów i III miejsca przez MDP. Do MDP zapisano nowych członków: Kacpra Basiurę i Norberta Chowaniaka. Członkowie MDP przygotowani przez dha Jana Żurka uczestniczyli w Ogólnopolskim Turnieju Wiedzy Pożarniczej. Gabriel Świtek zajął I miejsce w eliminacjach gminnych i powiatowych, zaś w etapie wojewódzkim zajął 13 miejsce.

W roku 2012 stan osobowy OSP Zawoja Przysłop to 27 członków czynnych oraz 13 członków MDP. Był to wyjątkowy rok, gdyż w dniu 21 lipca tego roku miała miejsce uroczystość nadania i poświęcenia sztandaru w 45 rocznicę istnienia OSP Zawoja Przysłop. Pamiątkową tablicę na gwoździe wraz z płaskorzeźbą wizerunku św. Floriana wykonał i podarował strażakom pan Kazimierz Chaberski. W sali głównej wykonano kominiek, ponadto cały budynek został solidnie przygotowany do uroczystości. W tym roku strażacy brali udział w 8 akcjach, z tego w 5 pożarach i w 3 miejscowych zagrożeniach. Drużyna MDP zajęła III miejsce w zawodach gminnych, a seniorzy VI. Członkowie MDP



STRAŻACY Z PROCESJĄ REZUREKCYJNĄ

pod wodzą Jana Żurka również i w tym roku z dużym powodzeniem uczestniczyli w Ogólnopolskim Turnieju Wiedzy Pożarniczej. Gabriel Świtek ponownie zajął pierwsze miejsce w eliminacjach gminnych i powiatowych, zaś w etapie wojewódzkim tym razem zajął 11 miejsce. Do MDP zgłosili się: Szymon Chowaniak, Krzysztof Szczepanek, Szymon Toczek, Kamil Toczek i Michał Świtek. W 2013 roku dla tutejszej jednostki OSP, w której służyło

wtedy 31 ochotników, zakupiono drabinę pożarniczą i zestaw do czyszczenia kominów. Członkowie MDP, do której zapisał się jeszcze Mikołaj Janik, brali udział w wycieczce do KP PSP w Suchej Beskidzkiej. Dorosli druhowie uczestniczyli w ciągu tego roku w gaszeniu 3 pożarów. Ponadto uczestniczyli w Turnieju Halowej Piłki Nożnej. Grupa A zajęła V miejsce w Gminnych Zawodach Sportowo-Pożarniczych. W tym roku wyróżniono medalami i odznakami następujących strażaków ochotników: Piotra Polaka, Łukasza Toczka, Mateusza Toczka, Konrada Pieroga, Arkadiusza Toczka, Michała Drabka, Janusza Plutę, Mateusza Pieroga, Witolda Burego i Marcina Spyrkę.

W 2014 roku w skład OSP Zawoja Przysłop wchodziło 31 dorosłych druhów i 11 osób należących do MDP. W tym roku pozyskano środki na montaż nowej bramy garażowej. Trwało systematyczne wyposażanie kuchni w sprzęt AGD, która była coraz częściej wynajmowana. Z okazji Dnia Strażaka została zorganizowana uroczysta msza święta. Grupa A zajęła tym razem VI miejsce w Gminnych Zawodach Sportowo-Pożarniczych, zaś MDP zdobyła II miejsce w tych zawodach. Do wyróżnionych druhów zaliczono tym razem następujących strażaków ochotników: braci Łukasza, Mateusza i Arkadiusza Toczaków. Ponadto postanowiono wyróżnić Pana Kazimierza Chaberskiego, który wykonał i przekazał przysłopskiej OSP figurę św. Floriana. W kolejnym 2015 roku w skład OSP Zawoja Przysłop wchodziło 35 dorosłych druhów i 11 osób należących do MDP, w tym nowy Jacek Kasprzyk. W styczniu br. przysięgę strażacką złożyły 2 osoby: Krystyna Wajdzik i Hubert Kowaliczek. W tym roku przy głównej bramie garażowej zamontowano gablo-tę, w której umieszczono figurę św. Floriana. Rzeźbę wykonał i ofiarował tutejszej jednostce OSP Pan Kazimierz Chaberski ze Spyrkówki. Figura została poświęcona podczas uroczystej mszy św. w dniu 4 maja 2015r. w kościele parafialnym Zakamieniem. Niecodziennym wydarzeniem było spotkanie pań w dniu 8 marca z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet. W ramach części artystycznej grupa strażaków- ochotników zaprezentowała wła-

sną, oryginalną wersję „Jeziora Łabędziego”. Oklaskom towarzyszył długi śmiech zgromadzonej widowni. W kwietniu delegacja naszej OSP uczestniczyła w Pielgrzymce Strażaków na Jasną Górę. Pod koniec czerwca odbyła się tradycyjna zabawa z okazji rozpoczęcia lata. I w tym roku nie zabrakło loterii oraz możliwości kupienia wianka dla swojej wybranki. Impreza została zorganizowana przez Stowarzyszenie na Rzecz Zrównoważonego Rozwoju Przysłop, a pozyskane środki przeznaczono na budowę ogrodzenia działki nad szkołą. W lipcu nasza jednostka uczestniczyła w zawodach, co poprzedziło kilka zbiórek treningowych. Grupa A zajęła V miejsce w Gminnych Zawodach Sportowo-Pożarniczych, zaś MDP zdobyła I miejsce w tych zawodach. Jesienią zorganizowano wycieczkę do Muzeum Auschwitz w Oświęcimiu, a w grudniu mikołajkową wycieczkę do Wieliczki. Podczas walnego zebrania podsumowującego nie tylko rok 2015, ale także minione 5 lat, wyróżniono następujących druhów: Złoty Medal za Zasługi dla Pożarnictwa otrzymał dh Andrzej Żywczak, zaś Srebrny dh Artur Pierog i dh Mariusz Szczurek, odznakę „Wzorowego Strażaka” przyznano dh. Przemysławowi Żurkowi.

W kwietniu **2016** r. jednostka OSP Zawoja Przysłop obchodziła jubileusz 50-lecia swojego istnienia. Z tej okazji dnia 30 kwietnia 2016 r. w Domu Strażaka odbył się Walny Zjazd Oddziału Gminnego ZOSP z Zawoi. W **2017** r. OSP zrzeszała w swoich szeregach 36 członków zwyczajnych, w tym dha Rafała Toczka, który złożył strażacką przysięgę w lutym. Do MDP należało 9 chłopców. W tym roku zmarła dh. Kunegunda Dańczak, która była członkiem honorowym. W marcu odbyło się doroczne spotkanie z okazji Dnia Kobiet, tym razem z zabawnymi konkursami. W tym roku strażacy wykonali modernizację garażu, zainstalowano regały na ubrania bojowe, i co najważniejsze, zmontowano system centralnego ogrzewania. W związku z likwidacją szkoły, zamontowano wiatę przystankową z przeznaczeniem dla dzieci, które od pierwszego września tego roku są dowożeni do szkół w Zawoi oraz w Stryżawie. Jak co roku strażacy zabezpieczali Babiogórską Jesień oraz parafialne uroczystości kościelne. W październiku druhowie byli organizatorami przysłopskiego sektora Różańca do Granic. W tej wyjątkowej modlitwie uczestniczyli nie tylko mieszkańcy Przysłopia, ale także goście spod Częstochowy oraz z okolic Łodzi. Natomiast w dniu 19. listopada 2017 r. z inicjatywy Komisji Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK, na budynku OSP Zawoja Przysłop została uroczystie odsłonięta tablica poświęcona dr. Hugonowi Zapałowiczowi z okazji 100. rocznicy Jego śmierci. Dzięki tej osobie, zasłużonej dla turystyki babiogórskiej, powstało w 1906 r. pierwsze polskie schronisko górskie w Beskidach Zachodnich na Markowych Szczawinach pod Babią Górą prowadzone przez Towarzystwo Tatrzańskie. Dr Hugo Zapałowicz w tym okresie również zaprojektował i osobiście wyznakował pierwszy polski znakowany szlak turystyczny w Beskidach Zachodnich prowadzący z Suchej Beskidzkiej przez Przysłop do Zawoi Centrum (kolor czerwony), przebiegający kilkadziesiąt metrów od pamiątkowej tablicy. Andrzej Łączyński, który był głównym organizatorem uroczystości odsłonięcia tablicy



W MUZEUM ŻUP WIELICKICH

pamiątkowej, zaprosił przedstawicieli OSP i inne osoby zaangażowane w przygotowanie oraz przeprowadzenie uroczystości, na wycieczkę połączoną ze zwiedzaniem Kopalni Soli „Wieliczka” obchodzącą w 2018 roku 40. rocznicę wpisania przez UNESCO na pierwszą Listę Światową Dziedzictwa Kulturowego i Naturalnego. Wycieczka ta odbyła się w dniu 28 kwietnia 2018 r., a jej uczestnicy zwiedzili Trasę Turystyczną w kopalni oraz podziemną ekspozycję Muzeum Żup Krakowskich.

OSP Zawoja Przysłop, oprócz realizacji bojowych zadań statutowych, jest ważną organizacją integrującą społeczność Przysłopia, zaś Dom Strażaka, wobec braku szkoły na Przysłopiu, stanowi istotny ośrodek kultury i społecznej aktywności. Jego kulturotwórcza rola zostanie niebawem jeszcze znacznie wzmocniona, gdyż w wyniku uzgodnień Zarządów OSP i Stowarzyszenia na Rzecz Zrównoważonego Rozwoju Przysłopia postanowiono, że jeszcze w 2018 r. z budynku niedawnej szkoły zostaną przeniesione do Domu Strażaka zbiory Izby Regionalnej im. Franciszka Gazdy.

Krystyna Wajdzik

KÓŁKO ROLNICZE I KOŁO GOSPODYŃ WIEJSKICH

W historię Przysłopia znacząco wpisała się też działalność Kółka Rolniczego i Koła Gospodyń Wiejskich. Były to organizacje ściśle z sobą powiązane, w roku 1966 legitymacja Koła Gospodyń Wiejskich była jednocześnie legitymacją Kółka Rolniczego (*notatka Pani Wandy Smolik, Instruktora Kół Gospodyń Wiejskich Polskiego Związku Kółek Rolniczych z 1966 r.*). Obydwie te organizacje powstały w roku 1965. *Na terenie Zawoi Przysłop kierownik szkoły Antoni Smyrak jest założycielem Kółka Rolniczego a zaś Dańczak Kune-gunda zakłada Koło Gospodyń Wiejskich. [...] Praca kółka rolniczego opiera się na chałupnictwie, ludność chętnie wykonuje różne wyroby z drzewa, przez co podnosi się stopa życio-wa. Prowadzi się zimą szkolenia rolnicze w szkole... Kółko rolnicze, mając odpowiednie do-chody planuje wybudowanie linii telefonicznej do szkoły... organizuje też spotkanie ludności naszej miejscowości z nauczycielami w Dniu Nauczyciela. Zarząd kółka ufundował dla na-uczycieli upominki książkowe... Kółko Rolnicze przeprowadza telefon do szkoły i do biura, które mieści się u ob. Spyрки Ludwika (w październiku 1967 r.). Kółko Rolnicze podejmuje się nowej inwestycji, a mianowicie budowy drogi na odcinku Zawoja Przysłop – Zawoja Fujacy. Wybrano komitet drogowy w składzie: Spyрка Ludwik, Smyrak Antoni, Spyрка Władysław, Biłka Stanisław, Dańczak Józef... W związku z budową nowej drogi, tutejsza ludność zache-*



PRACA SPOŁECZNA PRZY BUDOWIE DROGI

cana jest do podejmowania czynów społecznych oraz oddawania gruntu pod nowa drogę... Zimą spychacze rozrównują teren pod nowa drogę... Budowa drogi rozpoczęta przez ludność naszej miejscowości posuwa się naprzód. Spychacze ukończyły pracę. Ludność nawozi kamień. Młodzież szkolna, a w szczególności harcerze... pracują przy nowej drodze – rozrzucają kamienie... Praca przy budowie drogi posuwa się naprzód. Już prawie cały teren drogi wysypany zostaje kamieniem i żwirem, a pod koniec 1969 r. wywalcowano prawie całą drogę z przerwami na małych odcinkach. Samochody z KPRD z Zawoi oraz walec pracują do późnej jesieni. Droga na odcinku mającym serpentyny zostaje wysmołowana. – **Kronika SP nr 4 w Zawoi Przysłop, lata 1965 – 1970.**

1972 r. Budowano odcinek drogi od Bilków po garaże. Na odcinku Granica pracowali społecznie mieszkańcy od Bubiaków i Granicy. Różnymi sposobami rozgarniano kamienie. Od Beskidu po garaże pracowali mieszkańcy od Spyrków, Warciaków, Magurki, Przysłopia, Kobieli, Beskidu i Zza Boru... **1974 r.** Mieszkańcy pracują społecznie przy wykończeniu drogi do Lachów – do klasztoru... Na dzień 28. i 30. września przyjechał ciężki sprzęt na miejsce budowy drogi, należało tylko pracą fizyczną dokonać pomocy. Mimo ciężkich warunków atmosferycznych (gdyż padał ciągle deszcz), mieszkańcy na miejsce pracy przybyli bardzo licznie. Jesteśmy bardzo wdzięczni władzom powiatowym za przyznanie dotacji oraz wszystkim, którzy spieszyli nam z pomocą... **1973 r.** 23 VI otwarcie nowego pomieszczenia na klub. Kółko Rolnicze w Zawoi Przysłop przekazało parceli i 100 000 zł. Do Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska... GS, której prezesem jest Kawulak Szczepan, rozpoczęła bu-



DROGA DO KLASZTORU POWSTAŁA DZIĘKI STARANIOM KÓŁKA ROLNICZEGO.

dowę budynku, tj. garaży na maszyny, magazynu na nawozy i sali na Klub Młodego Rolnika... **1986 r.** W dniu 24 maja aresztowano czterech członków Kółka Rolniczego. Prezesa Władysława Spyrkę, wiceprezesa Władysława Pasierbka, księgowego Edwarda Chowaniaka i kierownika chałupnictwa Józefa Spyrkę. W czerwcu dodatkowo zaaresztowano Józefa Basiurę. Tym wydarzeniem zostaliśmy wstrząśnięci. Nie mieli żadnego upomnienia, wszystkie kontrole nie miały zastrzeżeń, a tu taki cios... Cały Przysłop solidaryzował się z rodzinami uwięzionych. Zostali dobici pozostali społecznicy. Zapał do pracy społecznej został pogrzebany. W ciągu 20 lat nasze Kółko Rolnicze zrobiło bardzo dużo. Od drogi do telefonu. Nie wyobrażamy sobie życia bez ofiarnej pracy społeczników. – **Zeszyt Protokołów i Kronika Koła Gospodyń Wiejskich z Zawoi Przysłop.**

Wielkim szmałem powiało nad Rycanem* niedużym przysiółkiem jednej z gmin w województwie bielskim w 1983 roku. ... Joachim Glick* z Tych przyjechał do Rycanego z niezwykłą ofertą. Było nią zamówienie na dostawę drewna niezbędnego do konstrukcji wind... Zamówienie opiewało na 900 000 złotych... Za załatwienie zamówienia dla rolników z Rycanego zażądał prowizji, którą zebrał od wykonawców windowych blatów. Takich pośredników krąży po kraju wielu. Dzięki swojej operatywności, znajomościom i układom, umiejętnością sięgania „do duszy” drobnych producentów i wielkich dyrektorów a przede wszystkim nieudolności i niekompetencji wielu pracowników działów zaopatrzenia, zbijają oni ogromny szmal. **Trudno wszak ich potępić, zwłaszcza w czasach zdecydowanego wejścia w reformę.** To raczej powód do zastanowienia dla ekonomistów i menadżerów życia gospodarczego... Do uchwalonego statutu miejscowego kółka rolniczego dokonano uzupełniającego wpisu. W ten sposób kółko rolnicze upoważnione zostało do skupywania produktów drzewnych od rolników – członków kółek i do ich dalszej odsprzedaży z zyskiem na terenie całego kraju... W trwającym kilkanaście miesięcy drewnianym biznesie partycypowało za pośrednictwem miejscowego kółka około 400 rolników... od 1 grudnia 1984 roku do końca 1985 roku Kółko Rolnicze w Rycanem uzyskało dochód w wysokości ponad 42 milionów złotych... Rozpoczęto starania o zdobycie zamówienia od którejś z kopalń. Tym razem kółkowa „wierchuszka” nie ograniczyła się jedynie do roli biernego ogniwa w przepływie tarcicy i wyrobów z drewna i nie skorzystała z usług któregoś z pośredników. Jedynie aktywności kierownictwa kółka przypisać należy zdobycie zamówienia jednej z największych śląskich kopalń oraz ustalenie niezwykle korzystnych dla Rycanego cen sprzedawanego surowca... W miarę wczytywania się w grube teki dokumentów, nachodziły człowieka coraz większe wątpliwości, czy grupę prostych, ale niezwykle przedsiębiorczych, ba – działających najzupełniej w zgodzie z zasadami reformy gospodarczej – górali można nazwać przestępcami, czy też rycerzami reformy. *Nazwa przysiółka oraz imiona i nazwiska zmienione. **Ryszard Stoecker „Drewniany biznes, czyli kosy w Rycanem”. Kronika Beskidzka. Rocznik gazety nieznany.**

Nasze chłopcy po prostu siedzieli. Nie udowodniono im nic, nie postawiono aktu oskarżenia, została sprawa umorzona. Oni po prostu wyprzedzili epokę. Tylu świadków było

Zaczarowane kółko

JEST u nas w kraju parę tysięcy kółek rolniczych. Ludziska hodują tam krowy, trzodę, zbierają zboże, kontraktują i odstawiają.

Jaskrawy wyłatek na tym sielankowym tle, stanowi kółko rolnicze w Zawoi-Przysłop, w woj. bielskim. To właśnie kółko przysporzyło mnóstwo kłopotów tamtejszemu Wojewódzkiemu Urzędowi Spraw Wewnętrznych. Dochodzenie trwało dość długo, ale za to wyszły na jaw przestępne historie.

Oto jak wynika z akt dochodzeniowych, w ciągu dwóch lat prezes kółka rolniczego Zawoja-Przysłop, Władysław S. oraz kierownicy pracy nakładczej kółka, Józef S. i Władysław P., wykorzystując działalność gospodarstwa kółka polegającą m.in. na sprzedaży tarcicy i wyrobów drewnianych, nawiązali kontakty z Kopalnią Węgla Kamiennego w Zabrzu-Bielszowicach i dostarczali im wspomniane drewno. Nie byłoby w tym nic niezwykłego gdyby nie mały, ale istotny szczegół. Pominęci

kółkowi zamiast obowiązujących cen urzędowych stosowali ceny umowne i jak obliczone potem, kopalnia wybułła na swoją szkodę, bagatelka, 34.978.236 złotych!

Ceny umowne zaproponowane przez głównego księgowego Edwarda Ch. przyjęte zostały bezkrytycznie ze strony kopalni przez inspektorów działu zaopatrzenia materialowego, Halinę E. i Andrzeja L. Również bezkrytycznie zaakceptował cały ten interes drzewno-tarciowy kierownik zaopatrzenia Ryszard A. i zastępca dyrektora do spraw ekonomicznych, Zygfryd G.

Okazało się ponadto, że w tym czasie kopalnia dysponowała okazałym zapasem drewna, nie uzasadniającym w żadnym wypadku zakupów w kółku rolniczym. Nie takie jednak euda dzieła się nieraz w naszej gospodarce. Oto Andrzej L., inspektor działu zaopatrzenia materialnego kopalni, otrzymał od kółka ładny prezentik w postaci mięsa, kiełbasy, drobiu, alkoholi a nawet pieniędzy na przejazdy taksówkami. Jako że załatwienie transakcji wymagało licznych podróży służbowych.

Były też przypadki pobierania prowizji z tytułu prac związanych z odbiorem i dostawą wyrobów drewnianych, podczas gdy ani wyrobów nie było, ani ich nie przedstawiało... (Jam)



ZACZAROWANE KÓŁKO

tej samodzielności gospodarczej i jej przeciwników. – **Adam Żywiecki. Prezes co prawda nie potrafił pisać, ale...** Trybuna Robotnicza, 01.02.1988 r. Nie byłoby w tym nic niezwykłego gdyby nie mały, ale istotny szczegół. Pominęci kółkowi zamiast obowiązujących cen urzędowych stosowali ceny umowne... – (Jam). Zaczarowane kółko. Express Wieczorny nr 47, 1988 r.).

Koło gospodyń wiejskich składało się początkowo z 30 kobiet. Zebranie założycielskie odbyło się 15. listopada 1965 r. Głównym celem działalności KGW w owych czasach było szkolenie rolnicze, podnoszenie świadomości kobiet w zakresie hodowli, sadownictwa, kulinariów, szycia i mody, organizowanie wycieczki (Oświęcim, Brzezinka, Porąbka, Zakopane, Wieliczka, Chorzów). Sprowadzane i rozprowadzane między mieszkańców Przysłopia były kurczęta, owce, sadzonki drzewek owocowych, truskawek, ziemniaki sadzeniaki, nawozy sztuczne. Organizowane były kursy gotowania i szycia, sprowadzane były inspekcje do przydomowych ogródków, zakupione (i częściowo wygrane w różnych konkursach) naczynia przeznaczone zostały do wypożyczania na wesela i inne imprezy, zorganizowany został kurs Przysposobienia Rolniczego, sprowadzane było objazdowe kino. Z rozmów, które prowadziłem ze starszymi mieszkańcami wynika, że niektórzy po raz pierwszy zobaczyli kanapki podczas kursów gotowania. **1966 r.** Przy opracowywaniu projektów pracy zaplanowano zdobywać wiedzę. Na każdym zebraniu wysłuchać referatu szkoleniowego na tematy rolnicze, zdrowia i gospodarstwa domowego... **1967 r.** Od 15. lutego zorganizowano kurs gotowania. Kurs odbywa się w domu Babiarczyk Anny. Uczest-

przesłuchanych, i nic, nie było nadużycia a chłopcy siedzieli pół roku. (Relacja pani Herminy Spyryka z dnia 11.04.2018 r.).

Z rozmów, notatek i artykułów prasowych wyłania się wniosek, że jedynym przestępstwem, które obciąża zarząd Kółka Rolniczego było zastosowanie cen umownych. Było to przestępstwo w tamtych czasach, dziś nazwano by to przedsiębiorczością. (Sprawa wymyka się jednoznaczny kwalifikacją. Prócz swego wydzźwięku kryminalnego stanowić może ciekawy przedmiot zainteresowania socjologów, psychologów, teoretyków organizacji, ekonomistów, zwolenników jak najdalej posunię-

niczki są podzielone na dwie grupy. Zajęcia zaczynano od godz. 7 rano a trwały do 20 wieczorem. Z kursu skorzystało 57 osób...

1968 r. Zarząd postanowił zorganizować choinkę noworoczną dla dzieci szkolnych...

Zorganizowano zapisy na wycieczkę do Oświęcimia... zamówiono i sprowadzono przez PZKR truskawki. Członkinie chętnie zgłosiły się po sadzonki...

1969 r. Zorganizowano PR. Chętnych podzielono na zespoły, przodownicami zostały Helena Toczek, Emilia Mentel, Anna Żywczak, Hermina Pierog i Janina Oleksa...³¹. Sierpnia zorganizowano wycieczkę do Zakopanego...

Nasze koło wzięło udział w gromadzkich dożynkach. Komisja PR KGW oceniła stoiska KGW organizowane przy dożynkach. W wyniku dyskusji uznane zostały za najlepiej zorganizowane 4 stoiska: KGW Bystra, Zawoja Przysłop, Tarnawa D i Kojaszówka. W nagrodę KGW Przysłop otrzymało serwis obiadowy na 6 osób...Ostatni okres członkinie poświęciły na przygotowanie się do egzaminu PR z I roku – „Uprawa ziemniaków, zbóż i nawożenie”.

Egzamin złożyły 64 osoby... Zadaniem naszym była hodowla–postanowiono owce. Miało być 60 owiec, sprowadzono 30, z czego 14 zostało przeznaczonych na Przysłop. Owce te nie spełniły oczekiwań, były, wbrew obietnicom nie zakoczone. Chowane całą zimę nie przyniosły pożytku... **1971 r.** Na Przysłop zostały sprowadzone inspekty do uprawy rozsąd warzyw w przydomowych ogródkach. Nasze koło otrzymało 3 inspekty po 5 okien. Stąd gospodynie otrzymują rozsądę, każda ma już ogródek, gdzie uprawia się warzywa. Wprowadzamy kabaczki, skorzonę, szparagi i bób. W „Płonie” ukazał się 7. marca artykuł Floriana Ruszkowskiego opisujący wprowadzanie u nas inspektów... KGW zorganizowało wycieczkę do Krakowa i Wieliczki. Podróż została pokryta z kasy koła... **1972 r.** Egzamin II stopnia Przysposobienia Rolniczego złożyło 58 kobiet. Wszystkie otrzymały świadectwa ukończenia, naukę w PR zakończono wspólną zabawą...

1973 r. Otwarcie nowego pomieszczenia na Klub Rolnika... 24. grudnia zespół PR przyjmuje gości z kół powiatu proszowickiego... **1974 r.** W dniu 4. lutego rozpoczyna się kurs gotowania i pieczenia. Odbывается w nowej sali, jest bardzo przyjemnie. Nowa kuchnia grzeje i jednocześnie piecze. 17. lutego odbyło się uroczyste zakończenie kursu z pokazem garmażeryjnym. Kurs prowadziła pani Emilia Kołaczowa... **1975 r.** Gospodarstwa zmieniają swój cha-



RAZEM MOŻNA WIĘCEJ.

rakter, przechodzą na gospodarkę hodowlaną. Zwiększyła się ilość i jakość bydła. W każdym roku przybywa ogródków warzywnych. Przy naszym kole istnieje wypożyczalnia naczyń stołowych oraz szatkownic do kapusty. 22 VI zorganizowano wycieczkę do Chorzowa. ZOO, Planetarium, wesołe miasteczko, kolejka... Fot. **1976 r.** Nasze koło liczy 60 członkiń. Wielkie niezadowolenie w kole. Przejście pod SKR w Juszczyńie odbiło się źle na kole. SKR zabrał majątek z kółek rolniczych i KGW. Zebrane z trudem datki na plac zabaw, wpłacone na książeczkę, też nam zabrano. Nie pomogły tłumaczenia... W lutym zorganizowano kurs haftu, który ukończyło 27 osób... Współpraca z SKR układa się niekorzystnie, zakrawa to na rozwiązanie koła... **1977 r.** coraz gorzej układa się współpraca z SKR-em. Najwięcej trudności mamy ze złożeniem zamówienia na pisklęta. Nasze członkinie systematycznie, od roku 1966, zaopatrują się w pisklęta. Tak źle, jak w tym roku, jeszcze nie było. Z tego powodu wzrasta niechęć i zobojętnienie... **1980 r.** Za aktywna działalność w kole zostały odznaczone Józefa Basiura, Stanisława Basiura, Emilia Mentel i Kunegunda Dańczak. Odznaczenie „Serca Matki” otrzymały: Emilia Mentel, Anna Kobiela, Stefania Spyryka i Aniela Polak... **1981 r.** Na naszym terenie praca idzie jeszcze dobrze i zgodnie, ale nie wiadomo, jak długo tak będzie... **1984 r.** Wielkie uznanie dla Naczelnika Gminy Stryżawa. Jak nie możemy się doprosić o drogę do Zawoi i przystanek ulokowany bliżej drogi z Przysłopia, tak Naczelnik Stryżawy przychylił się do naszej prośby i ilość autobusów do Stryżawy Huciska została zwiększona... Każdy właściciel gruntu przylegającego do drogi, ma obowiązek wy-



DŁUGIE ROZMOWY PRZY DARCIU PIERZA

czyścić rów. Wystarczy przejść od Nowego Osiedla po klasztor, a nawet pod sklep, aby zobaczyć obraz solidarności naszego rejonu... Członkinie naszego koła są czule na nieszczęście koleżanki, przykładem jest współczucie dla naszej przewodniczącej... **1986 r.** Minęło 20, lat naszej działalności. W nasz jubileusz członkinie koła usiadły przy herbatce wspominając nasze przygody. W ciągu dwudziestoletniej pracy uzbierało się tego sporo... **1987 r.** W kwietniu rozpoczął pracę sprzęt ciężki przy budowie drogi na Przysłop... 13. maja odznaczono orderem „Serca matki” cztery kobiety: Kowaliczek Zofia, Kudzia Weronika, Oleksa Genowefa i Pietrusa Julia... W pierwszych dniach lipca zorganizowałyśmy spotkanie z KGW Bieńkówka. Spotkanie zakończyło się wspólnym ogniskiem... Pod koniec lipca odbyła się wycieczka zorganizowana przez KGW na trasie Zawoja–Częstochowa–Gidle–Niepokalanów–Licheń–Warszawa. Z powodu poważnej choroby Józefa Basiura złożyła rezygnację z funkcji przewodniczącej koła. Praca w kole nadal owocna i pożyteczna dla całego środowiska... – **Kronika i Zeszyt Protokołów Koła Gospodyń Wiejskich Zawoja Przysłop.**

Nie zawsze działalność KGW usłana była różami. A jeśli tak, to róże te miały kolce. Znajdujemy w Kronice KGW zapisy świadczące o niechęci działaczek z Zawoi Centrum do kobiet z Przysłopia. ... Zwracamy się z prośbą do Gminnej Spółdzielni o pomoc przy transporcie kurcząt. GS odmawia tłumacząc się tym, że jest zły dostęp, a nawet proponowano nam rozwiązać koło lub przenieść pracę do KGW Zawoja Centrum, bo w Zawoi nie mogą utrzymać koła. Dziwne tylko, że my musimy chodzić i pokonywać tą paskudną drogę. – **1966 r.** ... Nasze Koło było niechętnie przyjęte na dożynkach w Zawoi Centrum. Nie zakrawa to na współpracę, raczej na zerwanie całkowite współpracy oraz odłączenie się od Za-



DOŻYNKI POWIATOWE W ZAWOI CENTRUM 1969 R

woi. Raczej zmienimy nazwę koła z Zawoi Przysłop na Stryszawę Górną, co ułatwi nam lepsze traktowanie od zarządków kół w Stryszawie. – 1969 r. Czytając powyższe słowa przeżyłem swoiste déjà vu. Kilkakrotnie spotkałem się z opinią zawojskich działaczy samorządowych, że Zawoja jest biedna, bo ma zbyt dużo przysiółków, że powinno się zostawić tylko centrum z jedną szkołą, jednym kościołem, jednym sklepem, a resztę...zaorać.

Prezesem Kółka Rolniczego w Zawoi Przysłop od początku do końca jego działalności był Władysław Spyrka.

Prezeskami KGW były: Dańczak Kunegunda (1965–1980), Basiura Józefa (1980–1988), Basiura Stanisława (od 1988 r.)

Jan Żurek

STOWARZYSZENIE NA RZECZ ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU „PRZYSŁÓP”

OPIS OGÓLNY

Powstał w 2000 roku z inicjatywy mieszkańców Przysłopia, karmelity boso Ojca Romualda i nauczycieli miejscowej szkoły podstawowej. Zrzeszało ono ludzi najbardziej aktywnych i pragnących rozwiązywać problemy swojej miejscowości oraz działać dla poprawy jakości życia. Koncentrowało się głównie na działaniach na rzecz zrównoważonego rozwoju lokalnego w oparciu o posiadane zasoby przyrodnicze i kulturowe. Wspierało działania miejscowej małej szkoły podstawowej. Zajmowało się edukacją ekologiczną społeczeństwa oraz promocją rozwoju turystyki przyjaznej dla środowiska. Podnosiło znaczenie kultury regionalnej. Promowało lokalne rzemiosło oraz twórców ludowych. Działo na rzecz rozwoju oświaty przysiółka Przysłop. Informowało społeczność lokalną o inicjatywach i działaniach proekologicznych, kulturowych i turystycznych oraz rozwoju alternatywnych form przedsiębiorczości. Dbało o wyrównanie szans edukacyjnych dzieci i młodzieży wiejskiej. Integrowało środowisko lokalne do działania na rzecz Przysłopia. Było wizytówką Gminy Zawoja i wzorem do naśladowania w działaniach ekologicznych, kulturowych i turystycznych. Podejmowane działania przyciągały wielu gości z kraju i zagranicy. Współpracowało z wieloma instytucjami państwowymi i organizacjami pozarządowymi. Było pionie-



OJCIEC WILK Z PRZEDSTAWICIELKAMI FUNDACJI
PARTNERSTWO DLA ŚRODOWISKA



FOT. 559. SPRZĄTANIE PO FESTYNIE.

rem na naszym terenie pod względem podejmowanych inicjatyw lokalnych. Wiele osób i instytucji uczyło się od stowarzyszenia jak działać i robić coś pożytecznego dla społeczności lokalnej.

WIEJCEJ SZCZEGÓŁÓW O DZIAŁANIACH

Stowarzyszenie podejmowało liczne działania związane z poprawą jakości życia mieszkańców. Wspierało miejscową Szkołę Podstawową nr 4 im. św. Rafała Kalinowskiego w Zawoi Przysłop. Dzięki temu w szkole prowadzono selektywną zbiórkę odpadów, zamontowano kolektorów słonecznych, wykonano termomodernizację budynku, zastosowano oświetlenie energooszczędne, założono ogródek bioróżnorodności, uruchomiono oczyszczalnię ścieków i małą elektrownię słoneczną. Skutkiem tych działań szkoła jako pierwsza w Polsce otrzymała międzynarodowe wyróżnienie „Zielonej Flagi”.

W pomieszczeniach budynku szkoły urządzono Izbę Regionalną oraz „Sklepik pod Magurką” jako punkt sprzedaży wyrobów regionalnych i wydawnictw lokalnych. Stowarzyszenie zdobyło środki na doposażenie szkoły w sprzęt komputerowy i audio-wizualny oraz pomoce szkolne. Wyposażyło również miejscową szkołę w łóżka polowe w celu stworzenia bazy noclegowej dla grup dzieci i młodzieży przyjeżdżających na wypoczynek weekendowy oraz letni i zimowy. Przyczyniło się do powstania szkolnej ścieżki dydaktycznej, która ukazuje najciekawsze elementy przyrodnicze, ekologiczne i kulturowe Przysłopia. Ścieżka składała się z 14 punktów przedstawiających: osiągnięcia szkoły, działalność społeczności lokalnej na rzecz środowiska naturalnego i kulturowego, lokalnych twórców i rzemieślników, a także stare chaty, studnie i piwniczki, różnorodność przy-



LOGO
STOWARZYSZENIA



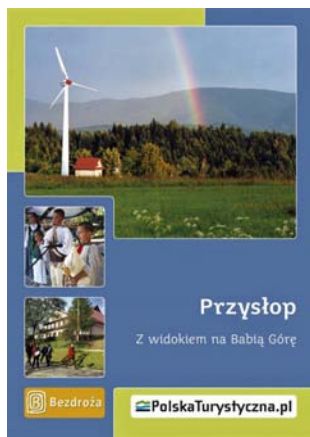
SPOTKANIE NA SZCZYCIE W SPRAWIE WODOCIĄGU

drożnych kapliczek, klasztor oo. Karmelitów Bosych, elektrownię wiatrową, miejscową bioróżnorodność (siedliska zwierząt, formy skalne, potok górski, bory jodłowe i lasy bukowe oraz krajobraz górski z widokami na Pasma Babiej Góry, Policy i Jałowca. Dzięki inicjatywie stowarzyszenia powstało boisko i plac zabaw przy szkole. Obecnie ścieżka nie istnieje. W jej miejsce powstał nowy produkt



MAPA ODKRYWCÓW SKARBÓW

turystyczny tzw. „Wędrówka odkrywców po Przysłopiu”. Organizowało lokalne zabawy i festyn „Noc Kupały i świętojańskich robaczków”, z którego dochód przeznaczony był na wsparcie rozbudowy i działań szkoły oraz OSP na Przysłopiu. Angażowało się w tradycyjne kołędowanie na Trzech Króli na rzecz rozwoju szkoły. Podejmowało działania na rzecz zaopatrzenia mieszkańców w wodę pitną (zakup działek, wykonanie odwiertu i przygotowanie dokumentacji). Uzyskało certyfikat „Czystej Turystyki” - jako pierwszy Certyfikat w tej kategorii nadany obiektowi turystycznemu w 2009 roku oraz tytuł „Zasłużony dla Gminy Zawoja”. Dzięki staraniom stowarzyszenia ukazały się publikacje promocyjne: folder o Przysłopiu, przewodnik turystyczny „Przysłop z widokiem na Babia Górę”, widokówka, słownik gwary lokalnej „Chudok”, powstała strona internetowa www.przyslop.zawoja.pl (nadal aktywna w Internecie) oraz produkt turystyczny „Wędrówki odkrywców po Przysłopiu”. Przysłop został umieszczony na Międzynarodowym szlaku turystycznym „Bursztynowy Szlak” oraz w lokalnej ofercie turystycznej „Podbabiogórskie Ekomuzeum”. Stowarzyszenie koordynowało Program „Szkoły dla Ekorozwoju” w regionie babiogórskim. Wchodziło w skład grupy partnerskiej „Łączy Nas Babia Góra”, w ramach której podejmowane były wspólne działania na rzecz zrównoważonego rozwoju regionu babiogórskiego. Wspólnie z Fundacją „Partnerstwo dla Środowiska” z Krakowa włączyło się w organizację Międzynarodowej Sesji Ekspertów pt. „Ludzie i Park. Współpraca i rozwój”.



PRZYSŁÓP Z WIDOKIEM NA
BABIĄ GÓRĘ



ZASŁUŻENI DLA GMINY ZAWOJA

Zakwalifikowało się do współuczestnictwa w programie „Ekomuzeum – nowy sposób prezentacji lokalnego dziedzictwa przyrodniczego i kulturowego” (program prowadziła Fundacja „Partnerstwo dla Środowiska” z Krakowa). Było członkiem Stowarzyszenia LGD „Podbabiogórze” w ramach Schematu II Działania Programu Leader+. Stowarzyszenie angażowało się także w działania wyrównujące szanse edukacyjne dzieci i młodzieży, co przejawia się organizowaniem kursów języków obcych i zajęć komputerowych prowadząc powszechną edukację informatyczną dla osób dorosłych oraz umożliwiając bezpłatny dostęp do Internetu. Wsparło lokalną młodzież w inicjatywach na rzecz rozwoju kultury fizycznej (budowa boiska, doposażenie szkoły w sprzęt sportowy).

Realizacja działań Stowarzyszenia była łatwiejsza dzięki współpracy z licznymi organizacjami, wśród których należy wymienić:

Urzędy Gmin: Zawoja, Stryszawa, Maków Podhalański, Powiat Suski, Babiogórski Park Narodowy, Fundacja EKO-OKO z Warszawy, Gminne Centrum Kultury Promocji i Turystyki w Zawoi, Klasztor OO. Karmelitów Bosych w Zawoi Zakamień, Oddział PTTK w Suchej Beskidzkiej, Stowarzyszenie Gmin Babiogórskich, Regionalny Ośrodek Edukacji Ekologicznej z Krakowa, Polski Klub Ekologiczny w Krakowie, LGD „Podbabiogórze”.

NASI DARCYŃCY

Fundacja Partnerstwo dla Środowiska z Krakowa, Powiatowy Fundusz Ochrony Środowiska w Suchej Beskidzkiej, Gminny Fundusz Ochrony Środowiska w Zawoi, Gminy: Zawoja, Stryszawa, Maków Podhalański, Akademia Rozwoju Filantropii w Polsce, Fundacja Wspomagania Wsi, GEF Program Małych Dotacji, HEWLETT-PACKARD POLSKA, Fundacja „Wystarczy Chcieć” Izabeli i Adama Małyszów.

Niestety likwidacja lokalnej szkoły podstawowej spowodowała, że cała praca społeczna mieszkańców Przysłopia poszła na marne, zostały tylko wspomnienia i uczucie żalu do władz samorządowych.

BIBLIOGRAFIA

- Bogacz Józef. *Gdy Grzechynię dzieliła granica*. Maków Podhalański 2015.
- Bugajska Zofia. *Zawoja, moja mała ojczyzna*. Kraków 2011.
- (Jam). *Zaczarowane kółko*. Express Wieczorny nr 47, 1988.
- Janicka Krzywda Urszula, *Dzieje ludności żydowskiej w Zawoi. Prace Babiogórskie VI 1983-1984*. Kraków 1985.
- Kronika Ochotniczej Straży Pożarnej w Zawoi Przysłop.
- Kronika Parafii pw. Św. Józefa Robotnika w Zawoi Zakamień.
- Kronika Szkoły Podstawowej nr 4 w Zawoi Przysłop.
- Mydlarz Jerzy, *Wojna i okupacja (1939-1945) w realiach obszaru podbabiogórskiego. Rocznik Babiogórski, Tom 11*. Kraków-Zawoja 2009.
- O. Benignus Józef Wanat, *Zakon Karmelitów Bosych w Polsce. Klasztory karmelitów i karmelitanek 1605-1975*. Kraków 1979.
- O. Bernard od Matki Bożej, karmelita bosy. *Hiszpania walcząca. Kalendarz Głosu Karmelu na rok 1939*.
- Praca zbiorowa, *Druga wojna światowa pod babią Górą. Księga strat*. Kraków-Zawoja 2011.
- Praca zbiorowa, *Królewska wieś. Monografia Skawicy*. Skawica – Kraków 2009.
- Praca zbiorowa, *Monografia Grzechyni*. Grzechynia 2012.
- Praca zbiorowa, *Monografia Zawoi*. Kraków-Zawoja 1996.
- Rydel Leon, *Zawojski budzieli babiogórskiego folkloru – Franciszek Gazda, Prace Babiogórskie 1982*, Kraków 1983.
- Spyrka Hermína. *Hej kany się podziały nase dawne casy*. Pod Diablakiem nr 3/1999.
- Stoecker Ryszard. *Drewniany biznes, czyli kokosy w Rycanem. Kronika Beskidzka. Rocznik gazety nieznany*.
- Studnicki Gustaw, *W Zawoi pół wieku temu. Wspomnienia nauczyciela*. Wadowice 1998.
- Woźniak Barbara, *Sucha Beskidzka. Historia i współczesność*. Sucha Beskidzka 2010.
- Zeszyt Protokołów i Kronika Koła Gospodyń Wiejskich z Zawoi Przysłop.
- Żurek Jan, *Ludzie Babiej Góry. Leon Motowidło*. Pod Diablakiem nr 2/1996.
- Żywiecki Adam, *Prezes co prawda nie potrafił pisać, ale...* Trybuna Robotnicza, 01.02.1988.

Zespół redakcyjny składa w imieniu własnym
i Czytelników SERDECZNE PODZIĘKOWANIA
wszystkim, którzy wsparli finansowo wydanie
niniejszej publikacji (kolejność alfabetyczna):

Basiura Małgorzata i Józef

Biłka Lucyna i Aleksander

Ciupiński Leszek

Gmina Maków Podhalański

Gmina Stryżawa

Karpeta Kamila i Ireneusz

Pierog Joanna i Grzegorz

Pluta Agata i Krzysztof

Pluta Katarzyna i Janusz

Stowarzyszenie na rzecz Zrównoważonego Rozwoju „Przysłop”

Toczek Urszula i Stanisław

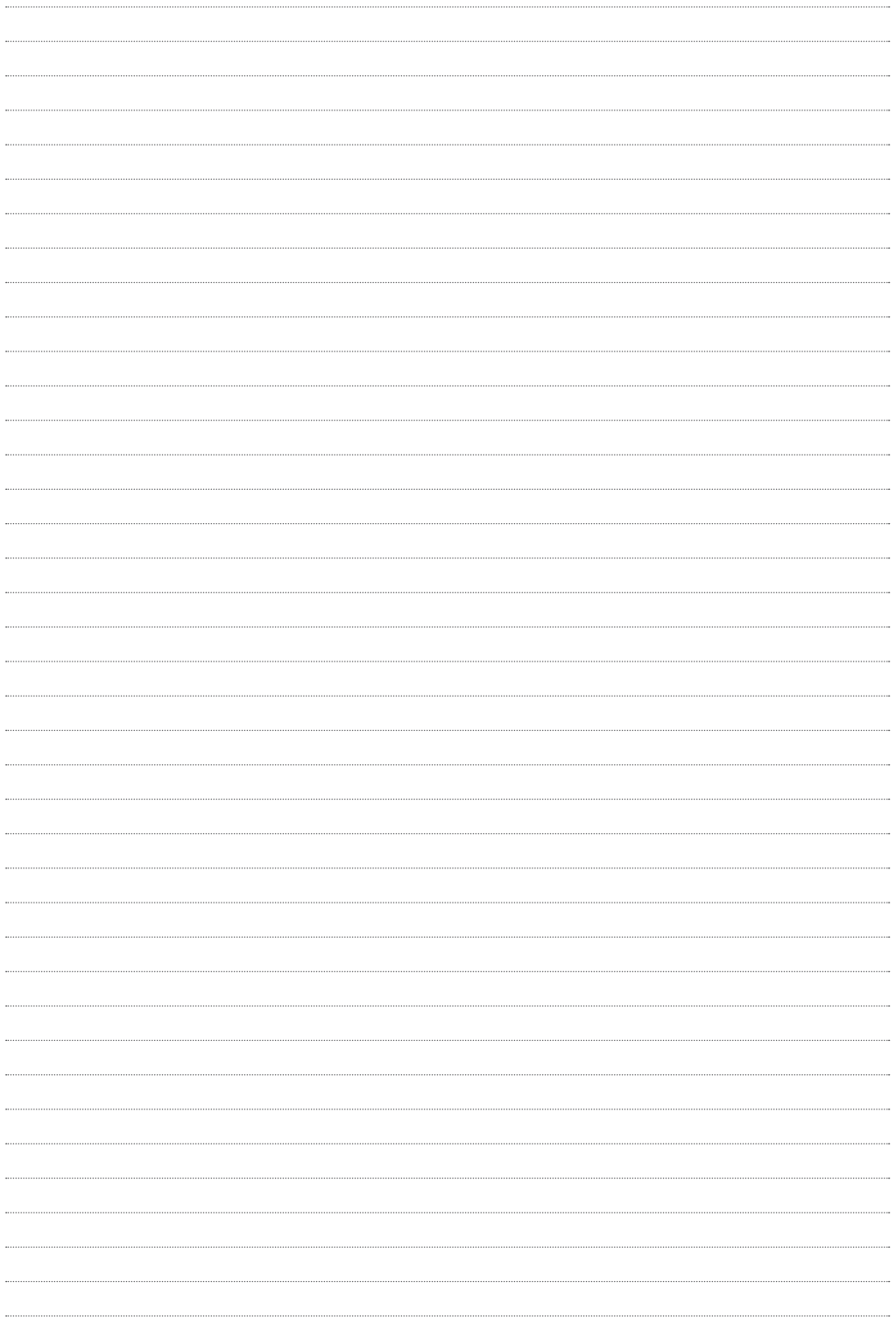
Wajdzik Krystyna i Łucjan

Wcisło Małgorzata i Zbigniew

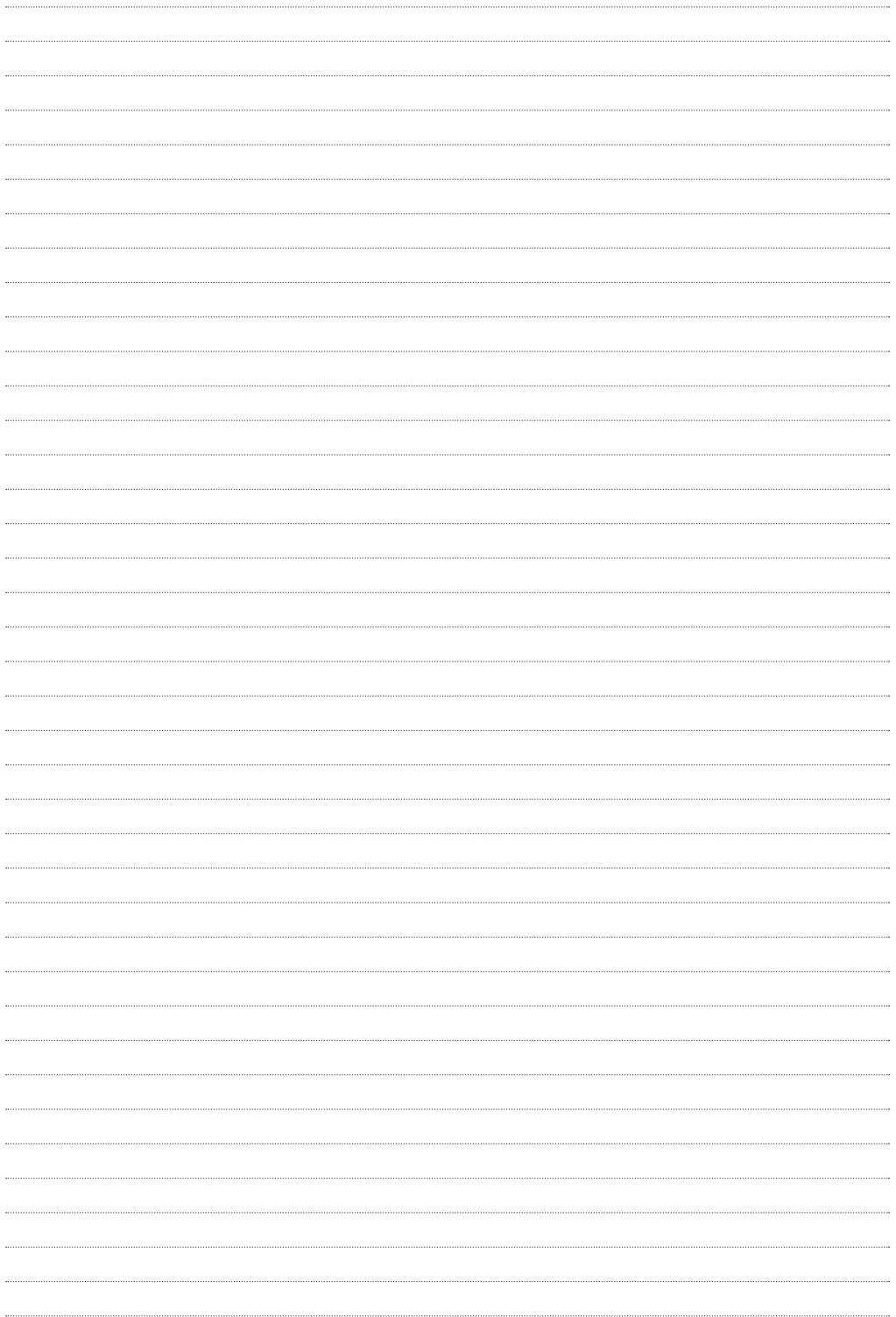
Żurek Elżbieta i Jan

*Nie liczy się to ile posiadasz,
ale ile dajesz innym i jak się z nimi dzielisz.*

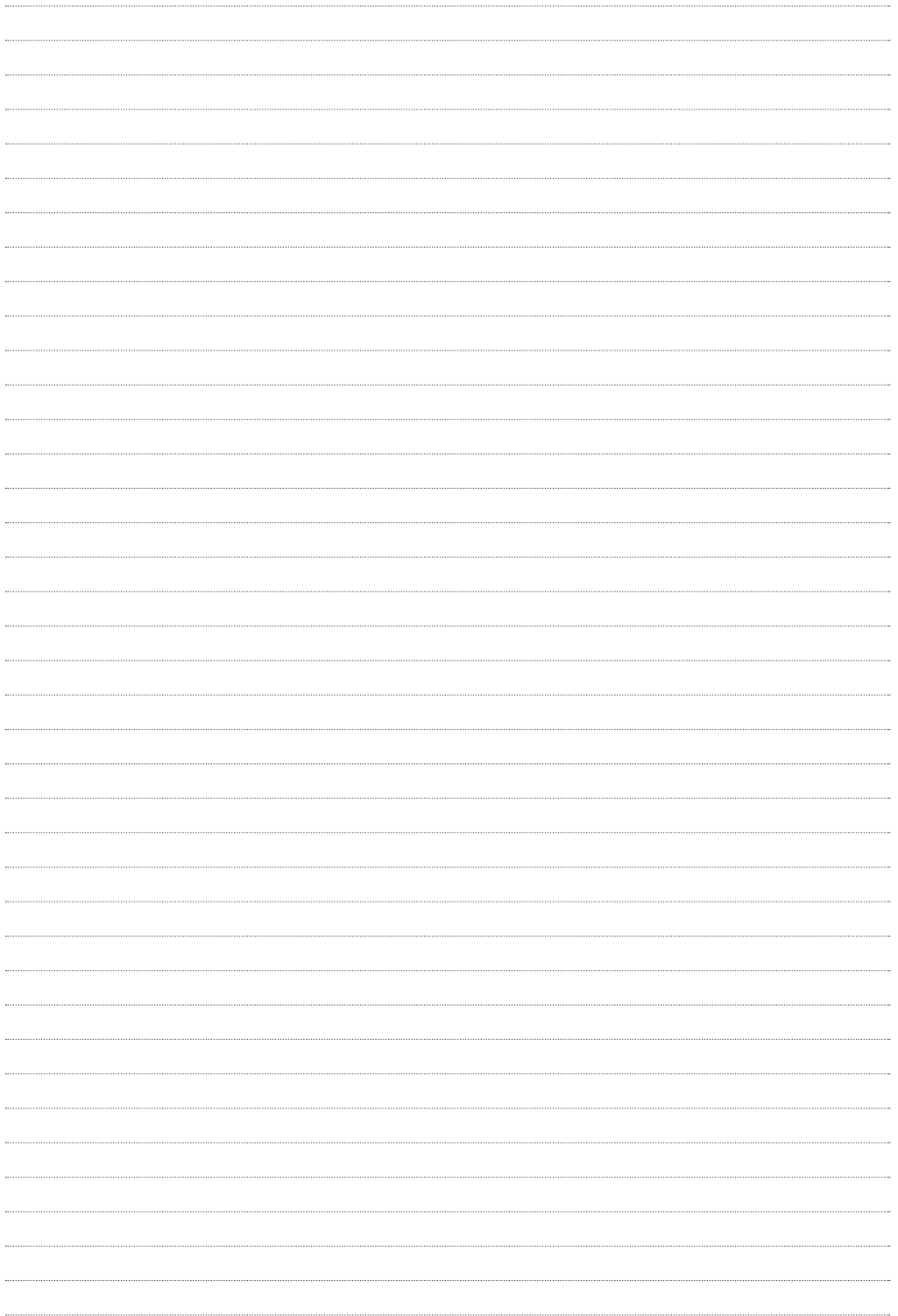




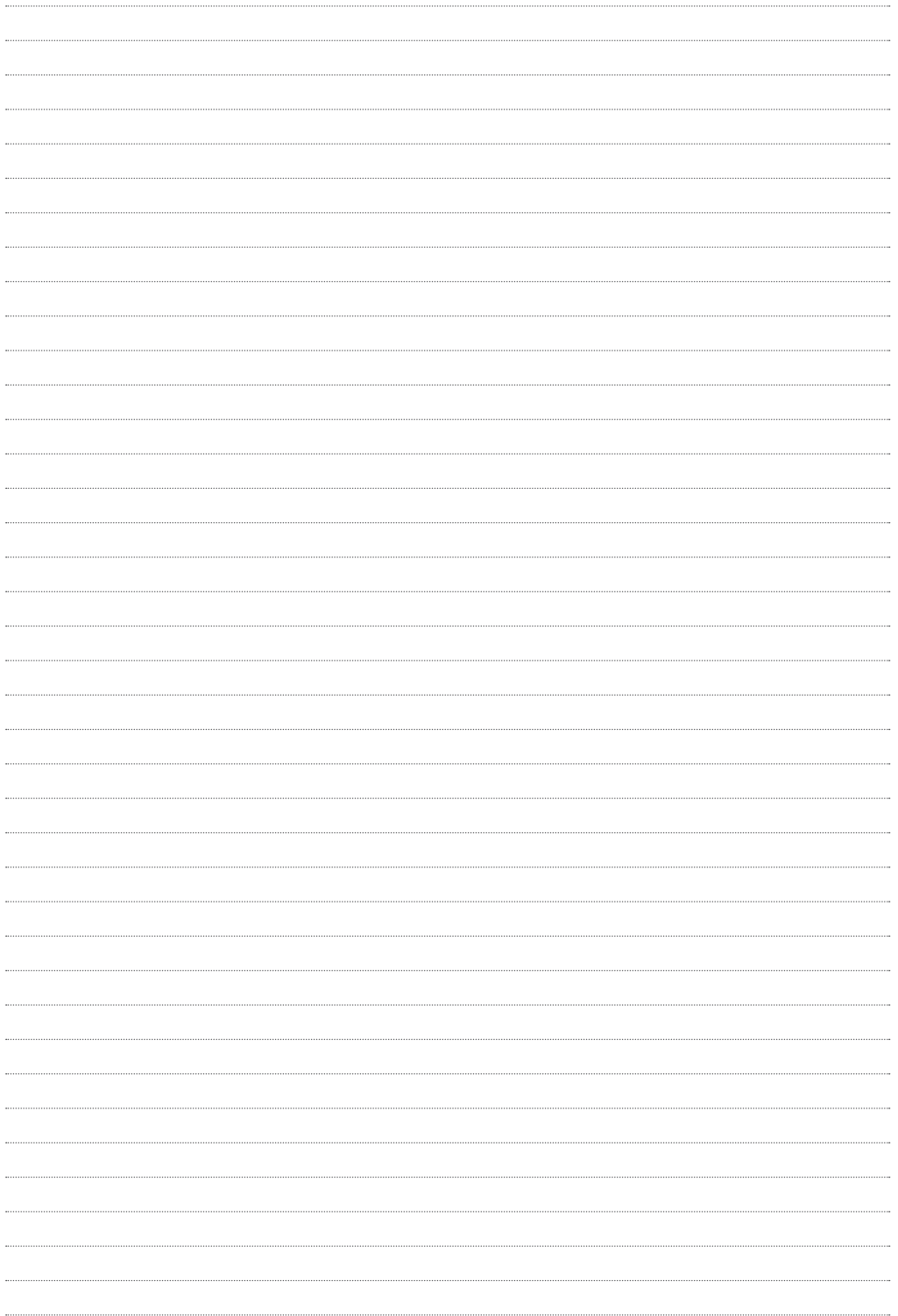




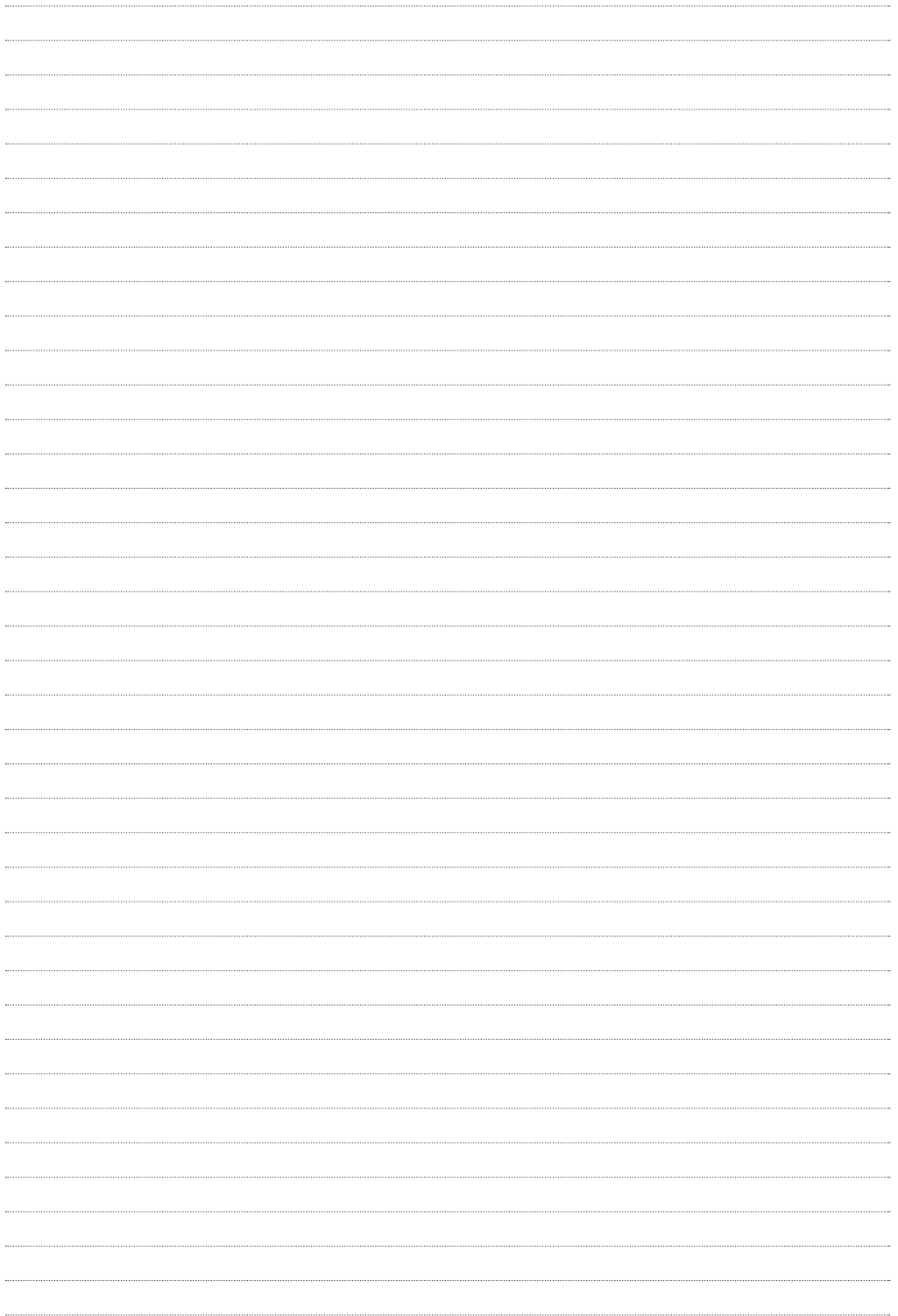












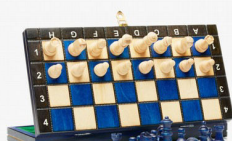
- Szachy dla trójki graczy
- Szachy klasyczne
- Backgammon
- Warcaby



e-mail: kontakt.chesscheck@gmail.com

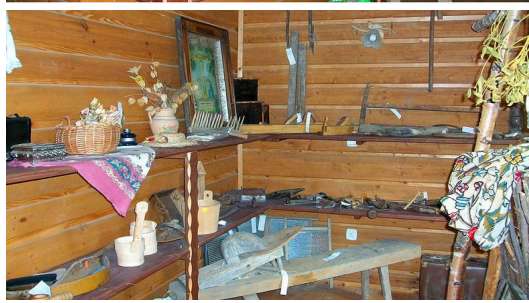
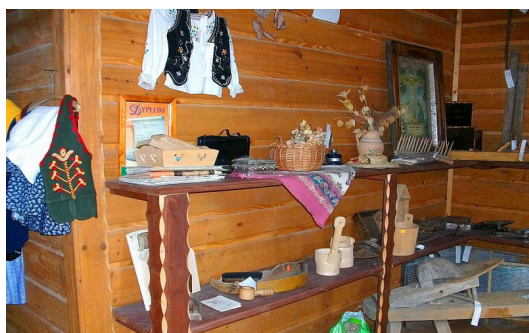
tel. 694 676 819

730 760 530



.....

Izba Regionalna im. Franciszka Gazdy w budynku OSP Zawoja
Przystop - Mini Skansen obrazujący historię naszego przysiółka
Dostęp do Izby dla grup zorganizowanych i turystów
indywidualnych po odbiorze kluczy w pobliskim sklepie



Domek Apartamenty SIMONKA

Urszula Toczek

Grzechynia 446

tel. 669118280, 338728846

www.domeksimonka.pl simonka082@wp.pl

- 20 miejsc noclegowych
- gorąca kąpiel pod chmurką
- domowe jedzenie
- jacuzzi
- grill



Zapraszamy!

Domeki Simonka

Beskidzki Raj



- wesela
- konferencje
- kuligi
- przyjęcia rodzinne



Stryżawa 667
Tel. 33 48 65 000
33 48 65 111
hotel@beskidzkiraj.com
www.beskidzkiraj.com

- Wellness & SPA
- rehabilitacja
- basen
- korty tenisowe



- kręgielnia
- mini ZOO
- wieża widokowa
- grill zewnętrzny
- bilard
- piłkarzyki



- wyjazdy rodzinne
- imprezy integracyjne
- kapela góralska
- Drink Bar
- Restauracja



Najwyżej położony
hotel w Polsce w
Beskidzie Żywieckim z
widokiem na Babią Górę
i okoliczne pasma



- okna pcv, okna drewniane, stolarka aluminiowa, drzwi zewnętrzne oraz wewnętrzne, bramy garażowe
- parapety zewnętrzne oraz wewnętrzne, moskitiery, rolety zewnętrzne, rolety wewnętrzne, żaluzje zewnętrzne oraz wewnętrzne, montaż

**SPRZEDAŻ
RATALNA!**



 **609 251 767, 794 593 983**

e-mail: bwjbiuro@wp.pl

NIP. 551 221 03 35

34-100 Wadowice, pl. Bohaterów Getta

USŁUGI OGÓLNOBUDOWLANE

J.K. PLUTA



- budowy domów od podstaw
- tynki i elewacje
- brukarstwo
- docieplenia budynków
- wykończenia i remonty



Krzysztof Pluta
664-048-160

Janusz Pluta
664-083-304